

**Terry Brooks**

**CZARNY JEDNOROŻEC**

*(The Black Unicorn)*

Przełożył Maciej Karpiński

*Dla Amandy, która potrafi dostrzec ukryte przede mną jednorożce...*

– Skąd wiesz, że ona jest jednorożcem? – spytała Dolly. – I dlaczego lękasz się jej dotknięcia? Spostrzegłam to. Bałeś się jej.

– Wątpię, czy chce mi się mówić aż tak wiele – odrzekł z głęboką niechęcią kot. – Na twoim miejscu nie traciłbym czasu na głupoty. A co do twego pierwszego pytania, to powiadam ci, że żaden kot – nawet najmniejszy – nie da się zwieść niczyjej powierzchowności. W przeciwieństwie do ludzi, którzy wprost za tym przepadają. Co do twego drugiego pytania... – Tu nagle się zawahał i oddał się z zapalem kociej toalecie. Nie odezwał się ani słowem, póki nie zdołał napuszyć języczkiem całego swego futerka, a później znowu go wygładzić. Jednak nawet wtedy nie raczył spojrzeć na Molly, lecz oglądał swe pazurki.

– Gdyby mnie dotknęła – rzekł wreszcie bardzo cicho – przestałbym należeć do siebie i na zawsze zostałbym jej własnością.

Peter S. Beagle,  
*The last Unicorn*

## PROLOG

Czarny jednorożec wyłonił się z porannych mgieł tak, jak gdyby się z nich narodził. Wpatrywał się w królestwo Landover.

Na wschodnim horyzoncie błysnęły pierwsze promienie jutrzeńki – intruza obserwującego ze swego ukrycia odlot jaskółek nocy. Wraz z pojawieniem się jednorożca cisza wydała się jeszcze głębsza, jakby to drobne wydarzenie w małym zakątku doliny w jakiś sposób rozniosło się po niej całej. Wszędzie sen ustępował miejsca jawie, mara-rzeczywistości. Chwila ta była tak wyczuwalna, jak gdyby zamarł w niej czas.

Jednorożec stał na skraju północnej obręczy doliny, wysoko w górach Melchor, blisko granic zaczarowanego świata. Królestwo Landover rozciągało się przed nim jak na dłoni: zalesione stoki, nagie skały wyrastające z łagodniejszych zboczy gór i pastwisk, jeziora i rzeki, lasy i zarośla. Barwy migotały nikłymi plamkami w niknących ciemnościach tam, gdzie promienie światła zdołały rozwiać poranne mgły. Zamki, miasta i wioski były ledwie dostrzegalnymi, nieregularnymi kształtami – stworzeniami, które pogrążone we śnie, oddychały dymem żarzących się jeszcze ognisk.

Ogień jego wypełnionych łzami zielonych oczu przemiatiał dolinę od jednego do drugiego jej końca i lśnił iskrami nowo rodzącego się życia. To już tak długo!

Strumień rwał w dół i gromadził swe wody w skalnym zbiorniku o parę metrów od miejsca, w którym stał jednorożec. Na brzegu tłoczyła się niewielka grupka leśnych zwierząt – królik, borsuk, kilka wiewiórek i polnych myszy, opoz z młodym, samotna ropucha – przyglądających się w nabożnym skupieniu owemu cudownemu zjawisku, które się tu oto przed nimi zmateriałizowało.

Świt przełamał się gwałtownie w całej dolinie, rozpoczynając nowy dzień. Czarny jednorożec poczuł promienie słońca na pysku i wznosił głowę w geście pozdrowienia. Jednak niewidzialne łańcuchy stale trzymały go w swych okowach, a chłód ich krępującej obecności rozwał błyskawicznie chwilowe poczucie ciepła.

Jednorożec zadrżał. Był nieśmiertelny i nie mogło go zabić żadne śmiertelne stworzenie. A jednak jego życie można było skrać. Czas był sprzymierzeńcem wroga, który go uwięził. Czas znów ruszył naprzód.

Czarny jednorożec niczym błysk pomknął przez las w poszukiwaniu wolności.

## SNY...

– Miałem sen dzisiejszej nocy – oznajmił swym przyjacielom Ben Holiday tamtego ranka przy śniadaniu.

Równie obojętnie przyjęliby zapewne dzisiejszą prognozę pogody. Mag Questor Thews zdawał się go nie słuchać. Jego sowa, pociągła twarz wyrażała zamyślenie, a spojrzenie kierowało się ku niewidocznemu punktowi, zawieszonemu jakieś pięć metrów ponad stołem. Koboldy Bunion i Parsnip ledwie uniosły wzrok znad talerzy. Skryba Abernathy zdobył się na spojrzenie z uprzejmym zaciekawieniem, choć dla tego psa o włochatym pysku, którego wzrok wyrażał z natury uprzejmą ciekawość, nie było to szczególnie trudne.

Jedynie sylfida imieniem Willow, która właśnie weszła do jadalni, okazała rzeczywiste zainteresowanie. Niepokojąco gwałtownie zmienił się wyraz jej twarzy.

– Śniłem o domu – ciągnął Ben, zdecydowany, by jednak powiedzieć, co miał do powiedzenia. – Śniłem o moim starym świecie.

– Wybacz. – Questor spoglądał teraz wprost na niego, wyglądając tak, jakby powrócił właśnie z jakiejś planety. – Wybacz, czy dobrze słyszałem, mówiłeś coś o...?

– Co śniłeś o starym świecie, panie? – niecierpliwie przerwał Abernathy, którego uprzejme zaciekawienie przerodziło się w lekką dezaprobatę. Spojrzał na Bena znacząco sponad oprawek okularów. Zawsze spoglądał na niego w ten sposób, gdy Ben mówił o starym świecie.

Ben brnął dalej.

– Śniłem o Milesie Bennecie. Pamiętacie go chyba z moich opowiadań? To ten mój dawny prawniczy partner. Tak... śniłem o nim. Śniło mi się, że popadł w tarapaty. To nie był tylko sen. Początek albo zakończenie było prawdziwe. To tak, jak gdybym przeszedł przez tę historię do połowy. Miles był w swym biurze i porządkował papiery. Co rusz dzwonił telefon, dostarczano jakieś wiadomości, w tle pojawiali się ludzie, których nie mogłem rozpoznać. Widziałem, że Miles tracił już głowę. Wyglądał potwornie. Ciągłe pytał o mnie. Stale się zastanawiał, dlaczego mnie tu nie ma i gdzie się podziewam. Wołałem do niego, lecz mnie nie słyszał. Potem obraz zaczął się zniekształcać, zaciemniać. Miles stale mnie wzywał i pytał o mnie. Potem coś nas rozdzieliło. Wtedy się obudziłem. Spojrzał szybko na twarze wokół siebie. Wszyscy słuchali.

– Ale to nie wszystko – dodał pospiesznie. – Za całą tą serią obrazów kryło się uczucie czającej się katastrofy. Jego moc była przerażająca. Było takie... realne.

– Niektóre sny właśnie takie są, panie – zauważył Abernathy, wzruszając ramionami. Poprawił okulary i sztywno złożył przednie łapy na odzianej w szaty piersi. Był dystyngowanym psem. – Czytałem, że sny często są manifestacją naszych podświadomych lęków.

– Ale nie ten – Ben nie ustępował. – To było coś więcej, niż nasze zwykłe, codzienne sny. To było jak zwiastun zbliżającego się nieszczęścia.

Abernathy zaczął węszyć.

– Przypuszczam, że teraz chcesz mi powiedzieć, iż pod wpływem tego wstrząsającego, lecz nie wyjaśnionego racjonalnie snu, czujesz się zmuszony, by powrócić do swego starego świata? – Skryba nie czynił już żadnych wysiłków, by ukryć obawę, że właśnie spełniają się jego najgorsze przeczucia.

Ben zawahał się. To przecież już ponad rok minął od czasu, gdy wkroczył w mgły czarodziejskiego królestwa Landover, gdzieś w głębi lasów gór Blue Ridge, dwadzieścia mil na południowy zachód od Waynesboro w Wirginii. Odpowiadając na ogłoszenie w katalogu domu towarowego, zapłacił za ten przywilej milion dolarów. Uczynił to powodowany raczej desperacją niż wyrachowaniem. Przybył do Landover jako król, lecz mieszkańcy nie zaakceptowali łatwo jego władzy. Jego pretensje do tronu podważano i atakowano go ze wszystkich stron. Stworzenia, których istnienie uważał niegdyś za niemożliwe, wtedy niemal go zniszczyły. Magia – siła rządząca tym dziwnie skonstruowanym światem – była obosiecznym mieczem, którym Ben musiał się nauczyć władać, by przetrwać. Od momentu, gdy zdecydował się wkroczyć we mgły, rzeczywistość stała się dla niego czymś zupełnie innym niż przedtem. Życie, które wiódł jako prawnik sądowy w Chicago, wydawało się tak odległe od tego, co działo się z nim teraz. Nie zapomniał jednak o nim do końca i od czasu do czasu myślał o powrocie.

Jego spojrzenie spotkało się ze spojrzeniem skryby. Nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Mówiłem tylko, że się martwię o Milesa – wydusił w końcu.

W jadalni panowała cisza. Koboldy przestały jeść, a ich małpie twarze zastygły w przerażającym grymasie półuśmiechu, który stwarzał widok ich niemałych zębów. Abernathy siedział sztywno na swoim miejscu. Willow pobladła; wydawało się, że chce coś powiedzieć.

Lecz pierwszy przemówił Questor Thews.

– Jedną chwilę, panie – doradził po namyśle, kładąc na ustach kościsty palec.

Wstał od stołu, odprawił sługi, które stały ukryte po obydwu stronach sali, i zamknął za nimi drzwi. Sześcioro przyjaciół pozostało samych w przestronnej komnacie jadalnej. Questor najwyraźniej nie był jeszcze zadowolony. Wielkie, zwieńczone łukiem wejście w dalszym końcu pomieszczenia prowadziło do *foyer* łączącego jadalnię z pozostałą częścią zamku. Questor podkraść się cicho w tamtym kierunku i uważnie się rozejrzał.

Ben ze zdziwieniem śledził go wzrokiem, zastanawiając się, co go skłania do takiej ostrożności. Jasne, że nie było tu teraz tak jak dawniej, kiedy to tylko ich szóstka zamieszkiwała Sterling Silver. Teraz żyli tu liczni domownicy różnego wieku i rangi, żołnierze i strażnicy, posłowie i wysłannicy, kurierzy i całe mrowie innych osób, składających się na dwór Bena, co chwila wpadających jeden na drugiego i wdzierających się w jego prywatne życie w najmniej odpowiednich chwilach. Tym razem rozmowa o jego powrocie do starego świata nie miała charakteru takiego jak kiedyś, gdy dyskusje o tym toczyli otwarcie wszyscy i wszędzie. Tym razem dla ludu Landover był on już rodowitym mieszkańcem tej krainy.

Uśmiechnął się smutno. *Cóż*, nie ma przecież nic złego w ostrożności.

Był człowiekiem o przeciętnej powierzchowności, średniego wzrostu i wagi, proporcjonalnie

zbudowanym. Jego ruchy były szybkie i precyzyjne; w młodości uprawiał boks i wiele zachował z ówczesnych umiejętności. Jego twarz pociemniała od słońca i wiatru. Miał wydatne kości policzkowe, czoło z niewielkimi zakolami i orli nos. Jego wiek zaczynały już zdradzać drobne zmarszczki w kącikach oczu; same oczy pozostawały błyszczące błękitne i chłodne.

Wzniósł spojrzenie ku sklepieniu. Promienie porannego słońca dostawały się do wnętrza przez wysokie, szklane okna, odbijając się od polerowanego kamienia i drewna. Ciepło zamku przenikało go na wskroś. Czuł, że budowla porusza się niespokojnie. Zamek zawsze nasłuchiwał. Ben wiedział, że zamek słyszał również jego opowieść o śnie i zareagował na nią z pewnym niezadowolaniem. Zamek był matką, która martwiła się o swe porywcze, nieostrożne dziecko. Był matką, która próbowała chronić je za własnymi murami. Nie lubił, gdy Ben mówił o odejściu.

Ben spojrzał ukradkiem na przyjaciół: Questora Thewsa – niezbyt wprawnie posługującego się czarami maga, przypominającego odzianego w pstrokate szaty stracha na wróble o nie skoordynowanych ruchach; Abernathy’ego – dworskiego skrybę, którego czary Questora zmieniły w wheaten teriera o miękkiej sierści i który takim pozostał, gdyż nie można było znaleźć zaklęcia przywracającego go (psa w ludzkim odzieniu) do dawnej postaci; Willow – piękną sylfidę, w połowie drzewo, w połowie kobietę, stworzenie z baśniowego świata, władające własnym rodzajem magii; Buniona i Parsnipa (posłańca i kucharza) – odziane w krótkie spodnie koboldy o wyglądzie wielkouchych małp. Kiedyś wydawały mu się takie obce. Ale już rok później czuł się w ich obecności dobrze i bezpiecznie.

Potrząsnął głową. Żył w świecie smoków i czarownic, gnomów, trolli i innych dziwacznych stworzeń, w świecie żyjących zamków i baśniowej magii. Żył w fantastycznym królestwie, którego sam był władcą. Był tym, o kim dawniej mógł tylko śnić. Stary świat odchodził gdzieś w dal, dawne życie przeminęło. Dziwne więc, że tak często zdarzało mu się o tej przeszłości rozmyślać – o Milesie Bennecie, o Chicago, o praktyce prawniczej, o zobowiązaniach, których nie dopełnił. Wątki z gobelinu snu ubiegłej nocy plotły się w jego pamięci, nie dając mu chwili wytchnienia. Widać nie tak łatwo zapomnieć o tym wszystkim, co się wydarzyło w czasie tak wielu lat życia w tamtym świecie.

Questor Thews chrząknął.

– I ja miałem sen tej nocy, panie – rzekł czarownik, wróciwszy ze swego krótkiego rekonesansu. Ben obrzucił go szybkim spojrzeniem. Tyczkowata, odziana w długą szatę postać, pochyliła się na krześle o wysokim oparciu. Zielone oczy czarownika były jasne i odległe. Kościste palce dotknęły bokobrodów, a głos zabrzmiał oszczędnym szeptem. – Śniłem o zaginionych księgach magii!

Ben zrozumiał teraz jego ostrożność. Niewielu mieszkańców Landover wiedziało o tych księgach. Należały one do przyrodniego brata Questora, byłego nadwornego czarownika Landover, człowieka, którego Ben poznał w starym świecie jako Meeksa. To Meeks, w przymierzu z niezadowolonym spadkobiercą tronu, sprzedał Benowi tytuł królewski za milion

dolarów, będąc pewnym, że Ben padnie ofiarą jednego z licznych spisków, a po jego odejściu tron ponownie można będzie wystawić na sprzedaż. Meeks zamierzał Questora uczynić swym sprzymierzeńcem, a wiedza zawarta w ukrytych księgach magii miała być dla niego przynętą. Jednak to Questor i Ben zostali sprzymierzeńcami, wspólnie unikając wszystkich pułapek, które Meeks na nich zastawiał, i w końcu pozbywając się go stąd na dobre.

Spojrzenia Bena i Questora znów się skrzyżowały. Tak, Meeks odszedł, lecz księgi magii wciąż pozostają ukryte gdzieś w dolinie...

– Panie, czy słyszałeś, co powiedziałem? – Oczy Questora błyszczały podnieceniem. – Brakujące księgi, zaklęcia zbierane żmudnie przez pokolenia czarowników Landover od początków stworzenia! Myślę, że wiem, gdzie są! Widziałem je w moim śnie! – Jego oczy zamigotały, a głos przerodził się w szept. – Są ukryte w katakumbach ruin twierdzy Mirwouk, wysoko w górach Melchor! W moim śnie szedłem za pochodnią, której nie dzierżyła żadna dłoń, szedłem za nią przez ciemności, przez tunele i schody, do drzwi oznaczonych runami i magicznymi symbolami. Drzwi otwały się. Podłogę tworzyły kamienne bloki, a jeden z nich nosił specjalny znak. Dotknąłem go... Tam były ukryte księgi! Pamiętam to... jakby rzeczywiście się wydarzyło!

Teraz Ben przybrał powątpiewający wyraz twarzy. Chciał coś odpowiedzieć, lecz nagle przerwał, nie wiedząc, co rzec. Za sobą czuł niespokojne ruchy Willow.

– Szczerze mówiąc, nie wiedziałem, czy mówić wam o moim śnie – przyznał pospiesznie czarownik. – Może winienem poczekać z tym, aż się przekonam, czy sen był prawdziwy. Lecz kiedy ty powiedziałaś o swoim, ja... – zawahał się – mój, jak twój, panie, był nie tyle snem, ile przepowiednią. Był przedziwnie intensywny, przytłaczał swą wyrazistością. Nie przerażał, jak twój. Był... radosny!

Na Abernathym nie zrobiło to większego wrażenia.

– Może po prostu zjadłeś coś nieodpowiedniego i stąd ten sen – zasugerował niezbyt nieuprzejmie.

Questor wydawał się go nie słyszeć.

– Czy zdajecie sobie sprawę z tego, co to by znaczyło, gdyby te księgi znalazły się w moim posiadaniu? – zapytał zapalczywie, a jego twarz przybrała jastrzębi wyraz. – Czy macie w ogóle pojęcie, jak potężną magią bym wówczas władał?

– Według mnie posiadłeś jej już dosyć! – przerwał Abernathy. – Przypominam ci, że to za przyczyną twego opanowania (czy raczej jego braku) czarów stałem się przed laty tym, kim jestem teraz. Trudno sobie wyobrazić, jakich jeszcze szkód mógłbyś dokonać, jeśli twe moce by wzrosły!

– Szkód?! Zastanów się lepiej, ile dobrego mógłbym uczynić! – Questor pochylił się nad nim. – A gdybym znalazł sposób, by cię przywrócić do dawnej postaci?

Abernathy zamilkł. Sceptycyzm to jedno, ale głupi sceptycyzm to zupełnie co innego. Wszak niczego nie pragnął bardziej, niż stać się znowu człowiekiem.



– Questorze, czy jesteś tego pewien? – zapytał w końcu Ben.

– Tak jak i ty, wielki panie – odrzekł mag. Zawahał się. – Dziwne swoją drogą, że dwa takie sny pojawiły się tej samej nocy...

– Trzy – dodała niespodziewanie Willow.

Zwrócili się ku niej – Questor wpół swego zdania, Ben stale usiłując zrozumieć znaczenie jego odkrycia, milczący Abernathy i koboldy. Czy powiedziała, że...?

– Trzy – powtórzyła. – Ja też miałam sen – dziwny i poruszający. A chyba nawet bardziej żywy niż wasze.

Ben znowu ujrzał ten niepokojący wyraz twarzy, teraz jeszcze bardziej wyrazisty, mocny. Był przedtem zbyt zamyślony, by przyjrzeć mu się dokładniej. Willow nie przesadzała. Coś rzeczywiście nią wstrząsnęło. W jej oczach dostrzegł graniczący z lękiem smutek.

– O czym był twój sen? – zapytał.

Nie od razu zaczęła mówić. Wydawała się stopniowo go sobie przypominać.

– Podróżowałam przez krainy, które jednocześnie były znajome i obce. Byłam w Landover, a zarazem gdzieś indziej. Czegoś szukałam. Byli tam moi współplemieńcy, przyćmione cienie, szepecące coś do mnie w pośpiechu. Trzeba było się spieszyć, ale nie wiedziałam dlaczego. Po prostu szłam, szukałam. – Przerwała – Potem światła dnia ustąpiły ciemnościom, a promienie księżycy wplątały się w gałęzie drzew, które tworzyły wokół mnie mur. Byłam sama. Byłam tak przerażona, że nie mogłam nawet wołać o pomoc, choć czułam, że muszę. Wokół unosił się jakiś rodzaj mgły. Cienie tłoczyły się coraz bliżej wokół mnie. Bałam się, że mnie zaduszą. – Chwyciła dłoń Bena. – Potrzebowałam ciebie. Tak bardzo cię potrzebowałam, że nie mogłam wprost pomyśleć, że nie mam cię przy sobie. Głos we mnie szeptał, że jeśli nie dokończę szybko swej podróży, utracę ciebie. Na zawsze.

Coś w jej głosie przejęło Bena do szpiku kości.

– Wtedy nagle pojawiło się przede mną jakieś stworzenie, widmo wyłaniające się z przedporannych mgieł. – Zielone oczy sylfidy zamigotały. – To był jednorożec! Tak czarny, że wydawał się pochłaniać światło księżycy tak, jak gąbka chłonie wodę. Ale nie chodzi tylko o to, że był to jednorożec. Nie był biały, tak jak jednorożce w dawnych czasach. Był czarny jak smoła. Wyminął moją ścieżkę, stąpając kopytami po ziemi, ze spuszczoneym łbem. Jego gibkie ciało zdawało się tańczyć i zmieniać kształty. Przypominał raczej demona niż jednorożca, raczej diabła niż dobrego ducha. Podobnie jak niektóre olbrzymie byki, wyglądał na zaślepionego furia. Ruszył w moim kierunku. Zaczął biec. Skądś wiedziałam, że nie mogę pozwolić mu się dotknąć, że jeśliby dotknął mnie, byłabym zgubiona. Biegłam szybko, lecz jednorożec był tuż za mną. Chciał mnie mieć. Zamierzał mnie pojąć.

Jej oddech stawał się coraz szybszy, a wiotkim ciałem miotaly emocje. W komnacie panowała śmiertelna cisza.

– Wtedy poczułam, że w dłoni trzymam uzdę uprzedzoną ze złota, z prawdziwych złotych nici, jakich elfy używały w dawnych czasach do tkania. Nie wiedziałam, w jaki sposób uprząż

znalazła się w moich dłoniach. Wiedziałam tylko, że nie mogę jej utracić. Wiedziałam, że to jedyna rzecz, która może okiełznać czarnego jednoroźca. – Zacieśniła uchwyt. – Biegłam, szukając Bena. Czułam, że to właśnie jemu muszę powierzyć uprzęż i że jeśli nie dotrę do niego wystarczająco szybko, jednorożec schwyta mnie i...

Jej głos przycichł, a spojrzenie zatrzymało się na Benie. Na moment zapomniał o wszystkim, co mu powiedziała, zagubiony w jej oczach, dotyku jej dłoni. Przez chwilę była tą niewyobrażalnie piękną kobietą, którą spotkał niemal rok temu, gdy kąpała się naga w wodach Irrylyn – syreną i bajecznym dzieckiem zarazem. Nigdy nie zapomniał tego, co wtedy ujrzał. Każde spotkanie z nią przywodziło mu przed oczy tę wizję.

Trwała krucha cisza. Abernathy chrząknęła.

– To chyba była jakaś szczególna noc snów – podsumował nieco prześmiewczo. – Chyba wszystkim w tej komnacie prócz mnie coś się dzisiaj śniło. Bunion? Czy śniłeś o swych przyjaciółach popadających w tarapaty, zaginionych księgach magii, albo czarnych jednorożcach? A ty, Parsnip?

Koboldy syknęły i zgodnie potrzęsnęły głowami. W ich ostrych spojrzeniach rysowała się ostrożność, która nakazywała traktować sprawę snów poważniej, niż czynił to Abernathy.

– Jeszcze jedno – dodała Willow, ciągle wpatrzona w Bena. – Kiedy uciekałam przed tym, co mnie goniło, przed diabłem czy czarnym jednorożcem, obudziłam się. Obudziłam się, a jednak czułam, że sen się nie skończył. Czekałam ciągle na coś, co jeszcze miało się wydarzyć.

Ben wolno skinął głową, budząc się z zamyślenia.

– Czasami śnimy ten sam sen więcej niż raz...

– Nie, Ben! – szepnęła z naciskiem. Puściła jego rękę. – Ten sen podobny był do twojego. Był raczej prorocstwem niż snem. Ostrzegał mnie przed czymś, panie. Czarodziejskie stworzenia są bliższe prawdzie snów niż jakiegokolwiek inne. Ukazało mi się coś, o czym powinnam wiedzieć – ale jeszcze nie ukazało mi się wszystko.

– W historii Landover znane są przypadki snów o czarnym jednorożcu – Questor Thews włączył się niespodziewanie. – Pamiętam, że czytałem o nich raz czy dwa razy. Przydarzyły się dawno temu, a doniesienia o nich są niejasne i niepotwierdzone. Mawiano, że czarny jednorożec to czarci skrzek – rzecz zła do tego stopnia, że nawet samo spojrzenie na niego wiedzie ku pewnej zgubie...

Zapomniane jadło stygło przed nimi na talerzach, a napoje w filiżankach. Jadalnia była cicha i pusta, choć Ben wszędzie wyczuwał obecność szpiegujących uszu i oczu. Było to wrażenie nieprzyjemne. Rzucił spojrzenie na zatroskaną twarz Questora, a potem jeszcze raz na Willow. Być może zlekceważyłby zarówno jej sen, jak i opowieść Questora, gdyby nie jego własne rojenie. W zasadzie do snów nie przywiązywał specjalnej wagi. Jednakże wizja Milesa Bennetta w owym ciemnym pokoju, niemal oszalałego z powodu nieobecności Bena, wisiała nad nim jak ciężka chmura. Był tak realny, jak całe jego życie na jawie. W opowieściach swych przyjaciół odnalazł tę samą nutę przynaglenia, nacisku, która wzmacniała wrażenie, że snów tak żywych

i wyrazistych nie można po prostu zbyć, składając je na karb wczorajszej, zbyt ciężkiej kolacji lub nadmiernie rozbudzonej podświadomości.

– Dlaczego śnimy takie sny? – zastanawiał się głośno.

– Ten kraj zbudowany jest ze snów, panie – odparł Questor Thews. – To świat, w którym sny zaczarowanego i śmiertelnego świata łączą się i przenikają nawzajem. Rzeczywistość jednego jest fantazją w drugim – wszędzie z wyjątkiem miejsca, gdzie teraz jesteście. Tylko tu się spotykają. – Podniósł się w swych wielobarwnych, lśniących szatach. – I przedtem zdarzały się przypadki takich snów, często nawet do pół tuzina jednocześnie. Królowie, magowie i możni miewali takie sny przez cały czas istnienia Landover.

– Sny, które są prorocत्वami czy nawet ostrzeżeniami?

– Sny, które miały pobudzić do działania, panie. Ben wydał usta.

– Czy zamierzasz podjąć działania, które sugeruje ci twój sen? Czy wybierasz się na poszukiwanie zaginionych ksiąg magii, jak nakazał ci twój sen?

Questor zawahał się, marszcząc brwi w zamyśleniu.

– I czy Willow będzie szukała złotej uprząży ze swojego snu? Czy powinienem wrócić do Chicago, żeby sprawdzić, co z Milesem Bennettem?

– Panie, proszę chwilę się wstrzymać! – Abernathy stał na wyprostowanych nogach, spoglądając z wyraźnym zaniepokojeniem. – Mądrze byłoby nieco dokładniej rozważyć całą tę sprawę. Czyż nie byłby to wielki błąd, byście wyruszyli na poszukiwania czegoś... czegoś, co mogłoby się okazać tylko złudą we śnie po zbyt ciężkim posiłku?! – Starł się wzrokiem z Benem. – Musisz pamiętać, panie, że czarnoksiężnik Meeks jest nadal twoim najniebezpieczniejszym wrogiem. Nie może cię dosięgnąć, póki przebywasz w Landover. Jestem jednak pewien, że żyje on w oczekiwaniu na dzień, w którym będziesz na tyle głupi, by powrócić do swego starego świata, w którym go uwięziłeś! Co będzie, jeśli odkryje, że wróciłeś, jeśli niebezpieczeństwem, które zagraża twemu przyjacielowi, jest on sam?

– Tak, to możliwe – zgodził się Ben.

– To nawet bardzo prawdopodobne! – doszedłszy wreszcie do sedna sprawy, Abernathy wcisnął okulary mocno na nos. Spoglądał teraz na Questora. – I ty powinienesz być na tyle rozważny, by ocenić niebezpieczeństwa towarzyszące wejściu w posiadanie mocy zaginionych ksiąg magii – mocy, która była narzędziem czarowników takich, jak Meeks! Już na długo przed nami mówiło się, że zaginione księgi są zakute w stal demonów i przeznaczone do czynienia zła. Skąd możesz wiedzieć, czy moc taka nie strawi cię tak, jak płomień spala suchą szmatę? Te czary są niebezpieczne, Questorze Thews?

– Co do ciebie – zwrócił się szybko do Willow, ucinając próby protestów Questora – twój sen przeraził mnie najbardziej. Legenda czarnego jednorożca to legenda zła. Nawet twój sen to potwierdza. Questor Thews zapomniał dodać w swych wywodach o historii Landover, że wszyscy ci, którzy twierdzili, iż ujrzeli to stworzenie, ginęli nagłą i wyjątkowo nieprzyjemną śmiercią. Jeśli czarny jednorożec istnieje, to jest to prawdopodobnie demon, który błąka się tutaj,

opuściwszy Abaddon. Lepiej zostawić go w spokoju!

Zakończył mocnym kłapnięciem szczęk, wyrażającym siłę jego przekonania. Przyjaciele wpatrywali się w niego.

– To tylko hipotezy – rzekł w końcu Ben, próbując uspokoić wzburzonego skrybę. – Rozważamy tylko możliwe alternatywy...

Poczuł, że Willow znów mocniej ścisnęła jego ramię.

– Nie, Ben. Abernathy ma słuszość. My nie rozważamy już żadnej alternatywy.

Ben zamilkł. Wiedział, że miała rację. Nikt z całej trójki nie powiedział o tym głośno, lecz wszyscy podjęli już decyzje. Wybierali się w swe samotne podróże, by dopiąć własnych celów. Byli zdecydowani wystawić na próbę prawdę swych snów.

– Przynajmniej jedno z was jest szczerze! – mruknął Abernathy. – Szczerze w ujawnieniu decyzji, choć nie w przyznaniu się do niebezpieczeństwa!

– Niebezpieczeństwa zawsze są... – zaczął Questor.

– Tak, tak, magu! – uciał Abernathy, koncentrując teraz uwagę na Benie. – Czy zapomniałeś, panie, o już teraz realizowanych planach? – zapytał. – Co będzie z pracami, których dokończenie wymaga twej obecności? Rada sędziów zbierze się w najbliższym tygodniu, by rozważyć zaproponowany przez ciebie sposób przyjmowania skarg. Od czasu, gdy przejrzałeś plany, wszystko gotowe jest do rozpoczęcia prac irygacyjnych i drogowych na wschodnich granicach Greensward. Pobrane podatki wymagają natychmiastowego zaksięgowania. A za trzy dni przybywają z oficjalną wizytą władcy Greensward! Nie możesz tak po prostu wyjechać!

Ben patrzył gdzieś w dal, przytakując odruchowo. Myślał o czymś całkiem innym. Kiedy podjął decyzję, że wyruszy? Nie pamiętał, żeby się nad tym zastanawiał. Było to niemal tak, jak gdyby ktoś tę decyzję podjął za niego. Potrząsnął głową. To przecież niemożliwe. Skierował wzrok na Abernathy'ego.

– Nie martw się, wkrótce powrócę – obiecał.

– Skąd możesz wiedzieć?! – upierał się skryba. Ben przerwał i uśmiechnął się niespodziewanie.

– Abernathy! Niektóre rzeczy są ważniejsze od innych. Sprawy Landover nie ucierpią na tym, że przez kilka dni będę nieobecny. – Uniósł się i podszedł bliżej swych przyjaciół. – Nie mogę tego od siebie odsunąć. Nie mogę udawać, że nie miałem tego snu i że się nie martwię o Milesa. Prędzej czy później i tak musiałbym tam wyruszyć. Zbyt długo wiele niedokończonych spraw pozostawiłem samym sobie.

– One z pewnością same potoczą się lepiej, niż sprawy królestwa, gdybyś nie wrócił, panie – wyszeptał zaniepokojony skryba.

Uśmiech Bena poszerzył się.

– Obiecuję, że będę ostrożny. Dobro Landover i jego ludu cenię tak, jak ciebie.

– Myślę, że bez kłopotu poradziłbym sobie ze sprawami państwowymi w czasie twej nieobecności, wielki panie – dodał Questor.

Abernathy westchnął ciężko.

– Czemuż mnie to wcale nie przekonuje...? Ben przerwał mu spokojnym gestem.

– Proszę, nie sprzecajmy się. Potrzebujemy wzajemnego wsparcia. – Zwrócił się ku Willow.

– Czy ty również jesteś zdecydowana?

Willow odgarnęła swe sięgające talii włosy i obrzuciła go badawczym, niemal mrocznym spojrzeniem.

– Wszak znasz już odpowiedź na to pytanie. Przytaknął.

– Sądzę, że znam. Gdzie zaczniesz?

– W Krainie Jezior. Są tam stworzenia, które mogą mi pomóc.

– A może poczekałabyś na mnie, aż wrócę, bym mógł iść razem z tobą?

Oczy w kolorze morskiej zieleni spoglądały nieruchomo.

– A czy ty byś zaczekał na mnie? W odpowiedzi lekko ścisnął jej dłoń.

– Nie, myślę, że nie. Jednak to ty jesteś pod moją opieką i nie chcę, żebyś szła sama. Prawdę mówiąc, nie chcę byście ty i Questor szli sami. Jakaś ochrona może się okazać konieczna. Bunion pójdzie z jednym z was, Parsnip z drugim. Nie, nie sprzecajcie się ze mną – ciągnął pospiesznie, widząc już słowa protestu rodzące się na ustach nimfy i maga – wasze podróże mogą być niebezpieczne.

– Jak i twoja, panie – zauważył Questor. Ben zgodził się.

– Tak, zdaję sobie z tego sprawę. Moja sytuacja jest jednak inna. Nie mogę nikogo z tego świata zabrać na tamten, a przynajmniej nie bez wzbudzenia powszechnej podejrzliwości. To właśnie w moim świecie czyhają największe niebezpieczeństwa. Na tej wyprawie muszę sam się strzec.

Sądził, że medalion, który wisiał na jego szyi, będzie wystarczającą ochroną. Powiódł palcami i z przodu, pod tuniką, wyczuł jego twardy kształt. O ironio! Meeks dał mu przecież ten medalion, sprzedając mu królestwo. Teraz był on jego magicznym kluczem. Jedynie ten, który go nosił, mógł być uznawany za króla. Tylko posiadające go stworzenie mogło przekroczyć granicę czarodziejskich mgieł między Landover i tamtym światem. Jedynie ten, kto go miał, mógł mieć na swych usługach niezwykłego mistrza walk, Paladyna.

Dotykał opuszkami palców wizerunku błędnego rycerza, opuszczającego bramy Sterling Silver i zmierzającego ku wschodzącemu słońcu. Sekretem Paladyna była jego samotność. Nawet Meeks nigdy w pełni nie pojął mocy medalionu i jego powiązania z Paladynem.

Uśmiechnął się. Meeks uważał się za tak przebiegłego. Użył medalionu, by przeniknąć do świata Bena, a potem dać się tam uwięzić. Czegóż nie oddałby teraz stary czarownik, by odzyskać medalion!

Uśmiech pobladł. Nie, to przecież nigdy nie może się zdarzyć. Nikt, prócz samej osoby noszącej medalion, nie może go zdjąć. Ben nie zdejmował go nigdy, choć Meeks nie był już zagrożeniem.

Jednak gdzieś, w najgłębszych zakamarkach umysłu, pogrzebany już niemal pod pokładami

determinacji, tlił się cień wątpliwości.

– Cóż, wygląda na to, że cokolwiek powiem, nie zmieni to i tak waszych decyzji – odezwał się Abernathy, ponownie ściągając na siebie uwagę Bena. Pies spojrział na niego sponad oprawek okularów, po czym poprawił je, przybierając pozę odrzuconego proroka. – Niechaj tak się stanie. Kiedy wyruszasz, panie?

Zapanowała niemiła cisza. Przerwał ją Ben.

– Im prędzej wyruszę, tym prędzej powrócę.

Willow uniosła się i stanęła przed nim. Obejmując go w talii ramionami, przyciągnęła ku sobie. Przez moment, obserwowani przez pozostałych, trwali w uścisku. Ben mógł wyczuć niepokój miotający wiotkim ciałem nimfy – rodzaj dreszczu, który szeptał o niewypowiedzianych lękach.

– Myślę, że byłoby najlepiej, gdyby każdy z nas zajął się teraz swoimi sprawami – rzekł cicho Questor Thews.

Nikt nie odpowiedział. Wystarczającą odpowiedzią była cisza. Poranek przeradzał się powoli w przedpołudnie i wszyscy czuli potrzebę zrobienia czegoś pożytecznego z resztą dnia.

– Powróć do mnie cały i zdrow, Benie Holidayu – powiedziała Willow, wtulona w jego ramiona.

Słyszając te słowa, Abernathy raz jeszcze zwrócił się do Bena.

– Powróć bezpiecznie do nas wszystkich – rzekł.

Nie tracąc czasu, Ben zaczął przygotowania.

Udał się prosto do swej sypialni i zapakował swój worek marynarski, przyniesiony tu ze sobą ze starego świata wraz z kilkoma innymi przedmiotami, do których czuł się przywiązany. Przebrał się znowu w morskogranatowe ubranie i adidas. Trochę dziwnie czuł się w tym stroju po tym, co nosił w Landover. Jednak to stare, znajome i wygodne ubranie dawało mu poczucie pewności. Przebierając się, myślał, że w końcu wraca, że wreszcie ma to zrobić...

Wyszedłszy z komnaty sypialnej, skierował się tylnymi schodami w dół i, przechodząc przez kilka izb, wydostał się na małe podwórze nieopodal głównej bramy, gdzie już go oczekiwali. Jasne promienie porannego słońca, świecącego na bezchmurnym niebie, odbijały się w białych murach zamku, błyskając tam, gdzie natrafiły na żyłki srebra. Od piasków i skał wyspy, na której leżało Sterling Silver, biło rozleniwiające ciepło. Ben wziął głęboki oddech, łowiąc świeżość dnia. Poczul, że zamek w odpowiedzi zadrżał pod jego nogami.

Uścisnął mocno łapy Buniona i Parsnipa, odwzajemnił sztywny ukłon Abernathy'ego, uściskał Questora i ucałował Willow z namiętnością, którą zazwyczaj okazywał tylko w głębi nocy. Nie było o czym mówić. Co miało zostać powiedziane, już powiedziano. Abernathy jeszcze raz ostrzegł przed Meeksem. Tym razem przyłączył się do niego Questor.

– Bądź ostrożny, panie – radził mag, kładąc rękę na ramieniu Bena, jak gdyby chciał go zatrzymać. – Choć wygnany, mój przyrodni brat nie jest całkiem pozbawiony swej czarodziejskiej mocy. Nadal jest niebezpiecznym wrogiem. Strzeż się go.

Ben obiecał, że będzie ostrożny. Przekroczył wraz z nimi bramy, minął strażników rozstawionych na dziennej warcie i zszedł w dół, na sam brzeg. Jego koń czekał na przeciwnym, odległym brzegu zatoki. Ben nadał kiedyś owemu gniadoszowi imię Jurysdykcja. Tak więc podróżując konno, miał zawsze pod sobą Jurysdykcję. Nikt prócz niego nie wiedział, na czym polega ów dowcip.

Na Bena czekał również szwadron uzbrojonych żołnierzy.

Abernathy nalegał, by przynajmniej w granicach królestwa król Landover podróżował pod należytą ochroną.

– Ben. – Willow podeszła do niego po raz ostatni, wciskając mu w dłonie jakiś przedmiot. – Weź to ze sobą.

Spojrzał ukradkiem w dół. Willow dała mu gładki, mleczny kamień z wyrzeźbionymi runami.

Szybko zamknęła kamień na powrót w jego dłoniach.

– Dobrze go skryj. Jeśli zagrozi ci niebezpieczeństwo, kamień rozgrzeje się i stanie się purpurowy. W ten sposób ostrzeże cię. – Przerwała, delikatnie klepiąc go w policzek. – Pamiętaj, że cię kocham. Że zawsze będę cię kochała.

Na wszelki wypadek uśmiechnął się, choć słowa te poruszyły go jak zwykle. Nie chciał, żeby go tak kochała; jego żona, Annie, część jego dawnego życia, zginęła w wypadku samochodowym, który czasami zdawał się mu odległy o tysiące lat, a czasami widział go tak, jak gdyby wydarzył się wczoraj. Nie chciał ryzykować miłości tego rodzaju, by po raz drugi ją utracić. Nie zniósłby tego. Taka perspektywa napawała go przerażeniem.

Przeszedł go nagły dreszcz smutku. To dziwne, lecz póki nie spotkał Willow, nie przypuszczał, że będzie jeszcze kiedykolwiek w stanie przeżywać uczucia, które dzielił z Annie...

Lekko ucałował Willow, a kamień schował głęboko w kieszeni. Gdy odwracał się, poczuł jeszcze raz na twarzy dotyk jej dłoni.

Questor przepawił się z nim i oczekiwał, aż Ben dosiądzie konia.

– Wracaj bezpiecznie, panie! – prosił.

Ranek stał się południem, a południe zaczęło chylić się ku końcowi, gdy Ben konno posuwał się na zachód, ku obręczy mgieł spowijających granice zaczarowanego świata. Kolory późnego lata pokryły ziemię łaciatym dywanem. Łąki porastała soczysta trawa w najrozmaitszych odcieniach zieleni, błękitu, różu i purpury obsypanej cętkami białej koniczyny. Roślinność lasów również miała w sobie jeszcze sporo wiosennej świeżości. Bonnie blues, drzewa, które w dolinie stanowiły podstawę wyżywienia, dostarczając napoju i jadła, rosły w grupkach niemal wszędzie: niewyrośnięte iglaste dęby, odcinające się swym błękitem od wszelkich odcieni zieleni lasu. Dwa z ośmiu księżyców Landover wisiały nisko nad północnym horyzontem, dobrze widzialne nawet za dnia. Jeden przypominał brzoskwinię, drugi był blady, fiołkoworóżowy. Na polach małych farm rozsianych w dolinie trwały żniwa. Do tygodniowego okresu zimowego odpoczynku został jeszcze miesiąc.

Ben napawał się zapachami, smakami, widokami i samym poczuciem obecności w dolinie, jak wybornym winem. Moce magiczne miały się dobrze, a ziemie królestwa były jedną całością. W dolinie panował spokój.

Lecz Ben nie był spokojny. Jego konwój posuwał się równym, lecz niezbyt szybkim krokiem. Potrzeba pośpiechu, jaką odczuwał jeszcze niedawno ustąpiła dziwnym obawom przed opuszczeniem Landover. Byłaby to jego pierwsza podróż poza królestwo od czasu przybycia tutaj. Sama myśl o wyjeździe nie niepokoiła go do tej pory – niepokój poczuł dopiero teraz. Natrętne przecucie, że opuszczając Landover, nigdy tu już nie będzie mógł powrócić, drażyło mur jego determinacji.

Było to, rzecz jasna, śmieszne. Próbował więc odważnie stawić czoło obawom, usiłując przekonać siebie, że doświadczał takich samych przecuć przed każdą dalszą podróżą. Próbował się przekonać, że stał się ofiarą wielokrotnie powtarzanych przez przyjaciół ostrzeżeń i śpiewał pod nosem dla podniesienia nastroju.

Nic jednak nie pomagało. W końcu się poddał. Z niektórymi uczuciami trzeba się po prostu pogodzić i czekać, aż same gdzieś się rozwieją.

Popołudniem dotarli do stoków zachodniej obręczy doliny. Tam pozostawił żołnierzy wraz z ich wierzchowcami, nakazując im rozbić obóz i oczekiwać na jego powrót około tygodnia. Gdyby nie zjawił się w tym czasie, powinni powrócić do Sterling Silver i poradzić się Questora. Kapitan oddziału spojrzał na niego dziwnie, lecz przyjął rozkazy bez dyskusji. Przywykł do tego, że król wybierał się czasami na samotne włóczęgi bez ochrony straży; zwykle miał jednak ze sobą któregoś z koboldów, albo maga.

Ben odczekał na salut dowódcy, potem przerzucił przez ramię swój worek podróżny i zaczął się wspinać po stoku. Niemal zмирchało, gdy dotarł do szczytu i przemierzał, nurzający się we mgle las, który stanowił granicę zaczarowanego świata. Ciepło dnia gwałtownie poddało się chłodowi wieczora. Wydłużony cień Bena podążał za nim, jak jakaś groteskowa postać. W powietrzu panował głęboki, przejmujący bezruch. Ben miał uczucie, że coś się za tym kryje.

Ręka Bena sięgnęła do wiszącego na szyi medalionu, a jej palce mocno się na nim zacisnęły. Questor powiedział mu, czego ma się spodziewać. Zaczarowany świat istniał jednocześnie wszędzie i nigdzie, pełen bram do innych, zewnętrznych światów. Drogą powrotną była dowolna wybrana przez niego droga, a mógł na nią wejść w jakimkolwiek wybranym przez siebie miejscu. Wystarczyło, że skoncentrował umysł na miejscu, do którego pragnął dotrzeć, a medalion prowadził go właściwą drogą.

Tak było – przynajmniej w teorii. Questor nigdy nie miał okazji, by to sprawdzić.

Tumany mgły pełzały i kłębiły się pomiędzy wielkimi drzewami niczym węże. Wyglądały jak jakieś żywe stworzenia. Myśl o czymś przyjemnym – strofował się. Zatrzymał się przed wkroczeniem we mgłę i przyjrzał się jej bacznie. Wziął głęboki oddech, by się uspokoić, i ruszył przed siebie.

Mgła otoczyła go w jednej chwili i droga powrotna wydawała się już równie niepewna, jak



droga naprzód. Posuwał się jednak dalej. Chwilę później otworzyło się przed nim wejście do tunelu – ten sam wielki, pusty i ciemny otwór, który rok wcześniej wyprowadził go ze starego świata. Wił się we mgle, pomiędzy drzewami, by zniknąć gdzieś w nicości. Z jego głębi dochodziły jakieś dźwięki – odległe i niepewne. Na jego ścianach u wejścia tańczyły cienie.

Ben zwolnił. Wspominał swoją ostatnią podróż przez tunel. Demon, znany jako Mark, wraz ze swym czarnym, uskrzydłym wierzchowcem, runęli na Bena wprost znikąd. Zanim stwierdził, że są realni, niemal go unicestwili. Potem zdarzyło mu się niemal potknąć o śpiącego smoka...

W palcach ciemności, w konarach drzew i we mgle tańczyły jakieś wiotkie kształty. Czarodziejskie istoty.

Ben, porzuciwszy wspomnienie, starał się przyspieszyć kroku. Czarodziejskie istoty pomogły mu już niegdyś; powinien się czuć dobrze pomiędzy nimi. A jednak nie był wcale spokojniejszy. Czuł się obco i samotnie.

Szczupłe twarze o wyrazistych oczach materializowały się i znikwały we mgle. Ich włosy przypominały delikatny mech. Głosy szeptały coś, lecz nie mógł zrozumieć ich słów. Pocił się. Nienawidził drogi przez tunel. Przed nim cisnęła się ciemność. Chciał jak najszybciej się stąd wydostać. Kurczowo ścisnął medalion. Nagle pomyślał o Paladynie.

Wtedy ciemność przed nim pojaśniała, przeradzając się w szarość, a pozostała do przejścia część tunelu wydała się nie dłuższa niż pięćdziesiąt metrów. W półcieniach majaczyły jakieś nieokreślone kształty, rozpięte pajęczyny i wygięte tyczki. Głosy dobiegające ze ścian tunelu i ogólne poruszenie ustąpiły ostremu sykowi. Zerwał się gwałtowny wiatr i zawył przeraźliwie.

Ben wpijał się spojrzeniem w mrok przed sobą. Wiatr dał na niego z krańca tunelu i unosił ku niemu ów kłujący syk.

Było tam coś jeszcze...

Wydostał się ze schronienia tunelu na oślepiającą nawałnicę deszczu i stanął twarzą w twarz z Meeksem.

## ... I WSPOMNIENIA

Ben Holiday zamarł. Z wypełnionego po brzegi nisko zawieszonymi, lejącymi w dół strumienie wody chmurami nieba uderzył grom. Grzmot zadźwięczał, odbijając się echem w pustce i wstrząsając ziemią. Potężne dęby wznosiły się wokół jak ściany olbrzymiej twierdzy. Ich pnie i nagie konary połyskiwały czernią. Niższe sosny i jodły jeżyły się w kępach pomiędzy swymi większymi braćmi, a nierówne stoki gór Blue Ridge wznosiły się mrocznie na tle ledwie widocznej linii horyzontu.

Widmowa sylwetka Meeksa stała nieruchomo w owej scenerii. Wysoki, przygarbiony starzec o posiwiiałych włosach i pomarszczonej, twardej jak żelazo twarzy. Nie przypominał niemal w niczym człowieka, którego pamiętał Ben. Tamten był ludzki, ten wyglądał jak rozwścieczone zwierzę. Zniknęły luźne wełniane spodnie, sztruksowa marynarka i mokasy – pułapki cywilizacji, po których rozpoznać można każdego mieszczucha, a już na pewno przedstawiciela handlowego wysoce poważanego domu towarowego. Ich miejsce zajęły metaliczno granatowe szaty, falujące niczym płótno żagla na wietrze i zdawały się pochłaniać światło. Wysoki kołnierz okalał upiorną, chropawą twarz wykrzywioną w graniczącej z szaleństwem furii. Pusty prawy rękaw zwisał luźno. Czarna, skórzana rękawica, w którą odziana była lewa dłoń, zaopatrzona była w pazur.

Ben poczuł skurcz w krtani. Starzec niewątpliwie szykował się do ataku: był spięty i wyprężony.

Mój Boże, czekał na mnie – myślał Ben w przerażeniu. – Wiedział, że idę!

Meeks rzucił się w jego kierunku. Ben, ściskając kurczowo medalion, cofnął się o krok. Meeks niemal siedział mu na grzbiecie. Wiatr się zmienił i echa burzy odbiły się od gór ze wzmożoną siłą. Deszcz uderzył Bena w twarz tak, że musiał zmrużyć oczy.

Gdy je otworzył, Meeksa nie było.

Rozejrzał się. Meeks zniknął tak, jak gdyby był duchem. Deszcz i ciemności spowiły całą leśną okolicę płaszczem szarej wilgoci. Ben w popłochu spoglądał to tu, to tam, a wyraz niedowierzania wykrzywił mu twarz. Po Meeksie nie było ani śladu.

Tylko chwilę zajęło Benowi zebranie postrzępionych myśli. Dostrzegł niewyraźny zarys biegnącej wprost przed nim ścieżki i znowu nią ruszył. Szedł szybko pomiędzy drzewami, śledząc zakręty drogi, która wiodła go w dół, coraz dalej od przesmyku czasu, a coraz bliżej jego starego świata. I rzeczywiście – powracał. Tego przynajmniej był pewien. Znowu był w górach Blue Ridge w Wirginii, w głębi George Washington National Forest. Ta sama ścieżka zawiodła go ponad rok temu do Landover. Prowadziła w dół, do górskiej drogi Skyline Drive, oznaczonej czarnym numerem trzynaście wymalowanym na zielonej tablicy, szałas i – co najważniejsze – budki telefonicznej.

Chwilami zalewał go pot, lecz on stale parł przed siebie, ściskając mocno pod pachą swój pakunek. Jego umysł pracował na pełnych obrotach. Ten, kogo widział, nie mógł być Meeksem –

nie wyglądał nawet jak stary Meeks. Właściwie w ogóle nie można było go zidentyfikować. Poza tym Meeks, gdyby był sobą, nie zniknąłby tak po prostu, czyż nie?

Myśli Bena pełne były wątpliwości. Czy tylko wyobraził sobie to wszystko? Może to jakiś rodzaj fatamorgany?

Przyszła spóźniona myśl o naszyjniku, który podarowała mu Willow. Zwalniając, włożył rękę do kieszeni i szperał tam przez jakiś czas, by w końcu wydobyć kamień na światło dzienne. Miał nadal mlecznobiały kolor i nie był wcale cieplejszy. Znaczyło to, że nie zagrażały mu żadne magiczne siły. Ale co miała znaczyć ta wizja?

Posuwał się dalej, ślizgając się po przesiąkniętej wodą ziemi. Sosnowe gałęzie chłostały go po twarzy i ramionach. Nagle zdał sobie sprawę z tego, jak zimno jest w tych górach. Przeszedł go lodowaty dreszcz. Zapomniał już, że późna jesień może być tak nieprzyjemna, nawet w zachodniej Wirginii. W Illinois może być mróz, a w samym Chicago nawet śnieg...

Poczuł, że coś ściska go w gardle. Cienie migały w deszczu i we mgle, pojawiając się i znikając. Każdy z nich był Meeksem. Za każdym razem Ben czuł, że to czarownik wyciąga po niego swe ręce.

Byle do przodu – powtarzał sobie. Byle tylko dotrzeć do telefonu.

Wydawało mu się, że potrwa to znacznie dłużej, ale doszedł tam w ciągu pół godziny, przecinając leśną drogę, która wiodła do schronu przeciwdeszczowego. Był przemoczony do ostatniej nitki i przemarznięty, ale niczego nie czuł. Cała jego uwaga skupiała się na umieszczonym w pleksiglasowej osłonie srebrno-czarnym aparacie telefonicznym.

Oby tylko działał – błagał w myślach.

Działał. Deszcz uderzał jednostajnie o dach spowitego w ciemnościach i we mgle schroniska. Wydawało mu się, że słyszy kroki. Przetrzęsął kurtkę w poszukiwaniu monet i karty kredytowej, którą stale nosił w portfelu. Zadzwoił do informacji po numer najbliższego radio-taxi. Zadzwoił po samochód. Wszystko to zajęło mu nie więcej, niż kilka minut.

Siadł na drewnianej ławce, umocowanej do ściany schroniska. Ze zdziwieniem zauważył, że trzęsą mu się ręce.

Do czasu przybycia auta udało mu się odzyskać wewnętrzną równowagę na tyle, by przemyśleć jeszcze raz to, co go spotkało.

Porzucił już myśl, że tylko wyobraził sobie postać Meeksa. To co widział było wystarczająco realne. Lecz nie był to przecież sam Meeks, a jedynie jego obraz. Obraz, który wywołało jego przejście przez tunel – a więc umieszczony tam specjalnie po to, by Ben go ujrzał.

Pozostawało tylko pytanie: dlaczego?

Zapadł się w tylnym siedzeniu limuzyny i jadąc przez park w kierunku Waynesboro, rozważał dalej wszelkie możliwości. Musiał zakładać, że to sprawka Meeksa. Żadne inne wyjaśnienie nie było umotywowane. Ale co Meeks chciał przez to osiągnąć? Odstraszyć go, zawrócić z drogi? Nie, to niemożliwe. Chociaż, w zasadzie... jeśli miało to być ostrzeżenie... Meeks był arogancki na tyle, by chcieć dać znać Benowi, że wie o jego przybyciu. Lecz to nie

wszystko. Umieszczenie tam tego obrazu musiało kryć jeszcze jakiś inny cel.

Odpowiedź przyszła niemal natychmiast. Widmo nie tylko miało ostrzec Bena przed Meeksem, ale i Meeksa przed przybyciem Bena! Widmo było więc rodzajem mechanizmu, który miał zaalarmować czarownika, gdy Ben przybędzie tutaj z Landover!

Teraz wszystko układało się w logiczną całość. Oczywiście było, że Meeks przygotowuje jakiś magiczny czy inny mechanizm, który go będzie ostrzegał, gdy kolejni upadli królowie Landover będą przekraczać z medalionem granicę starego świata. Wiedząc o tym, Meeks będzie mógł od razu podążyć za nimi.

A więc w tym wypadku – za nim.

Było późne popołudnie, gdy kierowca wysadził go przed głównym wejściem do Holliday Inn w centrum Waynesboro. Deszcz ciągle padał i ze światła dnia nie pozostało już niemal nic. Ben powiedział taksówkarzowi, że jest na wakacjach i poruszał się autostopem parkową drogą na północ od Staunton, póki zła pogoda zmusiła go do porzucenia tego planu, i musiał zadzwonić po pomoc. Kierowca spojrzął na niego jak na czubka: deszcze padały już od ponad tygodnia. Ben wzruszył ramionami. Zapłacił i zniknął szybko w drzwiach hotelu.

W drodze do recepcji przystanął na chwilę, by rzucić okiem na datę na gazecie, którą ktoś pozostawił na stole w holu. Był piątek, dziewiąty dzień grudnia. A więc to rok i dziesięć dni minęło od czasu, gdy po raz pierwszy przekroczył przesmyk czasu pomiędzy górami Blue Ridge w Wirginii i królestwem Landover. Czas w tych dwóch światach istotnie płynął synchronicznie.

Ben zarezerwował na noc pokój. Odesłał swe ubrania do czyszczenia i osuszenia, wziął gorący prysznic, by się rozgrzać, i zamówił kolację do pokoju. Oczekując na posiłek i ubrania, zadzwonił na lotnisko, by dowiedzieć się o loty do Chicago. Aż do rana nie było żadnego samolotu. Musiałby lecieć do Washingtonu i tam się przesiąść. Kupił bilet na ten lot, podając numer swej karty kredytowej.

W czasie jedzenia przyszło mu do głowy, że kupienie biletu na kartę kredytową nie było najrozsądniejszym pomysłem. Siedział na brzegu łóżka naprzeciw telewizora, trzymając tacę z jedzeniem na kolanach, zawinięty w hotelowy ręcznik. W pokoju było jakieś dwadzieścia pięć stopni. Tom Brokaw podawał właśnie wiadomości. Wtedy Bena uderzyła myśl, że w świecie wyrafinowanych technik komunikacji stosunkowo łatwo jest zbadać gdzie, kiedy i za co płacono daną kartą kredytową. Jeśli Meeks pofatygował się, by u wyjścia tunelu umieścić ten obraz-widmo, by ostrzegł go przed przybyciem Bena, to niemal na pewno podjął i dalsze kroki. Wiedział, że Ben zamierza odwiedzić Chicago. I że – prawdopodobnie – uda się tam samolotem. Po śladzie karty kredytowej Meeks mógł zorientować się, jaką linię lotniczą i który numer rejsu wybrał Ben.

Mógł czekać na niego na lotnisku.

Chyba właśnie to odebrało mu apetyt. Ben odłożył na bok jedzenie, wyłączył telewizor i zaczął szczegółowo analizować sytuację. Abernathy miał rację. Okazała się bardziej niebezpieczna, niż to sobie początkowo wyobrażał. Ale przecież nie miał żadnego wyboru.

Musiał dotrzeć do Chicago i obserwować tam Milesa wystarczająco długo, by upewnić się, czy w jego śnie było coś z prawdy. Meeks prawdopodobnie będzie czekał na niego gdzieś po drodze. Cała sztuka sprowadzała się do tego, by się na niego nie natknąć.

Pozwolił sobie na chwilowy uśmiech. Nie ma sprawy.

Ubrania dostał około dziewiątej, a o dziesiątej już spał. Obudził się wcześniej, zjadł śniadanie, zarzucił worek na ramię i złapał taksówkę na lotnisko. Na podstawie wczorajszej rezerwacji poleciał do Washingtonu. Tam unieważnił pozostałą część biletu, i – przesiadłszy się na inne linie lotnicze – nabył pod przybranym nazwiskiem bilet do Chicago, płacąc tym razem gotówką. Przed południem był już w drodze.

Ciekawe, co na to Meeks – pomyślał.

Zamknawszy oczy, rozparł się w swym fotelu i zaczął rozmyślać o dziwnym zbiegu okoliczności, który wywiódł go z domu w Chicago do owej zaczarowanej krainy. Z niedowierzaniem kręcił głową. Może po prostu – jak Piotruś Pan – nigdy nie dorósł?

Był wtedy prawnikiem – cholernie dobrym prawnikiem, po którym wielkich osiągnięć spodziewały się grube ryby prawniczego środowiska. Miał wspólną praktykę ze swym starym przyjacielem i współpracownikiem, Milesem Bennettem. Była z nich wspaniale dopełniająca się nawzajem para – niczym stare, wygodne buty oraz dżinsy: Ben – wygadany, zuchwały prawnik procesowy, Miles – spokojny, konserwatywny urzędnik-praktyk. Miles często żałował Bena, gdy ten wybierał sobie sprawy, które okazywały się szczególnie niewdzięczne. Ben jednak zdawał się zawsze lądować na cztery łapy niezależnie od wysokości, z jakiej zmuszony był skakać. Wygrał więcej pojedynków sądowych niż przeciętny jelen – pojedynków, w których jego oponenti zamierzali pogrzebać go wspieraną pieniędzmi retoryką i papierami, kruczkami prawniczymi, odroczeniami, i wszelkimi innymi gierkami. Swym zwycięstwem nad Dodge City Express zadziwił Milesa do tego stopnia, że ten zaczął zwracać się do niego, sądowego rewolwerowca, tytułując go doktorem.

Uśmiechnął się. To były dobre czasy.

Wszystko zaczęło tracić blask ze śmiercią Annie. Satysfakcja z osiągnięć w pracy zniknęła jak płomień zdmuchniętej świecy. Żona, będąc w trzecim miesiącu ciąży, zginęła w wypadku samochodowym. Miał wrażenie, że stracił wszystko. Stał się odludkiem i tylko z Milesem utrzymywał bliższe stosunki. Zawsze miał w sobie coś z samotnika i wydawało się, że śmierć żony i dziecka tylko umocniła to, co i tak już w sobie nosił. Zaczął odchodzić od realnego życia. W jedno zlewały się kolejne dni i wydarzenia. Czuł, że powoli gubi siebie samego. Trudno powiedzieć, co by się działo z nim dalej, gdyby nie trafił na dziwaczną ofertę w katalogu gwiazdkowym domu towarowego Rosen – ofertę sprzedaży tronu królestwa Landover. Najpierw myślał, że to śmieszne: baśniowe królestwo z czarownikami i czarownicami, smokami i cnotliwymi białogłowami, rycerzami i opryszkami na sprzedaż za milion dolarów. Kto dałby się na to nabrać? Jednak rozpacz i gorzkie doświadczenia sprawiły, że uwierzył, iż jest w tej ofercie coś z prawdy. Każde ryzyko warte było podjęcia, o ile mogłoby go przywrócić do dawnej

kondycji. Odłożył na bok wątpliwości, spakował bagaże i udał się do nowojorskiego biura Rosen'sa, by się zorientować, co i jak.

Powiedziano mu, że aby dokonać transakcji, musi przejść rozmowę. Prowadził ją Meeks.

Znajoma sylwetka Meeksa stała mu przed oczami. Wysoki, stary człowiek o cichym głosie i martwych oczach, weteran wojen, o których Benowi nawet się nie śniło. Ta rozmowa była jedyną chwilą, kiedy spotkali się twarz w twarz. Meeks ocenił go jako właściwego kandydata na tron Landover. Jednakże właściwego nie do tego, by – jak wierzył Ben – tron posiadać, ale by go stracić. Meeks przekonał go do dokonania ostatecznej transakcji. Owładnął nim, podobnie jak wąż hipnotyzujący swą ofiarę.

Meeks jednak nie docenił Bena.

Ben otworzył oczy i szepnął:

– To prawda, Benie Holiday – nie docenił ciebie. Ale teraz ty nie możesz nie docenić Meeksa.

Samolot dotknął płyty lotniska O'Hara w Chicago kilka minut po trzeciej. Ben wziął taksówkę do centrum miasta. Kierowca gadał przez całą drogę. Głównie o sporcie: Cubs zmarnowali sezon, Bulls liczą na *play off* z udziałem Jordana, Blackhawks mają problemy z kontuzjami, Bears na trzynastej i na pierwszej. Chicago Bears? Ben odpowiadał półsłówkami, słysząc w głowie cichy głos, szepczący, że coś z tą rozmową nie jest w porządku. Byli już niemal w centrum, gdy zorientował się, w czym problem. Język. Nie słyszał go, ani nie mówił nim od ponad roku. W Landover słuchał, pisał, mówił i myślał tamtejszym językiem. Było to możliwe dzięki czarom. Teraz był jednak w Chicago, słuchał taksówkarza opowiadającego mu coś po angielsku – albo przynajmniej w języku, który był do angielskiego bardzo podobny – tak, jak gdyby było to rzeczą najnormalniejszą w świecie.

Polecił taksówkarzowi wysadzić się koło Drake'a, niechętny ani powrotowi do swego starego mieszkania na dachu wysokościowca, ani spotkaniom z przyjaciółmi i znajomymi. Był teraz ostrożny. Myślał stale o Meeksie. Zameldował się pod zmienionym nazwiskiem, zapłacił gotówką z góry za jedną noc i pozwolił gońcowi odprowadzić się do pokoju. Coraz bardziej zadowolony był, że rok temu, gdy udawał się do Landover, zabrał ze sobą – na wszelki wypadek – parę tysięcy dolarów w gotówce. Zrobił to bez głębszego zastanowienia, lecz decyzja okazała słuszna. Dzięki temu nie musiał się narażać na użycie karty kredytowej.

Opuścił pokój z portfelem w jednej z kieszeni ubrania. Wyszedł z hotelu i przeszedł kilka przecznic do placu Water Tower. Zrobił zakupy: płaszcz, spodnie, koszule, krawat, skarpetki i bieliznę i parę mokasynów do garnituru. Zapłacił gotówką i ruszył z powrotem do hotelu. Nie było powodów, żeby rzucać się w oczy, a w samym centrum biznesu Chicago dres i adidas z pewnością zwracałyby na niego uwagę. Po prostu nie wyglądał typowo. Czasami wygląd decyduje o wszystkim – szczególnie podczas krótkich spotkań. Właśnie dlatego nie zabrał ze sobą żadnego ze swych przyjaciół. Mówiący pies, para szczerzących się w uśmiechu małp, dziewczyna stojąca się drzewem, ani czarownik, którego własne czary często przerastają, nie

uszliby uwadze na Michigan Avenue!

Niemal natychmiast pożałował zewnętrznego wyglądu swoich towarzyszy. Dlaczego traktował ich w ten sposób? Mimo tak dziwacznej powierzchowności byli przecież jego prawdziwymi przyjaciółmi. Byli przy nim zawsze, gdy tego potrzebował, gdy znajdował się w niebezpieczeństwie, narażając własne życie. To nieporównywalnie więcej, niż można powiedzieć o wielu ludziach, których zwykle nazywamy przyjaciółmi.

Pochylił głowę i zmrużył oczy przed nagłym podmuchem wiatru.

Swoją drogą, czy on sam nie był równie dziwaczny?

Czyż nie bywał Paladynem?

Ze złością upchnął tę myśl gdzieś w zakamarki umysłu i przyspieszył, żeby zdążyć na zielone światło.

W hotelu kupił kilka gazet i magazynów. Poszedł do pokoju. Zamówił obiad i zabijał czas oczekiwania, przeglądając prasę, by być na bieżąco z tym, co dzieje się w świecie, i co wydarzyło się w czasie jego nieobecności. Przerwał na czas wiadomości telewizyjnych. Wtedy przyniesiono obiad. Czytał dalej, jedząc. Zbliżała się siódma i postanowił zadzwonić do Eda Samuelsona.

Ben miał dwa powody, by powrócić do Chicago. Po pierwsze, chciał zobaczyć Milesa i stwierdzić, na ile prawdziwy był ów przerażający sen. Po drugie, chciał uporządkować wreszcie swoje sprawy. Zdecydował już, że z pierwszą z nich będzie musiał poczekać do rana, lecz nie było powodu, by odkładać drugą. Oznaczało to właśnie telefon do Eda.

Ed Samuelson był jego księgowym, udziałowcem firmy Haines, Samuelson & Roper, Inc. Ben powierzył Edowi przed wyjazdem do Landover opiekę nad swoimi sprawami majątkowymi. Majątek miał znaczny. Ed uosabiał cechy idealnego księgowego: dyskretny, godny zaufania i skrupulatny. Zdarzało się, że uważał Bena za szaleńca w jego posunięciach finansowych, lecz uznawał fakt, że były to w końcu pieniądze Bena, z którymi mógł robić, co zechciał. Było tak, kiedy Ben zdecydował się kupić tron Landover. Ed zlikwidował część aktywów, by zebrać milion dolarów i przekazał adwokatowi zarządzanie majątkiem Bena na czas jego nieobecności. Robił to wszystko, nie mając najmniejszego pojęcia, co Ben zamierza.

Ben nie powiedział mu tego wtedy i nie zamierzał powiedzieć teraz. Wiedział, że Ed zaakceptuje to.

Telefon do Eda Samuelsona był jednak pewnym ryzykiem. Można było przypuszczać, że Meeks wiedział, kto jest księgowym Bena. Domyślając się, że Ben zechce nawiązać z Edem kontakt, Meeks mógł założyć podsłuch telefoniczny. Przypuszczenie takie było może nieco paranoidalne, ale z Meeksem nie ma żartów. Ben miał jednak nadzieję, że jeśli Meeks czaił się będzie na jego telefon do Eda, to na telefon do biura, nie do domu.

Zadzwonił. Ed kończył właśnie kolację. Następnich kilka minut musiał poświęcić, przekonując go, że rzeczywiście jest Benem Holiday. Gdy wreszcie udało mu się, przykazał Edowi, że nikt – to znaczy absolutnie nikt – nie ma prawa dowiedzieć się o tej rozmowie. Ed

miał udawać, że po prostu jej nie było. Ed zadał pytanie, które zadawał mu zazwyczaj, gdy ten miał jakieś dziwaczne prośby: „Czy masz jakieś kłopoty?” Ben przekonał go, że wszystko jest w porządku. Po prostu nie byłoby dobrze, gdyby ktokolwiek wiedział, że Ben jest w mieście. Powiedział Edowi, że zamierza odwiedzić Milesa. Nie przypuszczał, by udało mu się spotkać z kimś jeszcze.

Eda zdawały się zadowalać te wyjaśnienia. Słuchał uważnie Bena, gdy ten wykladał, co chciałby załatwić. Ben obiecał, że następnego dnia w południe zatrzyma się przed jego biurem, żeby podpisać niezbędne dokumenty, o ile Ed zdoła się tam pojawić. Ed westchnął stoicko i powiedział, że będzie gotów. Pożegnali się i Ben odłożył słuchawkę.

Dwudziestominutowy prysznic pomógł wyzbyć się napięcia i narastającego zmęczenia. Wyszedł z łazienki i wślizgnął się do łóżka, biorąc jeszcze kilka gazet i magazynów. Zaczął czytać, lecz szybko poddał się morzu dryfujących myśli i zamknął oczy.

Chwilę później już spał.

Tej nocy śnił o Paladynie.

Na początku stał samotnie na osłoniętym sosnami urwisku i spoglądał na zamgloną dolinę Landover. Błękit mieszał się z zielenią tam, gdzie niebo stykało się z ziemią. Wydawało mu się, że to wszystko jest w zasięgu jego rąk. Oddychał świeżym, chłodnym powietrzem. Jasność tych doznań była uderzająca.

Potem pociemniało, a cienie wokół niego zaczęły gęstnieć. Zza sosen dochodziły szepty i krzyki. Dłonią wyczuwał kształt chwyconego przedtem medalionu. Jeszcze raz go potrzebował. Poczł zadowolenie. Istota w nim uwięziona jeszcze raz mogła zostać wypuszczona na wolność!

Nagle z jednej strony coś drgnęło i w jego kierunku ruszył olbrzymi skalny blok. Był to jednorożec o ognistych oczach i pysku. Lecz niemal natychmiast zmienił się w diabła. Potem znowu zmienił kształt.

To był Meeks.

Mag skinał. Wysoka, pochylona, groźna postać o twarzy pokrytej łuską, jak u jaszczura. Szedł ku Benowi, rosnąc z każdym krokiem, a w końcu zmieniając się w jakiś nieopisany kształt. Ben poczuł w nozdrzach zapach strachu. Zapach śmierci.

Lecz był przecież Paladynem, błędnym rycerzem, którego zmęczona wędrówką dusza znalazła wreszcie dom w jego ciele. Był ulubieńcem króla, wojownikiem, który nigdy nie przegrał bitwy, którego nic nie mogło pokonać. Powołał to drugie ja do życia w przerażającym stanie strachu i euforii. Wokół niego zamknęła się zbroja, a zapach strachu i śmierci ustąpił miejsca silnej woni żelaza, skór i oleju. Nie był już Benem Holidayem, lecz jakimś stworem z innego miejsca i czasu, którego wszystkie wspomnienia wiązały się z bitwami, pojedynkiem i zwycięstwem, walką i śmiercią. Wojna opanowała jego umysł, widział zmagające się postacie zakute w żelazo, wyłaniające się i ginące w czerwonych oparach. Słyszał szczęk stali, wrzask wściekłych głosów. Wokół padały poranione, rozerwane na strzępy ciała.

Poczł radosne podniecenie.



Poczuł się jak nowo narodzony!

Ciemności runęły na niego, cienie wyciągnęły po niego swe pazury. Ruszył, by stawić im czoła. Biały wierzchowiec, którego dosiadał, wiózł go z impetem maszyny parowej, gnanej buchającym ogniem. Mijane sosny ledwie migały w polu widzenia, ziemia pod kopytami zniknęła. Meeks stał się widziadłem, marą, której Ben nie mógł dotknąć. Mknął naprzód, unosząc się z krawędzi urwiska prosto w nicość.

Uzucie radosnego podniecenia minęło. Gdzieś w nocy dał się słyszeć krzyk przerażenia. Ben zdał sobie sprawę, że to jego własny głos.

Po tym przebudzeniu sny go opuściły, resztę nocy spał jednak źle. Obudził się tuż po wschodzie słońca, wziął prysznic i zamówił śniadanie do pokoju. Zjadł i ubrał się w garnitur, który kupił poprzedniego dnia. Tuż po dziewiątej złapał przed hotelem taksówkę. Zabrał ze sobą swoją płócienną torbę. Nie sądził, by jeszcze tu miał wracać.

Taksówka zawiozła go na południe, na Michigan Avenue. Była sobota, ale na ulicach zaczynał się już przedświąteczny ruch i tłoczno było od spieszących się wszędzie ludzi. Ben schronił się w stosunkowo zacisznym wnętrzu taksówki, ignorując tłum. Radość zbliżających się świąt była mu tak obca.

Wspomnienie wczorajszego snu nadal rzucało groźny cień na jego myśli. Sen przeraził go; przeraziły go prawdy, które zawierał.

Paladyn był rzeczywistością, której nie udało mu się jeszcze w pełni ogarnąć. Ben tylko raz stał się owym zbrojnym rycerzem – i to raczej przez przypadek, niż z wyboru. Widać trzeba było stać się Paladynem, by przetrwać; zrobił więc to, co zrobić należało. Lecz sama transformacja była aktem przerażającym, zrzućciem własnej skóry, wypełnieniem w czyjąś – kogoś lub czegoś – powłokę. Myśli tego stworzenia były twarde i brutalne; myśli wojownika, gladiatora. Były pełne krwi i śmierci. Zawierały całą historię przetrwania, którą Ben zaczynał dopiero pojmować. Prawdziwie go to przerażało. Czuł, że nie może panować nad tym bytem, a przynajmniej niecałkowicie. Mógł jedynie stać się tym, czym to było i zaakceptować wszystko, cokolwiek miałyoby to znaczyć.

Nie był pewien, czy byłby zdolny dokonać tego jeszcze raz. Nie próbował i próbować nie chciał.

Jakaś część jego istoty jednak próbowała tego – choć tylko we śnie. Inna część szeptała, że kiedyś będzie musiał to zrobić jeszcze raz.

Taksówka podwiozła go pod biuro firmy Holiday & Bennett, Ltd. W soboty było zamknięte, lecz Ben wiedział, że Miles będzie tam tak czy inaczej. Miles zawsze przychodził do pracy w soboty i siedział w biurze do południa, załatwiając te sprawy, których nie zdążył załatwić w ciągu tygodnia. Korzystał ze spokoju, którego w normalnych godzinach pracy nie mógł znaleźć. Zamieszanie, jakie panowało tam w czasie roboczych dni tygodnia doprowadzało go do pasji.

Ben poprosił kierowcę, by podjechał pod drzwi na końcu budynku po przeciwnej stronie

ulicy. Zapłacił i zniknął w wejściu. Piesi mijali go, nieświadomi jego zamiarów, zajęci swoimi sprawami. Strumień samochodów poruszał się naprzód gwałtownymi skokami. Na poboczach parkowało kilka aut, lecz żadne z nich nie wyglądało podejrzanie.

Trochę ostrożności nie zaszkodzi – pomyślał Ben.

Po chwili wyszedł z budynku, przeszedł przez ulicę i chodnikiem ruszył w kierunku wejścia do swojego biura. Pchnął szklane drzwi i wszedł do holu. Nie zauważył żadnych zmian, niczego szczególnego.

Wszedł do otwartej windy, nacisnął guzik na piętnaste piętro i obserwował zamykające się drzwi. Winda ruszyła. Jeszcze tylko chwila – pomyślał. Jeśli Milesa nie byłoby z jakichś powodów w biurze, znalazłby go z pewnością w jego domu.

Miał jednak nadzieję, że nie będzie musiał tego robić. Czuł, że może nie mieć na to czasu. Może sprawił to sen, może po prostu okoliczności, w jakich tu się pojawił – czuł, że coś nie jest w porządku.

Winda zwolniła i zatrzymała się. Drzwi otworzyły się i Ben wyszedł na korytarz.

Oddech zamarł mu w krtani. Jeszcze raz stał twarzą w twarz z Meeksem.

Questor Thews zerwał zasłonę pajęczyn, kryjącą wąskie, kamienne wejście do ruin zamku, i wkroczył do środka. Kurz dostał mu się do nozdrzy. Kichnął. Mruczał niezadowolony z wilgoci i ciemności. Mógł mieć choć tyle rozsądku, by zabrać pochodnię...

Obok niego błysnęła ognik i po chwili zajaśniały płomienie. Bunion podał światło Questorowi.

– Właśnie zamierzałem sobie coś takiego wyczarować! – rzucił zirytowany mag. Kobold tylko się uśmiechnął.

Stali w walących się murach Mirwouk, starożytnej twierdzy, którą Questor widział w swym śnie o zaginionych księgach magii. Byli daleko na północ od Sterling Silver, wysoko w górach Melchor. Wiatr świstał pomiędzy połupanymi głazami i pojękiwał w pustych korytarzach. Jego zimny dreszcz zwiastował nadchodzącą zimą. Choć podróżowali szybko, dotarcie tutaj zajęło im niemal trzy dni. Zamek powitał ich ziejącymi ciemnością bramami i pustymi oknami. Komnaty i korytarze były bezludne.

Questor posuwał się naprzód, szukając czegoś, co wydałoby się mu znajome. Było już późne popołudnie i nie zamierzał błąkać się po tej przygnębiającej twierdzy-grobowcu po zmroku. Był czarownikiem i mógł wyczuć to, co ukryte jest przed zwykłymi śmiertelnikami. A tutaj wyczuwał coś bardzo niepokojącego, złego.

Błąkał się przez pewien czas, aż w końcu stwierdził, że przypomina mu się przejście, którym tutaj się dostał. Podążał jego zakrętami, usiłując dojrzeć coś w ciemnościach. Było coraz więcej pajęczyn, pająki wielkości szczurów i szczury wielkości psów. Galopowały i pełzały wszędzie i przy każdym kroku musiał na nie uważać. Było to stanowczo denerwujące. Kusiło go, by używając magii, zamienić całe to ich zbiorowisko w kłęby kurzu, i kazać je wiatrowi wywiać daleko stąd.

Korytarz zaczął zstępować w dół, a kształty jego ścian zauważalnie się zmieniły. Questor zwolnił, wpatrując się w płaskorzeźby. Nagle stanął jak wryty.

– Poznaję to! – wykrzyknął w podnieconym szeptem. – To tunel, który widziałem w moim śnie!

Bunion, nie odezawszy się ani słowem, wyjął mu z ręki pochodnię i ruszył w dół. Questor był zbyt podekscytowany, by o cokolwiek się sprzeczać, więc ruszył za nim. Korytarz stał się szerszy, przestronniejszy, wolny od pajęczyn, kurzu, szczurów i robactwa. Kamienie miały tu inny zapach, coś jakby zepsute piżmo. Bunion szedł tak szybko, że czasami Questor mógł dojrzeć przed sobą tylko łunę jego pochodni.

Zupełnie jak we śnie!

Tunel wiódł dalej, wijąc się gdzieś w głębi skalistej góry. Był pełen zakrętów i wyciosanych w skale schodów. Bunion zatrzymał się i spojrzał ostro. Questor ledwie dyszał.

Tunel kończył się kamieniem pokrytym runami. Questora rozsadzało podniecenie. Powiódł dłonią po znakach – jego ręce wydawały się znać drogę. Dotknął czegoś i drzwi otworzyły się z cichym jękiem.

Kryły za sobą ogromną komnatę o posadzce z gładko wypolerowanego granitu. Teraz, starając się przypomnieć sobie wizję, jaka pozostała mu z owego proroczego snu, przodem ruszył Questor. Wraz z dotrzymującym mu stale kroku Bunionem wyszedł na sam środek komnaty. Słyszeli echo swych kroków.

Zatrzymali się przed granitową płytą, na której wyrzeźbiony był znak jednorożca.

Questor Thews wpatrywał się w niego przez jakiś czas. Jednorożec? Niespokojnie zaczął pociągać się za brodę. Nie przypominał sobie, by w jego śnie było coś o jednorożcu. Owszem, widział wtedy znak wycięty w kamieniu, lecz czy był to znak jednorożca? Wyglądało to raczej na dużą zbieżność...

Przez moment pomyślał, że może lepiej odwrócić się i wyjść tą samą drogą, którą przyszli, porzucając cały ten plan. Jakiś cichy głos w jego wnętrzu mówił, że tak właśnie powinien postąpić. Czaiło się tu jakieś tajemne niebezpieczeństwo. Mógł je wyczuć, wywęszyć, i to go przerażało.

Lecz przynęta zaginionych ksiąg była zbyt silna. Pochylił się i dotknął palcami zarysu rogu zwierzęcia. Znowu wydawało się, że dłonie idą za głosem swej własnej woli. Granitowy blok zadrżał i wsunął się w sprytnie skonstruowaną pochylnię.

Questor pochylił się nad odsłoniętym otworem.

Coś tam było.

Zmierzch zasnuł krainę jezior cieniami i mgłą, a światła barwnych księżyców i srebrzystych gwiazd były ledwie bladym błyskiem na tafli jeziora Irrylyn. Willow stała samotnie nad brzegiem małej zatoczki, otoczonej topolami i cedrami. Woda obmywała palce jej nóg. Stała naga, a jej ubrania leżały starannie ułożone na trawie za nią. Bryza lekko muskała bladozieloną skórę, bezładnie rozwiewała długie aż po talię, szmaragdowe, posplatane w kręcone kosmyki włosy.

Falowały delikatne włosy na jej łydkach i ramionach. Zadrzała. Była stworzeniem niewyobrażalnej urody, w pół ludzkim, w pół baśniowym – może potomkinią owych mitycznych syren, uwodzących swym śpiewem mężczyzn żeglujących po starożytnych morzach i wiodących ich okręty ku ich zgubie na skałach.

Nad jeziorem słyhać było głośne wołania nocnych ptaków, odbijające się w ciszy echem. Odpowiadał im gwizd Willow.

Wzniosła głowę i węszyła tak, jak robią to zwierzęta. Parsnip czekał na nią cierpliwie w oddalonym o pięćdziesiąt jardów obozowisku. Przez drzewa przeziarał blask rozpalonego przez niego ogniska. Willow przysła sama nad jezioro, by wykąpać się i powspominać.

Ostrożnie weszła do wody, orzeźwiająco chłodnej, ślącej jej ciału przyjemny dreszcz. To właśnie tutaj ujrzała po raz pierwszy Bena Holidaya. Spotkali się, biorąc kąpiel. Nadzy, wyzbyci wszelkiej pretensjonalności. To tutaj zrozumiała, że właśnie on jest jej przeznaczony.

Jej uśmiech pojaśniał, gdy wspominała te cudowne chwile. Powiedziała mu wtedy o tym, co ma się wydarzyć, i podczas gdy on wątpił – ciągle przecież powątpiewał – ona nigdy nie zachwiała się w swej pewności. Znaki towarzyszące jej narodzinom, w tajemny sposób przekazane przez sploty kwiatów wyrosłych z zasianych przez nią nasion, nie mogły kłamać.

Lecz przecież kochała obcego – Bena Holidaya!

Jej dziecięca twarz zajaśniała, by po chwili się zachmurzyć. Tęskniła za Benem. Lękała się o niego. W snach, które śnili tamtego dnia, było coś, co niepokoiło ją w trudny do wyjaśnienia sposób. Tkwiła w nich jakaś niebezpieczna tajemnica.

Nie mówiła o tym Benowi, gdyż z brzmienia jego głosu czytała, że i tak już zdecydował o swej wyprawie. Wiedziała, że nie uda jej się go od tego odwieść i nie próbowała nawet tego czynić. Ben rozumiał podejmowane ryzyko i akceptował je. Moc jej troski i nalegań bladła w obliczu jego determinacji.

Może działo się tak dlatego, że mówiąc mu o swoim śnie, nie powiedziała wszystkiego? Jej sen różnił się czymś od snów Bena i Questora Thewsa. Była to subtelna i trudna do wyjaśnienia różnica, która jednak – mimo wszystko – istniała.

Kucnęła na płyciźnie. Szmaragdowe włosy przelewały się przez jej ramiona niczym szal. Palcem kreśliła na spokojnej powierzchni wody jakieś wzory. Wspomnienia i sny powróciły. Pomyślała, że owe złe przecucia wywoływała sama forma jej snów. W jakiś sposób sprzeciwiała się jej naturze. Wizje były żywe, wydarzenia jasne. Lecz historia ta kryła w sobie jakiś fałsz – tak, jak gdyby wszystko to mogło się wydarzyć we śnie, lecz nie na jawie. Tak, jak gdyby wspomnienie było maską kryjącą za sobą jakąś twarz.

Przestała kreślić swe znaki i uniosła się. Cóż za twarz może kryć się za tą maską?

Wyraz zaniepokojenia w jej oczach stał się jeszcze wyraźniejszy i nagle pożałowała, że przyjęła decyzję Bena bez żadnych protestów. Żałowała, że nie próbowała go od niej odwieść, lub – w ostateczności – skłonić go, by zabrał ją ze sobą.

– Nie, nic mu się nie stanie – szeptała z naciskiem.

Wzniosła oczy ku niebu i pozwoliła się ogrzać blaskowi księżyca. Jutro zapyta o radę swej matki, której życie było tak bliskie życiu owych czarodziejskich stworzeń skrytych we mgle. Matka z pewnością będzie wiedziała o czarnym jednorożcu i złotej uprząży, i z pewnością powie jej, co czynić. Wkrótce będzie znowu razem z Benem.

Weszła głębiej w ciemne wody jeziora i pozwoliła im unosić się w ciszy.

## CIENIE...

Powtórne ukazanie się Meeksa nie wzbudziło w Benie takiego przerażenia, jak za pierwszym razem. Nie zamarł, nie czuł się zdezorientowany. Był zdziwiony, lecz nie powalony zdziwieniem. W końcu tym razem miał już większe pojęcie o tym, czego należy się tu spodziewać. Przed nim ukazało się nieco inne widmo maga-wygnąńca: wysoka, przygarbiona, odziana w metalicznie niebieskie szaty, o posiwiałych włosach, kamiennej, ziemistej twarzy, z czarną, skórzaną rękawicą, wzniesioną jak pazur. Niemniej jednak było to tylko widmo.

Czyżby?

Meeks ruszył w jego kierunku, i Ben przestał być tego taki pewien. Bładobłękitne oczy ziały nienawiścią. Twarde rysy twarzy skrzyły się w jakiś nieludzki sposób. Meeks zbliżał się do niego, bezszelestnie mknąc po oświetlonym fluoryzującymi lampami korytarzu i rosnąc w ciemności. Ben z trudnością trzymał się na nogach, jedną ręką szukając pod koszulką kształtu medalionu. Lecz cóż za ochronę mógł mu dawać medalion? Myśli mknęły w szaleńczym tempie. Nagle pomyślał o kamieniu runicznym! On mógł mu powiedzieć, czy rzeczywiście jest w niebezpieczeństwie! Wolną ręką sięgnął szybko do kieszeni spodni, usiłując odnaleźć kamień, podczas gdy postać w szatach zbliżała się. Mimo wszystko, zrobił krok wstecz. Nie mógł znaleźć kamienia!

Meeks stał tuż przed nim, mroczny i złowieszczy. Ben cofnął się, gdy czarownik zasłonił światło...

Po chwili rozejrzał się. Stał sam na korytarzu, wpatrując się w pustą przestrzeń i słuchając ciszy.

Meeks – a w zasadzie jego bezcielesne widmo – zniknął.

Ben odnalazł kamień runiczny w zakamarku kieszeni spodni i wydobył go na światło. Kamień był krwistoczerwony i palił przy dotknięciu.

– Niech to! – wymamrotał, jednocześnie wściekły i przerażony.

Przez chwilę zbierał myśli, rozglądając się po korytarzu tak, by nie przeoczyć niczego. Wyprostował się z pochylonej pozycji obronnej i wyszedł z windy. Nic wokół niego nie drgnęło. Wyglądało na to, że rzeczywiście jest sam.

Lecz jaka była przyczyna pojawienia się drugiej wizji? Czy było to kolejne ostrzeżenie? Czy miało być ostrzeżeniem dla czy od Meeksa?

Co tu się dzieje?

Zawahał się przez moment, nim skrzył gwałtownie w lewo, ku drzwiom biur Holiday & Bennett, Ltd. Cokolwiek się działo, czuł że rozsądnie będzie nie stać zbyt długo w miejscu. Meeks musiał wiedzieć, że Ben prędzej czy później trafi do Milesa. Nie znaczyło to jednak, że Meeks był tutaj, czy nawet gdzieś w pobliżu. Zjawą mogła być po prostu jeszcze jednym sygnalizatorem pojawienia się Bena. Jeśli będzie wystarczająco szybki, może zdoła załatwić co

trzeba i zniknąć stąd, nim Meeks zdąży cokolwiek zrobić.

Światła w poczekalni biura były wyłączone. Pociągnął za klamkę drzwi wejściowych i stwierdził, że są zamknięte. Normalne. Miles nigdy nie zostawiał zapalonych świateł w poczekalni, ani otwartych drzwi, kiedy pracował sam. Ben był na to przygotowany. Odszukał swój klucz od biura i włożył go do zamka. Przekręcił go i bez żadnych problemów otworzył drzwi. Wszedł do środka, chowając klucz do kieszeni. Drzwi zamknęły się za nim.

W ciszy słysząc było delikatne dźwięki muzyki. Willie Nelson – coś, czego Miles lubił słuchać. Ben zajrzał w głąb korytarza i dostrzegł światło w biurze Milesa. Uśmiechnął się. Staruszek był u siebie.

Może i jest – pomyślał. Targnęła nim nowa fala wątpliwości i nieufności. Uśmiech zniknął z twarzy. Lepiej zachować nadmiar bezpieczeństwa, niż później żałować nieostrożności. Potrząsnął głową. Chciałby znaleźć jakiś sposób, by wiedzieć, co robi teraz Meeks...

Po cichu przekradł się korytarzem aż do rozświetlonych drzwi. Miles Bennett siedział sam przy swoim biurku, pochylony nad książkami prawniczymi. Obok nich leżał żółty notes wypełniony zapiskami. Miles przyszedł do pracy w krawacie i marynarce, lecz teraz węzeł krawata był rozluźniony, a zdjęta marynarka ustąpiła miejsca podwiniętym rękawom i rozpiętemu kołnierzykowi. Wyczuwając czyjaś obecność, zaczął się rozglądać. Gdy ujrzał Bena, wytrzeszczył oczy.

– Święty Piotrze! – Uniósł się na fotelu, by po chwili znowu opaść. – Czy to naprawdę ty, Doktorku?!

Ben uśmiechnął się.

– Tak, to naprawdę ja. Jak się masz, stary?

– Jak się mam? Jak ja się mam? – Miles nie dowierzał. – Co to, u licha, za pytanie? To ty wyjeżdżasz gdzieś do Szangri-La, czy gdzieś tam, nie ma cię przez okrągły rok, nie dajesz znaku życia ani słowem, potem któregoś dnia bierzesz się – nie wiadomo skąd – i pytasz się, jak ja się mam? Dobrze sobie!

Ben przytaknął bezradnie i zbierał się, by coś powiedzieć. Miles pozwolił mu przez chwilę z tym się zmagać. Potem roześmiał się i podniósł znad biurka – wielki, potargany niedźwiadek w ciuchach biznesmena.

– No wejdź, Doktorku! Nie stój tam w drzwiach jak powracający syn marnotrawny – nawet jeśli nim jesteś. Włóż, siadaj i opowiedz mi o wszystkim! Cholera! Nie mogę uwierzyć, że to naprawdę ty!

Miles wyszedł zza biurka, rozkładając swe długie ramiona. Chwycił dłoń Bena i mocno nią potrząsnął.

– Chciałem już postawić na tobie krzyżyk. Już, już, byłem pewien, że coś ci się stało, gdy tak długo nie dawałeś znaku życia. Wiesz, jak ta robota wpływa na ludzi. Mózg sam zaczyna pracować po godzinach. Zacząłem wyobrażać sobie wszelkie możliwe historie. Zastanawiałem się nawet, czy powiadomić policję, czy kogoś tam, ale jakoś nie mogłem się zebrać na

powiedzenie komukolwiek, że mój partner wyruszył, by poskramiać karły i smoki!

Znowu się roześmiał aż do łez, a Ben dołączył do niego.

– Pewno stale odbierają tego typu telefony.

– Tak, to właśnie czyni Chicago takim wspaniałym miasteczkiem! – Miles przetarł oczy. Miał na sobie pogniecioną błękitną koszulę i spodnie od garnituru. Wyglądał jak olbrzymi smerf.

– Dobrze cię znów widzieć, Doktorku.

– Ciebie też, Miles. – Ben rozejrzał się dookoła. – Chyba nic się nie zmieniło od czasu mojego wyjazdu?

– No, zrobiliśmy tu kapliczkę ku czci twej pamięci. – Miles rozejrzał się i wzruszył ramionami. – Nie wiedziałem, swoją drogą, że to miejsce to jedno monumentalne *art deco*. Uśmiechnął się, czekał przez chwilę, aż Ben coś powie, a nie doczekawszy się, zakasłał nerwowo. – Hm, a więc jesteś? Czy zechcesz mi opowiedzieć, co działo się w zaczarowanej krainie, Doktorku? Jeśli nie jest to, oczywiście, zbyt bolesne wspomnienie. Nie musimy o tym mówić, jeśli...

– Możemy o tym pogadać.

– Nie, nie musimy. Zapomnij. Zapomnij o całej sprawie. – Miles był teraz natarczywy, podniecony. – Po prostu zaskoczyłeś mnie, przychodząc tutaj, w ten sposób... Patrz, mam coś dla ciebie! Trzymałem na dzień, w którym znowu się spotkamy. Tu, w szufladzie. – Cofnął się szybko za biurko i zaczął szperać w najniższej szufladzie. – Tak, jest tutaj!

Wyciągnął jeszcze nie otwieraną butelkę glenlivet, i huknął nią o biurko. Potem sięgnął po szkło.

Ben potrząsnął głową i uśmiechnął się z zadowoleniem. Jego ulubiona szkocka.

– Tak, minęło sporo czasu, Miles – przyznał.

Miles złamał lak, wyciągnął korek i nalał trochę do szklanek. Popchnął jedną w kierunku Bena, a drugą wzniosł w geście toastu.

– Za zbrodnie i wszelkie inne formy rozrywki!

Stuknęli się kieliszkami. Glenlivet gładko spływał do gardła i rozgrzewał. Starzy przyjaciele siedzieli naprzeciwko siebie przy biurku. Willie Nelson śpiewał dalej swoje.

– No to powiesz mi czy nie? – Miles jeszcze raz zmienił zdanie.

– Nie wiem.

– Dlaczego nie? Nie musisz się przede mną wstydzić. Nie musi ci być głupio, nawet jeżeli coś poszło nie tak, jak chciałeś.

Wspomnienia wypełniły myśli Bena. Nie, z pewnością nie poszło mu tak, jak tego by oczekiwał. Lecz nie w tym tkwił problem. Problem polegał na tym, że nie wiedział, co powinien powiedzieć Milesowi, a co zatrzymać dla siebie. Trudno przecież w paru słowach wyjaśnić wszystko, co działo się w Landover. Historia z rodzaju tych o głuchym i pianiście. Byłoby to, jak stwierdzenie, że Święty Mikołaj rzeczywiście istnieje.

– Czy wystarczy, że powiem ci, iż znalazłem to, czego szukałem? – zapytał Milesa po chwili



namysłu.

Miles milczał przez chwilę.

– Jeśli to wszystko, co możesz zrobić... – odrzekł w końcu. Zawahał się. – Ale czy to na pewno wszystko, Doktorku?

Ben skinął głową.

– W tej chwili.

– Rozumiem. A później? Czy później dasz radę? Nie mogę sobie wyobrazić, że nigdy nie miałbym się niczego więcej o tym dowiedzieć. Nie wytrzymałbym. Zrozpaczony, opuszczasz ten świat w poszukiwaniu smoków i białogłów, a ja mówię ci, żeś szaleniec. Ty wierzysz w cały ten numer z zaczarowanym królestwem zaludnionym stworzeniami z bajek, a ja mówię ci, że to niemożliwe. Zrozum, Doktorku, muszę wiedzieć, kto miał rację. Muszę wiedzieć, czy to w ogóle możliwe. Muszę!

Rozczarowanie odbiło się na jego okrągłej twarzy. Benowi zrobiło się przykro. Miles siedział w tym od samego początku. Był jedyną osobą, która wiedziała, że wydał milion dolarów, by kupić fantastyczne królestwo, które – dla osoby zdrowej na umyśle – nie mogłoby pewno w ogóle istnieć. Był jedynym, który wiedział, że Ben udał się na poszukiwania tego królestwa. Wiedział więc, jak historia się zaczęła, lecz nie znał jej zakończenia. To go właśnie trawiło.

Trzeba było jednak brać pod uwagę nie tylko pożerającą Milesa ciekawość. Była to również kwestia bezpieczeństwa. Czasami wiedza jest niebezpieczna. Ben nadal nie wiedział, jak wielkim zagrożeniem dla każdego z nich jest teraz Meeks. Wyglądało na to, że Miles ma się dobrze, ale...

– Miles, obiecuję, że któregoś dnia opowiem ci o wszystkim – odpowiedział, starając się, by z jego słów emanowała pewność. – Nie mogę powiedzieć, kiedy dokładnie będzie to możliwe, ale obiecuję, że się dowiesz. Trudno mi o tym mówić – to coś jak wtedy, z Annie. Nigdy nie potrafiłem o tym mówić... nie przeżywając tego na nowo. Pamiętasz? Miles skinął głową.

– Pamiętam, Doktorku. – Uśmiechnął się. – Czy w końcu zawarłeś pokój z jej duchem?

– Tak, w końcu tak. Ale trwało to długo, przeszedłem wiele zmian. – Przerwał, wspominając chwilę, gdy stał sam we mgłach zaczarowanego świata i musiał zmierzyć się twarz w twarz ze wszystkimi zakorzenionymi w sobie obawami, że w jakiś sposób zawiódł swą nieżyjącą żonę. – Myślę, że opowiadanie o tym, gdzie byłem i co odnalazłem zajęłoby trochę czasu. Mam ciągle jeszcze parę niedokończonych spraw do załatwienia...

Jego głos przycichł. Palce bawiły się stojącą na biurku szklaneczką szkockiej.

– W porządku, Doktorku – rzekł szybko Miles, wzruszając ramionami. – Wystarczy, że jesteś znowu tutaj, i że wszystko z tobą w porządku. Na całą resztę przyjdzie właściwy czas.

Ben przez chwilę wpatrywał się w szklaneczkę z whisky, potem wznosił spojrzenie na Milesa.

– Jestem tu, stary, na bardzo krótko. Nie mogę zostać. Miles spojrzał na niego niepewnie. Zdobył się na krótki uśmiech.

– Ej, co ty gadasz? Po coś, w takim razie, tu wrócił? Po co? Przegapiłeś spadek Bullsów

ostatniej zimy, *el foldo* Cubsów wiosną, maraton, wybory i całą resztę tradycyjnych chicagowskich atrakcji sezonu. Chcesz załapać się na mecz Bearsów?

Ben roześmiał się mimo woli.

– Brzmi to całkiem nieźle. Ale nie to skłoniło mnie do powrotu. Wróciłem, bo martwiłem się o ciebie.

Miles wybałuszył oczy.

– Co takiego?

– Martwiłem się o ciebie. W końcu nie jest to chyba aż takie dziwne, do cholery. Chciałem po prostu upewnić się, czy wszystko z tobą w porządku.

Miles przełknął spory haust szkockiej i rozparł się wygodnie w fotelu.

– Dlaczego miałoby nie być w porządku? Ben wzruszył ramionami.

– Nie wiem. – Chciał mówić dalej, ale przerwał i zaczął z innej beczki. – No dobrze skoro i tak myślisz, że jestem czubkiem, to to jedno niczego nie zmieni. Miałem sen. Śniło mi się, że wpadłeś w poważne tarapaty i potrzebowałeś mnie. Nie wiedziałem, na czym polegają twoje kłopoty, ale czułem, że to przeze mnie. Wróciłem, żeby sprawdzić, czy sen był prawdziwy.

Miles obserwował go przez chwilę w sposób, w jaki psychiatrzy zwykli patrzeć na swego koronnego pacjenta, wypił resztkę szkockiej i jeszcze raz uniósł się w fotelu.

– Jesteś wariat, Doktorku, wiesz?

– Wiem.

– Zdaje się, że twój mózg musi pracować zbyt wiele po godzinach.

– Tak sądzisz?

– Tak. Czujesz się winny, bo zostawiłeś mnie na lodzie w samym środku przedświątecznego zamieszania i ruchu w interesie. Musiałem się sam zmagać z tymi cholernymi sprawami sądowymi! I muszę ci coś powiedzieć! Zająłem się tym wszystkim, jak należy. Biuro nie ucierpiało na tym nic a nic! – Przerwał, uśmiechnął się lekko. – No, może trochę. Czy jesteś ze mnie dumny, Doktorku?

– Pewno! – Ben zmarszczył brwi. – Więc nie ma żadnych problemów w firmie? Z tobą wszystko w porządku? Nie ma nic, co wymagałoby mojej obecności tutaj?

Miles wstał, wziął butelkę glenlivet i nalał jeszcze po odrobinie. Uśmiechnął się szeroko.

– Wiem, że to straszne, ale sprawy nie mogą się mieć lepiej.

I właśnie i w tym momencie Ben Holiday zaczął nabierać podejrzeń...

Piętnaście minut później był znowu na ulicy. Zabawił u Milesa wystarczająco długo, by nie wywołać wrażenia, że coś jest nie w porządku. Siedział tam jeszcze w chwili, gdy wszystko zdawało się już krzyczeć, żeby ucieczką ratował życie.

Trudno było o wolną taksówkę w sobotni poranek, więc na południowe spotkanie do biura Eda Samuelsona pojechał autobusem. Siadł sam na trzecim siedzeniu od tyłu i, ściskając swą torbę jak zawiniątko z niemowlęciem, usiłował walczyć z wrażeniem, że zewsząd obserwują go niewidzialne oczy.

– Myśl jak prawnik! – usiłował się zmobilizować. – Przemyśl to na spokojnie!

Sen był kłamstwem. Miles Bennett nie miał poważniejszych kłopotów i nie potrzebna mu była pomoc Bena. Może rzeczywiście we śnie przejawilo się po prostu poczucie winy z powodu opuszczenia starego przyjaciela i zmuszenia go do dodatkowej pracy? Może zbiegnięcie się w czasie snów jego, Questora i Willow było sprawą przypadku? Nie, nie sądził, by tak rzeczywiście było. Coś musiało sprowokować te sny... Może ktoś.

Meeks.

Lecz co zamierzał przez to osiągnąć?

Ben wysiadł z autobusu przy Madison i przechodząc przez kilkoro drzwi, dotarł do biura Eda Samuelsona. Cały czas czuł na sobie spojrzenie.

Spotkał się ze swym księgowym i podpisał kilka pełnomocnictw i innych papierów, umożliwiających zajęcie się jego sprawami w czasie jego dalszej, być może kilkuletniej, nieobecności. Nie sądził, by był tam aż tak długo, ale nigdy nie wiadomo. Uścisnął dłoń Eda, pożegnał się, a o dwunastej trzydzieści pięć był znowu przy drzwiach wyjściowych.

Tym razem postanowił czekać na taksówkę. Kierowca zawiózł go prosto na lotnisko. Ben zdążył jeszcze na lot Deltę do Washingtonu o wpół do drugiej. W stolicy był o piątej, a godzinę później złapał ostatni samolot Allegheny do Waynesboro. Cały czas wzrokiem szukał Meeksa. Jakiś człowiek w płaszczu gapił się na niego w czasie lotu z Chicago. Potem starsza kobieta sprzedająca kwiaty, która zatrzymała go na głównym terminalu lotniska. Marynarz z workiem zderzył się z nim, gdy Ben zbyt szybko odchodził od kas Allegheny. Nie było jednak ani śladu Meeksa.

W drodze z Washingtonu do Waynesboro dwukrotnie wyjmował z kieszeni runiczny kamień. Robił to jakby odruchowo i niechętnie. Za każdym razem amulet był krwistoczerwony i palił w palce.

Tej nocy nie pojechał już nigdzie. Coś pchało go, by iść dalej – czuł tak wielką potrzebę pośpiechu, że ledwie mógł nad nią zapanować. Jednak rozsądek wziął górę. Może nie był to rozsądek, lecz strach? Nie zdecydował się na wędrówkę po Blue Ridge w ciemnościach. Zbyt łatwo było w ten sposób paść ofiarą. Było wielce prawdopodobne, że Meeks będzie oczekiwał go przy przejściu.

Spał marnie. Wstał o świcie, ubrał się w cieplejsze rzeczy, założył adidas, zjadł coś – nie pamiętał później, co to było – i wezwał taksówkę. Stał w holu ze swą torbą i czuł, że ktoś go obserwuje przez szyby okien. Po chwili wyszedł na zewnątrz. Dzień był zimny, szary i nieprzyjemny. Chyba jedyną jego pozytywną stroną było to, że nie padało. Powietrze pachniało nieprzyjemnie, a smakowało jeszcze gorzej. Piekły go oczy. Wszystko wokół wyglądało obco. W międzyczasie sześciokrotnie sprawdzał swój kamień. Był nadal krwistoczerwony.

Limuzyna zajechała pod hotel i chwilę później był już w drodze. Przed południem wspinał się po zalesionych zboczach gór w George Washington National Forest, zostawiając Chicago, Washington, Waynesboro, Milesa Bennetta, Eda Samuelsona, i wszystko inne na tym świecie,

w którym czuł się teraz obcym, a nawet wygnańcem.

Odnalazł kłębiące się mgły i dęby znaczące wejście do przesmyku czasu. Meeksa nie było ani śladu – ani we własnej osobie, ani w postaci zjawy. Las był cichy i opustoszały. Droga naprzód była wolna.

Ben Holliday niemal biegł, by tylko dotrzeć do wejścia tunelu.

Przestał biec dopiero po przeciwnej stronie.

Promienie słońca biły z lekko zachmurzonego nieba, ogrzewając swym dotykiem ziemię. Jasne barwy łąk i sadów zalewały zbocza doliny tworząc wzór, jak koc wykonany z kolorowych łątek. Plamki barwnych kwiatów usiały cały krajobraz. Ptaki wznosiły się w jedwabie barw tęczy.

Ben oddychał głęboko, śledząc migające mu przed oczami plamki i próbując odzyskać utracone w czasie tego szaleńczego biegu siły. O tak, biegł! Niemał leciał! Był przerażony do tego stopnia, że pozwolił panice wziąć górę. Teraz oddychał głęboko i wolno, nie próbując nawet patrzeć za siebie, w kierunku mrocznego i mglistego lasu, który stał jak ściana za jego plecami. Był bezpieczny. Był u siebie, w domu.

Te słowa działały na niego jak kojąca litania. Wzniósł oczy ku niebu, by po chwili znowu je opuścić i ogarnąć wzrokiem całą dolinę Landover. Niespodziewane poczucie bliskości i znajomości tej ziemi zadziało na niego kojąco. Czyż to nie dziwne, że czuł się tutaj w ten sposób? Jego powrót był jak przejście od powolnej śmierci zimy do życia wiosny. Jeszcze przed chwilą nie uwierzyłby, że może odczuwać to w ten sposób. Teraz wydawało się to najnormalniejsze w świecie.

Zaczynało się popołudnie. Ben zaczął schodzić ze szczytów gór otaczających dolinę w kierunku obozu założonego przez oczekujący na jego powrót oddział. Czekali na niego, a jego powrót przyjęli bez zdziwienia. Kapitan zasalutował, podprowadził Jurysdykcję, kazał swoim ludziom dosiąść koni, i wszyscy ruszyli. Ben uśmiechnął się, stwierdzając, jak płynne było to przejście ze świata samolotów i limuzyn do świata koni i chodaków.

Lecz uśmiech ten nie trwał długo. Ben powrócił myślami do snów Questora i Willow, i udzieliło mu się niepokojące uczucie, że coś jest tu nie w porządku. Jego okazał się zwykłym kłamstwem. Czy sny Willow i Questora również? Jego był – z pewnością – w jakiś sposób związany z Meeksem. Czy sny Willow i Questora również miały coś z nim wspólnego. Pytań było tak wiele, a odpowiedzi – żadnej. Musiał jak najszybciej dotrzeć do Sterling Silver i odnaleźć swych przyjaciół.

Całą drogę Ben ponaglał konwój i do zamku zdołali dotrzeć przed zmierzchem. Zeskoczył z konia, krótko podziękował żołnierzom, wezwał przeprawę i szybko przepłynął do swego domu na wyspie. Strome, srebrzyste dachy i lśniące białą ściany rzucały na niego łunę – ciepło jego domu-matki sięgnęło aż tutaj, by go ogrzać. Lecz ukryty wewnątrz zimny dreszcz nie ustąpił.

Abernathy wyszedł mu na przeciw i powitał już w bramie – wspaniały w czerwonej, jedwabnej szacie, bryczesach, rajstopach oraz lśniący białych wysokich butach i rękawicach.

Trzymał księgę wizyt. W jego głosie dała się słyszeć irytacja.

– Nie wróciłeś zbyt prędko, panie. Cały dzień spędziłem, uspokajając niektórych wzburzonych członków rady, którzy najwyraźniej chcieli z tobą porozmawiać. Jest masa nowych problemów. System irygacyjny pól na południe od Waymark ma przecieki. Jutro przybywają władcy Greensward, a nie spojrzeliśmy nawet na listę spraw do załatwienia, którą nam przesłali. Pół tuzina innych przedstawicieli czekało...

– Miło cię znów widzieć, Abernathy. – Ben uciał mu w połowie zdania. – Czy Questor i Willow powrócili?

– Och, nie, panie. – Wydawało się przez chwilę, że Abernathy’emu brakuje słów. Cicho ruszył za Benem, gdy ten skierował się do sali jadalnej. – Czy wyprawa się udała? – zapytał w końcu.

– Nie bardzo. Jesteś pewien, że żadne z nich jeszcze nie wróciło?

– Tak, panie, jestem pewien. Ty wróciłeś pierwszy.

– Może są od nich jakieś wiadomości? Abernathy podszedł bliżej.

– Coś nie tak?

Ben nie zwolnił kroku.

– Nie, wszystko w porządku. Abernathy spojrzał niepewnie.

– Tak, dobrze wiedzieć. – Przez moment zawahał się, chrząknął. – Co z przedstawicielami rady, panie...?

Ben potrząsnął głową.

– Spotkam się z nimi jutro. – Ruszył do jadalni, pozostawiając Abernathy’ego w drzwiach. – Daj mi znać natychmiast, gdy tylko Willow lub Questor powrócą – niezależnie od tego, co będę wtedy robił.

Abernathy poprawił okulary na swym długim nosie i zniknął gdzieś w ciemności korytarza, nie odzywając się już ani słowem.

Ben szybko zjadł kolację i wspiał się po schodach na wieżę, w której umieszczono krainogląd. Krainogląd był jednym z magicznych urządzeń Sterling Silver. Dzięki niemu można było szybko zobaczyć, co dzieje się w całym królestwie. Korzystający z niego miał wrażenie, że unosi się nad doliną, przelatuje od jednego jej krańca do drugiego. Była to okrągła platforma otoczona srebrną poręczą, która wystawała z zamkowej wieży przez specjalny otwór biegnący od sklepienia aż do podłogi. Na poręczy umocowany był pochylony stolik z przypiętą na nim starą mapą królestwa.

Ben wszedł na platformę, oburącz mocno chwycił się poręczy, skupił spojrzenie na mapie i siłą woli ruszył na północ. Zamek zniknął w jednej chwili i Ben szybował, mając za jedyne oparcie poręcz i podstawkę do mapy. Poleciał daleko na północ, w góry Melchor, przemknął nad ich szczytami, i nieco obniżył lot. Teraz ruszył na południe, do Krainy Jezior i Eldrew – miasta ludu Władcy Rzek. Przeleciał ponad lasami i jeziorami całej krainy w jedną i drugą stronę. Nie odnalazł ani Questora Thewsa, ani Willow.

Godzinę później zrezygnował z dalszych poszukiwań. Ręce miał zdrętwiałe i obolałe od kurczowego trzymania poręczy, a jego ciało pokrywał pot. Opuścił wieżę krainogłędu zawiedziony i zmęczony.

Usiłował ukoić zmęczenie i rozczarowanie w wodach gorącej kąpieli. Jednak i to nie dało mu uczucia pełnego oczyszczenia. Prześladowały go wizje Meeksa. Czarownik wywabił go stąd za pomocą snu o Milesie – Ben był o tym przekonany, jak i o tym, że Meeks realizował w ten sposób jakiś plan odwetu za swe wygnanie. Ben nie wiedział tylko, jaką rolę odgrywały w tym wszystkim sny jego przyjaciół i czy nie znajdują się teraz z ich przyczyny w jakimś niebezpieczeństwie.

Zapadała noc i Ben udał się do swego gabinetu. Zdecydował już, że rankiem wyśle dwie ekspedycje na poszukiwania swych przyjaciół. Wszystko inne musi poczekać, póki nie rozwiąże się tajemnica snów. Był coraz głębiej przekonany, że dzieje się coś strasznego, i że ma coraz mniej czasu, by to zatrzymać.

Była głęboka noc. Ben pogrążył się w pracy nad papierami, które w czasie jego nieobecności urosły na biurku w znaczną stertę, gdy drzwi jego gabinetu uchyliły się i nagły przeciąg rozrzucił kartki, które starannie układał na stole. Z mroku wyłoniła się postać Questora Thewsa.

– Znalazłem je, panie! – wykrzyknął mag, wykonując przy tym wystudiowany gest jedną ręką, podczas gdy drugą przyciskał do piersi owinięty w płótno pakunek. Podszedł do biurka, przy którym pracował Ben i złożył na nim zawiniątko. – Oto one!

Ben podniósł wzrok. Do komnaty wtoczył się ubrudzony Bunion. Jego pokryty błotem strój był w strzępach. Pojawił się również Abernathy w nocnej koszuli i szlafmocy. Poprawił okulary i zamrugał.

– Było dokładnie tak, jak we śnie – wyjaśniał pospiesznie Questor, rozpakowując księgi. – No, może niezupełnie. We śnie nie było mowy o demonie, który ukrył się pod kamienną posadzką. Niemiła niespodzianka, mówię wam. Lecz Bunion stawiał mu czoło. Chwycił go za gardło i wydusił z niego życie. Ale reszta była dokładnie, jak we śnie. Znaleźliśmy te podziemne korytarze w Mirwouk i nimi doszliśmy do drzwi. Za nimi znajdowała się komnata o posadzce z kamienia. Jeden z jej elementów nosił specjalne znaki. Gdy go dotknąłem...

– Znalazłeś zaginione księgi? – zapytał Ben z niedowierzaniem, przerywając magowi w pół zdania.

Mag przerwał, spojrzał na Bena i zmarszczył brwi.

– Oczywiście, że je odnalazłem, panie. A o czym niby teraz opowiadam? – Spojrzał z wyrzutem. – W każdym razie, niechaj dokończę, gdy po nie sięgnąłem – a widziałem je tam w cieniu – Bunion pociągnął mnie do tyłu. Dojrzał ruchy demona. Walka pomiędzy nimi była potworna... No, wreszcie!

Odwinął ostatni zwój płótna i zebrany ukazały się dwie opasłe, wiekowe księgi. Każda z nich była oprawiona w skórę i pokryta runami oraz obrazkami. Złoto zdobiące niegdyś każdy z tych znaków pozostało już tylko w ich zagłębieniach. Rogi i grzbiety ksiąg były wzmocnione

poczerniałymi okuciami z brązu, a oprawy zamknięte wielkimi zamkami.

Ben wyciągnął rękę, by dotknąć wierzchu księgi, lecz w tym momencie chwycił go Questor.

– Proszę, jeszcze chwilę, panie. – Mag wskazał na zamek. – Widzisz, co się z nim stało?

Ben pochylił głowę. Zamek był uszkodzony, a metal wokół wydawał się wypalony. Sprawdził zamknięcie drugiej księgi. Było nienaruszone. Nie było wątpliwości, że ktoś usiłował otworzyć pierwszą księgę. Ben zwrócił spojrzenie na Questora.

– Nie mam pojęcia, panie – mag odpowiedział na nie zadane pytanie. – Przyniosłem księgi dokładnie w takim stanie, w jakim je znalazłem. Nie majstrowałem przy nich i nie próbowałem nawet ich otworzyć. Wiem, że to zaginione księgi, dzięki znakom na oprawach. Poza tym nie wiem więcej niż ty. – Chrząknął uroczyście. – Myślałem, że byłoby właściwie, gdybyś widział, jak je otwieram.

– Uważasz to za właściwe? – warknął Abernathy, którego włochata twarz wyłoniła się z cienia. W swej szlafmocy wyglądał doprawdy zabawnie. – A może raczej myślisz, że to bezpieczniejsze? Chcesz – na wszelki wypadek – mieć w pobliżu medalion, gdybyś nie potrafił zapanować nad ich mocą!

Questor zeszywniał.

– Władam wystarczająco potężną własną magią i zapewniam cię, że...

– Nie przejmuj się, Questorze – przerwał mu Ben. – Postąpiłeś właściwie. Czy potrafisz otworzyć księgi?

Questor znowu poszywniał z oburzenia.

– Oczywiście, że tak. Proszę!

Postąpił krok do przodu, wykonując gesty dłońmi nad pierwszym z wiekowych tomów. Ben odsunął się, a jego dłonie zacisnęły się na medalionie. Po cóż ryzykować z tego rodzaju...

Questor dotknął zamknięcia, a z metalu trysnął słup zielonego ognia. Wszyscy odskoczyli.

– Wygląda na to, że znowu nie doceniłeś niebezpieczeństw sytuacji! – rzucił Abernathy.

Questor poczerwieniał, a jego twarz znieruchomiała. Gwałtownie wzniósł ręce, z których posypały się iskry, a po chwili buchnął jego własny, purpurowy, połyskujący płomień. Poprowadził go ostrożnie na metalowe zamknięcie i trzymał go tam tak długo, aż wyparł całkowicie ów zielony płomień. Potem szybko zatarł dłonie i obydwie ognie zniknęły. Rzucił Abernathy'emu szydercze spojrzenie.

– Raczej nieznaczne niebezpieczeństwa, rzekłbyś? Znowu sięgnął do zamknięć i otworzył metalową klamrę.

Powoli otworzył księgę na pierwszej stronie. Spozierał na niego stary, pożółkły pergamin. Stronica była pusta.

Ben, Abernathy i Bunion podeszli bliżej, wpatrując się z półcienia w księgę. Stronica nadal była pusta. Questor przewrócił kolejną kartę. Ta również była pusta. Przewrócił trzecią. Pusta.

Czwarta karta również była pusta, lecz jej środek był lekko zaczerniony, jak gdyby ktoś trzymał go nad płomieniem.

– To chyba ty użyłeś słowa nieznacznym, magu? – prowokował Abernathy.

Questor nie odpowiadał. Na jego twarzy malowało się oszołomienie. Zaczął powoli kartkować księgę, przewracając kolejne puste stronicę. Wszystkie były puste, lecz na każdej następnej karcie ślad płomienia był coraz wyraźniejszy. Dalsze strony były już przepalone na wylot.

Questor nerwowo przerzucał kartki, aż dotarł do samego środka księgi.

– Panie... – rzekł cicho.

Ben spojrzał na obraz zniszczenia, jaki widniał przed jego oczami. Ogień strawił w popiół wnętrze księgi i wyglądało to tak, jakby tam właśnie powstał.

Ben i mag skrzyżowali spojrzenia.

– Dalej! – ponaglił Ben.

Questor szybko przejrzał pozostałą część księgi, lecz niczego nie znalazł. Wszystkie kolejne pergaminowe karty były puste z wyjątkiem miejsca, w których nadpalił je ów tajemniczy ogień.

– Nie rozumiem, co to może oznaczać, panie – przyznał w końcu Questor.

Abernathy już chciał dorzucić swój komentarz, ale zmienił zdanie.

– Może odpowiedź zawarta jest w drugiej księdze? – zasugerował zmęczonym głosem.

Ben skinął na Questora. Mag zamknął pierwszą księgę i odłożył ją na bok. Ponownie otoczył swe ręce czerwonym ogniem i opuścił je ostrożnie, by usunąć zielony płomień, który chronił zamknięcie drugiej księgi. Tym razem zajęło to nieco więcej czasu, gdyż ten zamek był nienaruszony. Gdy ognie wygasły, Questor zwolnił zamek i ostrożnie otworzył księgę.

Na karcie widniał zarys sylwetki jednorożca. Jednorożec narysowany był na białej – ani poźółkłej, ani nadpalonej – karcie. Stał nieruchomo, a jego sylwetkę znaczyły perfekcyjnie poprowadzone ciemne linie. Questor przewrócił stronę. Na następnej widniał również jednorożec – ten uchwycony w ruchu, lecz narysowany w bardzo podobny sposób. Trzecia i czwarta strona także zawierały podobizny jednorożców. Questor szybko przekartkował całą księgę do końca i z powrotem. Wszystkie jej stronicę wyglądały jak nowe. Na każdej naszkicowany był w innej pozycji jednorożec. Poza nimi nie było żadnych znaków ani napisów.

– Wciąż nie wiem, co to oznacza – Questor westchnął, a na jego twarzy pojawił się wyraz frustracji.

– Oznacza to, że nie są to księgi magii, o których myślałeś – bezceremonialnie orzekł Abernathy.

Lecz Questor potrząsnął głową.

– Nie, to są te księgi. Tak mówił mój sen, tak mówią znaki na ich okładkach. Wyglądają tak, jak opisywano je w starych opowieściach. To z pewnością zagubione księgi magii.

Przez chwilę w komnacie panowała cisza. Ben w zamyśleniu wpatrywał się w księgę, potem spoglądał na zebranych, póki nie napotkał spojrzenia stojącego tuż za Questorem Buniona. Kobold szczyrzył zęby w złowieszcym uśmiechu.

Ben znowu zwrócił wzrok ku księgom.



– Mamy tu – powiedział w końcu – jedną księgę z kartami pokrytymi rysunkami jednorożców i drugą, w której nie ma jednorożców, a tylko wypalony środek. To musi coś znaczyć, do licha! Questorze – a co ze snem Willow o czarnym jednorożcu? Czy może mieć coś wspólnego z tymi tutaj?

Questor zastanawiał się przez chwilę.

– Nie widzę żadnych możliwości powiązania tego w całość, panie. Czarny jednorożec to w zasadzie mit. Jednorożce w księdze nie są przecież pomalowane na czarno, a naszkicowane jako białe. Spójrz, ciemne linie określają tylko ich kształty. – Przewrócił kilka kart, by to zilustrować. – Ktoś rysujący czarnego jednorożca musiałby w jakiś sposób zaznaczyć jego barwę...

Odsunął się, marszcząc brwi w zamyśleniu. Jego kościste palce błędziły delikatnie po wypalonej klamrze na pierwszej z ksiąg.

– Dlaczego zniszczono to zamknięcie, pozostawiając drugie nietknięte? – zapytał cichym głosem, nie zwracając się z tym do nikogo konkretnego.

– Zgodnie z tym, co mówi historia Landover, w dolinie nie było jednorożców od czasu jej powstania – przerwał niespodziewanie Abernathy. – Jeden tylko raz pojawiło się ich całe stado. Tak mówi legenda. Niech pomyślę... Tak, już pamiętam. Poczekajcie jeszcze chwilę, proszę...

Wybiegł z komnaty, stukając pazurami o kamienną posadzkę i ciągnąc za sobą nocną koszulę. Po chwili był już z powrotem, niosąc księgę historii królewskich rodów Landover. Była bardzo stara, w zniszczonej okładce.

– Tak, to jest to – oznajmił skryba. Położył ją obok ksiąg magii, zaczął szybko kartkować, aż w końcu zatrzymał się na jednej ze stron. – Tak, właśnie tutaj – przerwał na moment czytanie. – Wydarzyło się to przed setkami lat – niedługo po powstaniu doliny. Czarodziejskie istoty magiczną mocą wypuściły z mgieł do naszej doliny całe stado jednorożców. Przysłały je tutaj z jakiegoś szczególnego powodu. Wygląda na to, że były bardzo zaniepokojone upadkiem wiary w magię w wielu zewnętrznych światach – światach takich, jak twój, panie – Skryba rzucił przed siebie spojrzenie pełne dezaprobaty – i chciały dać w jakiś sposób znak, że magia nadal ma swą moc. – Zmarszczył brwi, wczytując się w stary tekst. – Tak, sądzę, że dobrze to zrozumiałem. Tekst jest niejasny. Napisany bardzo starym językiem.

– A może to twoje stare oczy? – niezbyt uprzejmie zasugerował Questor i sięgnął po księgę.

Zirytowany Abernathy zagarnął ją w pośpiechu.

– Moje oczy są dwa razy lepsze od twoich, magu! – warknął. Kaszlnął i mówił dalej: – Wasza wysokość, wygląda na to, że czarodziejskie istoty zesłały do doliny jednorożce, by dać dowód, że magia nie utraciła swej mocy. Do wszystkich światów poza Landover miały dotrzeć przez przesmyki czasu. – Znowu przerwał, przeczytał jeszcze kawałek, a potem z hukiem zamknął księgę. – Ale, rzecz jasna, nigdy do tego nie doszło.

Ben zmarszczył brwi.

– Dlaczego?

– Bo wszystkie jednorożce zniknęły, panie. Nikt ich już nigdy więcej nie ujrzał.

– Zniknęły?

– Pamiętam tę historię – potwierdził Questor. – Zapamiętałem ją, bo zawsze wydawała mi się dosyć dziwna.

Ben jeszcze mocniej zmarszczył brwi.

– A więc czarodziejskie istoty wysłały do Landover stado jednorożców, a te po prostu zniknęły. I były to ostatnie jednorożce – za wyjątkiem tego czarnego – które mogły być prawdziwe lub nieprawdziwe i zjawiają się tylko czasami, Bóg wie skąd. Poza tym mamy zaginione księgi magii, które nie mają w sobie nic z magii, a tylko rysunki jednorożców i na wpół wypalone, puste stronicy.

– Jedna otwarta, a druga z nienaruszoną pieczęcią – dodał Questor.

– Nic o Meeksie – powiedział Ben w zamyśleniu.

– Nic o zmienianiu psów na powrót w ludzi – burknął niezadowolony Abernathy.

Patrzyli na siebie w milczeniu. Na stole leżały otwarte księgi: dwie księgi magii, zupełnie na to nie wyglądające, a jedna historyczna, nie mówiąca jednak o historii niczego użytecznego. Niepokój Bena rósł. Im bardziej wnikali w sprawę snów, tym więcej pojawiało się niewyjaśnialnych tajemnic. Jego sen nie mówił prawdy, sen Questora – tak. Źródła snów musiały być więc różne...

Pozornie.

Ale niekoniecznie. Teraz nie był już pewien niczego. Robiło się późno. Podróż powrotna była długa i zmęczenie nie pozwalało mu już jasno myśleć. Nie miał już sił, by to wszystko analizować, a i tak nie starczyłoby mu czasu. Wkrótce zacznie się nowy dzień. Gdy nadejdzie ranek, ruszą na poszukiwania Willow. Kiedy ją odnajdą, tak długo będą rozważali sprawę snów, aż wszystko uda się wyjaśnić.

– Zamknij księgi, Questorze. Idziemy spać – rzekł.

Zgodne mruknięcie dobiegło z różnych zakątków komnaty. Bunion poszedł w kierunku kuchni, by się wymyć i coś zjeść. Abernathy ruszył za nim, niosąc księgę historii królestwa. Questor zamknął i zgarnął księgi magii, i wyszedł z nimi bez słowa.

Ben obserwował, jak wychodzili. Sam pozostał w półmroku komnaty. Żałował nieco, że nie poprosił ich o dłuższe pozostanie, skoro sam chciał jeszcze pracować nad rozwiązaniem tej łamigłówki.

Nie, to nie miało sensu. Wszystko jakoś się ułoży – myślał.

Niechętnie udał się na spoczynek.

## ... I KOSZMARY

Ben Holiday wspominał później, jak nierozważne było to, co uczynił tamtej nocy. Pamiętał dokładnie własne słowa: „Jakoś się ułoży. Wystarczy, że zabierzemy się do tego jutro z rana”. Pamiętał te słowa, jak gdyby cały czas tkwiły w jego gardle. Później nieraz gorzko żałował, że pozwolił sobie czerpać z nich ukojenie.

Takie są właśnie uroki namysłu po szkodzie. Widzi się wtedy wszystko z taką ostrością.

Kłopoty zaczęły się niemal natychmiast. Z gabinetu Ben poszedł prosto do sypialni. Włożył piżamę i wpełzł pod koce. Był wyczerpany, lecz sen nie przychodził. Wydarzenia tego dnia wyprowadziły go z równowagi, a tajemnica snów tłukła się w jego głowie, jak zapędzony w kąt szczur. Czyhał na niego, lecz nie mógł go uchwycić, bo ten – jak cień – wymykał mu się bez wysiłku. Widział jego zarys, lecz nie mógł uchwycić formy.

W ciemności oczy szczura świeciły purpurą.

Ben zamrugał oczami i wsparł się na łokciach. Kamień runiczny подарowany mu przez Willow lśnił ognistą czerwieńią na nocnym stoliku. Zamrugał jeszcze raz, uświadamiając sobie, że musiał już prawie zasypiać, gdy światło kamienia przywróciło go do przytomności. Barwa kamienia oznaczała, że zagrażało mu niebezpieczeństwo – niebezpieczeństwo, które towarzyszyło mu przez całą drogę powrotną.

Lecz gdzie, u licha, kryło się owo niebezpieczeństwo?

Wstał i zaczął krążyć po komnacie, jak drapieżnik poszukujący ofiary. Nie było tu nic. Ubrania leżały tam, gdzie je cisnął, przerzucone przez oparcie krzesła. Jego worek również leżał na miejscu. Stał przez chwilę na środku komnaty, czekając, aż przeniknie go ciepło żyjącego zamku. Sterling Silver odpowiedział głębokim, wewnętrznym promieniowaniem, które przeniknęło Bena od stóp do głów. Był niewzruszony.

Ben zmarszczył brwi. Może kamień się mylił?

W każdym razie jego blask rozpraszał go. Przykrył więc talizman ręcznikiem i wrócił do łóżka. Czekał przez chwilę, zamknął oczy, otworzył je znowu i zamknął po raz drugi. Otaczająca ciemność nie przeszkadzała mu. Szczur-widmo zniknął. Pytania wymieszały się z odpowiedziami, i wszystko przybladło w ciemnościach nocy. Zaczął odpływać.

Spał może przez godzinę. Śnił o jednoróżcach – czarnych i białych, o szczupłych, ponadczasowych twarzach czarodziejskich istot. Pojawiły się i podobizny jego przyjaciół – dawnych i dzisiejszych, marzenia o przyszłości królestwa i jego własnej. Wszystko to przepływało przez podświadomość i kołysało go płynnie, jak fale bezbrzeżnego oceanu.

Nagle pojawił się dziwaczny płomień, przerywając to senne kołysanie. Znikąd zaczęły sięgać ku niemu ręce. Ich palce zerwały z szyi łańcuch. To były jego palce! Co robiły?

I wtedy stanął przed nim obraz Meeksa!

Wyłonił się z czarnej mgły: wysoki, chudy jak szkielet odziany w metalizującą szatę, o twarzy tak szorstkiej i twardej, jak surowe żelazo. Pochylił się nad Benem, jak śmierć

przybywająca po swą kolejną ofiarę. Jeden rękaw miał pusty, z drugiego wyłoniły się czarne pazury, sięgające po...

Ben przebudził się gwałtownie, skopując pościel i po omacku zasłaniając się ręką. Mrugał i marszczył się, usiłując coś dojrzeć wpółzamkniętymi oczami. W rogu pokoju paliła się świeca – samotny płomyk białozłotego światła w poświęcie purpury rozsiewanej przez kamień runiczny, szaleńczo ostrzegający przed bliskim niebezpieczeństwem. Zakrywający go ręcznik zniknął. Ben wyczuwał obecność tego niebezpieczeństwa. Gwałtownie łąpał oddech i czuł się, jakby na jego piersiach spoczywał jakiś olbrzymi ciężar. Usiłował się go pozbyć, lecz mięśnie odmawiały mu posłuszeństwa. Jego ciało było unieruchomione.

W ciemności coś drgnęło. Coś olbrzymiego.

Ben próbował krzyknąć, ale to, co z siebie wydobył, było ledwie szeptem.

Stała przed nim postać w szkarłacie niczym we krwi i głosem brzmiącym, jak drapanie paznokciem po szkle, wyszeptła:

– Znowu się spotykamy, panie Holiday. To był Meeks.

Ben nie mógł mówić. Patrzył tylko wybałuszonymi oczami. Miał wrażenie, że zjawa, która prześladowała go w czasie podróży do starego świata w jakiś sposób zdołała wkraść się za nim do Landover. Lecz to nie była zjawa! Ben wiedział o tym od razu. To było na prawdę!

Meeks uśmiechnął się słabo. Wyglądał w tej chwili całkiem ludzko; drapieźność gdzieś zniknęła.

– No i co – nie słyszę słów powitania, odrazy, ani nawet grózb? Jakie to do pana niepodobne, panie Holiday. Cóż się takiego stało? Ugryzł się pan w język?

Mięśnie szyi i twarzy Bena pozostawały napięte, gdy usiłował nad sobą zapanować. Był sparaliżowany. Przerazające spojrzenie Meeksa związało go pętami, których nie był w stanie rozerwać.

– O tak, widzę, że ma pan wolę, ale to takie trudne! Znam dobrze to uczucie! Pamięta pan, jak mnie pan wtedy pozostawił? Szydził pan ze mnie! Widziałem to w czarodziejskim kryształ – moim jedynym połączeniu z tym światem. Potem go pan rozbił! Pamięta pan? Zniszczył pan moje oczy! Panie Holiday! Uczynił pan ze mnie ślepeca! – jego głos stał się sykiem furii. – O tak, wiem, jak to jest być sparaliżowanym i pozostawionym sobie samemu!

Zrobił krok do przodu i zatrzymał się. Zwrócił swą kamienną, ponurą twarz w kierunku purpurowego światła kamienia runicznego. Robił wrażenie olbrzymia.

– Jesteś głupim królem-marionetką – wiesz o tym? Myślałeś, że będziesz ze mną igrał i nawet przez myśl ci nie przeszło, że to ja stanowią tutaj zasady gry. Jestem mistrzem gry, w której ty – mały człowieczku – jesteś dopiero nowicjuszem! To ja uczyniłem cię królem tej ziemi, ja dałem ci wszystko, co miała do zaoferowania. Wziąłeś to wszystko ode mnie tak, jak gdybyś miał ku temu jakieś prawo! Wziąłeś tak, jak gdyby należała do ciebie!

Trząsł nim gniew. Palce jego ubranej w rękawice reki kurczowo trzymały przód szaty. Ben nigdy w życiu nie był tak przerażony. Chciał zapaść się gdzieś w siebie, jeszcze raz wczłgać

pod koce. Pragnął zrobić cokolwiek, co by pozwoliło mu uciec przed tym przerażającym starcem.

Meeks wyprostował się, a gniew na jego twarzy zastąpiła zimna obojętność. Spojrzał przed siebie.

– Teraz to już nie ma znaczenia. Gra skończona. Przegrał pan, panie Holiday.

Pot lał się po wyprężonych plecach Bena. Jak to się mogło stać? Przecież Meeks był uwięziony w starym świecie; póki Ben miał medalion, dla Meeksa nie było żadnej drogi powrotu do Landover!

– Chce pan wiedzieć, jak się tutaj dostałem, panie Holiday? – Wydawało się, że Meeks czyta w jego myślach. Ponownie zwrócił się ku niemu. – To było całkiem proste. Naprawdę! Sprawilem, że pan mnie tutaj przyniósł. – Meeks zauważył przerażone spojrzenie Bena i roześmiał się. – Tak, panie Holiday, to prawda. To pan odpowiada za moje przybycie do Landover. I co pan na to?

Podszedł kilka kroków do przodu, zatrzymując się przy samym łóżku. Pochylił swą kamienną twarz. Ben czuł jego odór.

– Sny – tak, to moja sprawka, panie Holiday. To ja je wam zesłałem – panu, mojemu przyrodniemu bratu i tej sylfidzie. Zniszczenie kryształu nie pozbawiło mnie wszystkich mocy. Ciągle mogłem pana osiągnąć! We śnie! Mogłem połączyć te dwa światy poprzez pana podświadomość! Mój głupi przyrodni brat zapomniał o tym, ostrzegając pana przede mną. Sny w zupełności wystarczyły, żebym znowu mógł nad panem zapanować. Jak żywa może być wyobraźnia! Czyż przesianie snu, który panu zesłałem nie było nie do odparcia? Tak, jasne, że tak go pan odebrał. Zesłałem go, żeby przywiódł pana do mnie. I spełnił on swoje zadanie. Wiedziałem, że się pan zjawi, jeśli będzie pan przekonany, że Miles Bennett pana potrzebuje. Wiedziałem, że musi pan się zjawić. Potem już wszystko było proste. Zjawa u wyjścia tunelu była dla mnie sygnałem, że pan wrócił i pozwoliła mi później śledzić pana ruchy. Usadowiłem się w panu i nigdy potem się już pan ode mnie nie uwolnił!

Serce Bena zamarło. Był głupcem. Powinien się domyśleć, że Meeks użyje czarów, by go śledzić. Powinien wiedzieć, że mag nie pozostawi nic swemu losowi.

Meeks uśmiechał się jak Kot z Cheshire. Następna zjawa była jeszcze ciekawszą sztuczką. Odwróciła pana uwagę od tego, co rzeczywiście panu groziło z mojej strony, panie Holiday! Ja stałem za panem! Gdy pan był zajęty zjawą, ja – wielkości drobnego owada – wślizgnąłem się pod pańskie ubranie i pozwoliłem się zanieść do Landover. Medalion dawał jedynie panu prawo przejścia tunelu, lecz ja, będąc pana częścią, również mogłem się przedostać!

A więc ukrył się w ubraniach – myślał zrozpaczony Ben – i był ze mną całą drogę powrotną, a ja nie zdawałem sobie z tego sprawy. I dlatego magiczny kamień stale ostrzegał go przed niebezpieczeństwem! Zagrożenie stale istniało, lecz Ben nie mógł go dojrzeć!

– Czyż to nie ironia losu, panie Holiday, samemu przynieść mnie tutaj? – Uśmiech uwypuklił policzki i czoło czarownika. Jego twarz przypominała czaszkę. – Musiałem wrócić, wie pan. Musiałem wrócić tu natychmiast przez to wasze uparte, natarczywe wścibstwo! Czy zdaje pan

sobie sprawę z tego, jaki mi pan sprawił kłopot? Nie – jasne, że nie! Nie ma pan pojęcia. Nie wie pan nawet, o czym mówię. Nic pan nie rozumie! I – przez swą ignorancję – o małe co zniszczyłby pan to, czego stworzenie zajęło całe lata! Pomieszał pan to wszystko – pan i pana kampania o tron Landover!

Znowu płonął gniewem i tylko wielkim wysiłkiem zdołał ponownie nad sobą zapanować. Lecz i tak jego słowa raziły, jak pociski.

– Nie ma o czym mówić, panie Holiday. Nie ma sprawy! To wszystko nie znaczy dla pana nic i nie ma sensu dalej o tym rozprawiać. Mam teraz księgi, a pan nie może uczynić już żadnych szkód. Mam to, czego było mi potrzeba. Twój sen dał mi panowanie nad tobą, sen mego przyrodniego brata dał mi panowanie nad księgami, a sen nimfy da mi... – urwał nagle tak, jak gdyby się w czymś pomylił. W jego białych, kamiennych oczach dostrzec można było przez chwilę dziwny niepokój. Mrugnął i wrażenie zniknęło. Szerokim gestem ramienia przeczesał puste powietrze. – Wszystko. Te sny dadzą mi wszystko – dokończył po chwili.

Ben rozpaczliwie myślał o medalionie. Jeśli tylko mógłby położyć na nim dłonie!

Meeks zaśmiał się ostro.

– Z pewnością ma pan mi wiele do powiedzenia, panie Holiday? I pewno wiele chce pan zrobić?! – Ponura twarz jeszcze raz pojawiła się tuż przed twarzą Bena. Oczy czarownika wwierały się w niego.

– Ale dam ci szansę, królu-marionetko! Dam ci szansę, której ty nie dałeś mi, rozbijając zaczarowany kryształ i zsyłając mnie na wygnanie! – Kościsty palec ukazał się tuż przed znieruchomiałymi oczami Bena. – Lecz przedtem chcę ci coś pokazać. Mam to tutaj, dobrze związane na szyi. – Zanurzył dłoń w głębi swych szat. – Niech się pan dobrze przyjrzy, panie Holiday. Widzi pan to?

Powoli wyciągnął rękę. Wokół palców owinięty miał łańcuszek. Na jego końcu wisiał medalion Bena.

Meeks uśmiechnął się tryumfująco, gdy ujrzał rozpacz bijącą ze spojrzenia Bena.

– Tak, panie Holiday! Tak, królu-marionetko! Tak, biedny głupcze! To twój cenny medalion! Klucz do Landover należy teraz do mnie! – Zakołysał medalionem przed oczami Bena, pozwalając mu zamigotać w świetle kamienia runicznego i świecy. Zmrużył oczy. – Chcesz wiedzieć, jak udało mi się was rozdzielić – ciebie i medalion? Dałeś mi go we śnie, który ci zesłałem. Wzięłeś medalion i sam mi go dałeś. Dałeś mi go z własnej woli. Nie mogłem przecież odebrać go siłą – sam musiałeś mi go dać!

Meeks wyglądał jak olbrzym, który zamierza zmiażdżyć Bena – wysoki, mroczny kształt, wyłaniający się z cienia. Jego oddech świstał.

– Myślę, że nie ma już nic, o czym mógłbym panu powiedzieć, a czego pan jeszcze nie wie, czyż nie, panie Holiday?

Wykonał szybki ruch ręką i niewidzialne więzy kępujące Bena zniknęły. Mógł poruszać się i mówić. Jednak nie uczynił żadnego ruchu i nie przemówił ani słowem. Czekał.

– Sięgnij pod swą nocną koszulę – szepnął czarownik.

Ben był posłuszny. Jego palce zacisnęły się na łańcuchu i wzdłuż niego podążyły do medalionu. Powoli wy dobył go. Medalion miał tę samą wielkość i kształt, jak ten, który dotąd nosił – ten, który teraz był w posiadaniu Meeksa. Jednak na jego powierzchni widniał inny grawerunek. Nie było Paladyna, Sterling Silver i wschodzącego słońca. Zniknął srebrzysty blask. Nowy medalion był czarny jak sadza i widniał na nim wizerunek odzianego w szaty Meeksa.

Ben z przerażeniem spoglądał na medalion, dotykając go z niedowierzaniem. Po chwili wypuścił go z palców tak, jak gdyby ten go w nie parzył.

Meeks z zadowoleniem pokiwał głową.

– Teraz jest pan moją własnością, panie Holiday, i mogę zrobić z panem, co zechcę. Mogę pana w jednej chwili zniszczyć. Ale – oczywiście – nie zrobię tego. To byłoby zbyt lekką karą po tych wszystkich kłopotach, których mi pan przysporzył! – Przerwał, a na jego twarzy znowu pojawił się uśmiech. Tym razem ironiczny, twardy. – Myślę, że po prostu puszczę pana wolno.

Cofnął się o kilka kroków i odczekał chwilę. Ben zawahał się, potem uniósł się z łózka. Myślał jak szalenciec – tylko o jednym: jak wymknąć się z tego koszmaru. W zasięgu ręki nie miał żadnej broni. Meeks stał pomiędzy nim i drzwiami do sypialni.

Zrobił krok do przodu.

– Ach, jeszcze jedna rzecz – głos Meeksa zatrzymał go niczym kamienna ściana. Starą twarz maga czas porył mnóstwem zmarszczek i bruzd. – Jest pan wolny, ale musi pan opuścić zamek. Natychmiast. To już nie jest pana miejsce, panie Holiday. Nie jest pan już królem. Nie jest pan już nawet sobą.

Wzniósł rękę. Błysnęło światło i nocne odzienie Bena zniknęło. Był teraz ubrany w strój robotnika: szorstkie, wełniane spodnie i tunikę, wełnianą pelerynę i znoszone buty. Był brudny i pachniał zwierzętami.

Meeks przyjrzał mu się beznamiętnie.

– Pan Holiday – człowiek z ludu. Oto kim będziesz od dzisiaj. Może przez ciężką pracę uda ci się coś osiągnąć. Oczywiście, nigdy nie zostaniesz już królem. Ale może uda ci się znaleźć jakieś inne, odpowiednie zajęcie. Mam nadzieję. Nie mógłbym patrzeć na twój upadek. Byłbym bardzo przejęty, widząc, że cierpisz niewygodę. Życie trwa tak długo, wiesz przecież. Zwrócił nagle wzrok na kamień runiczny Willow.

– Swoją drogą, nie będziesz już tego potrzebował, prawda? Wzniósł dłoń, a kamień poszybował z nocnego stolika prosto do jego odzianej w rękawicę dłoni. Meeks zacisnął palce. Kamień rozpadł się w pył, a jego czerwony blask gwałtownie zgasł.

Spojrzał jeszcze raz na Bena, uśmiechając się zimno i sztywno.

– A więc na czym skończyliśmy? Ach tak, mówiliśmy o twojej przyszłości. Zapewniam cię, że będę ją śledził z najwyższym zainteresowaniem. Medalion, w który cię wyposażylem powie mi wszystko, co będę chciał wiedzieć. Bądź ostrożny i tego medalionu nie próbuj zdejmować. Pewien czar będzie cię chronić przed tak nierozsądnym postępkami. Czar, który znacznie skróci

twe życie, jeśli będziesz chciał mu się sprzeciwić. A nie chcę, byś umarł. Jeszcze długo, długo nie.

Ben patrzył z niedowierzaniem na stojącą przed nim postać. O co tu chodzi? Szybko zmierzył wzrokiem odległość do drzwi sypialni. Znowu mógł się poruszać i mówić. Był wolny od tego – cokolwiek to było – co go przed chwilą paraliżowało. Musiał spróbować uciec!

Wtedy spojrzął na śledzącego każdy jego ruch – jak kot obserwujący zagonioną do kąta mysz – Meeksa. Strach ustąpił złości i wstydu.

– To ci się nie uda, Meeks – rzekł cicho, usiłując się zdobyć na zdecydowanie w głosie. – Nikt się z tym nie pogodzi.

– Czyżby? – Meeks nadal się uśmiechał. – A to dlaczego, panie Holiday?

Ben wziął głęboki oddech i przeszedł kilka kroków naprzód, aby zrobić lepsze wrażenie.

– Bo te stare łachmany, w które mnie odziałeś nie zmylą nikogo! Z medalionem, czy bez – stale jestem sobą, a ty – sobą!

Meeks uniósł brwi z niedowierzaniem.

– Czy jest pan pewien, panie Holiday? Jest pan całkowicie pewien?

Myśli Bena pełne były wątpliwości, których jednak starał się do siebie nie dopuszczać. Spojrzął na przeciwną ścianę, na której znajdowało się wielkie lustro, by przyjrzeć się sobie. Z ulgą stwierdził, że chociaż jego fizjonomia pozostała niezmienną.

Meeks wyglądał jednak na tak pewnego siebie. Czyżby zmienił w nim coś, czego Ben nie mógł teraz dostrzec?

– Nic z tego. To nie zadziała – powtórzył, przesuając się w kierunku drzwi i usiłując odgadnąć, co też takiego wie Meeks – z pewnością coś musiało być...

Śmiech Meeksa był ostry i przejmujący.

– Dlaczego nie widzimy, co niby ma zadziałać, a co nie, panie Holiday?!

Dłoń w rękawicy wzniosła się w górę, z rozczapierzonymi palcami, których końce zapłonęły zielonym płomieniem. Ben rzucił się przed siebie, mijając ciemną postać czarownika. Jak szalony toczył się po podłodze, by uniknąć zetknięcia z ogniem, a w końcu poderwał się na nogi. Próbował krzyknąć, lecz nie mógł. Otoczyły go cienie. Dusiły go. Sen, który nie chciał przyjść wcześniej, teraz był nie do odparcia.

Ben Holiday miotał się przez chwilę bezradnie, by w końcu upaść i pogрузić się w ciemności.



## OBCY

Ben obudził się ponownie w cieniach i półmroku, przymrużonymi oczami usiłując przeniknąć rój obrazów kołyszących się, jak patyki unoszone falami oceanu i kłębiące się przy brzegu. Leżał na jakimś posłaniu. Na twarzy czuł dotyk chłodnego i miękkiego skórzanego obicia. Jego pierwszą myślą była ta, że jeszcze żyje. Drugą – zdziwienie: dlaczego?

Zamrugnął, czekając, aż obrazy przestaną wirować mu przed oczami. Wspomnienie tego, co się wydarzyło wróciło z bolesną intensywnością. Znowu czuł gniew i rozpacz. Meeks powrócił do Landover. Przyłapał go nie przygotowanego na spotkanie, zniszczył magiczny kamień подарowany mu przez Willow, obdarł go z szat, otoczył ciemnościami, pozbawił przytomności i...

O, mój Boże!

Wsadził rękę pod tunikę i zaczął po omacku szukać zawieszzonego mu na szyi medalionu. Rozgorączkowanym ruchem wyciągnął go na słabe światło poranka, a w jego myślach szeptały już słowa przestrogi. Ich realność czyniła je jego własnymi myślami. Rzeźbiona powierzchnia medalionu wydawała się skrzyć. Przez chwilę miał wrażenie, że widzi na niej znajomą postać Paladyna odjeżdżającego ze Sterling Silver w kierunku wschodzącego słońca. Jednak potem Paladyn, zamek i słońce zniknęły, a na powierzchni metalu pozostała tylko czarna postać Meeksa na chropowatym i pociemniałym ze starości tle.

Ben przelknął ślinę, usiłując wyzbyć się uczucia suchości w gardle. Tak, potwierdziły się jego najgorsze obawy. Meeks skradł medalion króla Landover.

Ogarnęła go rozpacz. Starał się stanąć na nogi. Przez moment nawet mu się to udawało – widocznie jakaś dodatkowo wydzielona porcja adrenaliny pozwoliła mu zebrać siły. Stał. Wirujące obrazy uspokoiły się już na tyle, że mógł rozpoznać, gdzie się znajduje. Był nadal w Sterling Silver, w komnacie położonej we frontowej części zamku, przeznaczonej dla oczekujących na audiencję gości. Poznał ławkę, na której leżał – obitą rdzawoczerwoną skórą i z rzeźbionymi drewnianymi nogami. Wiedział gdzie jest, ale nie wiedział dlaczego – podobnie, jak nie wiedział, dlaczego ciągle jeszcze żyje...

Znowu opadł z sił, ugięły się pod nim nogi i zwałił się na ławkę. Drewno i skóra zatrzeszczały, alarmując kogoś oczekującego na zewnątrz. Otworzyły się drzwi. Ukazała się w nich mała twarz o świdrujących oczach i wydatnych uszach.

To był Bunion!

Bunion wszedł i spojrzał na leżącego.

Ben nigdy w życiu nie ucieszył się tak czymś widokiem. Chętnie uściskałby małego kobolda, gdyby tylko znalazł na to siły. Nie mogąc jednak zrobić nic innego, leżał po prostu, głupio się uśmiechając i próbując wprawić w ruch swoje usta. Bunion pomógł mu znowu usiąść na ławce i czekał, aż Ben zdoła wydobyć z siebie słowa.

– Znajdź Questora – zdołał w końcu wydusić. Znowu przełknął ślinę, walcząc z uczuciem suchości i wrażeniem, jak gdyby gardło miał wysypane kredą. – Przyrowadź go. I nie mów nikomu, co robisz. Bądź ostrożny. Meeks jest tutaj, w zamku!

Na wykrzywionej twarzy gapiącego się na niego Buniona widać było konsternację. Po chwili odwrócił się i bez słowa wyszedł z komnaty. Wyczerpany Ben znowu opadł na ławę. Stary dobry Bunion. Nie wiedział wprawdzie, co kobold tutaj robił, a nawet, co sam robi w tym miejscu, ale wydawało mu się, że jest to szczęśliwy zbieg okoliczności. Jeśli wystarczająco szybko zdoła odnaleźć Questora, ten wezwie strażę i położy kres wszelkiemu zagrożeniu, jakie stwarzał Meeks. Meeks był potężnym magiem, lecz nie zdołałby stawić czoła licznym strażom. Ben odzyska swój medalion, a Meeks do końca swoich dni będzie żałował, że w ogóle przyszło mu na myśl, by się wkraść do Landover!

Zamknął oczy, starając się znowu zebrać wewnętrzne siły, jakie mu jeszcze pozostały, i jeszcze raz uniósł się na ławie. Ogarnął wzrokiem komnatę. Była pusta. Blask świec umieszczonych w ściennym i stołowym świeczniku rozpraszał ciemności. Światło z zewnątrz wkraśniało się przez otwór ponad zamkniętymi drzwiami. Stał, opierając się łydkami o ławę dla zachowania równowagi. Nadal miał na sobie założony przez Meeksa strój parobka. Jego dłonie były oblepione brudem. Sprytna sztuczka – pomyślał Ben – ale nic z tego. Jestem nadal sobą.

Przez chwilę oddychał głęboko, uspokajając stające mu przed oczami wizje i odzyskując siły. Poprzez podeszwy swoich zniszczonych, roboczych butów czuł bijące z podłogi ciepło zamku. Czuł jego wibrację. Niosła jakiś niepokój. Zdawało się, że wie, w jakim Ben jest niebezpieczeństwie.

Nie obawiaj się, wszystko będzie dobrze – pocieszał go w myślach.

Dało się słyszeć kroki i drzwi otworzyły się. Stanął w nich Questor Thews wraz z Bunionem. Zawahał się, po czym wszedł bez słowa do środka. Kobold podążył za nim, zamykając za sobą drzwi.

– Questor, dzięki Bogu, że tu jesteś! – wybuchnął Ben. Ruszył naprzód, rozkładając ręce w geście powitania. – Musimy działać szybko. Meeks jest tutaj – tu, gdzieś w zamku. Nie wiem, jak zdołał to zrobić, ale ukradł mój medalion. Musimy zaalarmować strażę, zanim...

Zatrzymał się gwałtownie na kilka kroków przed swym przyjacielem. Jego słowa były w próżnię. Mag trzymał swe ręce przy bokach, nie zamierzając odwzajemnić powitania. Jego sowa twarz była surowa, a krzaczaste brwi – zmarszczone.

Questor Thews spoglądał na Bena tak, jak gdyby nigdy przedtem nie widział króla Landover. Ben zeszywniał.

– O co chodzi, Questorze?

Mag nadal przyglądał mu się badawczo.

– Kim jesteś?

– Kim jestem? Co to ma znaczyć?! To ja, Ben!

– Ben? A więc nazywasz siebie Benem?

– Oczywiście, że tak siebie nazywam! Jak inaczej miałbym siebie nazywać? To w końcu moje imię, czyż nie?

– Wygląda na to, że w to wierzysz.

– Questor, o czym ty mówisz? Wierzę, bo tak jest! Questor Thews zmarszczył brwi. Zmarszczki na jego czole stały się jeszcze głębsze.

– Ty jesteś Benem Holidayem? Ty jesteś wielkim władcą Landover?

Ben patrzył na niego bez słowa. Niedowierzenie w jego głosie było aż nadto wyraźne.

– Nie poznajesz mnie – czy tak? – zaryzykował. Mag potrząsnął głową.

– Nie poznaję.

Bena gwałtownie ścisnęło w dołku.

– Spójrz, to przecież tylko stare ubrania i brud, u licha! Spójrz na mnie! To sprawka Meeksa – przemienił moje ubrania, trochę mnie przybrudził. Ale to ciągle ja!

– I ty jesteś Benem Holidayem?

– Tak, a niech to!

Questor przyglądał mu się przez chwilę, wziął głęboki oddech.

– Możliwe, że wierzysz w to, że jesteś Benem Holidayem. Możesz nawet uważać się za wielkiego władcę Landover. Ale nim nie jesteś. Wiem, bo przed chwilą wróciłem od króla – a on nie był tobą! Jesteś intruzem. Jesteś szpiegiem, a może i kimś gorszym. Wtargnąłeś tu nieproszony, podsłuchiwałeś prywatne rozmowy, zaatakowałeś króla w jego sypialni, a teraz twierdzisz, że jesteś kimś, kim nie jesteś. Jeśli to zależałoby ode mnie, kazałbym cię natychmiast uwięzić. Jesteś wolny tylko dzięki temu, że sam król kazał cię wypuścić. Radzę ci, opuść to miejsce jak najszybciej. Wróć tam, skąd przyszedłeś. Znajdź ukojenie dla swych dolegliwości, jakiegokolwiek one są, i trzymaj się daleko, daleko stąd!

Ben był wstrząśnięty. Nie mógł nawet myśleć o tym, co ma teraz robić. Słyszał siebie mówiącego do Meeksa: „Z medalionem, czy bez niego, ja stale jestem sobą, a ty sobą!” Słyszał odpowiedź Meeksa: „Czy jest pan pewien, panie Holiday?”

Szybko zwrócił się do Buniona, szukając w jego wyrazistych oczach jakiegoś śladu rozpoznania. Nic z tego. Mijając ich obydwu, ruszył ku lustru wiszącemu niedaleko drzwi. W półmroku wpatrzył się w swoje odbicie w szkło. Był dokładnie taki sam, jak zawsze! Dlaczego nie widzieli tego Bunion i Questor?

– Posłuchajcie! – Ruszył ku nim rozdygotany. – Meeks powrócił tu ze starego świata, skradł medalion, i w jakiś sposób uczynił mnie nierozpoznawalnym dla innych! Dla siebie wyglądam tak samo, jak wyglądałem, ale dla was – nie!

Questor skrzyżował ręce na piersiach.

– A więc wyglądasz inaczej dla wszystkich za wyjątkiem siebie?

Brzmiało to tak śmiesznie, że przez chwilę Ben tylko gapił się na niego.

– Tak – odpowiedział w końcu. – I spowodował, że sam wyglądam tak, jak ja! Jakimś sposobem ukradł moją tożsamość. Nie zaatakowałem go w sypialni. To on mnie zaatakował. –

Ben podszedł krok naprzód, miotając wzrokiem to na jedną, to na drugą twarz. – To on zesłał sny. Czy nie rozumiecie? On to wszystko przygotował! Nie wiem dlaczego, ale tak właśnie zrobił! To jego odwet za to, co my mu zrobiliśmy!

W oczach Questora pojawił się wyraz irytacji, w Buniona – obojętność. Ben chwycił się ostatniej deski ratunku.

– Nie możecie mu na to pozwolić, do cholery! Nie możecie mi pozwolić tak odejść! – Jego twarz promieniowała gniewem. – Jeśli nie jestem tym, za kogo się podaję, skąd wiem o tym wszystkim? Skąd mógłbym wiedzieć o snach: moim – o Milesie Bennecie, twoim – o zaginionych księgach magii, Willow – o czarnym jednorożcu. Na litość boską, co dzieje się z Willow? Ktoś musi ją ostrzec! Słuchajcie, do licha! Skąd mógłbym wiedzieć o księgach, które przynieśliście wczoraj wieczorem? O tej z jednorożcami. Wiem o nich. Wiem o medalionie, o... Zapytajcie mnie o coś! No, śmiało! Przetestujcie mnie!

Questor poważnie potrząsnął głową.

– Nie mam czasu na takie zabawy, kimkolwiek jesteś. Wiesz o tym wszystkim, bo jesteś szpiegiem i dowiedziałeś się o tym, szpiegując. Słuchałeś naszych rozmów, by wykorzystać je potem do swoich celów. Czy zapomniałeś, że przyznałeś się do tego wszystkiego przed jego wysokością, gdy schwytał cię w sypialni? Przyznałeś się do wszystkiego, gdy cię przycisnęli. Miałeś szczęście, że nie zostałeś zabity przez strażę, kiedy próbowałeś zbiec. Masz szczęście, że...

– Znikąd nie uciekałem! – krzyczał rozwścieczony Ben. Chciał rzucić się na Questora, lecz Bunion stanął między nimi i powstrzymał go. – Słuchajcie! Jestem Benem Holidayem! Jestem królem Landover! Jestem...

W uchylonych drzwiach ukazali się zaalarmowani jego krzykami strażnicy. Questor skinął i strażnicy wzięli Bena za rękę.

– Nie rób tego! – krzyczał. – Daj mi szansę...

– Właśnie ją dostałeś! – zimno przerwał Questor Thews. – Wykorzystaj ją i opuść to miejsce!

Krzyżującego, protestującego, miotającego się i usiłującego przekonać wszystkich o swej tożsamości Bena wyciągnięto z sali. Jego myśli były pełne gniewu i zawodu. Udało mu się przez moment dojrzeć wysoką, ubraną w ciemne szaty postać, obserwującą z pewnej odległości całe to wydarzenie. Meeks! Ben krzyczał jeszcze głośniejszym głosem, usiłując się uwolnić. Jeden ze strażników zdzielił go, aż Ben ujrzał gwiazdy. Głowa mu opadła, a głos ucichł. Musiał coś zrobić! Ale co? Co?!

Postać w ciemnych szatach zniknęła. Questor i Bunion pozostali w tyle. Ben został wywleczony przez bramę poza mury zamku. Most, który kazał wybudować po objęciu tronu był rozświetlony pochodniami. Przeciągnięto go po nim i porzucono po drugiej stronie.

– Dobranoc, wasza wysokość – zadrwił jeden ze strażników.

– Czekamy waszych rychłych odwiedzin – dodał drugi. Odeszli, śmiejąc się.

– Następnym razem obetniemy mu uszy – powiedział jeden z nich.

Ben leżał przez chwilę na ziemi, kręcąc głową. Powoli uniósł się i spojrzał na drugi koniec mostu. Lśniły tam światła zamku. Patrzył na wieże i umocnienia, lśniące srebrem w świetle ośmiu księżyców Landover. Słuchał cichnących głosów i ciężkiego skrzypienia zamykanych bram.

Potem zapanowała cisza.

Nadal nie mógł uwierzyć w to, co się wydarzyło.

– Matko! – wyszeptała Willow, a w jej głosie zabrzmiała nuta podniecenia i tęsknoty.

Księżycowe światło osnuło wielką puszcę krainy jezior mieszaniną kolorów tęczy, rozpraszając cienie swoją chłodną jasnością. Parsnip cierpliwie oczekiwał jej przybycia gdzieś dalej, w obozowisku, wśród cieni. Elderew, stolica Władcy Rzek, spała pod kocem ciszy snem swych mieszkańców. Elderew było rodzinnym miastem Willow, a Władca Rzek był jej ojcem. Jednak nie przyszła tej nocy ani by oglądać swój dom, ani by spotkać ojca.

Tańcząca przed nią nimfa leśna wyglądała jak obrazek z bajki.

Willow uklękała na skraju otoczonej przez wiekowe sosny polany i oglądała ten magiczny spektakl. Jej matka wirowała i posuwała się do przodu przez ciszę nocy, lekka i efemeryczna, zrodzona z powietrza i pchana wiatrem. Była drobna – ledwie krzyna życia. Okrywała ją biała szata, półprzezroczysta i niewyobrażalnie powabna. Odbijała się w niej bladozielona twarz jej córki. Sięgające talii srebrzyste włosy powiewały i skrzyły się przy każdym ruchu, jak płomień białego ognia w ciemnościach nocy. Unosiła ją muzyka, którą tylko ona mogła słyszeć.

Willow obserwowała w napięciu. Jej matka była dzikim stworzeniem – tak dzikim, że nie mogła żyć wśród ludzi, nawet wśród takich, jacy zamieszkiwali zaczarowaną krainę. Przez krótki czas była związana z ojcem Willow, lecz było to bardzo dawno temu. Gdy się spotkali, Władca Rzek niemal oszalał na jej punkcie – na punkcie nimfy leśnej, której nie mógł mieć. Potem ona na powrót zniknęła w lasach. Nigdy do niego nie powróciła. Willow narodziła się z tego krótkotrwałego związku, pozostając na zawsze czymś, co przypominało jej ojcu o zaczarowanej istocie, której zawsze pragnął, i której nigdy nie mógł mieć. Niezmierzona tęsknota przeplatała w nim miłość z nienawiścią. Jego uczucia wobec Willow zawsze były mieszane.

Willow rozumiała to. Była sylfidą, grą żywiołów. Była dzieckiem obojga swoich rodziców: stałego ducha wodnego miała za ojca, za matkę – niestałą w niczym nimfę leśną. Domatorstwo ojca dało jej charakterowi pewną stabilność, lecz w równym stopniu tkwiła w niej dzikość matki. Była stworzeniem pełnym sprzeczności. Jej amorficzne ciało było zarazem ciałem człowieka i rośliny. Przez większą część cyklu księżycowego była człowiekiem, a drzewem przez krótki okres apeksu – jedną noc, co dwadzieścia dni. Ben był przerażony, gdy po raz pierwszy ujrzał jej transformację. Przemieniła się z człowieka w drzewo na tej właśnie polanie. Ben był wstrząśnięty, lecz Willow była po prostu tym, kim była. Będzie musiał to w końcu zaakceptować. Wierzyła, że któregoś dnia będzie ją kochał i za to. Z jej ojcem zawsze było inaczej. Jego miłość była warunkowa i zawsze taką miała pozostać. Stale był zniewolony niezaspokojonym pożądaniem, które wzbudziła w nim jej matka. Willow wydawała się tylko podkreślać wagę

przytłaczającego go ciężaru.

Tak więc Willow z prośbą o wyjaśnienie swego snu o czarnym jednorożcu nie wybrała się do ojca. Przyszła do matki.

Jej matka zbliżała się, wirując z gracją i mocą, które wykraczały poza zrozumienie. Choć dzika i zniewolona na swój sposób żądzami, którym nie potrafiła się opierać, kochała jednak swoją córkę – bezwarunkowo, bezgranicznie. Przybyła, gdy Willow jej potrzebowała. Więź pomiędzy nimi była tak silna, że często mogły wyczuwać nawzajem swoje myśli. Rozmawiały teraz w ciszy umysłów, wymieniając uczucia miłości i tęsknoty. Rosnąca siła ich wzajemnych emocji przekształciła myśli w słowa...

– Matko... – szepnęła Willow po raz drugi.

Czuła się jak we śnie. Jej matka tańczyła i oglądała odegraną pełnymi emocjami ruchami scenę ze snu Willow. Czarny jednorożec, stworzenie o niewyobrażalnej i przerażającej urodzie, pojawił się jeszcze raz. Stał przed nią w ciemnościach lasu, o którym wtedy śniła. Jego smukła sylwetka gniewnie skrzyła się w świetle księżyca. Willow zadrżała. Jednorożec na przemian wydawał się być jakimś baśniowym stworzeniem i demonem Abaddonu. Jego spiralnie skreślony róg połyskiwał, a kopyta deptały leśną ziemię. Z opuszczoną głową, poruszał się szybko i nerwowo. Po chwili ostrożnie się wycofał. Wyglądał na schwytanego w pułapkę niezdecydowania.

Co go tak niepokoi? – zastanawiała się zadziwiona Willow.

Spojrzała nagle w dół. Odpowiedź leżała w jej dłoniach. Trzymała znowu złotą uprząż. Instynktownie czuła, że może przy jej pomocy okiełznać zwierzę. Przesunęła po niej palcami, wyczuwając gładki splot osnowy i wątku. Przebiegł przez nią dziwny dreszcz emocji. Uprząż dawała jej tak wielką moc! Mogła teraz uczynić jednorożca własnością. W żadnym ze światów nie pozostał już ani jeden jednorożec. W żadnym z wyjątkiem tego zaczarowanego świata, do którego mogła już nigdy więcej nie dotrzeć. Może była to jedyna szansa? Jednorożec mógł należeć do niej, jeśli tylko tego zechciała. Wystarczyło tylko wyciągnąć ręce...

Lecz nie – Willow otrząsnęła się – jeśli tylko dotknęła tego zwierzęcia choćby przez najkrótszą chwilę, byłaby zgubiona. Wiedziała o tym. Wiedziała o tym zawsze. Musiała dać uprząż Benowi, bo należała ona do niego...

Jednorożec wzniosł głowę, pełen gracji i wdzięku. Czarny pysk był doskonale proporcjonalny, a długą grzywą powiewał każdy szept wiatru. W jego oczach czaił się strach, lęk przed czymś innym, niż nimfa i jej złota uprząż, lęk przed czymś wykraczającym poza pojmowanie. Willow sparaliżowało przerażenie. Oczy czarnego zwierzęcia wydawały się niemal ją pochłaniać. Sen kończył się. Mrugała powiekami, by przełamać czar i poczuć choć przez moment coś innego, niż ów strach w oczach zwierzęcia. To, co widziała, było niewątpliwie błaganiem o pomoc.

Niemal bezwolnie wzniosła ręce, trzymając przed sobą uprząż, niczym talizman.

Czarny jednorożec mocno, niespokojnie prychnął. Cienie lasu zdały się iskrzyć w odpowiedzi. Wtedy sen gwałtownie rozwiął się, a jednorożec zniknął. Matka Willow znowu

tańczyła sama na otoczonej sosnami polanie. Nimfa leśna zawirowała jeszcze raz, migocąc w ciemnościach odrobiną księżycowego światła. Zwolniła swe piruety, unosząc się w kierunku miejsca, gdzie klęczała jej córka.

Wyczerpana wysiłkiem, jaki kosztował ją ów sen, Willow przysiadła.

– O, matko – mruknęła i uściśnęła wiotkie, bladozielone dłonie. – Co pokazałam? – Uśmiechnęła się łagodnie. W oczach i na policzkach miała łzy. – Chyba nie ma sensu cię o to pytać, prawda? Nie wiesz o tym nic więcej ode mnie. Twój taniec wyraża to, co czujesz, nie to, co wiesz.

Rysy twarzy matki zmieniły się ledwie dostrzegalnie. Opuściła oczy, napięła usta. Rozumiała, lecz nie mogła pomóc. Jej taniec był kanałem przekazu wiedzy, lecz nie jej źródłem. Magiczne moce często w ten sposób posługiwały się tymi stworzeniami.

– Matko! – Willow nieco ścisnęła jej ręce, czerpiąc z tego w jakiś sposób siłę. – Muszę poznać źródło snów o jednorożcu i złotej uprząży. Muszę wiedzieć, dlaczego widzę we snach coś, co jednocześnie pociąga i przeraża. W co mam wierzyć?

Teraz drobne dłonie matki oplotyły ręce Willow. Matka odpowiedziała krótkim, podobnym do głosu ptaka, dźwiękiem, który odbił się echem w pogrążonym w nocy lesie.

Willow nachyliła się jeszcze bardziej ku matce i wstrząsnęło nią coś na kształt dreszczu.

– Czy w Krainie Jezior jest ktoś, kto mógłby pomóc mi to zrozumieć? – zapytała łagodnie. – Czy jest ktoś, kto może to wiedzieć? – Na jej twarzy rosło napięcie. – Matko, muszę do niego iść! W tej chwili!

I znowu matka odpowiedziała krótkim, dziwnym dźwiękiem. Uniosła się i ruszyła wstecz, unosząc się nad polaną. Jej ręce wykonywały pełne niepokoju ruchy. „Jutro – mówiły – dzisiejszej nocy nie możesz. Nadszedł twój czas”.

Willow wzniosła twarz.

– Tak, matko – szepnęła posłusznie.

Rozumiała. Mogła życzyć sobie, by było inaczej – i rzeczywiście nie raz jej się już to zdarzyło – lecz nie mogła walczyć z realnością swej natury. Dwudziestodniowy cykl właśnie się kończył. Następował czas przemiany. Jej potrzeba była już tak silna, że Willow ledwie nad nią panowała. Znowu przeniknął ją dreszcz. Musiała się spieszyć.

Pomyślała o Benie, i o tym, jak bardzo pragnęłaby jego obecności.

Wstała i wyszła na środek polany. Wzniosła ramiona, jak gdyby chciała dosięgnąć barwnych światel księżyców. Otoczyła ją świetlista luna. Czuła, jak istota jej matki emanuje z ziemi, po której tańczyła. Karmiła się nią.

– Pozostań tu, blisko mnie! – prosiła, a jej ciało skrzyło się. Jej stopy wygięły się łukowato i rozdzieliły na korzenie, wkradając w ciemną ziemię. Ramiona wydłużyły się, stając się gałęziami. Transformacja rozpoczęła się.

Chwilę później była już skończona. Willow zniknęła. Stała się drzewem, którego nazwa była jej imieniem.\*[\* ang. *willow* znaczy „wierzba”] Miała nim pozostać aż do świtu.

Jej matka ułożyła się blisko niej. Przez jakiś czas tkwiła tak w bezruchu. Jej blade, smukłe ramiona oplotły szorstki pień, w którym zakłete było życie jej córki, i mocno go tuliły.

Nadchodził świt. Księżycy Landover bladły jeden po drugim, a cienie nocy ustępowały coraz intensywniejszemu złocistemu odcieniowi, który powoli ogarniał niebo nad wschodnim horyzontem.

Questor Thews przemierzał sale Sterling Silver. Wychudzona postać stracha na wróble, ubrana w szare, przybrane barwnymi pasami szaty, spoglądała na świat tak, jak gdyby straciła właśnie najlepszego przyjaciela. Questor zakręcił na rogu tuż przy holu wiodącym do głównego wejścia i niemal zderzył się z Abernathym.

– Poranny spacer? – zapytał skryba łobuzersko. Questor mruknął, a zmarszczki na jego czole się pogłębiły.

– Nie mogę spać i nie mam najmniejszego pojęcia dlaczego. Przecież mam dosyć powodów, żeby czuć się zmęczonym.

Włochata twarz Abernathy'ego nie zdradzała niczego, cokolwiek o tym myślał. Wzruszywszy ramionami, zawrócił i dołączył do Questora.

– O ile wiem, złapano kogoś, kto tej nocy dostał się do sypialni jego wysokości – kogoś, kto podawał się za króla.

Questor mruknął po raz drugi.

– Szalenciec. Miał szczęście, że go wypuszczono. O dziwo, sam król tak rozkazał: „Wyrzućcie go z zamku!” Zapewniam cię, że gdyby decyzja należała do mnie, nie byłbym tak łaskawy.

Przeszli jeszcze kawałek.

– To dziwne, że król go wypuścił – stwierdził w końcu Abernathy. Zmarszczył nos. – Zwykle ma lepsze pomysły co do postępowania z wrogami.

– Hm... – Questor zdawał się nic nie słyszeć. Zamyślony potrząsał głową. – Niepokoi mnie, że ten człowiek wiedział aż tyle o snach. Wiedział o księgach magii, o podróży jego wysokości, jednorożcu... – Przez chwilę milczał. – Zachowywał się, jak gdyby wiedział o wszystkim. Był tak pewny siebie!

Znowu zamilkli na jakiś czas. Questor wiodł ręką po poręczy, obserwując zewnętrzne parapety frontowej części zamku. W dole widać było rozciągający się nad jeziorem most łączący zamkową wyspę ze stałym lądem. Był pusty i tonął we mgle. Questor wypatrywał czegoś w blednącym mroku, przyglądając się linii przeciwnego brzegu. Jego sowa twarz napięła się jak zaciśnięty węzeł.

– Obcy chyba już dokądś odszedł – powiedział w końcu. Abernathy spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– Oczekiwałeś czegoś innego? – zapytał.

Na próżno czekał odpowiedzi na swe pytanie. Questor nadal wpatrywał się w dal i nie odzywał ani słowem.



## DIRK ZE SKRAJU LASU

Dzień nie zastał Bena stojącego u bram Sterling Sihler z nosem wcisniętym między ich deski, jak można byłoby przypuszczać. Gdy nadszedł, Ben wędrował już na południe, w kierunku krainy jezior. Szedł szybkim i zdecydowanym krokiem. Nim słońce wzniosło się ponad linię drzew na szczytach gór opasujących dolinę, pokonał już pół tuzina mil. Przed zmierzchem zamierzał przejść co najmniej tuzin.

Decyzja odejścia nie była łatwa. Jej podjęcie zajęło mu trochę czasu. Siedział wtedy w zimnych ciemnościach, wpatrując się w odległe światła zamku i zastanawiając się, co go uderzyło. Był tak ogłuszony, że nie ruszał się z miejsca przez pierwsze pół godziny. Po prostu siedział. Jego uczucia bujały pomiędzy lękiem, złością i zaszokowaniem. Było to jak zły sen, od którego – masz pewność – zdołasz uciec, choć czas na ucieczkę już dawno minął. Ben ciągle od nowa analizował wypadki tej nocy, starając się jakoś racjonalnie je wyjaśnić, uporządkować, znaleźć w nich jakąś logiczną konsekwencję. Nic z tego. Zawsze dochodził do tych samych wniosków. Meeks zawsze był początkiem i końcem wszystkiego.

W końcu, zrozpaczony, zaakceptował to, że cała ta historia wydarzyła się rzeczywiście. Rzucił życie w starym, bezpiecznym i znajomym świecie, by przybyć do Landover. Ryzykował utratę wszystkiego, by odnaleźć coś jeszcze lepszego. Na każdym kroku piętrzyły się przed nim trudności, lecz pokonał je. Osiągnął w rzeczywistości to, co znał tylko ze snów. Teraz, gdy tylko zaczął się tu czuć bezpieczniej z tym, co osiągnął, gdy tylko pomyślał, że najgorsze już minęło, wszystko, czego poszukiwał i o co walczył tak zaciekle, zostało mu zabrane. Stał przed perspektywą utraty tego wszystkiego na zawsze.

Nie, to niemożliwe. To nie byłoby sprawiedliwe.

Jednak stało się. Nie byłby przez te wszystkie lata tak dobrym prawnikiem, jeśli by unikał konfrontacji z faktami. Stłumił więc swoją rozpacz, pokonał paraliżujący go szok, odrzucił gniew i strach. Zmusił się do stawienia czoła sytuacji. Ciągłe przypominanie sobie i analizowanie biegu wydarzeń nie pozwoliło mu na wyciągnięcie żadnych interesujących wniosków. Meeks użył swych sztuczek w czasie podróży Bena do starego świata i pozwolił mu się przenieść do Landover. To Meeks zesłał mu fałszywy sen o Milesie. Również Meeks zesłał Questorowi sen o zaginionych księgach magii, a Willow sen o czarnym jednorożcu. Dlaczego? Musiał widocznie mieć jakiś powód. Wszystkie te sny musiało coś wiązać. Ben był o tym przekonany. Był również pewien, że coś zmusiło Meeksa do wyboru właśnie tej szczególnej drogi powrotu do Landover. Jego słowa w komnacie sypialnej czyniły to oczywistym. Ben w pewien sposób pokrzyżował jego plany. Ale było to coś więcej, niż tylko stanięcie na drodze do sprzedaży tronu Landover kolejnym śmiałkom czy wygnanie czarownika z jego świata. Zrobił coś, co było dla Meeksa znacznie bardziej istotne i niebezpieczniejsze. Gniew maga wznieciły wypadki i okoliczności, pozostające dla Bena tajemnicą. To one zmusiły Meeksa do niemal desperackiego powrotu.

Ben nie miał jednak pojęcia dlaczego.

Wiedział, że – choć wyglądało to na zamierzoną prowokację – Meeks nie zabił go wtedy, gdy mógł to z łatwością zrobić. To było zastanawiające. Najwyraźniej Meeks nienawidził go tak, że chciał, by Ben cierpiał przez jakiś czas jako wygnaniec. Lecz czy puszczenie go wolno nie było zbyt ryzykowne? Wcześniej czy później ktoś pozna się na oszustwie Meeksa i odkryje prawdziwą wersję wypadków. Meeks nie mógł przecież przejąć jego tożsamości, a Ben nie mógł na zawsze pozostać nierozpoznanym. Musiał istnieć jakiś sposób, by oszukać amulet, którym naznaczył go Meeks, i Ben ten sposób kiedyś odkryje. Z drugiej strony, być może to, czego dokonał, to tylko chwilowe zwycięstwo, które w szerszej perspektywie nie ma żadnego znaczenia. Ben miał niewiele czasu. Może ta gra skończy się dla niego, nim będzie mu dane poznać jej reguły?

Ta ewentualność napełniała go przerażeniem. Znaczyło to, że musi działać szybko, jeśli nie chce ryzykować utraty możliwości działania na zawsze. Ale co miałby robić? Wpatrywał się przez wody jeziora w ciemną sylwetkę zamku i myślał. Tu, będąc obcym dla wszystkich, nawet dla najbliższych przyjaciół, tracił czas. Jeśli nie rozpoznali go nawet Questor i Bunion, to któż w Sterling Silver mógłby go rozpoznać? Teraz Meeks był władcą Landover. Ben musiał uznać ten fakt. Wywołało to w nim uczucie, jak gdyby ktoś wcierał mu sól w otwarte rany. Lecz nic nie mógł na to poradzić. Meeks był Benem, a Ben – jakimś facetem, który wkradł się nieproszony do zamku i narobił zamieszania. Jeśli by spróbował wdrzeć się tam powtórnie, z pewnością wyszedłby z tego z powierzchownością jeszcze gorszą, niż miał w tej chwili.

Może Meeks na to właśnie liczył. Może tego oczekiwał. Ben nie chciał ryzykować.

Poza tym, miał wiele do wyboru. Choć nie wiedział dokładnie, co Meeks zamierza teraz zrobić, to wiedział z pewnością, jak może – o ile będzie działał szybko – sprawić czarnoksiężnikowi kłopoty. Meeks zesłał trzy sny. Dwa z nich spełniły już swe zadania. Dzięki snowi Bena Meeks zdołał powrócić do Landover. Questora użył, by ten dostarczył mu zaginione księgi magii. Ben był całkowicie pewien, że Meeks ma już te księgi. Pozostał więc jeszcze trzeci sen – sen Willow o czarnym jednorożcu. Meeks spodziewał się czegoś i po tym trzecim. Wymknęło mu się to w słowach gniewu. Szukał złotej uprzęży i wierzył, że Willow mu ją dostarczy. Dlaczego nie? Sen ostrzegał ją, że czarny jednorożec jest dla niej zagrożeniem, że uprzęż jest jedyną rzeczą, która może uchronić ją przed tym niebezpieczeństwem, i że musi przekazać ją Benowi. Ben był pewien, że Willow tak właśnie postąpi. Oczywiście, o ile odnajdzie uprzęż. I z wyjątkiem tego, że nie odda jej Meeksowi, który przybrał postać oczekującego na nią Bena. Lecz jeśli Benowi uda się dotrzeć do niej zanim to nastąpi, może zapobiec temu, co miałyby się wydarzyć. Może ostrzec Willow. Może ich dwoje zdoła odkryć, jaką moc posiada złota uprzęż, jakie znaczenie mają ona i czarny jednorożec dla Meeksa. Wtedy będą mogli pokrzyżować jego plany.

Ben, podjąwszy tę trudną decyzję, ruszył na południe. Znaczyło to zarzucenie obowiązków króla Landover i przyzwolenie, by przejął je Meeks. Znaczyło to koniec problemów z radą,

irygacją pól na południe od Waymark, zawsze porywczymi władcami Greensward, koniec ściągania podatków, i wszystkich innych spraw, których załatwienie czekałoby go na audyencji. Meeks mógł działać na jego miejscu, nie licząc się z konsekwencjami. Mógł też po prostu nic nie robić. Decyzja odejścia oznaczała opuszczenie przyjaciół: Questora, Abernathy'ego i koboldów. Czuł się niemal jak zdrajca i tchórz. Jakaś jego częśćka żądała, by został i walczył. Lecz najbardziej liczyła się Willow. Musiał ją odnaleźć i ostrzec. Dopiero po tym mógłby wziąć się za Meeksa i załatwić z nim porachunki.

Niestety, niełatwo było odnaleźć sylfidę. Ben ruszył do Krainy Jezior, bo Willow powiedziała, że właśnie tam rozpocznie poszukiwania jednorożca i złotej upręży. Lecz od momentu, kiedy Willow wyruszyła, minął już ponad tydzień. Do tej chwili poszukiwania mogły zawieść ją dokądkolwiek. Ben spodziewał się, że wyda się obcy każdemu, kogo spotka. Nie mógł więc robić użytku ze swej pozycji władcy Landover, by prosić o pomoc. Mógł zostać całkowicie zignorowany. Mógłby nawet nie zostać wpuszczony do krainy. Jeśli tak by się stało, byłby w poważnych tarapatach.

Z drugiej strony trudno byłoby sobie wyobrazić większe kłopoty od tych, w które już popadł.

Maszerował cały dzień. Idąc, czuł się lepiej. Zawsze było to jakieś pozytywne działanie, a nie beczynne siedzenie. Szedł na południe. Przebywszy niewielkie, lekko zalesione wzgórza, otaczające jezioro, na którym znajdowała się wyspa z zamkiem Sterling Silver, wkroczył w gęstszą puszcę, podlegającą już Władcy Rzek. Wzgórza wyrównały się, przechodząc w łąki, a te z kolei zamieniły się w wilgotne, pełne cienia, lasy. Bena otoczyły splątane, gęste drzewa. Wszystko przenikał zapach wilgoci. Wraz ze zbliżającym się zmierzchem w okolicy zapanowała cisza, która dopiero po jakimś czasie zaczęła wypełniać się dźwiękami.

Nie opodal spływającego z odległych wzgórz strumienia Ben znalazł polankę i tam rozłożył obozowisko. Było skromne. Nie miał ani koców, ani żywności. Musiał się zadowolić liśćmi i gałęziami drzew bonnie blues i źródlaną wodą. Posiłek był sycący, ale trudno było się czymś takim zadowolić. Stale czuł, że ktoś go obserwuje, poruszając się w ciemnościach. Czyżby mieszkańcy krainy jezior odkryli już jego obecność? Nikt jednak się nie pokazał. Ben był sam.

Samotność zachwiała jego pewnością. Nie ma czego kryć: był całkiem osamotniony i bezsilny. Utracił swój zamek, rycerzy, tożsamość, władzę, tytuł, przyjaciół. A co najgorsze – stracił swój medalion. Bez medalionu nie mógł liczyć na ochronę ze strony Paladyna. Mógł teraz polegać tylko na sobie. Nie było to wiele w porównaniu z niebezpieczeństwami grożącymi mu ze strony mieszkańców Landover i ich czarnej magii. Był szczęśliwy, że udało mu się przeżyć swoje przybycie do Landover. A przecież wtedy miał medalion! Co zrobi teraz bez niego?

Wpatrywał się w ciemności, szukając w nich odpowiedzi tak ulotnych, jak nocne cienie. Najgorsze było to, że medalion trafił w łapy Meeksa. Nie miał najmniejszego pojęcia, co ten teraz z nim zrobi. Nikt nie miał mocy, by odebrać medalion Benowi. Znaczyło to, że musiał dać go magowi z własnej woli. Lecz w jaki sposób Meeks zmusił go do tak głupiego postępku?

Gdy skończył swoją marną kolację, stale rozważając przebieg wypadków, które

doprowadziły go do tego żalosego stanu, ujrzał kota.

Kot siedział na skraju polany kilka metrów od niego i obserwował go. Ben nie miał pojęcia, od jak dawna zwierzę tam jest. Zauważył go dopiero w tej chwili, lecz kot był całkowicie zneruchomiał, więc mógł tam siedzieć już od pewnego czasu. Oczy kota lśniły szmaragdowo w świetle księżyców. Miał srebrnoszare futerko – tylko łapy, pysk i ogon były czarne. Był wiotki i delikatny. Dzicz nie wydawała się być odpowiednim dla niego miejscem. Wyglądał na zgubione zwierzę domowe.

– Witaj, kocie! – zaczął Ben, krzywo się uśmiechając.

– Witaj – odpowiedział kot.

Ben wpatrywał się w niego, będąc pewny, że się przesłyszał. Wyprostował się.

– Czy coś powiedziałeś? – zapytał ostrożnie.

Kot błysnął oczami i skupił spojrzenie na Benie, lecz nic nie powiedział. Ben czekał przez chwilę, a potem znowu siadł, wspierając się na łokciach. Zdziwił się, zdając sobie sprawę z tego, że mówiący kot nie wydał mu się wcale zjawiskiem aż tak zaskakującym. W końcu na przykład smok Strabo również potrafił mówić. A jeśli smok potrafi, to dlaczego by kot nie miał mówić?

– Fatalnie, że nie umiesz mówić – zamruczał Ben, myśląc, że miło byłoby podzielić się z kimś swym nieszczęściem.

Z nocą przyszedł przenikliwy chłód. Ben dygotał przez chwilę w swoim roboczym, zgrubnie uszytym ubraniu. Dobrze byłoby mieć choć koc, albo ogień, by ustrzec się wilgoci. A jeszcze lepiej byłoby znowu leżeć we własnym łóżku w komnacie sypialnej zamku.

Ben znowu spojrzał na kota. Ten nie poruszył się. Siedział tam, gdzie siedział, po prostu się w niego wpatrując. Ben zmarszczył brwi. Wzrok kota zaczynał go nieco drażnić. Swoją drogą, co kot mógł robić sam tutaj, w dzikiej kniei? Czy miał dom? Szmaragdowe oczy jasno błyszczały. Ich spojrzenie było ostre i natarczywe. Ben zwrócił wzrok ku ciemnościom lasu. Znowu zastanawiał się, w jaki sposób odnaleźć Willow. Będzie potrzebował pomocy Władcy Rzek. Nie miał jednak najbardziej mglistego pojęcia o tym, w jaki sposób przekona go o swej prawdziwej tożsamości. Jego palce głąskały szorstki medalion, śledząc zarys sylwetki Meeksa. Ten medalion z pewnością mu w niczym nie pomoże.

– Może magiczna moc Władcy Rzek pomoże mu mnie rozpoznać? – pomyślał głośno.

– Na twoim miejscu nie liczyłbym na to – zabrzmiało. Rozejrzał się szybko i zwrócił w kierunku, z którego dochodził głos. Nie było tam nikogo, prócz kota.

Oczy Bena zwięzły się.

– Teraz to ciebie usłyszałem! – rzucił, poirytowany wystarczająco, by nie zwracać uwagi, jak głupio to zabrzmiało. – Potrafisz mówić, tak?

Kot błysnął oczami.

– Potrafię, jeśli sprawia mi to przyjemność – odrzekł.

Ben starał się odzyskać pewność siebie.

– Rozumiem. Mógłbyś być tak uprzejmy i wcześniej oznajmić mi ten fakt, zamiast ze mną

igrać.

– Uprzejmość nie ma tu nic do rzeczy, wasza wysokość, Benie Holidayu. Igraszki zaś to sposób życia wszystkich kotów. Niepokoiśmy, śmieszymy, robimy dokładnie to, na co mamy ochotę, nie zaś to, do czego chcieliby nas zmusić. Gra to nieodłączna część kociej osobowości. Jeśli ktoś chce utrzymywać z nami stosunki, musi się z tym liczyć. Musi rozumieć, że udział w naszych igraszkach jest niezbędny na każdym poziomie komunikacji z nami.

Ben gapił się na kota.

– Skąd wiesz, kim jestem? – spytał w końcu.

– A kimże innym miałbyś być, niżli tym, kim jesteś? – odrzekł kot.

Ben zamilkł i zastanawiał się chyba przez minutę.

– No, nikim – odparł w końcu. – Lecz jak to się dzieje, że ty mnie rozpoznajesz, a nikt inny – nie? Czy nie wyglądam, według ciebie, na kogoś innego?

Kot wznosił przednią łapę i zaczął ją delikatnie lizać.

– To, na kogo się wyglądam, jest dla mnie mało istotne – rzekł kot. – Wygląd zewnętrzny może być zwodniczy. Jeśli na kogoś wyglądasz, to nie znaczy jeszcze, że nim jesteś. Nigdy nie polegamy na powierzchowności. Koty są mistrzami oszustwa i dlatego nie mogą być przez nikogo innego oszukane. Dlatego też widzę cię tym, kim naprawdę jesteś, a nie tym, na kogo wyglądasz. Nie mam pojęcia, co by było, gdyby to, jak w danej chwili wyglądasz, decydowało o tym, kim jesteś.

– No cóż, całkiem słusznie.

– Cokolwiek byś powiedział, wiem, że jakkolwiek będziesz wyglądał, zawsze pozostaniesz sobą, Benem Holidayem, władcą Landover.

Ben znowu przez chwilę milczał, zastanawiając się, o co w tym wszystkim chodzi i skąd, u licha, wzięło się to stworzenie.

– A więc wiesz, kim jestem, pomimo czarów ukrywających moją prawdziwą powierzchowność? – skonkludował Ben. – Czar nie zmylił cię?

Kot uważnie przyglądał mu się przez chwilę, potem wznosił głowę w zamyśleniu.

– Czary nie ogłupiłyby i ciebie, jeśli byś im na to nie pozwolił.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Ben zmarszczył brwi.

– I wiele, i nic. Oszustwo to gra, w którą często gramy ze sobą samym.

Rozmowa z kotem stawała się nieco niejasna. Zmęczony Ben usiadł ciężko.

– Kim pan jest, panie Kocie? – zapytał.

Kot znowu wstał, zbliżył się o parę stóp, po czym znowu siadł, sztywny i lśniący.

– Jestem mnóstwem rzeczy, mój drogi władco. Jestem tym, co widzisz, i tym, czego nie widzisz. Jestem realny i wyimaginowany. Jestem czymś ze znanego ci życia i czymś ze snów o życiu, których jeszcze nie miałeś przyjemności śnić. Zaiste, jestem anomalią.

– Bardzo to głębokie – mruknął Ben. – Czy mógłbyś nieco konkretniej?

Kot mrugnął.

– Oczywiście. Patrz na to.

Kot błysnął w ciemności, zaczął świecić, jak gdyby był radioaktywny. Jego lśniące ciało zdawało się zmieniać kształt. Ben przymrużył oczy, prawie je zamykając. Po chwili spojrzał znowu. Kot urósł. Był teraz cztery razy większy, niż poprzednio. Przestał być po prostu kotem. Między kocimi uszami, pod kocimi wąsami i futerkiem pojawił się zarys prawie ludzkiej twarzy. Pazurki zamieniły się w palce. Stworzenie wyczekująco ustawiło ogon i spojrzało na Bena.

W jego głowie pojawiło się przynajmniej pół tuzina pytań.

– Musisz być czarodziejskim stworzeniem – powiedział w końcu.

Kot uśmiechnął się niemal ludzkim uśmiechem.

– Gratuluję. Dobrze pomyślane, wasza wysokość.

– Wielkie dzięki. Czy zechciałbyś łaskawie powiedzieć mi, jakiego rodzaju stworzeniem jesteś?

– Jakiego rodzaju? No tak... hm... jestem kotem pryzmatycznym.

– A cóż to za rodzaj kotów? Uśmiech zniknął.

– Och, nie sądzę, bym potrafił ci to wyjaśnić. Nawet gdybym chciał. A raczej nie chcę. I tak w niczym by ci to nie pomogło, panie. Będąc człowiekiem, nie mógłbyś tego zrozumieć. Słuchaj, co powiem. Jestem bardzo stary i należę do bardzo rzadkiego gatunku. Jestem jednym z nielicznych. Zawsze stanowiłyśmy szczególną rasę i nie podtrzymywałyśmy gatunku w sposób, w jaki robią to inne zwierzęta. Tak to już jest ze wszystkimi magicznymi stworzeniami. Czyżbyś o tym nie wiedział? Nie? Jest właśnie tak. Kotów pryzmatycznych nie spotyka się często. Nie możemy być zbyt liczne, by móc osiągać nasze cele.

– A jakie cele usiłujesz osiągnąć tutaj? – zapytał Ben, nadal usiłując coś wywnioskować z tej całej gadaniny.

Kot od niechcienia zawachlował ogonem.

– To zależy.

– Od czego?

– Och... od... tkwiącego w tobie poczucia wartości.

Ben w milczeniu patrzył na kota. Wszystko stawało się dla niego zbyt mgliste, by dłużej pozostawać przy tej rozmowie. Zaatakowano go we własnym domu, skazano na wygnanie, jak obcego. Utracił swą tożsamość. Stracił przyjaciół. Był zmarznięty i głodny. Jeśli w ogóle miał w tej chwili jakieś poczucie wewnętrznej wartości, to było one niemal równe zeru.

Kot nieco się poruszył.

– Właśnie zastanawiam się, czy powinienem przez jakiś czas dotrzymać ci towarzystwa – oznajmiło stworzenie.

Ben uśmiechnął się słabo.

– Dotrzymać mi towarzystwa?

– Tak. Z pewnością brakuje ci czyjś towarzystwa. Nie dostrzegasz w sobie tego, kim rzeczywiście jesteś. Jak się zdaje, ani ty, ani nikt inny – na moje szczęście. To mnie intryguje.

Może zdecyduję się pozostać z tobą wystarczająco długo, by zobaczyć, jak się to wszystko skończy.

Ben nie dowierzał.

– Słuchaj, coś ci powiem. Jesteś z innej gliny. Obojętnie – kot, człowiek, jakieś zaklęte stworzenie, czy cokolwiek innego. Lepiej dobrze się zastanów, nim zdecydujesz się ze mną zadawać. Możesz się wpakować w kłopoty, które cię przerosną.

– Raczej wątpię – odrzekł kot. – W dzisiejszych czasach rzadko spotykam się z podobnymi problemami.

– Czyżby? – cierpliwość Bena właśnie się wyczerpywała. Kot był nie do zniesienia. Zbliżył się do zarozumiałego stworzenia. – Zaczniemy choćby od tego. Co będzie, jeśli ci powiem, że to mag imieniem Meeks skradł moją tożsamość, tron, życie, i skazał mnie na wygnanie w moim własnym kraju? A co, jeśli ci powiem, że zamierzam to wszystko odzyskać, ale żeby tego dokonać, muszę odszukać sylfidę, która z kolei poszukuje czarnego jednoroźca? Co, jeżeli ci powiem, że wszystko wskazuje na to, iż gdy tylko zostanę odkryty, mogę być zglądzony, i to samo grozi każdemu na tyle odważnemu, by oferować mi pomoc?

Kot milczał. Po prostu siedział, jakby rozważał słowa Bena. Ben tymczasem oparł się wygodnie, zarazem zadowolony i zde gustowany swoim zachowaniem. Mógł sobie, rzecz jasna, pogratulować odkrycia przed kotem kart i ułatwienia mu decyzji. Ale być może w ten sposób utracił jedyną szansę znalezienia kogoś, kto byłby mu w stanie pomóc. W końcu stwierdził, że i tak by mu się to nie udało.

Jednak kot wyglądał na niewzruszonego.

– Kotów nie da się łatwo zniechęcić, jeśli już coś postanowią. Koty zachowują się niezależnie, na swój własny sposób. Nie można ich zniechęcić czy zastraszyć. Nie rozumiem więc, czemu zadajesz sobie ten trud wobec mnie, panie.

Ben westchnął.

– Przepraszam. Myślałem tylko, że powinieneś wiedzieć, jak mają się moje sprawy.

Kot stanął, wyprężywszy grzbiet.

– Wiem dokładnie, jak się mają twoje sprawy. To ty jesteś tym, którego oszukano. Lecz wystarczy oszustwo ujawnić, a zostanie ono potępione. Myślę, że łączy cię to z czarnym jednoroźcem.

Ben jeszcze raz został zaskoczony. Zmarszczył czoło.

– Wiesz o czarnym jednoroźcu? Czy to stworzenie rzeczywiście istnieje?

Kot wyglądał na zde gustowanego.

– Szukasz go, prawda?

– Właściwie to bardziej sylfidy niż jednoroźca – Ben odpowiedział w pośpiechu. – Miała sen o tym stworzeniu i o złotej uprząży, która mogła je poskromić. Wyruszyła na poszukiwanie zwierzęcia i uprząży – zawahał się i po chwili znowu zaczął. – Sen o jednoroźcu zesłał mag. Zesłał i inne – jeden mi, drugi Questorowi Thewsowi, również magowi, swemu przyrodniemu

bratu. Myślę, że wszystkie te sny są jakoś ze sobą powiązane. Obawiam się, że Willow – sylfida – jest w niebezpieczeństwie. Jeśli zdołałbym ją odnaleźć, zanim Meeks...

– Tak, tak – kot przerwał dosyć grubiańsko. Na jego twarzy widać było znudzenie. – Chyba lepiej będzie, jeśli pójdę z tobą. Z magami i czarnymi jednorożcami nie ma żartów.

– Zgadzam się – rzekł Ben – ale nie wygląda na to, byś był lepiej ode mnie wyposażony, aby zrobić to, co jest do zrobienia. Poza tym to nie twój, lecz mój problem. Nie czułbym się dobrze, narażając twe życie tak, jak narażam swoje.

Kot prychnął.

– Cóż za szlachetny wyraz troski! – Ben mógłby przysiąc, że dosłyszał w tym nutę sarkazmu. Twarz kota jednak niczego takiego nie zdradzała. – A któryż kot nie jest lepiej wyposażony od któregośkolwiek człowieka do zrobienia czegokolwiek? Poza tym, dlaczego ciągle myślisz o mnie jako o zwykłym kocie?

Ben wzruszył ramionami.

– Jesteś czymś więcej?

Kot patrzył na niego przez dłuższą chwilę, po czym zaczął się myć. Lizał i czyścił swe futerko, poty nie zaczęło – ku jego zadowoleniu – lśnić. Przez ten czas Ben siedział, nie odrywając od kota wzroku. Gdy ten był wreszcie zadowolony swym wyglądem, znowu na niego spojrzał.

– Nie słuchasz mnie, panie. Nic dziwnego, że zgubiłeś siebie, czy też, że stałeś się kimś innym, niż chciałbyś być. Nic dziwnego, że nikt prócz mnie cię nie rozpoznaje. Zaczynam się zastanawiać, czy jesteś wart mojego czasu.

Uszy Bena poczerwieniały w reakcji na tę reprimendę. Nic jednak nie powiedział. Kot mrugnął.

– Tu w lasach jest teraz chłodno, w powietrzu czuć przymrozek. Wolę ciepło paleniska. Czy chciałbyś mieć teraz ogień, panie?

Ben skinął.

– Marzę o tym, ale nie mam czym go rozpalić. Kot stanął i wyprężył się.

– Rzeczywiście. Ale ja coś mam. Patrz.

Kot znowu zaczął jaśnieć – zupełnie tak, jak przed momentem. Jego kształty otoczone łuną stały się rozmyte. Nagle nastąpił krystaliczny błysk, i zwierzę z krwi i kości, które stało tu jeszcze przed chwilą, zniknęło. W jego miejscu pojawiło się coś przypominającego sporą figurkę ze szkła. Figurka nadal przypominała kota o ludzkich rysach, lecz poruszała się, jakby była ciekła. Szmaragdowe oczy błysnęły z przezroczystego ciała, w którym odbijało się i załamywało księżycowe światło. Zdawało się koncentrować się w oczach stworzenia i stamtąd trysnęło nagle, jak promień lasera. Wiązka uderzyła w oddaloną o kilkanaście stóp gromadkę suchego drewna i w jednej chwili zmieniła ją w ognisko.

Ben zasłonił oczy. Potem obserwował, jak słup ognia maleje. W końcu płomienie osiągnęły rozmiar normalnego ogniska obozowego i można było nad nimi zapanować. Kot zaskrzył się



i powrócił do swego pierwotnego kształtu. Przysiadł powoli i z uwagą obserwował Bena.

– Teraz zapewne przypomnisz sobie, że powiedziałem ci, że jestem...

– Kotem przyzmatycznym – podchwycił błyskawicznie Ben.

– Nieźle. Mogę uchwycić światło z każdego źródła – nawet tak odległego, jak nasze osiem księżyców. Potrafię zamienić je w energię. To, rzecz jasna, prosta fizyka. W każdym razie mam pod paroma względami nieco większe możliwości wrodzone niż ty. To, co widziałeś, to tylko mała ich próbka.

Ben wolno pokiwał głową, czując się trochę nieswojo.

– Wierzę ci na słowo.

Kot podszedł nieco bliżej do ognia i znowu siadł. Dźwięki nocy ustąpiły miejsca ciszy. W powietrzu czuć było dziwne napięcie.

– Byłem w miejscach, o których innym się tylko śniło, i widziałem ukryte tam rzeczy. Znam wiele sekretów – głos kota stał się szeptem. – Chodź bliżej ognia, panie. Ogrzej się.

Tak też Ben uczynił. Kot obserwował go. Szmaragdowe oczy znowu wydawały się płonąć.

– Wiem o czarownikach i o zaginionych księgach magii. Wiem o białych i czarnych jednorożcach, o tych które zaginęły i o tych, które odnaleziono. Wiem coś nawet o sztuczkach, sprawiających, że wygląda się na kogoś innego, niż w rzeczywistości się jest.

Ben chciał mu przerwać, lecz kot syknął ostrzegawczo.

– Nie, proszę – tylko słuchaj, panie. Zazwyczaj nie mam okazji na tak swobodną rozmowę, więc wypadaloby, byś pozwolił mi skończyć. Koty rzadko mówią, chociaż zawsze wiele wiedzą. Tak jest i w moim wypadku. Wiem o wielu rzeczach przed tobą ukrytych. Część mojej wiedzy może być użyteczna, część nie. Wszystko jest kwestią odnalezienia odpowiednich informacji. Lecz doszukanie się czegoś wymaga czasu, a czas wymaga zaangażowania. Czasami angażuję się w pewne sprawy, choć zaiste rzadko mi się to zdarza. Jednakże ty, jak powiedziałem, intrygujesz mnie. Zastanawiam się nad zrobieniem dla ciebie wyjątku. Co o tym myślisz?

Ben wcale nie był pewien, co o tym myśleć. Skąd ów kot mógł wiedzieć o czarnych i białych jednorożcach i o zaginionych księgach magii? Jak wiele znał szczegółów? Chciał zapytać, lecz był pewny – tak jak tego, że jest noc – że kot nie zamierza mu odpowiedzieć. Czuł, jak wszystkie te pytania cisną mu się do gardła.

– Czy pójdziesz ze mną? – zapytał w końcu. Kot mrugnął.

– Myślę o tym.

Ben wolno pokiwał głową.

– Masz jakieś imię? Kot mrugnął jeszcze raz.

– Mam wiele imion, podobnie jak jestem wieloma rzeczami. Imię, które preferuję teraz to Dirk ze Skraju Lasu. Możesz mi mówić po prostu Dirk.

– Miło mi ciebie poznać, Dirk – rzekł Ben.

– Zobaczymy – niejasno odpowiedział Dirk. Odwrócił się i zbliżył się jeszcze krok lub dwa do ognia. – Noc męczy mnie. Wolę dzień. Chyba pójde spać. – Kilkakrotnie obszedł kępkę trawy

i zwinął się w puszysty kłębek. Jeszcze raz otoczyła go luna i znowu stał się w pełni kotem. – Dobrej nocy, wasza wysokość.

– Dobrej nocy – Ben odpowiedział mechanicznie. Nadal czuł poruszenie, którego przyczyną był Dirk. Analizował jego słowa, próbując wywnioskować, ile to stworzenie wie naprawdę, a na ile to, co mówi, nie wykracza poza ogólniki. Ogień strzelał i skrzył się w ciemnościach. Ben zbliżył się do jego ciepła. Niezależnie od wszystkiego, Dirk mógł mu się do czegoś przydać. Wyciągnął ręce w kierunku płomieni. Gdyby tylko to dziwne stworzenie nie było takie sprytne...

Nagle wpadła mu do głowy niespodziewana myśl.

– Dirk, czy ty mnie szukałeś? – zapytał.

– Aha! – odpowiedział miękko kot.

– Naprawdę? Zamierzałeś mnie odnaleźć?

Ben czekał, lecz Dirk nie powiedział już nic więcej. W ciszę, jaka panowała tu jeszcze przed paroma minutami znowu zaczęły wkradać się dźwięki. Napięcie opadło. Płomienie lizały szczapy drewna i rozjaśniały cienie lasu. Ben zapatrzył się w śpiącego kota i doświadczył dziwnego uczucia pogody. Nie czuł się już tak samotny.

Wciągnął głęboko nocne powietrze i westchnął. Nie jest już sam? Czyżby myślał, że sam da się sobie oszukać?

Zastanawiając się nad tym, w końcu zasnął.

## WODNIK-UZDROWICIEL

Ben Holiday obudził się o świcie. Nie wiedział, gdzie jest. Był tak zdezorientowany, że przez kilka chwil nie mógł nawet przypomnieć sobie wydarzeń ostatnich trzydziestu sześciu godzin. Leżał na leśnej polanie, w trawie wilgotnej od porannej rosy, dziwiąc się, dlaczego nie śpi we własnym łóżku w Sterling Silver. Obmacał się ze zdziwieniem: skąd wzięły się te szmatławe ubrania? Wpatrywał się w otulone mgłą drzewa i zastanawiał się, co u licha się tu dzieje.

Wtedy zauważył, że na zwalonym pniu leży lśniący i gładki Dirk. Kot z zadowoleniem i wystudiowaną uwagą muskał swe futerko, zupełnie ignorując towarzysza-człowieka. Ben w jednej chwili przypomniał sobie wszystko, co go spotkało, i zrozumiał swoją sytuację. Pomyślał ponuro, że chyba wolałby dalej trwać w nieświadomości.

Ben wstał, otrzepał się, wypił nieco źródlanej wody i zjadł parę szypulek drzewa bonnie blues. Były słodkie i smaczne smaku, lecz nie zaspokoily apetytu na coś konkretniejszego. Spojrzał raz czy dwa razy w stronę Dirka, lecz ten, zajęty poranną toaletą, niczego nie zauważał. Niektóre rzeczy niezaprzeczalnie muszą dać pierwszeństwo innym.

Gdy Dirk uporał się w końcu z myciem, uniósł się, wyprężył i rzekł.

– Zdecydowałem się przyłączyć do ciebie.

Ben powstrzymał się od powiedzenia tego, co chciał powiedzieć i po prostu skinął głową.

– Przynajmniej na jakiś czas – dodał z naciskiem. Ben skinął po raz drugi.

– Czy wiesz, dokąd zamierzam iść?

Dirk obrzucił go spojrzeniem mówiącym najwyraźniej „czy musisz być takim idiotą?”

– Dlaczego? A ty nie wiesz? – odrzekł.

Opuścili obozowisko i ruszyli w drogę w ciszy poranka. Niebo było szare i przytłaczające. Zakryte chmurami słońce unosiło się w ślimaczym tempie ponad linię drzew. Jego rozproszone we mgle światło było już wystarczająco jasne, aby w cieniu lasu wdarły się blade, srebrne promyki. Na ścieżce widoczne były rozświetlone słońcem plamy, przypominające kamienie ułożone w brodzie, po których można się przedostać na drugą stronę. Ben szedł przodem, Dirk uważnie posuwał się po jego śladach metr lub dwa z tyłu. Dźwięki lasu nie dotrzymywały im towarzystwa; las wyglądał na wymarły.

Do Irrylyn dotarli wczesnym przedpołudniem. Szli dalej wąską ścieżką, wijącą się wzdłuż brzegu pomiędzy drzewami i zwalonymi pniami. Jezioro, podobnie jak otaczające je lasy, wydawało się martwe. Chmury wisiały nisko ponad jego wodami; nie było wiatru. Myśli Bena dryfowały. Jeszcze raz przeżywał swe pierwsze spotkanie z Willow. Przybył wtedy do Krainy Jezior, by szukać wsparcia Władcy Rzek w swojej walce o tron Landover. Willow i Ben natknęli się na siebie któregoś wieczora nadzy w czasie kąpieli w ciepłych wodach jeziora zasilanych okolicznymi źródłami. Nigdy nie widział nikogo tak pięknego, jak sylfida. Przywróciła w nim zdolność do przeżywania uczuć, o których myślał, że odeszły, że pozostaną martwe na zawsze.

Potrząsnął głową. Dziwnie posmutniał, wspominając, tak jak gdyby było to wspomnienie rzeczy, które odeszły, utracone na zawsze. Patrzył na szare i nieruchome wody Irrylyn i starał się przywołać jeszcze raz uczucia tamtej chwili. Zjawy igrające we mgle były jednak wszystkim, co dojrzał.

Oderwali się od jeziora przy jego południowym końcu i znowu wkroczyli w las. Zaczynało padać. Szare plamki słabego słonecznego światła zniknęły, otoczył ich mrok. Las przeszedł nagłą, namacalną zmianę. Pokryte mchem i naroślami, wilgotne pnie drzew przypominały monstualnych strażników surrealistycznego świata zjaw, który rozprzestrzenił się tu wraz z zalewającą wszystko mgłą. Powróciły głosy. Teraz jednak bardziej przerażały, niż uspokajały – drobiny życia, przebijające przez pomrokę, szepczące o tym, co ukryte. Ben zwolnił, mrugając oczami i ocierając wodę z twarzy. Od czasu, gdy po raz pierwszy spotkał Willow, odbył już kilka wypraw do Krainy Jezior, lecz zawsze bywał tu w towarzystwie sylfidy lub Questora Thewsa. Zawsze towarzyszył im jeszcze ktoś stąd. Znał drogę do Irrylyn, lecz nie dalej. Jeśli chciał spotkać się z Władcą Rzek i jego ludem, musiał szukać pomocy. Mógł jej nie otrzymać. Mieszkańcy krainy jezior żyli w Elderew, swym rodzinnym mieście, ukrytym gdzieś w lasach. Nikt bez pomocy nie był w stanie tam dotrzeć. Władca Rzek mógł do niego wpuścić lub nie – wybór należał do niego.

Uszedłszy jeszcze parę kroków, Ben stwierdził, że ścieżka, którą szli, kończy się. Zatrzymał się. Nie było wiadomo, dokąd kierować się teraz. Nie było żadnego śladu, żadnej wskazówki. Las wokół tworzył nieprzychylny mur ciemności i wilgoci.

– Czy coś nie tak?

Dirk ze Skraju Lasu pojawił się przy nim i siadł ostrożnie, kryjąc się przed padającym deszczem. Ben zapomniał o nim na chwilę.

– Nie jestem pewien, którądy powinniśmy iść dalej – przyznał.

– Och... – Dirk spojrzał na niego, a Ben mógłby przysiąc, że kot wzruszył ramionami – proponuję, byśmy zaufali naszym instyngtom.

Kot wstał i cicho zaczął kroczyć przed siebie, w mgłę, skręcając nieco w lewo. Ben natychmiast powiódł za nim wzrokiem i również ruszył. Kto wie? Może warto zaufać instyngtom tego kota? Z pewnością nie są gorsze niż jego własne.

Powoli torowali sobie drogę, prześlizgując się wśród olbrzymich drzew, uchylając się przed omszałymi, nisko wiszącymi gałęziami, stąpając po zbutwiałych pniach, posuwając się błotnistymi ścieżkami pełnymi czarnego mułu. Deszcz wzmógł się i Ben poczuł, że jego ubranie stało się wilgotne i ciężkie. Las i mgła pogęstniały i otoczyły ich jak płaszcz. Wszystko, co było dalej niż dziesięć stóp, zniknęło. Ben stale słyszał jakiś ruch w pobliżu, lecz niczego nie mógł dostrzec. Dirk spokojnie kroczył naprzód; widocznie nie zwracał na to uwagi.

Wtem z ciemności wynurzyła się jakaś postać i zmusiła ich do przystąpienia. Był to troll leśny: muskularny, lecz szczupły i mały jak dziecko. Jego skóra była ziemista, brązowa, włosy – gęste i ciemne, opadające jak końska grzywa na ramiona i plecy. Ubrany był w nieokreślony

szaro-brązowy strój. Wyglądał tak, jak gdyby stanowił – podobnie jak drzewa – część tego lasu, i jeśli zechciałby, mógłby w nim zniknąć równie szybko, jak się pojawił. Nie powiedział nic. Spojrzał najpierw na Bena, potem na Dirka. Zawahał się przez chwilę na widok kota. Zdawał się coś rozważać, a potem skinął na nich.

Ben odetchnął. Pomyślał, że to połowa sukcesu.

Szli naprzód cicho po wąskiej ścieżce, wijącej się jak wąż pomiędzy drzewami i olbrzymimi, pustymi połaciami mokradeł. Mgła toczyła się po spokojnej powierzchni wody w nieprzeniknionych, szarych kłębach. Nadal dżdżyło. Z ciemności wyłaniały się co chwila różnego kształtu zjawy – niektóre z niemal ludzkimi twarzami, inne – wyglądające raczej na stworzenia leśne. Spoglądały i mrugały oczami, a potem znikwały – elfy, nimfy, kelpy,\*[\* znany w Szkocji duch, przyjmujący postać konia i wciągający ludzi do bagien i mokradeł] najady, chochliki i inne zaczarowane stworzenia. Ożył tu nagle świat tuzinów dziecięcych opowieści i baśni, niewyobrażalna mieszanina tego, co realne, z tym, co fantastyczne. Jak zawsze, Ben był tym zadziwiony, ale i nieco wystraszony.

Nie znał drogi, którą podążali. Było tak za każdym razem, gdy przybywał do Elderew. Władca Rzek zawsze wiódł go inną trasą. Czasami musiał przemierzać wodę sięgającą po pas, czasami długo maszerować przez bagna ściągające mu przy każdym kroku buty z nóg. Jakakolwiek drogą szedł, zawsze otaczały ją mokradła. Wiedział, że każde zboczenie z niej może kosztować go życie. Drażniło go nie tylko to, że nie mógł sam odnaleźć drogi do Elderew, ale że i droga powrotna wymagała przewodnika. Znaczyło to, że będzie tu tkwił, jak w pułapce, o ile Władca Rzek nie zechce go wypuścić. Dawniej nie wchodziło to nawet w grę. W końcu, jako król Landover, posiadał władzę daną mu mocą medalionu. Teraz jednak wszystko wyglądało inaczej. Stracił i medalion, i tożsamość. Był po prostu obcym. Władca Rzek mógł postąpić z nim tak, jak z każdym innym.

Myślał o tym wszystkim, gdy wkroczyli w wielki gaj cyprysowy, zostawiając za sobą zasłonę mokrych, porośniętych mchem gałęzi, olbrzymich korzeni o dziwnych kształtach. W końcu wyrwali się z mokradeł. Ben poczuł pod stopami twardszy, pewniejszy grunt i zaczął krótką wspinaczkę na łagodne wzniesienie. Mgła i mrok przejaśniały, cyprysy ustąpiły miejsca dębom i wiązom, nieprzyjemne wonie rozwiały się i dało się wyczuć słodkawy zapach otwartego, wypełnionego porannym powietrzem lasu. Barwy powróciły w mokrych od deszczu girlandach kwiatów rozciągniętych na znaczących ścieżkę żywopłotach. Benowi nieco ulżyło. Szedł teraz znowu znajomą drogą. Przyspieszył kroku, chcąc jak najszybciej osiągnąć cel podróży.

Po chwili dotarli do szczytu wzniesienia. Drzewa rozstały się – byli na miejscu. Elderew, miasto zaczarowanych mieszkańców Krainy Jezior – widniało przed nim jak na dłoni. Wielki, otwarty amfiteatr, w którym lud celebrował swe święta, stał przed nimi szary i pusty po ulewie. Otaczały go olbrzymie drzewa, których dolne konary, połączone linami, tworzyły siedzenia. Arena usłana była trawą i dzikimi kwiatami. Gałęzie splatały się w górze, tworząc liściaste sklepienie, z którego okapu spadały krople deszczowej wody. Dalej, za amfiteatrem, wznosiły się

ku zachmurzonemu niebu drzewa dwukrotnie większe od olbrzymich kalifornijskich sekwoi, noszące na sobie właściwe miasto – olbrzymią konstrukcję, złożoną z połączonych mostami z lian domostw i innych pomieszczeń. Można się było tam dostać sięgającymi od szczytów drzew do ziemi schodami.

Ben zatrzymał się zapatrzony, ocierając krople deszczu, ciekące mu z czoła do oczu. Nagle zdał sobie sprawę, że gapi się na to wszystko, jak chłopiec ze wsi, po raz pierwszy odwiedzający duże miasto. Przypomniało mu to, jak obcy jest w tej krainie, mimo iż mieszkał tu przez cały rok, a nawet mimo iż był jej królem. Jego sytuacja była bardzo delikatna i niepewna. Nie mógł liczyć nawet na tę odrobinę poważania, jakie przedtem zdążył zdobyć. Był pozbawionym przyjaciół odszczepieńcem, niemal kompletnie zdany na łaskę innych.

Władca Rzek wyłonił się z niewielkiej kępy drzew, chroniony przez sześciu strażników. Wysoki i szczupły władca krainy baśniowych stworzeń szedł naprzód szybkim, zdecydowanym krokiem. Jego dziwna skóra lśniła srebrzyście tam, gdzie nie krył jej leśny strój. Twarda, napięta twarz nie zwiastowała nic dobrego. Zwykle spokojna powierzchowność teraz zdawała się teraz szorstka, obcesowa. Powiedział coś do przewodnika w dialekcie niezrozumiałym dla Bena. Jednak ton wypowiedzi nie budził wątpliwości. Przewodnik usunął się pospiesznie, z napięciem na twarzy i zwróconym gdzieś w bok wzrokiem.

Władca Rzek stanął twarzą w twarz z Benem. Srebrny diadem na jego czole błysnął przyćmionym światłem, gdy potrząsnął głową. Kręcone, czarne włosy opadały na plecy i przedramiona. Obyło się bez wstępów.

– Kim jesteś? – zażądał odpowiedzi. – Czego tu szukasz? Ben oczekiwał, że natrafi na pewien opór. Nie spodziewał się jednak, że będzie aż tak źle. Spodziewał się, że Władca Rzek go nie rozpozna – i słusznie. Nie potrafił jednak sobie wytłumaczyć, dlaczego władca baśniowego – zdawałoby się – ludu był zdecydowanie nieprzyjazny. Otoczony był przez uzbrojone strażę. Jego rodzina pozostała z tyłu, w miejscu gdzie zwykł przyjmować gości. Nie czekał, aż Ben dotrze do amfiteatru, tradycyjnego miejsca powitania. W jego głosie brzmiała podejrzliwość i gniew. Coś było nie tak. Ben wziął głęboki oddech.

– Władco Rzek, to ja, Ben Holiday – oznajmił i czekał. W ciemnych oczach nie dojrzał najsłabszego błysku rozpoznania. Ciągnął więc dalej. – Wiem, że nie wyglądam tak, jak wyglądałem. Posłużono się czarami, by zmienić moją powierzchowność. Czarownik, który służył synowi starego króla – ten, który opuścił Landover i w moim świecie zwał się Meeks – powrócił i skradł moją tożsamość i tron. To długa historia. Najważniejsze jest jednak to, że potrzebuję twojej pomocy. Muszę odnaleźć Willow.

Władca Rzek wpatrywał się w Bena, najwyraźniej zdziwiony.

– Ty jesteś Ben Holiday? Ben skinął głową.

– Jestem, choć wcale tak nie wyglądam. Spróbuję to wyjaśnić. Gdy wybrałem się w podróż do...

– Nie! – Władca Rzek przerwał mu w pół zdania z gestem irytacji. – Chcę usłyszeć tylko

jedno. Kimkolwiek jesteś, chcę wiedzieć, dlaczego przyprowadziłeś ze sobą tego kota.

Teraz Ben wytrzeszczył oczy. Deszczowa woda stale ciekła mu po twarzy. Raz po raz ocierał ją z oczu.

– Kota?

– Tak, kota! Pryzmatowego kota, czarodziejskie stworzenie, które siedzi teraz obok ciebie! Dlaczego je tu sprowadziłeś? Władca Rzek był elfem wodnym i miał pod podbródkiem, po obu stronach gardła, skrzela. Był teraz tak wzburzony, że skrzela trzepotały.

Zaskoczony Ben spojrzał na Dirka, który siedział o parę kroków dalej i mył łapy, zdając się całkowicie ignorować to, co się wokół działo.

– Nie rozumiem – wydusił w końcu, zwracając się ku władcy – w czym problem...

– Czyżbym nie wyrażał się wystarczająco jasno? – Władca Rzek przerwał jeszcze raz, zeszywniały ze zdenerwowania.

– Nie, nie...

– Kot! Pytałem o to, co robi tu ten kot!

Ben zrezygnował z prób narzucenia rozmowie dyplomatycznego stylu.

– Słuchaj. Nie ja przyprowadziłem tu tego kota. Kot sam zdecydował się ze mną przyjść. Po prostu spotkaliśmy się i doszliśmy do porozumienia. Nie mówiłem mu, dokąd ma iść i co robić – ani on mi. Dlaczego uparcie utrudniacie mi zadanie i nie mówicie, o co tu chodzi? Jediną rzeczą, jaką wiem o kotach pryzmatycznych jest to, że potrafią rozpałać ogień i zmieniać kształt. Zdaje się, że wiesz o nich coś więcej.

Twarz Władcy Rzek znieruchomiała.

– Owszem. I sądzę, że wielki władca Landover również pofatygowałby się, żeby czegoś się o nich dowiedzieć. – Zrobił krok naprzód. – Czy nadal twierdzisz, że jesteś królem Landover?

– Z pewnością nim jestem.

– Chociaż wcale nie wyglądasz, jak Ben Holiday, chociaż nosisz strój robotnika i podróżujesz bez obstawy?

– Wyjaśniałem to już...

– Tak, tak, tak! – Władca Rzek potrząsnął głową. – Jedyne co masz wspólnego z królem Landover, to jego zuchwałość. I nic więcej.

Przez chwilę milczał, zdając się nad czymś zastanawiać. Strażnicy wokół niego i zestrofowany przewodnik stali niczym posągi. Ben czekał niecierpliwie. Zza pni pobliskich drzew zaczęły się wyłaniać przebijające przez deszcz i pomrokę twarze. Lud Władcy Rzek był coraz bardziej zaciekawiony.

W końcu Władca Rzek chrząknął.

– W porządku. Nie przyjmuję do wiadomości, że jesteś królem Landover, lecz kimkolwiek jesteś, pozwól, iż wyjaśnię ci coś w związku ze stworzeniem, z którym podróżujesz. Po pierwsze, koty pryzmatyczne są stworzeniami czarodziejskimi, prawdziwymi zaczarowanymi stworzeniami, nie wygnańcami, czy emigrantami, jak lud Krainy Jezior. Kotów pryzmatycznych

nie widuje się prawie nigdy poza oparami mgły. Po drugie, zazwyczaj nie utrzymują stosunków z ludźmi. Po trzecie, są kompletnie nieprzewidywalne. Nikt nawet nie próbuje się domyśleć tego, co zamierzają. Po czwarte, dokądkolwiek przybędą, przynoszą pecha. Masz szczęście, że w ogóle wpuszczono cię do Elderew w towarzystwie tego kota. Gdybym wiedział, że jest z tobą, chybabym cię tutaj nie wpuścił.

Ben westchnął ze zmęczeniem w głosie, potem skinął. A więc uprzedzenia do kotów nie były cechą tylko jego świata.

– W porządku, obiecuję o tym w przyszłości pamiętać – rzekł, walcząc, by ukryć swą irytację. – Jednak pozostaje faktem, że wpuściłeś mnie tutaj wraz z tym kotem. To, czy wierzysz, że jestem królem Landover, czy nie, nie jest w tej chwili ważniejsze od pary szurzących wąsów. Potrzebuję twojej pomocy...

W jego twarz uderzyła silniejsza fala deszczu i zaciął się, zapomniawszy, co chciał dalej powiedzieć. Ubrania miał na wskroś przesiąknięte wodą i drżał z zimna.

– Czy myślisz, że moglibyśmy się przenieść w jakieś suchsze miejsce? – zapytał cicho.

Stojący naprzeciw przyglądał mu się badawczo w milczeniu, nie zmieniając wyrazu twarzy.

– Władco Rzek, twoja córka może być teraz w wielkim niebezpieczeństwie – wyszeptał. – Proszę!

Władca Rzek patrzył na niego jeszcze przez chwilę, po czym skinął, by ruszył za nim. Ruchem ręki odesłał strażę. Równie szybko, jak one, zniknęły twarze obserwujących zajście mieszkańców miasta. Przeszli kawałek do przypominającego altanę pomieszczenia, zbudowanego z rzeźbionej świerczyny. W pewnej odległości towarzyszyły im strażę. W pomieszczeniu stały naprzeciw siebie dwie ławki, a pomiędzy nimi znajdował się szeroki, wydrążony pień, zamieniony w donicę na kwiaty.

Władca Rzek zajął miejsce na jednej z ławek. Ben również siadł. Deszcz stale padał, cicho szemrząc wśród drzew. W środku było jednak sucho.

Pojawił się Dirk. Wskoczył za plecy Bena i ułożył się, rozkładając wszystkie cztery łapy i sennie mrużąc oczy.

Władca Rzek spojrział na kota poirytowany i jeszcze raz zwrócił się do Bena.

– Mów, co masz do powiedzenia – poradził.

Ben opowiedział mu całą historię. Sądził, że nie ma i tak nic do stracenia. Powiedział o snach, o podróżach przez nie sprowokowanych, o odnalezieniu zaginionych ksiąg magii, niespodziewanym pojawieniu się Meeksa, który skradł jego tożsamość i medalion, i o wygnaniu ze Sterling Silver. Władca Rzek słuchał bez słowa komentarza. Siedział na swoim miejscu nieruchomo, jakby wyciosany z kamienia, z oczami wpatrzonymi w Bena. Ben skończył, a pan ludu Krainy Jezior nadal trwał w bezruchu.

– Nie wiem, co mógłbym jeszcze dodać – rzekł w końcu Ben.

Władca Rzek odpowiedział ledwie dostrzegalnym skinieniem, nadal się nie odzywając.

– Słuchaj – prosił Ben – muszę odnaleźć Willow i ostrzec ją, że jej sen o czarnym jednorożcu



został zesłany przez Meeksa, a nie sądzę, by udało mi się to bez twojej pomocy. – Przerwał, jeszcze raz zdając sobie sprawę, że prawda jego historii jest tak trudna do zaakceptowania – nawet dla niego samego. – Wiesz, jak wiele znaczy dla mnie Willow. Wiesz, że niepokoję się o nią – musisz to wiedzieć. Powiedz – czy była tutaj?

Władca Rzek owinał się ściślej swym leśnym odzieniem. Jego nieobecne oczy zdawały się patrzeć gdzieś w dal.

– Myślę, że to możliwe, że jesteś królem. Być może.

Wstał i spojrzał na otaczające ich strażę. Odesłał wszystkich, za wyjątkiem jednego, i wróciwszy do Bena, siadł bliżej niego.

– Królu lub oszuście, powiedz mi prawdę: jak to się stało, że podróżujesz z tym kotem?

Ben starał się zachować spokój.

– To sprawa przypadku. Kot odnalazł mnie na obrzeżach Krainy Jezior zeszłego wieczora i zasugerował, że jego towarzystwo może być dla mnie użyteczne. Stale czekam, by się o tym przekonać.

Spojrzał w dół na kota, jakby oczekując, że potwierdzi on te słowa. Lecz Dirk siedział na swoim miejscu z zamkniętymi oczami i nic nie powiedział. Ben zdał sobie nagle sprawę z tego, że kot nie odezwał się ani słowem, odkąd przybyli do Elderew. Zastanowiło go to.

– Daj mi rękę – rzekł nagle Władca Rzek. Wyciągnął do niego swą własną i uścisnął mocno dłoń Bena. – Istnieje pewien sposób, w który mogę sprawdzić, czy to, co mówisz, jest prawdą. Pamiętasz twój pierwszy pobyt w Elderew? Spacerowaliśmy wtedy sami przez osadę, mówiąc o magii tego ludu? – Ben przytaknął. – Czy pamiętasz, co ci wtedy pokazałem?

Jego uścisk był jak uścisk żelaznego imadła. Ben skrzywił się z bólu, ale nie próbował wyrwać z uścisku.

– Dotknąłeś obumarłego krzewu i uzdrowiłeś go – odpowiedział, patrząc prosto w oczy Władcy Rzek. – Próbowałeś pokazać mi, jak to się dzieje, że ludzie z Krainy Jezior są samowystarczalni. Odmówiłeś podporządkowania się koronie – przerwał celowo. – Lecz potem obiecałeś wierność – obiecałeś ją mi.

Władca Rzek obserwował go przez chwilę, a potem bez wysiłku postawił na nogi.

– Wydaje mi się, że możesz być rzeczywiście Benem Holidayem – wyszeptał, pochylając swą twardą twarz blisko ku Benowi. – Wierzę, że to możliwe. – Teraz wziął w swoje dłonie obydwie dłonie Bena. – Nie wiem, w jaki sposób zmieniono twą powierzchowność, lecz jeśli to czary sprawiły, że wyglądasz teraz tak, jak wyglądasz, czary muszą zostać użyte, by to odwrócić. Posiadam moc leczenia tego, co chore i cierpiące. Użyję jej, by tobie pomóc, ale nie wiem, czy odniesie to jakiś skutek. – Jego wyciągnięte ręce mocniej zacisnęły się na rękach Bena. – Stój, gdzie stoisz, i nigdzie się stąd nie ruszaj.

Ben wziął głęboki oddech. Uchwyt Władcy Rzek ogrzał jego dłonie, a jego rzeźbiona twarz skryła się w cieniu. Ben czekał. Oddech tamtego stał się wolniejszy, a Ben poczuł nagle napływającą moc. Zadrzał, lecz nie ruszył się z miejsca.

W końcu Władca Rzek podszedł do niego. W jego oczach widać było ślad zmieszania.

– Przykro mi, ale nie mogę ci pomóc – powiedział w końcu. Faktycznie, to czary zmieniły twą powierzchowność. Ale nie czyjeś, a twoje własne.

– Co takiego? – Ben wlepił w niego wzrok.

– Sam uczyniłeś siebie tym, kim i czym jesteś – rzekł władca – i tylko ty sam możesz to odwrócić.

– Ależ to nie ma sensu! – wybuchł Ben. – Nie ruszyłem ręką, żeby zamienić się w to, czym jestem! To Meeks! Widziałem, jak to robił! Skradł mi medalion królów Landover i dał mi... to!

Wysupłał zatarty wizerunek Meeksa ze swej tuniki i gniewnie wyciągnął go przed, niemal jak gdyby chciał zerwać go z łańcuszka. Władca Rzek studiował go przez chwilę, dotknął badawczo, a w końcu potrząsnął głową.

– Wygrawerowany tutaj obrazek jest równie zamglonym jak ty sam. To znowu twoje czary.

Benowi zeszytniała szczęka. Wepchnął medalion z powrotem pod ubranie. Władca Rzek mówił niejasno. Jakikolwiek czary tutaj działały, z pewnością nie były to czary Bena. Władca Rzek mylił się lub został zwiedziony – albo też celowo starał się wprowadzić Bena w błąd, gdyż nadal mu nie ufał.

Władca wydawał się czytać w jego myślach. Wzruszył ramionami.

– Wierz mi lub nie – wybór należy do ciebie. Mówię ci tylko to, co widzę. – Przerwał. – Jeśli ten nowy medalion podarował ci wróg, powinieneś chyba się go pozbyć. Czy jest jakiś powód, dla którego go trzymasz?

Ben westchnął.

– Meeks powiedział, że ten medalion będzie mu mówił, co planuję uczynić. Powiedział, że przed pozbyciem się go powstrzymają mnie odpowiednie czary – czary, które mogą mnie zabić.

– Czyżby? – spytał Władca Rzek. – Może mag kłamał?

Ben wahał się. Rozwahał już tę możliwość. W końcu dlaczego miałby wierzyć czemukolwiek, co powiedział mu Meeks. Problem leżał w tym, że nie było sposobu, by sprawdzić, jaka jest prawda, bez narażania własnego życia.

Znowu wyjął i uniośł poczerniały medalion, przyglądając się mu dokładnie.

– Myślałem już o tym... – zaczął.

Wtedy kątem oka zauważył, że Dirk poruszył się. Stworzenie uniosło głowę i otworzyło zielone oczy. Wyglądało to niemal tak, jakby kot wyrwał się z jakiegoś letargu tylko po to, by zobaczyć, co robi teraz Ben. Przedziwne, nieruchome oczy kota były w nim utkwione. Ben zawahał się, potem wolno opuścił medalion pod tunikę.

– Chyba jeszcze będę musiał o tym pomyśleć – skończył. Oczy Dirka znowu się zamknęły. Czarna twarz zwróciła się ku ziemi. W chwili ciszy słychać było ciągle uderzenia kropel deszczu. Gdzieś ze wchodu donośny głos gromu przetoczył się przez Krainę Jezior. Ben doświadczał dziwnej mieszaniny złości i frustracji. W co grał z nim teraz kot?

Władca Rzek cofnął się ku jednej z ławek, lecz nie usiadł.

– Chyba wszystko wskazuje na to, że nie mogę ci pomóc. – Po chwili doradził. – Lepiej, żebyście sobie poszli – ty i kot.

Ben czuł, że ostatnia szansa uzyskania pomocy wymyka mu się z rąk.

– Powiedz mi chociaż, gdzie szukać Willow – błagał. – Mówiła, że wybierze się do Krainy Jezior, by poznać znaczenie swego snu. Z pewnością przyszłaby po pomoc do ciebie.

Władca Rzek przyglądał mu się przez chwilę w milczeniu, rozważając sprawy, o których Benowi nic nie było wiadomo. W końcu wolno poruszył głowę.

– Nie, królu lub oszuście – którymkolwiek z nich jesteś – nie przyszłaby tu.

Jeszcze raz ruszył wokół pniaka, a po chwili znów się zatrzymał. Wiatr gwałtownie szarpał poły jego płaszcza, więc zacisnął je mocno, chroniąc się przed zimnym deszczem.

– Jestem jej ojcem, ale nie osobą, u której szukałaby pomocy. Zawsze tak było. Mam wiele dzieci z wieloma żonami. Z jednymi jestem bliżej, z innymi – nie. Willow nigdy nie była zbyt blisko mnie. Zbyt mocno przypomina swą matkę – dzikie stworzenie, które próbuje raczej rwać więzy, niż je wiązać. Jej matka przyszła do mnie tylko raz. Potem zniknęła w lasach... – Przerwał poruszony. – Nigdy nie znałem nawet jej imienia – po chwili ciągnął dalej. – Nimfa leśna – nie więcej, niż skrawek jedwabiu i światła. Zaślepiła mnie tak, że tamtej nocy imiona nie miały żadnego znaczenia. Utraciłem ją, chociaż właściwie nigdy jej nie miałem. Myślę, że z powodu tego, co mi zrobiła, straciłem i Willow. Jej matce miałem za złe wolność, więc Willow była zmuszona żyć w obliczu mojego gniewu i urazy. To spowodowało, że powoli odsuwała się ode mnie. Kochałem jej matkę tak bardzo, że nie mogłem ani przebaczyć, ani zapomnieć tego, co mi uczyniła. Zezwalając Willow na przeniesienie się do Sterling Silver, zerwałem ostatnie łączące nas więzy. Stała się osobą samodzielną – przestała być moją córką. Teraz patrzy na mnie jak na kogoś, kto ma zbyt wiele dzieci, by mógł kiedykolwiek stać się ich prawdziwym ojcem. Zdecydowała, że nie chce być jednym z nich.

Odwrócił się, chyba pogrążony we wspomnieniach. Ben pomyślał, że to dziwne wyznanie. Wypowiedziane bez ogródek, prostymi słowami, lecz bez śladu emocji. Nie zauważył, by głos Władcy Rzek zdrzął, nie dojrzał żadnej zmiany wyrazu twarzy. Willow znaczyła dla niego wiele, a teraz tego wcale nie okazywał – zdawał się jedynie stwierdzać fakt jej istnienia. Skłoniło to Bena do zastanowienia się nad swymi własnymi uczuciami wobec sylfidy i próby odpowiedzi na pytanie, jakie właściwie są.

Władca Rzek przez pewien czas stał w bezruchu i patrzył na padający deszcz. W końcu wzruszył ramionami.

– Tak wiele potrafisz uzdrowić, lecz nie to – rzekł. – Nie wiem, jak. – Nagle znowu spojrzął na Bena – i to tak, jakby ujrzał go po raz pierwszy. – Dlaczego właśnie tobie o tym wszystkim mówię? – wyszeptał zdziwiony.

Ben nie miał pojęcia. Trwał w milczeniu, podczas gdy Władca Rzek wpatrywał się w niego, jak gdyby był zdziwiony samym faktem jego obecności w tym miejscu. Jego głos był monotony i zimny.

– Tracisz ze mną czas. Willow pójdzie do swej matki. Pójdzie do starych sosen i będzie tańczyć...

– W takim razie tam będę jej szukał – rzekł Ben. Powstał. Władca Rzek obserwował go w ciszy. Ben zawahał się. – Nie potrzeba mi przewodnika. Znam drogę.

Władca Rzek skinął, nadal milcząc. Ben wyszedł i przeszedł parę kroków, zatrzymał się i odwrócił. Ostatni pozostawiony przy schronieniu strażnik zniknął gdzieś pomiędzy drzewami. Dwaj mężczyźni pozostali sami.

– Czy chciałbyś pójść ze mną? – zapytał nagle Ben.

Lecz Władca Rzek znów wpatrywał się w deszcz, zagubiony w błyskach jego srebrnych kropli, zasłuchany w jego szept. Skrzela na jego szyi ledwie się poruszały. Twarda, przypominająca rzeźbę twarz zdawała się być wyzbyta życia.

– On cię nie słyszy – rzekł niespodziewanie Dirk. Zaskoczony Ben spojrzał w dół i ujrzał kota u swoich stóp. – Wkroczył w głąb siebie, by odkryć, gdzie był dotąd. To zdarza się czasami po okryciu sekretu strzeżonego pilnie przez tak długi czas.

Ben zmarszczył brwi.

– Pilnie strzeżonego? Czy masz na myśli to, co powiedział o Willow? O jej matce? – Z rosnącym napięciem na twarzy Ben pochylił się nad kotem. – Dirk, dlaczego on powiedział mi o tym wszystkim? Nie był przecież nawet pewien, kim jestem.

Dirk spojrzał w górę.

– W świecie istnieje wiele rodzajów magii, panie. Niektóre są tworamami wielkimi, inne małymi. Jedne działają na ogień, siłę serca i ciała... inne mogą spowodować oświecenie.

– Tak, ale dlaczego...?

– Słuchaj, panie! Słuchaj mnie! – głos Dirka stał się sykiem. – Tak niewielu ludzi słucha tego, co koty mają do powiedzenia. Większość jedynie mówi do nas. Widzisz, mówią do nas, bo jesteśmy tak dobrymi słuchaczami. Czują się dobrze w naszej obecności. Nie pytamy i nie osądzamy. Po prostu słuchamy. Oni mówią, my słuchamy. Mówią nam o wszystkim! Mówią nam o swoich najgłębszych tajemnicach, o snach, o rzeczach, o których nie powiedzieliby nikomu innemu. Czasami robią to, panie, nie rozumiejąc nawet dlaczego.

Kot zamilkł, a Ben zdał sobie nagle sprawę z tego, że tym razem nie mówił ogólnikami, a bardzo konkretnie. Nie mówił o kimkolwiek, a o kimś określonym. Wzniósł oczy ku samotnej sylwetce Władcy Rzek.

Potem pomyślał znowu o sobie.

– Dirk, co...?

– Szszsz! – uciszył go kot. – Pozwól trwać ciszy, panie. Nie zakłócaj jej. Słuchaj jej głosu, jeśli jesteś w stanie usłyszeć – nie przerywaj jej.

Kot powoli oddalił się w kierunku drzew, ostrożnie wyszukując suchszą drogę na przesiąkniętej wodą leśnej ściółce. Deszcz lał jak z cebra z pokrytego chmurami aż po widnokrąg nieba – szarego sklepienia opartego na wierzchołkach drzew. Cisza wypełniała ułamki chwil

po między uderzeniami kropel deszczu. Otaczała swym płaszczem całe Elderew – domy i łączące je liany, drogi i place, i ogromny, pusty amfiteatr, którego zarys wyłaniał się z mroku za ciągle nieruchomą sylwetką Władcy Rzek. Ben słuchał ciszy – tak jak polecił mu Dirk – i niemal słyszał jej głos.

Lecz co mówiła? Czego miał się od niej dowiedzieć? Wyzbyty nadziei, potrząsnął głową. Nie wiedział.

Dirk zniknął gdzieś w oparach mgły – białoszary cień. Poniechawszy dalszych prób wsłuchiwania się, Ben drgnął wreszcie z miejsca.

## TANIEC

To, że Dirk ze Skraju Lasu miał w sobie coś bardzo szczególnego, nie ulegało wątpliwości. Można by powiedzieć, że wszystkie koty są w jakiś sposób szczególne, więc nic dziwnego, że kot wzięty wprost z zaczarowanego świata będzie jeszcze bardziej wyjątkowy, niż przeciętny mruczek. Ben jednak jakoś nie mógł się z tym pogodzić. Dirk był kotem szczególnym w stopniu wyższym, niż cokolwiek – powiedzmy – w *Alicji w Krainie Czarów* lub *Dicku Whittingtonie*, Dirk nadawał słowom zupełnie nowe znaczenia, a najbardziej denerwujące było w tym to, że Ben – choć próbował – nie potrafił zrozumieć, o co bestii chodzi!

Kim właściwie był ów kot i co robił tam razem z Benem?

Jakąż radością byłoby odnalezienie odpowiedzi na te pytania. Czas jednak nie pozwalał mu teraz na to. Kot – zarozumiałe stworzenie – poszedł przodem i Ben znowu zmuszony był spieszyć za nim. Coraz silniejszy, ulewny deszcz smagał go po twarzy, a wiatr przenikał zimnym powiewem. Nadchodził zmierzch, pogoda była coraz gorsza. Ben był przemoczony, zziębnięty, głodny i zniechęcony, choć wiedział, że nie zrezygnuje. Zdał sobie sprawę, że najchętniej położyłby się teraz w ciepłym, suchym łóżku. Było to jednak w tej chwili tylko nieiszczalne marzenie. Władca Rzek ledwie tolerował jego obecność. Poza tym – nie mógł przecież marnować czasu pozostałego mu na odnalezienie Willow.

Przeszedł przez centrum Elderew. Kryjąc głowę przed podmuchami wiatru, przypominał jedną z tych pozbawionych twarzy, kryjących się w cieniu postaci. Po chwili zniknął w lesie. Światła domostw zniknęły za jego plecami. Ciemność otoczyła go mokrą, utkaną z deszczu zasłoną. Strzępiaste smugi mgły przelatowały obok jak poodrywane ogony latawców. Kłębiły się i przeplatały. Nawarstwiały się, by stworzyć coraz grubszą warstwę. Ben nie zwracał na to uwagi i parł naprzód. Był przy starych sosnach tyle razy, że mógł tę drogę pokonać z zamkniętymi oczami.

Kilka chwil później był już na polanie – o kilka kroków za kotem. Rozejrzał się wokół wyczekująco, nie znalazł tu jednak niczego interesującego. Polana była pusta. Otaczały ją stare sosny, wiekowi strażnicy lasu, równie wilgotni i zimni, jak cała reszta tej krainy. Poszukiwał śladów pobytu Willow, lecz nie znalazł niczego, co mogłoby wskazywać, że tu była lub nie.

Dirk obszedł całą polanę, obwąchując ziemię, po czym powrócił do schronienia pod konarami sosny i przysiadł zgrabnie.

– Była tu dwie noce temu, panie – oznajmił. – Siedziała w pobliżu miejsca, w którym stoisz, gdy obserwowała taniec swej matki. Potem poddała się przemianie. Odeszła stąd o świcie.

Ben spojrzał na kota.

– Skąd to wszystko wiesz?

– Dobry nos – rzekł Dirk. – Trzeba o niego dbać. Może powiedzieć ci o rzeczach, o których innym sposobem się nie dowiesz. Mój nos mówi mi to, czego nie powiedzą ci twoje oczy.

Ben podszedł bliżej kota i kucnął przy nim, nie zwracając uwagi na wodę lejącą się strumieniami z gałęzi wprost na jego twarz.

– Czy twój nos mówi ci, dokąd stąd poszła? – zapytał cicho.

– Nie – odrzekł kot.

– Nie?

– I po co po mnie powtarzasz! – parsknął Dirk.

– Skoro twój nos powiedział ci całą resztę, to czemu nie powie i tego? – Ben żądał odpowiedzi. – Czy twój nos zawsze jest taki wybiórczy?

– Na nic zda się sarkazm, panie – rzekł Dirk, wznosząc nieco głowę. – Poza tym zasłużyłem chyba na coś lepszego. Jestem w końcu twoim jedynym kompanem i jedynym, który wspiera cię w tej wyprawie.

– Powinniśmy coś sobie chyba wyjaśnić – przerwał Ben. – Stale próbujesz robić na mnie wrażenie tym, co wiesz, by potem mówić mi tylko to, co zechcesz. Zdaję sobie sprawę, że będąc kotem, masz dla takiego postępowania bardzo dobre wytłumaczenie, lecz mam nadzieję, że rozumiesz, jak to na mnie działa! – Jego temperament zaczął brać nad nim górę. Podniósł głos. – Pytałem po prostu, w jaki sposób udało ci się stwierdzić, że Willow była tutaj, że jej matka tańczyła, że Willow uległa przemianie, i dlaczego, wobec tego, nie możesz mi powiedzieć, dokąd...

– Nie wiem.

– ...mogła się udać po odejściu stąd. Co? Ty nie wiesz? Czego nie wiesz?

– Nie wiem, dlaczego nie wiem. Ben wlepił wzrok w kota.

– Powinienem być w stanie odnaleźć miejsce, w którym opuściła polanę, ale nie mogę – skończył spokojnie Dirk. – Wygląda to tak, jak gdyby specjalnie zostało ono zamaskowane.

Ben przez chwilę trawił nowe informacje. W końcu potrząsnął głową.

– Ale dlaczego miałyby kryć, dokąd idzie?

Dirk nie odpowiedział. Miast tego syknął ostrzegawczo i podniósł się. Ben wstał razem z nim i odwrócił w kierunku polany. Ze mgły wyłoniła się, przemierzając polanę w kierunku, w którym czekał Ben, mroczna postać Władcy Rzek. Był sam.

– Czy Willow była tutaj? – zapytał krótko. Ben zawahał się, potem przytaknął.

– Była i poszła. Kot twierdzi, że jej matka tańczyła dla niej dwie noce temu.

Oczy wodnika błysnęły złością, lecz szybko ją przezwyciężył.

– Tak, córce ukazałaby się – to oczywiste – mruknął. – Mają tę samą naturę. Tańcem odkryła przed nią w magiczny sposób prawdę, pokazała jej, czego ma szukać... – rzekł i zamilkł, jak gdyby myśląc o czymś innym. Wyprostował się. – Czy udało się tobie stwierdzić, dokąd się udała, królu?

Ben znowu się zawahał. Tym razem bardziej z zaskoczenia niż przez nieuwagę. Władca Rzek nazwał go królem. Czyżby zdecydował się uwierzyć w opowieść Bena? Ben napotkał jego nieruchome spojrzenie.

– Jej ślady zostały zatarte – powiedział. – Kot twierdzi, że celowo.

Władca Rzek, marszcząc czoło, rzucił spojrzanie na Dirka.

– Może.

Jego nieruchoma twarz zwróciła się ponownie ku Benowi.

– Lecz mej córce brak sprytu, a jej matce możliwości. Jeśli w ogóle ktoś tu coś ukrywał, to nie one. Są tacy, którzy pomogliby jej, a mnie o tym nie powiedzieli. Jest paru takich. – W jego oczach znów zapłonął gniew, lecz po chwili zgasł. – Zresztą to i tak nie ma znaczenia. I tak dysponuję taką mocą, że mógłbym ją odnaleźć i zrobić, czegoś bym tylko zapragnął.

Nagle odwrócił się, mamrocząc:

– Czas ucieka. Deszcz i ciemności utrudnią poszukiwania. Muszę działać szybko, jeśli mam coś osiągnąć – w jego głosie brzmiała niecierpliwość i determinacja. – Nie pozwolę na te gry za moimi plecami. Poznam znaczenie snu o czarnym jednorożcu i złotej uprząży, niezależnie od tego, czy Willow i jej matka sobie tego życzą, czy nie!

W pośpiechu zniknął w lesie, nie bacząc, czy Ben ruszył za nim. Nie było takiej potrzeby – Ben deptał mu po piętach.

Dirk ze Skraju Lasu pozostał pod konarami sosny i obserwował, jak odchodzą. Po chwili zaczął czyścić futerko.

Władca Rzek przeszedł tak głęboką przemianę, że Ben z trudnością mógł w nią uwierzyć. Chwilę przedtem wykazywał zupełny brak zainteresowania swą córką i czarnym jednorożcem, a teraz nie mógł się doczekać ich odnalezienia. Szybkim, wydłużonym krokiem dotarł na skraj Elderew, wzywając do siebie strażę. Pojawiły się zewsząd, dotrzymując mu kroku i oczekując na rozkazy. Po chwili znowu rozbiegły się w ciemności. Stworzenia różnego rodzaju – duchy wodne, kelpy, najady i inne – pojawiały się przy ciemnej postaci swego pana i znikły bezgłośnie jak cienie. Nie zwalniając kroku, Władca Rzek szybko i rzeczowo wydawał polecenia. Niemal potajemnie przemknął przez granicę miasta i zawrócił do lasu. Prawie zapomniany, Ben podążał za nim.

Chwile mijały, a oni wchodzili coraz głębiej w las, teraz na północny wschód od miasta. Ciemności nocy otoczyły ich tak ściśle, że wzrok sięgał ledwie kilka metrów. Deszcz spływał po nich strumieniami i nic nie wskazywało na to, że ustanie. Przez niebo przetoczył się grzmot, a światło błyskawicy przecięło gdzieś w dali chmury. Ale burza nie osiągnęła jeszcze punktu kulminacyjnego. Dopiero nadciągała.

Władca Rzek zdawał się nie zwracać na to uwagi. Pograżony był w absolutnej koncentracji. Ben zaczął się zastanawiać, co tu właściwie się dzieje. Rósł w nim niepokój.

Po jakimś czasie wyszli spośród drzew na szeroki, niezalesiony stok, schodzący w dół aż do wielkiego jeziora, do którego z przeciwnej strony wpływało kilka rzek. Rzeki, wezbrane deszczowymi wodami, gnały przez skalne przesmyki, nad którymi zwisały skały, związane korzeniami wielkich, podobnych do sekwoi, drzew. Jezioro było wzburzone przez napływające wody. Na jego powierzchni zatańczył błysk kolejnego pioruna, mieszając się ze światłami gęsto



rozieszczonych pochodni, oświetlających całe wzgórze. Ben zwolnił i zapatrzył się w ciemność. Wydawało się, że ludzie z Krainy Jezior są wszędzie. A może było ich tylko paru pomiędzy wielką liczbą pochodni? Nie mógł nawet przyjrzeć się temu dokładniej, bo wiatr wciskał mu krople deszczu do oczu.

Władca Rzek odwrócił się i stwierdził, że Ben stale za nim podąża. Skinął na niego i weszli na półkę skalną, z której roztaczał się widok na rzeki, jezioro i długie rzędy migocących pochodni. Wichura runęła na nich z furją, gdy stali nie osłonięci przed deszczem, przyciskając ich do siebie. Ich słowa ginęły w szumie wiatru.

– Patrz na to, panie! – krzyknął Władca Rzek. Jego dziwna, nieruchoma twarz znajdowała się kilkanaście centymetrów od twarzy Bena. – Nie mogę nakazać matce Willow, by zatańczyła dla mnie, tak jak tańczyła dla swej córki. Mogę jednak skłonić do tego jej rodzinę! Dowiem się, co kryją przede mną!

Ben przytaknął w milczeniu. W oczach Władcy dojrzał szalone podniecenie, którego nigdy wcześniej w nich nie widział – podniecenie tchnące pożądaniem.

Władca Rzek dał znak i z ciemności wynurzyła się tyczkowata postać – tak cienka, że zdawała się być zrobiona z patyków. Wisiało na niej zgrubne, szarpane wiatrem wełniane odzienie. Zielone, jedwabiste włosy pokrywały ją od czoła, poprzez ramiona i plecy, aż po nogi. Jej twarz wyglądała, jak gdyby została wyciosana kilkoma cięciami w kawałku drewna. Miała przy sobie cały zestaw fujarek.

– Graj! – nakazał Władca Rzek, ręką wskazując stok doliny. – Wezwij je!

Tyczkowate stworzenie przysiadło na przesiąkniętej wodą ziemi, skrzyżowało nogi i wzniosło fujarkę do ust. Popłynęła z niej łagodna muzyka. Słodka, kołysząca kadencja unosiła się w chwilach ciszy, zanikając w pomruku wichury. Mieszała się z głosami burzy i wtapiała w nie, jak ręcznie wszywana w tkaninę nic. Była jak jedwab – łagodna i cicha. Owijała się wokół słuchaczy, niczym welon. Niosło ją w dół stoków, a w powietrzu czuć było zapach nadciągających zmian.

– Słuchaj! – szepnął przejęty Władca Rzek Benowi do ucha. Flecista stopniowo przeszedł na wyższe tonacje, i muzyka wzbijała się wyżej, mieszając z nawałnicą. Powoli przeniknęła ciemności, wilgoć i zimno. Wszystko dookoła zaczęło się zmieniać. Ryk wiatru ucichł, jakby stłumiony jakimś niewidzialnym kocem, przejmujące zimno ustąpiło ciepłu, a noc pojaśniała tak, jak gdyby miał już nadejść świt. Ben poczuł, że wznosi się w powietrze. Zamrugnął oczami, nie dowierzając. Wszystko wokół niego zmieniało się – kształty, materia, czas. Wszystko. W muzyce tkwiła moc magiczna większa niż jakakolwiek, z którą miał dotychczas do czynienia, moc, która mogła przeciwstawić się nawet potężnym siłom natury.

Światło pochodni pojaśniało, tak jakby ktoś wlał w nie nowe życie. Stoki napęłniły się jego blaskiem. Lecz prócz tego w nocnym powietrzu zajaśniało nowe światło. Jego promienie rozlały się po zboczu doliny, aż po wody jeziora. Te uspokoiły się. Fale wygładziły się, jak wygładzone dłonią matki zwichrzone włosy śpiącego dziecka. Poświata tańczyła na brzegu jeziora – jak żywe

stworzenie.

– Tam, panie – spójrz! – wskazał pospiesznie Władca Rzek. Ben wyteżył wzrok. Poświata i strzępy światła zaczęły przyjmować wyrazistsze kształty. Tańcząc, wirując i wznosząc się w świetle pochodni, zaczęły przemieniać się w różne czarodziejskie stworzenia. Delikatne, utkane z powietrza istoty przywołał do życia blask światła i muzyka fujarek. Ben rozpoznał je natychmiast. Były to nimfy leśne – takie same, jak matka Willow; stworzenia podobne do dzieci, niematerialne jak dym. Ich biodra błyskały orzechowym światłem, a długie, bujne włosy spływały po ramionach. Drobne twarze wzniesione były ku niebu. Całe ich tuziny zaczęły się pojawiać znikąd i tańczyły przy brzegach, mieniając się w wodach jeziora jak w kalejdoskopie.

Muzyka wzmogła się. Łuna promieniowała ciepłem letniego dnia. Zaczęły się w niej wyodrębniać barwy tęczy, przemieszane, jakby artysta rzucił je pędzlem na płótno. Zmieniały kształty. Ben czuł, że przenosi się w inny czas i miejsce. Znowu był młody, a świat był taki świeży! Uczucie wznoszenia się, którego doświadczył wcześniej, wzmogło się. Unosił się, uwolniony z więzów grawitacji. Władca Rzek i flecista szybowali razem z nim, na podobieństwo ptaków wśród dźwięków i barw. Pod nimi nadal widać było tańczące nimfy leśne, wirujące w uniesieniu, wznoszące się w powietrze, ku łunie. Z okolic brzegu rozproszyły się po wodach całego spokojnego jeziora, skacząc, jak gdyby były nieważkie. Ich drobne ciała ledwie dotykały lustrzanej powierzchni wody. Powoli zaczęły się gromadzić na środku jeziora, tworząc jakieś konfiguracje i rozpraszając się na przemian.

Ponad nimi, w powietrzu, zaczął powstawać jakiś obraz.

– Teraz! – głos Władcy Rzek dobiegał z tak daleka, że był ledwie słyszalny.

Obraz stał się wyraźny. To była Willow. Stała samotna na brzegu jeziora – tego jeziora – i trzymała wyszywaną złotem uprząż, tę, która pojawiła się w jej śnie. Była ubrana w biały jedwab, a jej uroda przyćmiewała swym światłem nawet muzykę flecisty i taniec nimf leśnych. Napęczniona życiem twarz zalsniła w otaczających ją barwnych światłach. Długie kosmyki jej włosów zafalowały, poruszone szeptem wiatru.

Złotą uprząż trzymała z dala od siebie, w wyciągniętych dłoniach, jak gdyby dostała ją od kogoś w darze. Czekwała.

Strzeż się! – zabrzmiał nagle ostrzegawczy głos, głos tak drobny, że niemal ginął w ogromie całej tej wizji.

Ben w jednej chwili odwrócił wzrok od Willow. Z niewiarygodnie wielkiej odległości wpatrywał się w niego Dirk.

– Czy coś nie tak? – zdołał zapytać Ben.

Pytanie zaginęło bezpowrotnie w tym, co nastąpiło po chwili. Muzyka osiągnęła swe apogeum. Była tak intensywna, że oddalała wszystko inne. Świat zniknął. Istniało jedynie jezioro, wir tańczących nimf i obraz Willow. Wizję Bena załały niewyobrażalnie jasne odcienie barw, aż w oczach stanęły mu łzy. Nigdy nie doznał uczucia takiego szczęścia. Czuł, jak gdyby coś w nim się przełamało i uległo przemianie.

Wtedy na brzegu jeziora, za tańczącymi nimfami i obrazem Willow, pojawiło się coś nowego – coś niezmiernie pięknego i przerażającego zarazem. Ben posłyszał stłumiony krzyk Władcy Rzek. Był to krzyk spełnienia. Wir barw i dźwięków zamigotał i wygiął się, jak napięta tkanina – coś powoli wnikało w jego splot.

Czarny jednorożec.

Ben poczuł, że oddech uwiązał mu w gardle. Piekły go oczy. Pojawiło się przemożne pragnienie. Nigdy nie widział czegoś tak pięknego, jak jednorożec. Nawet Willow wśród tańczących nimf była bladym cieniem przy tym baśniowym stworzeniu. Jego delikatne ciało zdawało się falować wraz z muzyką i tańcem nimf, gdy wylaniał się z ciemności w tęczę barw. Róg załśnił bielą własnej mocy magicznej.

Wtedy jeszcze raz dotarło do Bena ostrzeżenie Dirka. Tym razem zabrzmiało ledwie echem wspomnienia.

Strzeż się!

– Co się dzieje? – wyszeptał Ben.

Teraz, wolno obracając głowę, zwrócił się ku niemu Władca Rzek. Twarda twarz żywa była tańczącymi na niej światłami i barwą uczuciami. Mówił, lecz słowa wydawały się dochodzić nie z ust, ale z umysłu.

– Będę go miał, panie! Będę miał na własność jego czar! Stanie się częścią mego kraju i ludu! Musi być mój! Musi!

Poprzez płaszcz przyjemnych doznań, przez otaczające go muzykę i taniec, Ben dostrzegł nagle prawdę co do zamiarów Władcy Rzek. Nie wezwał on ani grajka, ani tańczących nimf, by się dowiedzieć czegokolwiek o Willow lub jej matce. Jego ambicje sięgały wyżej. Wszystko, co uczynił, miało służyć odnalezieniu czarnego jednorożca. Użył muzyki i tańca, by stworzyć wizję jego córki ze złotą uprzężą, która miała zwabić nad brzegi jeziora zaczarowane zwierzę, by tam można było je ująć. Tak – Władca Rzek uwierzył w historię Bena, lecz uznał, że czarny jednorożec bardziej potrzebny jest jemu niż zdetronizowanemu i bezsilnemu królowi. Ukradł sen Willow, czyniąc go swym własnym. Wszystko to było wyszukany podstępem – grajek, tańczące nimfy i wszystko inne, co służyło wytworzeniu wizji.

I – mój Boże – działało! Czarny jednorożec przybył!

Obserwował teraz jednorożca zafascynowany, niezdolny odwrócić od niego wzroku, wiedząc, że jakoś musi zapobiec temu, co nieuchronnie nadchodzi, jednak znieruchomiały i oszołomiony pięknem wizji. Jednorożec lśnił, jak skrawek nocnego nieba na tle feerii barw, w którą się wplótł. Wzniósł swą smukłą głowę na zew muzyki i wydał krzyk na widok dziewczyny ze złotą uprzężą. Wszystko to wyglądało, jak obraz żywcem wyjęty z baśni i porażało swym urokiem. Koźle kopyta zatańczyły lekko, lwi ogon wygiął się i jednorożec wkroczył głębiej w zastawioną na niego pułapkę.

Muszę go zatrzymać! Ben poczuł, że próbuje krzyczeć.

Wtem tkanina, po której jednorożec tak lekko się posuwał, zdała się pękać na samym środku,

wysoko ponad tańczącymi nimfami i stworzoną przez nie wizją. Oto mara stworzona przez inne umysły i żądze wdarła się w pole widzenia. Było to olbrzymie, potworne stworzenie, pokryte łuską i kolcami. Miało potężne zęby, pazury oraz skrzydła, a całe unurzane było w mazi. Z jego ciała unosiła się para. Owo skrzyżowanie węża z wilkiem, rycząc, torowało sobie drogę przez noc w kierunku jeziora.

Bena zmroziło. Widział to już kiedyś. Był to demon wydobywający się z głębin Abaddonu – bliźniak potwora, którego dosiadał podczas pojedynku Żelazny Mark.

Rozwścieczony, zbliżał się do nich. Wtem, ujrawszy czarnego jednorożca gwałtownie zawrócił. Jednorożec również dojrzał bestię i wydał rozzwierający, wysoki głos przerażenia. Jego biały, prążkowany róg lśnił mocą magii. Zwierzę rzuciło się do ucieczki, a demon podążył w jego ślady, tnąc powietrze pazurami. Jednorożec zniknął, stapiając się z ciemnościami nocy równie gwałtownie, jak się pojawił.

Władca Rzek krzyknął w gniewie i rozczarowaniu. Demon zawrócił i krążył, ziejąc ogniem z otwartej paszczy. Płomienie ogarnęły flectistę i w sekundę zmieniły jego patykowatą postać w garstkę popiołu. Dźwięki i kolory rozproszyły się we mele; powróciła noc. Ciemności zalały postać Willow i złota uprząż zniknęła. Ben znowu stał na skalnej półce obok Władcy Rzek, a ulewa i wichur atakowały ich znowu z zaciekłością.

Lecz nimfy leśne wirowały dalej, opętane swym szalonym tańcem. Zdawało się, że nie mogą się zatrzymać. Były wszędzie, na całym brzegu jeziora – jasne, świetliste plamki w mroku i deszczu nocy. Pochodnie zasyczały i pociemniały, zdmuchnięte przez wiatr, zagaszone przez deszcz. Teraz tylko światła nimf leśnych rozświetlały mrok. Przyciągnęły potwora, jak przyciąga zwierzyna drapieżnika. Monstrum wygięło się do tyłu, potem do przodu, i buchając płomieniami z gardzieli, przemierzało jezioro od końca do końca. Jego ogień zamieniał bezbronnych tancerzy w popioły. Ich przedśmiertelne krzyki były ledwie wątlými, nierzeczywistými, cichými piskami. Ginęli, jak zdmuchnięte świece. Władca Rzek zawył w rozpacz, lecz nie mógł już ich ocalić. Ginęli jeden po drugim, gdy bestia przemierzała jezioro od brzegu do brzegu, jak nocny cień śmierci.

Ben nie panował nad sobą. Nie mógł znieść widoku tego zniszczenia, lecz nie mógł też się odwrócić. W końcu drgnął jednak – przerażenie było zbyt wielkie, by pozwolić ustać w miejscu. Działał, nie zastanawiając się. Wyciągnął spod tuniki poczerńiałý medalion, tak jak czynił to dawniej, i wyciągnął go przed siebie, krzycząc w furii do uskrzydłonego demona.

Nie pamiętał, jaki medalion wtedy ma teraz na sobie!

Demon odwrócił się i spojrział na niego. Ben poczuł nagle obecność Dirka u swych stóp. Zdał też sobie sprawę, że zwracając na siebie uwagę, podpisał własny wyrok śmierci.

Wtem zabłysł grom. Demon najwyraźniej dojrzał medalion, Bena Holidaya i Dirka. Bestia syknęła wściekle, niczym gejzer, z którego wydobywa się para, i szybko odeszła. Zniknęła w mroku nocy.

Ben dygotał. Nie wiedział, co się stało. Wiedział tylko, że z jakichś niezrozumiałych

przyczyn ciągle pozostaje przy życiu. Poniżej, nad wodami jeziora, ostatnie nimfy kończyły swój taniec i zniknęły w lesie. Wraz ze zniknięciem ich światła całe jezioro, wzgórza i lasy pogrążyły się w ciemnościach. Wiatr i deszcz hulały w pozostawionej przez nie pustce.

Ben starał się zapanować nad drżącymi dłońmi. Powoli umieścił medalion pod tuniką. Palnął go w skórę.

Władca Rzek przykląkł na jedno kolano. Jego oczy wpatrzone były w Bena.

– To coś zna ciebie! – krzyknął w gniewie.

– Nie, nie mogło... – zaczął Ben.

– Medalion! – przerwał mu tamten. – Bestia знаła twój medalion! Łączy was coś, czego nie potrafisz wyjaśnić! – Podniósł się na równe nogi, a jego oddech przeszedł w ostry świst. – Przez ciebie straciłem wszystko! Kosztowałeś mnie utratę jednorożca! To ty jesteś winien zagładzie moich nimf leśnych i grajka! Ty i twój kot! Ostrzegałem cię przed tym kotem! Koty przyrmatyczne zawsze ściągają kłopoty! Patrz, co narobiłeś! Patrz, czego jesteś przyczyną!

Ben cofnął się.

– Ja nie...

Lecz Władca Rzek przerwał mu natychmiast.

– Chcę, żebyś stąd odszedł! Nie jestem już pewien, kim jesteś, i nie obchodzi mnie to! Masz w tej chwili opuścić mój kraj – ty i twój kot. Jeśli znajdę cię tutaj jutro o świcie, umieszczę cię na bagnach, z których nigdy się nie wydostaniesz! Idź!

Wściekłość brzmiąca w jego głosie wykluczała jakąkolwiek dyskusję. Władca Rzek pozbawiony został czegoś, czego pożałował. Winą za to obarczył Bena. Nie miało znaczenia, że jego zachcianki były egoistyczne albo że dotyczyły czegoś, co nie dla niego było przeznaczone. Nie miało też znaczenia, że niesłusznie osądził Bena. Czuł w tej chwili jedynie gorzkość straty.

Ben poczuł w sobie dziwną pustkę. Po Władcy Rzek spodziewał się czegoś lepszego.

Odwrócił się bez słowa i odszedł w noc.

## MATKA ZIEMIA

Deszcz i chłód spowodowały, że wygląd Bena, odchodzącego pustym zboczem od rozgniewanego Władcy Rzek, odpowiadał dokładnie jego nastrojowi. Przejycia, jakich doznawał, słuchając muzyki fletu, oglądając taniec nimf leśnych, obserwując pojawiającą się Willow, i to, co nastąpiło potem, miały nim i mieszały się, jak sfora wściekłych psów. Nadal czuł ekstatyczne uniesienie i wolność, której poczucie przyniosła muzyka i widok tańca. Teraz jednak przeważały uczucia przerażenia i konsternacji.

W samotnej ciemności jego umysłu igrały wizje: Władca Rzek nieodparcie pragnący pojmać czarnego jednorożca, by stać się posiadaczem jego magicznej mocy, uskrzydłony demon palący na popiół swym ognistym oddechem bezradnie wirujące na brzegach jeziora delikatne nimfy leśne, i w końcu on sam – wyciągający instynktownie przed siebie zmatowiałą podobiznę Meeksa na medalionie tak, jak gdyby był to talizman, który mógłby zostać jakoś rozpoznany...

I chyba został.

Co, u licha, tam się wydarzyło? Co to miało oznaczać? Uskrzydłona bestia kroczyła ku niemu, by go zglądzić, lecz nagle się odwróciła, jak gdyby napotkała niewidzialną ścianę! Czy była to sprawka medalionu, Bena, Dirka, czy może kogoś zupełnie innego?

Władca Rzek najwyraźniej sądził, że to medalion. Był przekonany, że Ben jest w jakiś sposób powiązany z demonem – i z Meeksem – jakąś brudną, chroniącą ich troje, znową. Możliwe, że sam obraz Meeksa wystarczył, by zawrócić demona...

Ben zatrzymał się. To narzucało wniosek, że demon przysłany został przez Meeksa. Lecz czy to jedyne racjonalne wytłumaczenie? Czyż to nie Meeks wywabił demony z czeluści Abaddonu zaraz po śmierci starego króla? Ben znowu ruszył. Tak, to Meeks. To on musiał przysłać demona, gdyż wiedział, że Władca Rzek jest bliski pojmania czarnego jednorożca, a sam chciał mieć go – z jakichś przyczyn – dla siebie. Znaczyło to jednak, że Meeks musiał mieć możliwość dowiedzenia się o zamiarach Władcy Rzek wobec jednorożca, a to z kolei – że możliwość taką mógł mu dać medalion Bena. Meeks ostrzegał wszak, że medalion pozwoli mu kontrolować poczynania Bena. I rzeczywiście – mogło to być prawdą. Ben mógł być w istocie odpowiedzialny za zagładę nimf leśnych.

Krzyki umierających stworzeń stale odbijały się echem okrutnego wspomnienia w ciemnych zakątkach jego umysłu. Póki nie zaczęły ginąć, nie myślał o nich nawet jak o czymś realnym – brał je po prostu za plamki światła wzbogacone o ludzkie rysy; wiotkie, poetyckie postacie, które – upuszczone – rozbiłyby się na kawałeczki, jak szkło...

Wszystko to kotłowało się w jego umyśle, póki nie otrząsnął się z tego gwałtownie. Jego pytania rodziły nowe pytania, a tymczasem odpowiedzi na żadne z nich nie mógł odnaleźć. Deszcz dudnił swoje wilgotne *staccato*, chlupocąc w trawie i błocie, płynąc po ścieżkach małymi strumykami. Bena przenikało otaczające zimno i ciemności. O odrobinie ciepła i światła ledwie

mógł pomarzyć. Szedł, nie wiedząc jednak dokąd idzie. Myślał tylko, by iść dalej. Dalej od Władcy Rzek i jego krainy, dalej od miejsca, w którym miał szansę odnalezienia Willow, nim uczyni to Meeks.

Jego buty chlupały w kałużach i błocie. Dokąd miał się udać?

Nagle rozejrzał się za Dirkiem. Gdzie ten przekłety kot? Zawsze był w pobliżu, kiedy nie był potrzebny. A gdzie podziwia się teraz? Dirk zawsze zdawał się znać drogę. Zdawał się wiedzieć wszystko.

Dirk wiedział nawet, co Władca Rzek zamierza uczynić przy pomocy muzyki flecisty i tańca leśnych nimf. A przynajmniej tak myślał Ben, gdy rozważał wypadki, które dopiero zaszły.

Kot ostrzegał go.

A więc jednak jakoś mu się przysłużył.

Jego myśli skupiły się znowu na medalionie. Czy to rzeczywiście on odwiódł demona? Czy to on był faktycznie odpowiedzialny za masakrę nimf i grajka? Nie mógł żyć dalej z tą świadomością. Może powinien być po prostu pozbyć się tego przedmiotu? W jaki sposób mógłby on służyć Meeksowi, jeśli Ben nie nosiłby go na sobie? A może Meeks tego właśnie chciał? Ostrzeżenie przed jego zdjęciem mogło być błagą. Może, zdejmując medalion, uda mu się uwolnić od czarnoksiężnika...

Zatrzymał się raz jeszcze i sięgnął pod tunikę. Wziął łańcuszek w palce i wolno wyjął medalion spod ubrania. Wpatrując się w niego w ciemnościach, dojrzał zamazany, poczerniały wizerunek słabo migocący w krótkich błyskach piorunów; nabierał nieodpartej chęci, by zerwać i rzucić jak najdalej od siebie ten niepokojący kawałek żelaza. Robiąc to, mógłby się uwolnić, przynajmniej częściowo odkupić swą winę za zagładę nimf. Mógłby zacząć na nowo...

– O, mój drogi władco, tu jesteś! Włóczyz się w ciemnościach, jak ktoś udający ślepcę. Myślałem już, że zgubiłem cię na dobre.

Dirk z gracją zszedł z gałęzi drzewa. Jego nieskazitelne futerko lśniło kroplami wody, a wąsy oklapły nieco od wilgoci. Doszedł do zwałonego pnia i usiadł na wilgotnej korze z wystudowaną ostrożnością.

– A gdzie ty byłeś? – rzucił zirytowany Ben. Zawahał się przez chwilę, potem puścił medalion, pozwalając mu opaść w fałdy tuniki.

– Szukałem ciebie, rzecz jasna – odpowiedział spokojnie Dirk. – Wygląda na to, że wymagasz szczególnej troski.

– Czyżby? – Bena rozpiekało. Był zmęczony, przestraszony, rozżalony i męczył go jeszcze z tuzin innych nieprzyjemnych uczuć. Lecz najbardziej męczyło i denerwowało to, że ten cholerny kot traktował go jak zagubione dziecko. – No tak! Jeśli ktokolwiek został stworzony do roztaczania opieki nad ludźmi – to właśnie ty, czyż nie? Dirk ze Skraju Lasu, opiekun zagubionych dusz. Któż inny posiada tak głęboki wgląd w ludzką naturę? Kto inny potrafi z taką jasnością rozróżnić prawdę od fałszu? Powiedz Dirk – czyż to nie ty? No, powiedz, jak to się dzieje, że wiesz tak wiele? No już, śmiało! Skąd wiedziałeś przede mną, co zamierza zrobić

Władca Rzek? Skąd wiedziałeś, że chciał pojmać jednoroźca? Dlaczego pozwoliłeś mi tam się znaleźć i biernie w tym uczestniczyć? Nimfy leśne zginęły z mojej winy, czyż nie? Dlaczego na to pozwoliłeś?!

Kot wpatrywał się przez chwilę w Bena, potem zaczął się myć. Ben czekał. Dirkowi jego obecność zdawała się obojętna.

– No i co? – rzekł w końcu Ben. Kot podniósł wzrok.

– Masz wiele pytań, panie, prawda? – Z pyszczka wysunął się różowy języczek. – Dlaczego to ode mnie oczekujesz odpowiedzi?

– Bo wyglądasz na takiego, co je – u licha – zna!

– Wyglądać na kogoś i być kimś to dwie różne rzeczy. Chyba dostałeś już lekcję na ten temat, panie? Mam swój instynkt i rozsądek – potrafię więc czasami rozsądzić rzeczy niełatwe dla zwykłych ludzi. Nie jestem jednak olbrzymim magazynem odpowiedzi na wszystkie pytania. To różnica. – Kichnął. – Poza tym masz błędne pojęcie na temat natury naszych wzajemnych stosunków. Jestem kotem i nie muszę mówić ci niczego. Jestem twym towarzyszem, nie mentorem. Jestem tutaj z własnej woli i mogę odejść, gdy tylko mi się spodoba. Nie muszę odpowiadać nikomu – a już z pewnością nie tobie. Jeśli chcesz mieć odpowiedzi na swe pytania, to radzę ci – szukaj ich sam. Wszystkie odpowiedzi leżą w twym zasięgu. Wystarczy, że poczynisz odpowiednie wysiłki, aby je uzyskać.

– Mogłeś mnie ostrzec!

– Sam mogłeś to zrobić. Po prostu nie chciało ci się o tym pomyśleć. Bądź wdzięczny, że w ogóle zdecydowałem się interweniować.

– Ale nimfy leśne...

– Dlaczego – kot przerwał mu w pół zdania – stale pytasz mnie o rzeczy, choć nie jesteś upoważniony do wiedzy o nich. Nie jestem twym *deus ex machina*!.

Ben powstrzymał się od powiedzenia tego, co chciał właśnie powiedzieć i zapatrzył się w kota. *Deus ex machina!*

– Mówisz po łacinie? – zapytał z niedowierzaniem.

– I czytam grekę – dodał Dirk.

Ben pokiwał głową, marząc, by móc odkryć chociaż część tajemnic tego kota.

– Czy wiedziałeś wcześniej, że nimfy zostaną zgładzone? – zapytał w końcu.

Kot odczekał chwilę.

– Wiedziałem, że ciebie demon nie zniszczy.

– Bo?

– Bo jesteś królem.

– Królem, którego nikt nie rozpoznaje.

– Królem, który nie rozpoznaje sam siebie.

Ben zawahał się. Chciał powiedzieć, że rozpoznaje, ale jego powierzchowność została zmieniona, medalion skradziony i tak dalej... Ale nie powiedział. Uczynił to już przecież



w drodze do krainy Władcy Rzek.

– Jeśli demon nie mógł mnie rozpoznać, to skąd wiedziałeś, że mnie nie zniszczy?

Dirk zdał się wzruszać ramionami.

– Medalion. Ben skinął.

– Myślę więc, że powinienem pozbyć się medalionu. Myślę, że to on spowodował wszystko, co się tam stało – pojawienie się demona, śmierć nimf, wszystko. Powinienem wyrzucić go jak najdalej, Dirk.

Dirk uniósł się i przeciągnął.

– Przede wszystkim powinieneś się dowiedzieć, czego chce błotny drobiazg – powiedział.

Wzniósł wzrok. Ben również. Deszcz i mrok niemal nie pozwalały dojrzeć niewielkiego kształtu, kryjącego się o tuzin stóp od nich na gromadce sosnowych igieł. Dziwaczne stworzenie trochę przypominało bobra o dużych uszach. Gapilo się na nich lśnącymi żółto w ciemności ślepiami.

– Co to takiego? – zapytał Ben.

– To istota, która sprząta i oczyszcza wszystko po innych stworzeniach – rodzaj czworonożnego dozorca.

– Czego od nas chce?

Dirk niechętnie zdobył się na spojrzenie w kierunku Bena.

– Czemu pytasz mnie? Dlaczego nie jego? Ben westchnął. Rzeczywiście, czemu nie?

– Czym mogę służyć? – rzucił pytanie w kierunku nieruchomej sylwetki.

Błotny drobiazg uniósł się na cztery łapy, spojrzął, odwrócił się i zaczął oddalać. Po chwili się zatrzymał i jeszcze raz odwrócił.

– Nie podpowiadaj! – prosił Ben. – On chce, żebyśmy za nim poszli.

– W porządku, nie będę podpowiadał – obiecał Dirk. Ruszyli za błotnym drobiazgiem przez las, kierując się na północ od Elderew i Krainy Jezior. Deszcz zelżał, przechodząc w lekką mżawkę, a obłoki zaczęły się powoli rozstępować, przepuszczając nieco światła, które sączyło się poprzez gałęzie drzew. Powietrze nadal było mroźne, lecz Ben był już tak wyzbyty czucia, że nie sprawiało mu to różnicy. Wlókł się za błotnym drobiazgiem w milczeniu, zastanawiając się trochę, czy stworzenie to ma jakieś imię, a trochę, dokąd idą i dlaczego, co powinien zrobić z medalionem, a przede wszystkim – co zrobić z Dirkiem. Kot ciągnął za nim. Ostrożnie stąpając, omijał błoto i kałuże, bardzo przy tym dbając, by się nie zabrudzić.

Ben pomyślał, że to typowe dla kotów.

Lecz poza tym Dirk ze Skraju Lasu w niczym innym chyba nie przypominał typowego kota, i należało się z tym pogodzić. Trzeba jednak znaleźć odpowiedź na pytanie, co z nim począć. Podróżowanie z Dirkiem przypominało trochę podróż z jakąś starszą osobą, która robi wszystko, żebyś poczuł się w jej obecności jak dziecko, a jednocześnie strofuje, żebyś jak dziecko się nie zachowywał. Dirk miał z pewnością jakiś powód, by towarzyszyć Benowi, lecz Ben zaczynał się zastanawiać, czy był to powód rzeczywiście rozsądnie uzasadniony.

Dochodząc do odległych północnych granic Elderew, wyszli z lasu, wkraczając na bagna. Teren zaczynał nieco się pochylać, a w powietrzu pojawiły się długie kłęby mgły. Ciemność zgęstniała, a wilgoć i zimno ustąpiły miejsca dusznemu ciepłu. Benowi wcale nie zrobiło się lepiej.

Błotny drobiazg nie zwalniał.

– Czy te stworzenia często robią takie rzeczy? – Ben wyszeptał w końcu do Dirka. – No, rozumiesz, czy proszą, żeby za nimi iść?

– Nigdy – odpowiedział Dirk i kichnął.

Ben spojrzął na kota z wyrzutem, życząc mu w swych czarnych myślach zapalenia płuc.

Wstąpili w zacienione miejsce, w którym rosły cyprysy i wierzby. Wszystko to rosło w nieopisanym trzęsawisku. Błoto zasysało buty Bena, a woda błyskawicznie wypełniała odcisnięte przez nie ślady. Deszcz ustał całkowicie i zapanowała głucha cisza. Ben zastanawiał się, jak to jest być suchym. Jego ubranie zdawał się wypełniać ołów. Mgła była dosyć gęsta i ograniczała widoczność do zaledwie kilku metrów. Może byli tam prowadzeni, by zginąć? Może właśnie po to...

Jednak nie po to, ani też po nic innego, co mogło przyjść w tej chwili Benowi do głowy. Była to po prostu wyprawa przez bagna, która dobiegła końca u wylotu wypełnionej błotem jamy. Błotny drobiazg dotarł do niej, odczekał, aż podejda na sam jej skraj i zniknął w ciemnościach. Jama rozciągała się we mgle na co najmniej kilkanaście metrów. Była olbrzymią, wypełnioną bulgocącym od czasu do czasu błotem dziurą, a poza tym nie było w niej nic interesującego. Ben wlepił w nią wzrok, a potem skierował spojrzenie na Dirka i zaczął się zastanawiać, co będzie dalej.

Dowiedział się już chwilę później. Powierzchnia błota zdała się wypiętrzyć w swym centralnym punkcie i z bagna wynurzyła się kobieta, by stanąć w końcu na jego powierzchni.

– Dzień dobry waszej wysokości – pozdrowiła go.

Była naga – a przynajmniej tak wyglądała, choć nie można było mieć pewności, gdyż pokrywała ją gruba warstwa błota. Przylegało do niej jak odzienie. W jej skupionych na postaci Bena oczach zabłysło światło. Spod błota było w zasadzie widać jedynie zarys jej sylwetki. Spoczywała na powierzchni bagna jak nieważka. Była odprężona i spokojna – po prostu u siebie w domu.

– Dzień dobry – odpowiedział Ben niepewnie.

– Widzę, że podróżuje z tobą pryzmatyczny kot – jej głos brzmiał płasko i wibrujące – To szczęście. Kot pryzmatyczny może być wartościowym towarzyszem.

Ben nie był co do tego przekonany, lecz utrzymał język za zębami. Dirk również nic nie powiedział.

– Jestem znana jako Matka Ziemia, panie – ciągnęła kobieta. – Ludzie z Krainy Jezior dali mi to imię przed kilkoma stuleciami. Podobnie jak oni, jestem czarodziejskim stworzeniem, związanym z tą krainą. Ale w przeciwieństwie do nich, sama wybrałam to miejsce. Było to

w początkach jej istnienia, gdy jeszcze nie byłam potrzebna. Jestem duchem i duszą ziemi. Mógłbyś rzec, że jestem ogrodniczką Landover. Mam baczenie na glebę tej krainy i na wszystko, co na niej rośnie. Chociaż odpowiedzialność i troska o tę ziemię nie spoczywa wyłącznie na moich barkach – wszak i ci, którzy żyją na jej powierzchni muszą je dzielić – jestem jednak integralną częścią procesu. Daję spod ziemi możliwość wzrastania, a inni muszą już zadbać o to, by móc ją wykorzystać i zebrać owoce. – Przerwała. – Czy rozumiesz, panie?

Ben skinął.

– Myślę, że tak.

– Dobrze, bo to ważne. Ziemia i ja jesteśmy nierozdzielne. Ona jest częścią mej natury, a ja – jej. Ponieważ jesteśmy połączone, znam większość wydarzeń rozgrywających się w Landover. Ciebie zaś znam szczególnie dobrze, gdyż twoja magia jest również częścią mnie. Pomiędzy ziemią Landover i jej władcą istnieje nierozzerwalna więź. Czy i to pojmujesz?

Ben ponownie skinął.

– Tak, wiedziałem o tym. Czy to dlatego rozpoznajesz mnie pomimo zmienionej powierzchowności?

– Rozpoznaję cię, podobnie jak ten kot, panie. Nigdy nie polegam na wyglądzie zewnętrznym. – Towarzyszył temu jej ledwie dostrzegalny śmiech, i nie był to śmiech niemiły. – Obserwowałam twoje przybycie do Landover i od tamtego czasu podążałam za tobą. Jesteś odważny i zdecydowany. Brak ci jedynie wiedzy. Lecz i ta przyjdzie z czasem. Trudno pojąć tajemnice tej krainy.

– Tak. Teraz znowu nieco mnie zbiła z tropu – zgodził się Ben. Od razu polubił Matkę Ziemię znacznie bardziej, niż Dirka.

– Owszem, jest nieco pogmatwana. Lecz mniej, niż ci się zdaje. – Przesunęła się nieco wraz z kłębem mgły, nie zmieniając jednak swej mętnej i pozbawionej wyraźnych rysów formy. Jej oczy lśniły wilgotno. – Kazałam drobiazgowi błotnemu przyprowadzić cię do siebie, bo mogę powiedzieć ci coś o Willow.

– Widziałaś ją? – Ben był niecierpliwy.

– Tak. Jej matka przywiodła ją do mnie. Łączy mnie z nią bliska więź – taka, jaka może łączyć tylko prawdziwie czarodziejskie stworzenia z ziemią. Dzielimy moc magii. Matka Willow jest wykorzystywana do niecznych celów przez Władcę Rzek, który myśli tylko o tym, jak ją pościć, nie biorąc pod uwagę tego, kim ona rzeczywiście jest. Władca Rzek chce dominować tak, jak czynią to ludzie, panie. To jego wielki błąd i mam nadzieję, że zdąży na czas się opamiętać. Nie można w ten sposób posiadać ani ziemi, ani jej darów. Ziemia jest dziedzictwem, które muszą dzielić wszystkie żyjące tu stworzenia. Nie można jej brać na prywatny użytek. Lecz faktycznie nigdy się tak nie działo – nie w Landover, ani w żadnym świecie poza nim. Wyższe klasy próbują dominować nad niższymi, a wszyscy usiłują zdominować ziemię. Często łamią tym serce Matki Ziemi.

Przerwała.

– Władca Rzek tak właśnie postępuje i posuwa się w tym nawet dalej niż inni. I on szuka sposobów dominacji nad innymi; może w nieco mniej oczywisty sposób. Użyłby magii, by oczyścić całą tę krainę, podczas gdy wcale nie jest to słuszne podejście. Potrzebna jest nam, panie, moc uzdrawiania. Nie zawsze jednak uzdrawianie godne jest zalecenia. Proces umierania i regeneracji jest nieodłączną częścią procesu rozwoju. Nikt nie jest w stanie przewidzieć, jak taki cykl potoczy się dalej, więc igranie z jednym z jego ogniw może się okazać bardzo niebezpieczne. Władca Rzek nie dostrzega tego – podobnie, jak nie dostrzega przyczyny, dla której matka Willow nie może z nim pozostać. Widzi tylko to, co jest dla niego potrzebą chwili.

– Czy to tak, jak z jego chęcią wejścia w posiadanie czarnego jednoroźca? – przerwał z napięciem Ben.

Matka Ziemia przyjrzała mu się uważnie.

– Tak, panie – czarny jednorożec. Temu pragnieniu nikt się nie może oprzeć. Chyba nawet ty. – Przez chwilę milczała. – Ale nie o tym chciałam mówić. Miałam powiedzieć ci o Willow. Czułam, że jesteście razem, i było to uczucie przyjemne. Istnieje między wami szczególna więź, która wróży na przyszłość coś, na co czekam od bardzo dawna. Chciałabym zrobić wszystko, co w mej mocy, by tę więź utrzymać. – Wzniosła ciemne ramię. – Słuchaj więc, panie! Matka Willow przywiodła ją do mnie dwa dni temu o świcie. Willow nie poszła po pomoc do swego ojca, a jej matka nie potrafiła jej pomóc. Miała nadzieję, że ja będę w stanie. Willow śniła już po raz drugi o czarnym jednoroźcu – raz, gdy była jeszcze z tobą, drugi raz – później. Sny są mieszaniną prawd i kłamstw, a Willow nie potrafiła ich rozdzielić. W tym nie mogłam jej pomóc – sny egzystują poza domeną ziemi. Sny są ulotne, żyją w umyśle. Willow pytała, czy czarny jednorożec jest dobry, czy zły. Powiedziałam jej, że będzie on i taki, i taki, póki prawda o nim nie zostanie do końca zrozumiana. Zapytała, czy mogę jej tę prawdę objawić. Odrzekłam, że ta wiedza nie została mi dana. Wtedy zapytała, czy wiem coś o złotej uprząży. Rzekłam, że tak. Poszła, by jej szukać.

– Dokąd? – spytał natychmiast Ben.

Matka Ziemia znów przez moment trwała w milczeniu, jak gdyby sama ze sobą o czymś dyskutowała.

– Panie, musisz mi coś obiecać – rzekła w końcu. – Wiem, że jesteś przygnębiony. Wiem, że się lękasz. Może nawet ulegniesz rozpacz. Droga, którą podążasz jest trudna. Musisz mi jednak przyrzec, że cokolwiek cię spotka i jakkolwiek przejmujące będą twe uczucia z tego powodu, to Willow będzie zawsze dla ciebie pierwszą i najważniejszą troską. Musisz obiecać, że zrobisz wszystko, co w twej mocy, by zapewnić jej bezpieczeństwo.

Ben, nieco zaskoczony, zawahał się przez moment przed odpowiedzią.

– Nie rozumiem. Dlaczego o to prosisz?

Matka Ziemia założyła rękę.

– Bo muszę, panie. Bo jestem tym, kim jestem. To powinno ci wystarczyć.

Ben zmarszczył brwi.

– A co, jeśli nie dotrzymam obietnicy? Co, jeśli zdecyduję się jej nie dotrzymać?

– Gdy obietnica jest dana, trzeba jej dotrzymać. Dotrzymasz jej, bowiem nie masz wyboru. – Oczy Matki Ziemi zamigotały. – Obiecasz mi to, i pamiętaj, że obietnica mi złożona nie może zostać złamana. Będzie nas wiązała magiczna moc.

Ben zastanawiał się przez kilka dobrych chwil. Nie chodziło mu o to, że ma obiecać coś w związku z Willow, lecz o sam fakt obiecywania. Zamykało to wszelkie inne możliwości, których w tej chwili nawet nie mógł znać. Ślepa, krótkowzroczna przysięga.

Lecz potem stało się tak, jak zwykle dzieje się w życiu. Nie zawsze oferowany nam wybór pozwala rzeczywiście wybierać.

– Obiecuję – rzekł, a jego prawnicze „ja” zazgrzytało zębami.

– Willow poszła na północ – oznajmiła Matka Ziemia – prawdopodobnie do Wielkiej Czułości.

Ben zeszywniał.

– Do Wielkiej Czułości? Prawdopodobnie?

– Złota uprząż jest czarodziejskim przedmiotem, który utkany został dawno, dawno temu przez magów Landover. Wielokroć przechodziła z rąk do rąk, i niemal została zapomniana. Stosunkowo niedawno temu należała do czarownicy zwanej Nocnym Cieniem. Ukradła ją i trzymała wraz z innymi swoimi skarbami. Czarownica ta gromadzi rzeczy, które uważa za piękne i wystawia je na widok, gdy uzna to za stosowne. Lecz uprząż tę kilka razy kradł jej smok imieniem Strabo, który również kolekcjonuje tego rodzaju precjoza. Wzajemne wykradanie sobie uprzęży stało się czymś w rodzaju współzawodnictwa pomiędzy nimi. Ostatnio była ona znowu u Nocnego Cienia.

Z Nocnym Cieniem i Wielką Czułością wiązało się wiele nieprzyjemnych wspomnień Bena. W Landover było wiele miejsc, których Ben nie kwapił się więcej odwiedzać, lecz dom owej wiedźmy był na samym szczycie listy.

Lecz przecież wtedy Nocny Cień odeszła do zaczarowanego świata... czyż nie?

– Willow odeszła, gdy powiedziałam jej o uprzęży – Matka Ziemia przerwała jego rozmyślenia. – To było dwa dni temu. Musisz się spieszyć, jeśli chcesz ją dogonić.

Ben skinął nieprzytomnie, zauważywszy, że niebo ponad niezmiennie mrocznymi bagnami powoli rozjaśnia się i wkrótce zacznie świtać.

– Życzę ci powodzenia, panie! – zawołała Matka Ziemia. Zaczęła z powrotem pogrązać się w błocie, zmieniając gwałtownie kształty w czasie opadania.

– Odnajdź Willow i pomóż jej. Pamiętaj, obiecałeś.

Ben chciał ją już wołać, mając w zanadru przynajmniej z tuzin pytań, lecz Matka Ziemia zniknęła niemal w jednej chwili. Zatonęła w bagnie i zniknęła. Ben stał z uczuciem pustki nad gładką, płaską powierzchnią błota.

– Wiem przynajmniej, dokąd poszła – rzekł do siebie. – Teraz muszę jakoś wydostać się z tych trzęsawisk.

Jak pod wpływem magicznego zaklęcia, wygrzebując się szybko spod sterty liści, pojawił się przed nim błotny drobiazg. Przyjrzał mu się z powagą, odwrócił, ruszył przed siebie, zatrzymał się i znowu odwrócił, czekając.

Ben westchnął. Jaka szkoda, że to jego życzenia nie były w ten sposób i tak szybko dostrzegane. Zerknął w dół, na Dirka. Ich spojrzenia się spotkały.

– Masz ochotę na mały spacerek na północ? – zapytał kota. Kot – jak można było przewidzieć – nie odpowiedział.

## ŁOWY

Byli o cztery dni drogi od Elderew, na południowy wschód od Rhyndweir, w samym sercu Greensward, gdy spotkali myśliwego.

– Czarny jak węgiel wydobyty z północnych kopalni, jak cień, który nigdy nie widział światła dnia. O, matko! Przebiegł tuż obok mnie – tak blisko, że gdybym wyciągnął rękę, mógłbym go dotknąć. Był pełen gracji i wdzięku, a skakał tak, jak gdyby ziemia nie potrafiła go przy sobie utrzymać. Przemykał obok nas, jak podmuch wiatru, który możesz poczuć, czasami nawet dostrzec, lecz nigdy – dotknąć. Och, nie – nie chciałbym go dotknąć. Nie chciałbym dotknąć czegoś tak... czystego. To było jak obserwowanie ognia – czystego, lecz palącego, jeśli zbytnio się zbliżysz. Nie chciałem podchodzić zbyt blisko.

Łowca mówił szybko głosem rozedrganym emocjami, które zbyt łatwo odbijały się na jego twarzy. Wczesnym wieczorem zasiadł wraz z Benem i Dirkiem przy niewielkim ognisku, rozpalonym pod koronami dębów. Słońce rozpościerało nad zachodnim horyzontem purpurowoczerwoną lunę, podczas gdy na wschodzie zapadał już szaro-niebieski zmierzch. Ostatnie godziny dnia były spokojne i ciepłe. Deszczowe chmury ostatnich czterech dni pozostawały już tylko wspomnieniem. Ptaki nuciły swe wieczorne pieśni, a w powietrzu unosił się zapach kwiatów.

Ben dobrze się przyjrzał myśliwemu. Był to wysoki, szczupły człowiek o spalonej słońcem i zesmaganej wiatrem skórze, i o stwardniałych dłoniach. Nosił leśny strój i wysokie, skórzane, miękkie buty, by mógł się wygodnie i cicho poruszać w czasie łowów. Miał kuszę, długi łuk, strzały do jednego i drugiego, oraz nóż myśliwski. Jego twarz, wydłużona i koścista, stanowiła mozaikę płaskich powierzchni połączonych ostrymi krawędziami, na której naciągnięta była mocno – teraz jeszcze bardziej, za sprawą zdenerwowania – skóra. Wyglądał na człowieka niebezpiecznego; kiedyś mógł taki być. Lecz nie tej nocy. Tej nocy był inny.

– Chyba zwariuję – zamruczał nagle, ni to ostrzegając siebie samego, ni to po prostu stwierdzając fakt. Wielką łapą przetarł czoło i przybliżył się do płomieni ogniska, jakby chciał wchłonąć ich ciepło. – O mały włos w ogóle by mnie tam nie było, wiesz. Właśnie chciałem iść w Melchor, na kozły. Wszystko miałem spakowane, kiedy znalazł mnie Dain. Dopadł mnie na rozstajach, pędząc tak, jakby jego żona odkryła właśnie to najgorsze. Wrzeszczał za mną jak głupiec. Zwolniłem i czekałem. No i wtedy ja stałem się prawdziwym głupcem. „Organizują łowy – mówił. – Sam król to ogłosił. Jego ludzie są wszędzie i szukają najlepszych myśliwych, by schwytali coś w sieci... Nie uwierzysz co! Czarnego jednoroźca! Tak, właśnie tak! – mówił podniecony. – Mamy schwycić czarnego jednoroźca, choćby miało to zająć miesiąc, będziemy przeczesywać dolinę od końca do końca. Musisz iść. Dają każdemu dwadzieścia sztuk dziennie i żywność. Jeśli go schwytasz, dostaniesz jeszcze pięć tysięcy sztuk!”

Myśliwy zaśmiał się posepnie.

– Pięć tysięcy sztuk. Taka okazja jeszcze nigdy mi się nie nadarzyła. W każdym razie takiej forsy nie widziałem przez ostatnie dziesięć lat pracy. Spojrzałem na Daina i pomyślałem, że postradał rozum. Ale jego oczy lśniły – więc jednak była to prawda! Polowanie. Nagroda – pięć tysięcy sztuk. Król – czy jakiś tam inny głupiec – wierzył, że żyje tu jakiś czarny jednorożec i że można go schwytać.

Ben rzucił spojrzenie na Dirka. Kot siedział o kilka stóp od niego, wpatrzony w mówiącego, z łapami tak podkulonymi pod siebie, że nie było ich widać. Nie drgnął, ani nie odezwał się od czasu, gdy łowca przybył do ich niewielkiego obozowiska i zapytał, czy mogliby go poczęstować kolacją. Dla wszystkich z zewnątrz Dirk był najnormalniejszym w świecie kotem. Ben nie potrafił opanować się przed ciągłym zastanawianiem się, o czym też to zwierzę myśli.

– No i poszliśmy, Dain i ja – my i jeszcze dwaj podobnie usposobieni myśliwi. Poszliśmy do Rhyndweir, bo tam miało się zacząć. Cała równina pomiędzy widłami rzek była pełna obozujących myśliwych. Byli naganiacze. Był lord Kallendbor i wszyscy inni możni ze swymi zakutymi w zbroje rycerzami i piechurami. Były konie i muły, woły obładowane żywnością, tragarze i ludzie ze świty. Całe morze ludzi i głosów, które odstraszyłoby każdą zwierzynę w promieniu dziesięciu mil! Niech to! Cóż to było za zamieszanie! Ale i tak zostałem. Myślałem o pieniądzach, ale i o czymś innym – o czarnym jednorożcu. Przecież coś takiego nie istnieje. Wiedziałem o tym. Ale jeśli jest? Co będzie, jeśli gdzieś tam jest? Trudno, mój Boże, mógłbym go nie schwytać, a chociaż zobaczyć.

Tego samego wieczora wezwano nas wszystkich przed bramy zamku. Króla nie było, był tylko jego nadworny mag – ten, którego zwał Questor Thews. To był widok! W tej pstrokatej szacie i pasach wyglądał jak strach na wróble. No i był z nim ten pies, ubrany jak człowiek i chodzący na tylnych łapach. Niektórzy gadali, że on umie mówić, ale sam go nie słyszałem. Stali tam na górze z lordem Kallendbor i szeptali mu coś, czego nikt inny nie słyszał. Mag miał twarz bladą, jak kreda – wyglądał na przerażonego na śmierć. Ale nie Kallendbor – nie on. Ten nigdy nie okazuje przed niczym strachu! Pewny jak sama śmierć i gotów, by głosić swe wyroki. Zawołał do nas tym swoim potężnym, grzmiącym głosem, co to go słyszać na milę na tych równinach. Zwołał nas i powiedział, że ten jednorożec to normalne zwierzę i można go wyśledzić i schwytać, jak każdą inną zwierzynę. Było nas wystarczająco wielu, by tego dokonać, a jeśli nie – przynajmniej przekonać się, dlaczego to niemożliwe. Poprzydzielał nam pozycje i wyznaczył linię nagonki, a potem posłał nas, żebyśmy się przespali. Polowanie miało się zacząć o świcie.

Łowca zamilkł, wspominając. Jego oczy spoglądały gdzieś poza Bena, w jakiś odległy w czasie i przestrzeni punkt.

– Wiesz, to było podniecające. Wszyscy ci faceci zebrani razem – o takich olbrzymich łowach nigdy nawet nie słyszałem. Na północy, wzdłuż gór Melchor miały stać trolle, a na południu, powyżej Krainy Jezior, łowcy z czarodziejskich plemion. Nie przypuszczali, że jednorożec może być gdzieś na południu – nie wiem czemu. Ale według planu mieliśmy zacząć na wschodniej granicy i posuwać się na zachód, zamykając szyk z północy i południa jak



olbrzymią sieć. Naganiacze i konni mieli zacząć ze wschodu, łowcy i chwytacze rozmieszczeni zostali na zachodzie, w ruchomych rewirach. To był dobry plan. – Uśmiechnął się słabo. – Zaczęło się dokładnie według planu. Wschodnia linia ruszyła na zachód, zgarniając wszystko, co spotkała na swej drodze. Łowcy, tacy jak ja, zaczęli się w górach. Stamtąd mogliśmy dostrzec wszystko, co się ruszało na halach i równinach. Chwytacze z lassami porozłazili się wszędzie, płosząc wszystko, co jeszcze się gdzieś kryło. To było coś! Wszyscy ci ludzie, cały ekwipunek! Wyglądało to tak, jakby cała dolina zebrała się na wielkie łowy. Cały dzień szyk posuwał się na zachód, od pustkowi aż do Rhyndweir i dalej: nagonka wraz z łowcami, konni i piesi, wozy pełne zapasów jeżdżące do zamku i miast, i z powrotem. Nie wiadomo, jak udało im się to tak szybko zorganizować i panować nad tym, ale jakoś to osiągnęli. Nigdy nie widziałem czegoś takiego. Tamtej nocy obozowaliśmy w szyku ciągnącym się od Melchor aż do Sterling Silver. Sznur ognisk ciągnął się z południa na północ, jak olbrzymi wąż. Było to można zobaczyć ze wzgórza, na którym obozowałem z Dainem i innymi myśliwymi. Trzymaliśmy się z daleka od głównych obozowisk. Tam w górach czujemy się bardziej swojsko. Widzimy wszystko za dnia i w nocy. Trzymaliśmy warty, żeby nic się nie przemknęło w mroku.

Kolejny dzień wyglądał tak samo. Dotarliśmy do północnych podnóży gór, na skraj pastwisk. Ale nie zobaczyliśmy tam niczego. Znowu rozłożyliśmy obozy i czekaliśmy. Pilnowaliśmy przez całą noc.

Ben myślał o czasie, który stracił na dotarcie tutaj z Elderew. Cztery dni. Pogoda spowolniła tempo podróży w Krainie Jezior, a poza tym zmuszony był zboczyć na wschód od Sterling Silver, by uniknąć straży – swoich własnych straży! Mogli go przecież rozpoznać jako obcego, którego król nakazał usunąć z kraju. Całą drogę był zmuszony przemierzać pieszo, gdyż nie miał pieniędzy na konie, a nie upadł jeszcze tak nisko, by kraść. Na polowanie spóźnił się jakieś dwadzieścia cztery godziny. Zaczynał się zastanawiać, ile go to będzie kosztowało.

Myśliwy odchrząknął i pociągnął swe opowiadanie dalej.

– Między ludźmi zaczęły się niesnaski – rzekł poważnie. – Niektórzy doszli do wniosku, że to strata czasu. Dwadzieścia kawałków dziennie, czy nie, ale kto tam chciałby się płatać w jakieś głupoty. Panowie też dołożyli swoje. Mówili, że nie robiliśmy, co do nas należy, że nie pilnowaliśmy, jak trzeba, że coś mogło się przemknąć. Wiedzieliśmy, że nie o to chodzi, ale nie chcieli słuchać. Powiedzieliśmy więc, że będziemy pilnować jeszcze dokładniej. Ale między sobą zastanawialiśmy się, czy aby w ogóle jest tu czego szukać. Trzeciego dnia nasz szyk zamknął obszary na zachód od gór, i wtedy go znaleźliśmy. – Oczy łowcy gwałtownie ożyły i zapłonęły podnieceniem. – Było późne popołudnie, a słońce kryło się już za górami i mgłą. Ścieżki, którymi poruszaliśmy się po górach były pełne cieni. O tej porze dnia wszystko wygląda trochę niejasno, czasami zdaje ci się, że gdzieś coś się porusza, a tam nic nie ma. Obszukiwaliśmy gęsty zagajnik sosnowy otoczony starszymi drzewami i zarośnięty gęstymi krzakami. Było nas chyba sześciu, ale wokół można było usłyszeć głosy całych dziesiątek innych ludzi. Słyszeć było też krzyki nagonki, zamykającej skrzydło ze wschodu. W górach było ciepło

- dziwne o tej porze dnia. Ale wszyscy padaliśmy z wyczerpania, ciągle prześladowały nas jakieś zjawy. Zalani potem i otoczeni chmurą owadów, czuliśmy, że polowanie skończyło się niczym. Kontuzje i bóle uczyniły nas powolniejszymi. Odsuwaliśmy od siebie wszelkie myśli o jednorożcu. Byle tylko skończyć to polowanie i wrócić do domu. Cała sprawa była śmiechu warta.

Przerwał.

– Wtedy nagle coś poruszyło się między sosnami – jakby cień czegoś, nic więcej. Pamiętam, że myślałem, że to znowu moje oczy płatają mi figła. Chciałem powiedzieć coś Dainowi – był niedaleko, z lewej strony. Ale powstrzymałem się – chyba zbyt zmęczony, by mieć ochotę cokolwiek powiedzieć. Po prostu znieruchomiałem w tych krzakach i dalej obserwowałem miejsce, w którym dostrzegłem ten ruch, żeby się przekonać, czy rzeczywiście coś tam jest.

Wziął głęboki oddech, otworzywszy szeroko usta.

– Pamiętam... to wyglądało jak ciemniejsza plama w słabym świetle słonecznych promieni – tak jakby przesłoniła je na chwilę ciemna chmura. Pamiętam to uczucie. Powietrze było gorące i nieruchome, a wiatr kompletnie zamarł. Zarośla rozstały się i wyłonił się z nich on – jednorożec. Cały czarny. Zdawał się być płynny, jak woda. Taki drobny. Stał tam i gapił się na mnie, nie wiem jak długo. Mogłem dostrzec koźle kopyta, lwi ogon, spadającą na plecy i niżej grzywę, pędny, i ten kręcony róg. Zupełnie, jak ten, co go opisywali w starych historiach, ale piękniejszy, niżby kiedykolwiek udało się im go opisać. O, matko! On był wspaniały! Inni też go dostrzegli – przynajmniej kilku z nich. Dain też coś zobaczył, a dwaj inni mówili, że widzieli z bliska. Lecz nie z tak bliska jak ja, Boże! Nie! Wydawało mi się, że stoję tuż przy nim! Był tuż, tuż!

Wtedy zaczął uciekać. Nie, nie uciekać – nie uciekał tak po prostu. Odbił się od ziemi i przeszybował tuż obok mnie z taką gracją, jak cień przelatującego ptaka rzucony na ziemię promieniami słońca. Przemknął obok mnie w mgnieniu oka – hop – i już go nie było. Stałem tam, patrząc, dokąd biegnie, i zastanawiając się, czy rzeczywiście go widziałem. Wiedziałem, że tak. To był przepiękny widok – to nie był sen...

Zakrztusił się w pośpiechu wydobywanymi z gardła słowami dziwnie rozemocjonowany słowami. Ręce wznosił przed sobą, intensywnie gestykulując. Przeżony Ben wstrzymał oddech, nie chcąc, by czar przysł.

Łowca opuścił wzrok i dłonie.

– Później słyszałem, że popędził prosto w paszczę pościgu. Słyszałem, że przemknął pomiędzy nimi, jak wiatr pomiędzy leśnymi drzewami. Widziały go dziesiątki ludzi. Może i była szansa, żeby go schwytać... zastanawiam się. Przeszedł tuż ponad sieciami. Ruszyła pogoń, ale... ale wiesz, co? – Znowu wznosił oczy. – Jednorożec pobiegł wprost na panów z Greensward i ludzi króla – prosto na nich! O, matko! I mag – ten sam, który to wszystko zorganizował – wyczarował coś zupełnie bez sensu. Na wszystko spadł deszcz kwiatów i motyli. Pogoń rozproszyła się w zamieszaniu, a jednorożec umknął, nim zdążyłeś splunąć! – Nagle uśmiechnął

się. – Kwiaty i motyle – możesz to sobie wyobrazić!

Ben również się uśmiechnął. Mógł to sobie wyobrazić.

Łowca podkurczył nogi i objął je ramionami. Uśmiech zniknął.

– I tyle tego było. Po polowaniu. Wszyscy rozeszli się trochę przygnębieni. Niektórzy mówili coś o tym, żeby ciągnąć to dalej, żeby cofnąć cały szyk jeszcze raz na wschód. Ale nic z tego nie wyszło. Nikt już nie chciał w tym uczestniczyć. Wyglądało na to, że duch polowania gdzieś się ulotnił. Jak gdyby wszyscy byli zadowoleni, że jednorożcowi udało się uciec. A może po prostu nikt nie sądził, żeby w ogóle dało się go schwytać? – Opuścił swe twarde spojrzenie. – Żyjemy w dziwnych czasach. Słyszałem, że król wyrzucił maga i tego psa. Po prostu odesłał ich, gdy tylko dowiedział się o tym, co zrobił mag – albo o co on go posadzał. Myślę, że to, co zrobił czarownik, i tak nie mogło niczego zmienić. Nie w wypadku tego stworzenia. Nikt nie był w stanie czegokolwiek tu zrobić. Zwykłym śmiertelnikom nazbyt przypominało to zjawę, sen...

W oczach myśliwego nagle pojawiły się łzy.

– Chyba go dotknąłem, wiesz, kiedy przemykał obok mnie. Tak sędzę. O matko, stale jeszcze czuję muśnięcie jego jedwabistej sierści. To było jak ogień, jak... może jak dotyk kobiety. Kiedyś, dawno, dawno temu pewna kobieta dotykała mnie w ten sposób. Takie uczucie miałem, dotykając jednorożca. Nie mogę tego zapomnieć. Próbuję myśleć o innych rzeczach, próbuję rozsądnie spojrzeć na to, co się wydarzyło, ale to uczucie stale jest ze mną.

Od czasu, gdy odszedłem stamtąd, poszukuję go na własną rękę. Może jeden człowiek ma większe szanse, niż cała zgraja łowców. Właściwie to nie chcę go schwytać. Chciałbym tylko jeszcze raz – choć jeden raz – go dotknąć. Tylko przez chwilę...

Znowu zamilkł. Ognisko nagle zaiskrzyło, przerywając chwilową ciszę trzaskiem polan. Nikt się nie poruszył. Mrok zalał całą dolinę i ostatnie promienie słonecznego światła zniknęły z pola widzenia. Ukazały się gwiazdy i księżyc. Ich światło było blade i odległe, barwy – stłumione. Ben spojrzał na Dirka. Kot miał zamknięte oczy.

– Chcę tylko jeszcze raz go dotknąć – powtórzył cicho łowca – tylko przez chwilę.

Wpatrywał się nieobecny wzrokiem w Bena. Duch tego, kim – czy też czym był – został pochłonięty przez ciszę, która teraz nastąpiła.

Tej samej nocy Willow znowu śniła o jednorożcu. Spała skulona obok wiernego Parsnipa, w niewielkim sosnowym zagajniku na skraju Wielkiej Czeluści, ukryta w cieniu, pod gałęziami. Minęło już pięć dni jej podróży na północ od Elderew. Bena Holidaya dzieliły od niej teraz już tylko godziny. Polowanie na czarnego jednorożca, przechodzące przez krainę gór na zachód od Greensward, zepchnęło ją na wschód, opóźniając marsz niemal o cały dzień. Nie miała pojęcia, co to za polowanie. Nie przypuszczała, że szuka jej Ben.

Sen przyszedł o północy, jak dająca poczucie ciepła i bezpieczeństwa matka, która wkrada się do pokoju śpiącego dziecka. Tym razem nie przyniósł strachu, a tylko smutek. Willow poruszała się wśród leśnych drzew i polan. Czarny jednorożec wyglądał, jak duch przybyły z jakichś podziemnych światów, by szukać tropów życia. Pojawiał się i rozplýwał, jak słońce za

chmurami: a to w cieniu olbrzymiego klonu, a to w paśmie jedlinowego zagajnika. Zawsze widoczny był tylko w części. Był czarny i jednolity – za wyjątkiem oczu – a oczy te odbijały cały smutek świata, który kiedykolwiek istniał lub dopiero miał się pojawić.

Na widok tych oczu Willow rozplakała się, i we śnie łzy spłynęły po jej policzkach. Oczy jednorożca były przepełnione smutkiem, bólem, wykraczającym poza wszystko to, co mogła sobie wyobrazić. Jednorożec z tego snu nie był stworzeniem demonicznym – był delikatną, zagadkową istotą, z którą ktoś podle się obszedł...

Gdy obudziła się, wyraźny obraz jednorożca z utkwionym gdzieś w dali spojrzeniem trwał jeszcze w jej myślach. Parsnip spał w najlepsze obok niej. Do świtu było jeszcze kilka godzin i Willow przeszył dreszcz nocnego chłodu. Jej wiotkie ciało zadrżało na wspomnienie słów snu, szepczących jeszcze w jej pamięci. Na swój czarodziejski sposób odczuła ich magiczną obecność.

Nagle zdała sobie sprawę, że sen był rzeczywistością. Był prawdą.

Wyprostowała się, wsparta na szorstkim pniu sosny i przełknęła ślinę, walcząc z suchością w gardle. Zmusiła się, by przemyśleć, co ów sen miał jej przekazać. Być może skłoniły ją do tego oczy jednorożca... Cała sprawa przestała sprowadzać się do odnalezienia złotej uprzęży i oddania jej Benowi. To nakazał jej pierwszy sen – sen, po którym ruszyła na tę wyprawę. Lecz prawda tamtego snu stała się teraz wątpliwa. Jednorożec z tamtego snu był całkiem różny od jednorożca z tego. Jeden był demonem, drugi – ofiarą. Jeden był prześladowcą, drugi... zwierzyną łowną? Tak właśnie chyba pomyślała. Po oczach jednorożca widać było, że potrzebuje pomocy. Wyglądało wręcz na to, że o nią błagał.

I wiedziała już, że musi mu pomóc.

Otrząsnęła się gwałtownie. O czym myślała? Jeśli podejdziesz do zwierzęcia jeszcze bliżej, może być zgubiona. Nie, powinna porzucić to szaleństwo! Powinna iść do Bena...

Urwała niedokończoną myśl i znowu skuliła się w ciemności i ciszy nocy, zmagając się ze swym niezdecydowaniem. Pragnęła, by była z nią teraz jej matka, by ukoili ją, by znowu poprosiła o radę Matkę Ziemię.

Jednak najbardziej pragnęła mieć przy sobie Bena.

Lecz nie było z nią żadnej z tych osób. Nie licząc Parsnipa, była sama.

Mijały chwile. Wtem Willow wstała i jak bezgłośny cień odeszła, pozostawiając śpiącego wśród sosen Parsnipa. Cicho zniknęła w Wielkiej Czeluści. Nie kierował nią rozum, lecz instynkt. Szła bez wątpliwości i lęków, z pewnością, że wszystko będzie dobrze, i że nic jej się nie stanie.

Powróciła przed świtem. Nie miała w rękach złotej uprzęży, lecz wiedziała już, gdzie ona jest. Jej czarodziejskie zmysły powiedziały jej to, czego nie mogła powiedzieć nawet Matka Ziemia. Uprząż znowu została skradziona.

Obudziła Parsnipa, zebrała swoje drobne pakunki, rzuciła krótkie spojrzenie na pustą gardziel kotliny i ruszyła na wschód.

## ZŁODZIEJE

Gdy Ben Holiday i Dirk ze Skraju Lasu obudzili się tamtego ranka, łowcy już nie było. Żaden z nich nie usłyszał jego odejścia. Zniknął bez słowa, tak jak gdyby w ogóle nigdy nie istniał. Nawet jego twarz była teraz dla Bena jedynie niewyraźnym wspomnieniem. W pamięci pozostała jedynie opowieść o łowach na czarnego jednoroźca, opowieść nadal żywa, ciągle przerażająca.

Śniadanie toczyło się w poważnej atmosferze.

– Mam nadzieję, że znajdzie to, czego szuka – wymamrotał w pewnej chwili Ben.

– Nie jest w stanie – odpowiedział cicho Dirk. – On nie istnieje.

I Ben zaczął się nad tym zastanawiać. Czarny jednorożec zdawał się być ulotny, jak dym i mniej więcej tak samo materialny. Widziano go, lecz nigdy nie dłużej, niż przez kilka chwil, i nigdy nie wyraźniej, niż migocący cień. To legenda, która przybrała pewien wymiar rzeczywistości. Całkiem możliwe, że jednorożec nie był niczym innym, tylko zjawą – jakąś zbląkaną cząstką magii, która przyjęła widzialny kształt, lecz nigdy nie zdobyła ciała. W Landover nigdy nic nie wiadomo.

Myślał, by zapytać o to Dirka, lecz poniechał tego. Dirk i tak nie udzieliłby mu jasnej odpowiedzi – nawet, gdyby ją znał. Poza tym, miał już dosyć słownych gier z tym kotem.

Postanowił zmienić temat.

– Myślałem trochę o tym, co Matka Ziemia powiedziała nam o złotej uprzęży – oznajmił, gdy skończyli śniadanie. – Powiedziała Willow, że uprzęż była ostatnio w posiadaniu Nocnego Cienia, ale nie powiedziała ani słowem o tym, co działo się z czarownicą od czasu, gdy wysłałem ją w zaczarowane mgły. Przerwał. – Wiedziałeś o tym, co wtedy zrobiłem, prawda? O tym, że wyгнаłem Nocny Cień w zaczarowane mgły?

Dirk, siedzący na starym pniu, przesuwiał od niechcenia przednimi łapami.

– Wiedziałem.

– Wysłała mych przyjaciół do Abaddonu, więc postanowiłem odplacić się jej pięknym za nadobne – zaczął tłumaczyć. – Czarodziejskie istoty podarowały mi pył Io. Proszek ten – jeśli go wdychać – czyni stworzenie uległym wobec tego, kto mu go poda. Swoją drogą, zastosowałem go później również wobec Strabo. W każdym razie, na Nocnym Cieniu wypróbowałem go jako na pierwszej. Kazałem jej zmienić się we wronę i odlecieć we mgły. – Znowu przerwał. – Lecz nigdy się nie dowiedziałem, co działo się z nią później.

– Mam nadzieję, że dzielisz się ze mną tymi nudnawymi wspomnieniami w jakimś konkretnym celu? – parsknął Dirk.

Ben zaczerwienił się.

– Zastanawiałem się, czy Nocny Cień wśród oparów zaczarowanej mgły znalazła drogę powrotną do Wielkiej Czułości. Może się to okazać ważne, więc lepiej się nad tym zastanowić,

nim tam pójdziemy.

Dirkowi dłuższą chwilę zajęło czyszczenie pyszczka. Twarz Bena jeszcze bardziej poczerwieniała – tym razem z niecierpliwości. W końcu kot spojrział znowu w górę.

– Przez dłuższy czas nie było mi dane osobiście się tam udać, panie. Rozumiem jednak, że Nocny Cień mogła wrócić.

Ben odczekał chwilę, by nowe wiadomości okrzepły w jego umyśle. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebował, było spotkanie z Nocnym Cieniem. Nie miał medalionu, który by go ochraniał – o ile w ogóle ten przedmiot mógł go ochraniać przed istotami tak złymi, jak czarownice. Jeśli zostanie rozpoznany, zginie. Nawet jeśli nie, to z pewnością wiedźma nie przyjmie go z otwartymi rękami. Takiego samego przyjęcia mogła oczekiwać i Willow – szczególnie, gdyby czarownica dowiedziała się, czego sylfida poszukuje. Wiedział, że nie oddałaby złotej uprząży, niezależnie od tego, jak przekonujących argumentów użyłaby Willow. Pewno zamieniłaby Willow w ropuchę – i jego też. Wspomniał ze smutkiem pył Io i zamarzył, by mieć choć jedną jego garść. To znacznie powiększyłoby jego szanse.

Jego wzrok skupił się na Dirku.

– Co sądzisz o szybkiej podróży z powrotem do czarodziejskiego świata? – zapytał nagle. – Zrobiłem to raz, mogę zrobić znowu. Czarodziejskie istoty rozpoznałyby mnie, obojętnie czy jestem zmieniony, czy nie. Może pomogłyby mi odzyskać mój dawny wygląd. A może przynajmniej dałyby mi choć odrobinę pyłu Io, bym mógł go użyć wobec Nocnego Cienia. W końcu przyrzekłem Matce Ziemi, że będę troszczył się o Willow, a nie będę mógł się o nią troszczyć, jeśli nie zatroszczę się wpierw o siebie.

Dirk obserwował go bacznie przez chwilę, mrugnął oczami i ziewnął.

– Twój problem jest tego rodzaju, że nikt nie może ci pomóc w jego rozwiązaniu, a już na pewno nie czarodziejskie istoty.

– Dlaczego nie? – rzucił zirytowany nieznośną zarozumiałością kota Ben.

– Po pierwsze dlatego, że magia, która cię przemieniła jest twoją własną magią – tak, jak ci to powiedziano przynajmniej z pół tuzina razy. Po drugie – czarodziejskie istoty nie muszą wcale pomagać ci tylko dlatego, że je o to poprosisz. Angażują się w sprawy ludzkie tylko wtedy, gdy same tego chcą, i nie inaczej. – Wypiełgnowany pyszczek wykrzywił się z wyrazem niesmaku. – Wiedziałeś o tym, nim zadałeś pytanie.

Ben cicho westchnął. Kot oczywiście miał rację. Ben dobrze o tym wiedział. Czarodziejskie istoty nie mieszały się w sprawy Landover, gdy po raz pierwszy tam przybył. Królestwu groziła wtedy ruina i Żelazny Mark. Teraz zapewne nie postąpiłyby inaczej. Jako król sam musiał się uporać z piętrzącymi się przed nim problemami.

Jak zamierzał je więc rozwiązać?

– Chodźmy – zakomenderował nagle, energicznie wstając na równe nogi. – Mam pewien pomysł. Może nawet dobry. – Naciągnął buty, poprawił ubranie i czekał, aż Dirk go o ów pomysł zapyta. Kot jednak się nie kwapił. W końcu to Ben zadał pytanie. – Nie chcesz poznać

szczegółów?

Kot przeciągnął się, zeskoczył z pnia i stanął tuż obok niego.

– Nie.

Ben zgrzytnął zębami i cicho zaklął. W porządku – prędzej na biegunie nastanie upalne lato, nim powie kotu cokolwiek na ten temat.

Był wczesny ranek, a oni podążali na północ poprzez łąki Greensward, zbaczając nieco na wschód, ku podnóżom Melchor. Ben prowadził, lecz – jak zwykle – zdawało się, że kot i tak wiedział, dokąd zmierzają, i szedł równo z Benem, wyszukując sobie dogodną drogę pośród traw, pozornie obojętny na to, co Ben zamierzał uczynić. Dirk pozostawał zagadką bez odpowiedzi, lecz Ben starał się teraz skoncentrować raczej na swych planach, niż rozważać uparcie – co doprowadzało go niemal do szaleństwa – tajemnicę Dirka. Łatwiej było po prostu zaakceptować kota tak, jak akceptuje się zmiany pogody.

Na łąkach stale widoczne były ślady niedawnego polowania. Duże połacie wysokiej trawy były zdeptane butami. Śmieci pozostałe po górach dostarczonej tu żywności i pozostałości wielkich ognisk w obozowiskach rozrzucone były po całej równinie wielobarwnych łąk. Greensward wyglądało jak olbrzymie miejsce czwartolipcowego pikniku. Ben pokręcił nosem z niesmakiem. Meeks znowu zaczynał samowolnie i egoistycznie posługiwać się ziemiami Landover.

Były i inne oznaki nadużyć. Znowu pojawiły się u roślinności oznaki podupadania sił witalnych, które były dostrzegalne w dolinie, gdy Ben po raz pierwszy przybył do Landover. Zmiany takie mogły spowodować tylko pomniejszenie magicznej mocy prawowitego władcy. Gdy Landover nie miało króla, ziemia traciła swoją moc. Tego Ben dowiedział się już w czasie pierwszej swej wizyty tutaj. Meeks nie był prawdziwym królem, choćby nie wiadomo jak bardzo do niego podobny i Landover zaczynało już dawać o tym znać. Oznaki te były na razie bardzo nikłe, lecz wszystko szło ku gorszemu. W końcu Sterling Silver mogło ponownie utracić swój blask, a cała dolina pograć się w upadku. Ben wydłużył krok, jak gdyby to przyspieszenie mogło w czymś pomóc.

Około południa napotkali karawanę kupców, podążającą na północ, w góry Melchor, by nabyć od trolli metalowe narzędzia i broń. Zjedli wspólny posiłek. Wszyscy mówili tylko o polowaniu i o towarzyszących mu wypadkach. Król odizolował się od wszystkich, odmawiając spotkania się z kimkolwiek, nawet z władcami Greensward. Projekty robót publicznych zostały odłożone na bok, rady sądowa i zajmująca się skargami zostały rozwiązane, a posłowie odesłani do swych krajów. Wszystko stanęło w martwym bezruchu. Nikt nie wiedział, co się dzieje. Ludzie przerażeni byli pojawieniem się demonów latających po nocnym niebie. Monstra porywały żywy inwentarz i przerażały dzieci tak, jak ongiś czyniły to smoki. Szemrano nawet na temat samego króla, oskarżając go o diabelską zмовę z Abaddonem, na mocy której demony mogłyby swobodnie się poruszać po Landover w zamian za dostarczenie królowi czarnego jednorożca.

Wszystko zdawało się obracać wokół jednorożca. Król oznajmił w nie znośnym sprzeciwu tonie, że chce posiadać to stworzenie, i że ten, kto mu je dostarczy, będzie sownie nagrodzony.

– Jeśli umiesz schwytać dym, możesz stać się bogaty – zażartował jeden z kupców. Inni roześmieli się.

Ben nie. Szybko zebrał się do dalszej drogi i jeszcze szybszym krokiem ruszył na północ. Sprawy wymykały mu się z rąk, co w dużej mierze było jego winą.

Wczesnym popołudniem dotarł do krainy gnomów-dodomów.

Gnomy-dodomy były plemieniem ziemnym, z którym miał okazję zetknąć się w początkach swego panowania w Landover. Były to małe, futrzaste, zawzięte stworzenia, przypominające nieco przerosnięte krety. Były grabarzami i złodziejami, i nie można było się odnosić do nich z zaufaniem większym, niż do ulubionego psa pozostawionego sam na sam z przygotowaną na obiad porcją pieczeni. W zasadzie nie można było im zaufać również w odniesieniu do samego psa, gdyż uznawały małe zwierzęta domowe za szczególny przysmak. Abernathy uważał gnomy za kanibali, a Questor Thews – za uciążliwość. Wszyscy traktowali je jak plagę. Nazwa „gnomy-dodomy” odzwierciedlała powszechne odczucia tych, którzy mieli z nimi do czynienia, a które wyrażały się w zawołaniu: „Gnomy, wynoście się do domu!” Dwa z owych gnomów, Phillip i Sot, przypielgrzymowały kiedyś do Sterling Silver, by prosić Bena o pomoc w uwolnieniu kilku z ich ludzi, uwięzionych przez skalne trolle, po tym, jak nieszczęśnicy ukradli i pożarli kilka ich ulubionych, udomowionych leniwców. Ben niemal postradał życie w tej wyprawie, lecz gnomy-dodomy okazały się najlojalniejszymi wśród jego poddanych – jeśli nie najgoręcej nawróconymi.

Phillip i Sot zwierzyli mu się pewnego razu, że znają Wielką Czeluść jak własną kieszeń.

– Takiej właśnie pomocy nam teraz potrzeba – rzekł Ben do Dirka, mimo swej przysięgi nie mówienia niczego o swych planach. – Nocny Cień nigdy nie da się przekonać, by dobrowolnie oddać złotą uprząż. Willow również musi o tym wiedzieć, ale nie powstrzyma jej to przed spróbowaniem. Nie będzie chyba kryła się ze swymi zamiarami; jest zbyt uczciwa, by być bezpieczna. Cokolwiek się stanie, jeżeli wejdzie w Wielką Czeluść, to prawdopodobnie znajdzie się w kłopotach. Będzie potrzebowała pomocy. Phillip i Sot pomogą nam. Potrafią się przemykać nie zauważeni. Będą mogli sprawdzić, czy jest tam Willow lub Nocny Cień. Jeśli jest tam i uprząż, to chyba nawet zdołają ją dla nas wykraść. Rozumiesz? Mogą dostać się tam, gdzie my nie bylibyśmy w stanie.

– Mów za siebie – odrzekł Dirk.

– Masz lepszy plan? – warknął natychmiast Ben. Dirkowi obojętny był jego gniew.

– Nie mam planu – odpowiedział. – To twój, nie mój problem.

– Wielkie dzięki. Rozumiem, że nie brałeś pod uwagę takiego rekonesansu i kradzieży?

– Gdzieżby! Jestem twym towarzyszem, nie lokajem.

– Jesteś męczący, Dirk.

– Jestem kotem, panie.



Ben skończył tę dyskusję groźnym spojrzeniem i majestatycznym krokiem podążył wprost ku siedzibom ziemnej społeczności. Gnomy-dodomy żyły w osadach, podobnie jak pieski preriowe. Dzięki strażom wiedziały o tym, że się zbliża na długo przed tym, nim on sam cokolwiek dojrzał. Nim przybył do osady, gnomy poznikały – ich siedziba przypominała sito: mnóstwo pustych dziur w ziemi. Ben doszedł do centrum osady, siadł na pniaku i czekał. Od momentu, gdy został królem, był tu już kilka razy i znał zasady gry.

Kilka minut później dołączył do niego Dirk. Kot skulił się bez słowa tuż za jego plecami i zamknął oczy przed późno-popołudniowym słońcem.

Krótko potem w jednym z otworów ukazała się włochata twarz. Oczy zmrużyły się nieco, a zmarszczony nos czujnie węszył.

– Dzień dobry panu – gnom zwrócił się do Bena, uchylając swej sfatygowanej skórzanej czapeczki.

– Dzień dobry – odrzekł Ben.

– Pan na spacerze, czy tak?

– Tak, żeby zażyć zdrowego, świeżego powietrza i słońca. To dobre na wszelkie dolegliwości.

– Tak, rzeczywiście, dobre na wszelkie dolegliwości. Trzeba uważać na przeziębienia, które jesienią umiejscawiają się w gardle i piersiach.

– Z pewnością. Przeziębienia mogą być niebezpieczne. Tańczyli na potłuczonym szkle, a Ben pozwalał muzyce grać swoje. Tak właśnie gnomy-dodomy zachowywały się w stosunku do obcych: były śmiertelnie wystraszone. Jeden zawsze wychodził, by cię przetestować. Jeśli nie przedstawiałeś sobą zagrożenia, cała reszta wychodziła z ukrycia. Jeśli jednak wyczuły jakiś podstęp, nie ujrzałeś ich nigdy więcej.

– Mam nadzieję, że twoja rodzina miewa się dobrze? – ciągnął Ben, starając się być uprzejmym – rodzina i ziomkowie.

– Tak, całkiem dobrze, dziękuję panu. Wszyscy całkiem dobrze.

– To miło słyszeć.

– Tak, to miło słyszeć. – Gnom spłoszonym wzrokiem rozglądał się dookoła, by sprawdzić, czy Ben jest sam, i czy niczego nie ukrywa. – Musiał pan przejść spory kawałek od Greensward. Czy jest pan rzemieślnikiem?

– Niezupełnie.

– W takim razie kupcem?

Ben zawahał się przez chwilę, po czym przytaknął.

– Tak, teraz nim jestem.

– Och? – gnom zmarszczył się jeszcze bardziej. – Ale nie wygląda, żebyś miał tym razem ze sobą jakieś towary, panie.

– Ach, tak! Czasami wygląd bywa zwodniczy. Niektóre towary są niewielkich rozmiarów – poklepał się po tunice – no wiesz, kieszonkowe.

Przednie zęby gnoma błysnęły w nerwowym uśmiechu skrzywionej twarzy.

– Tak, oczywiście, bywa i tak. Czyżbyś był zainteresowany handlem z nami, panie?

– Możliwe – Ben zarzucił przynętę i czekał. Gnom nie rozczarował go.

– Czy z kimś szczególnym? Ben wzruszył ramionami.

– Kiedyś robiłem pewne interesy z dwoma spośród was – z Phillipem i Sotem. Znasz ich?

Gnom mrugnął oczami.

– Tak, Phillip i Sot mieszkają tutaj.

Ben uśmiechnął się najbardziej rozbajającym ze swych uśmiechów.

– Czy są gdzieś w pobliżu?

Gnom również uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Chyba. Chyba tak. Czy zechcesz poczekać przez chwilę, panie? Tylko chwilę?

Zanurkował na powrót w swoją jamkę i zniknął. Ben czekał. Mijały minuty i nikt się nie pokazywał. Ben siedział na swym pieńku i starał się wyglądać, jak gdyby dobrze się bawił. Czuł na sobie obserwujące go ze wszystkich stron spojrzenia. W głowie zaczęły rosnać wątpliwości. Co będzie, jeśli Phillip i Sot spojrzą na niego i stwierdzą, że nigdy z kimś takim się nie spotkali? W końcu nie był teraz Benem Holidayem, którego znali. Był obcym – i to niezbyt dobrze ubranym. Spojrzał na swój strój i jeszcze raz zdał sobie sprawę ze swego niewesołego stanu. Pomyślał z zalem, że jak na kupca, jest raczej marnie odziany. Phillip i Sot mogli dojść do wniosku, że nie jest wart ich fatygi. Mogli zdecydować, by nie wychylać głów ze swych podziemnych tuneli. A jeżeli nie uda mu się dostać do nich na tyle blisko, by móc porozmawiać, nie może liczyć na powodzenie w pozyskaniu ich pomocy.

Popołudniowe cienie się wydłużyły. Cierpliwość Bena była bliska wyczerpania. Z irytacją spojrzał na Dirka. Nie mógł liczyć na pomoc z jego strony. Zamknięte oczy, podkulone łapy, oddech spowolniony do granic możliwości. Kot spał albo miał już wszystkiego dosyć.

Jamy spoglądały na niego swymi otworami w pustym braku zainteresowania. Słońce wślizgiwało się pomiędzy zachodnie wzgórza. Nikt się nie pokazywał.

Ben chciał już się poddać, gdy z oddalonego od niego o kilka metrów otworu wyłoniła się włochata, pokryta brudem twarz. Za nią – następna. Dwa nosy czujnie wachały późnopołudniowe powietrze. Dwie pary zmęczonych oczu ostrożnie rozglądały się dookoła.

Ben wydał westchnienie ulgi. To Phillip i Sot. Spojrzenia zmrużonych oczu zatrzymały się na nim.

– Dzień dobry panu – rzekł Phillip.

– Dzień dobry panu – rzekł Sot.

– Zaiste, dobry dzień! – Ben promieniał. Znowu wyprostowany siedział na pieńku.

– Chcesz handlować, panie? – zapytał Phillip.

– Chcesz handlować z nami? – zapytał Sot.

– Tak. Tak, oczywiście – Ben przerwał. – Czy panowie zechcieliby się zbliżyć? W ten sposób mógłbym być pewien, że zrozumiecie, co mam do zaoferowania.

Gnomy-dodomy spojrzwały po sobie, po czym wynurzyły się z norek na blednące światło słoneczne. Korpulentne, włochate ciała były odziane w coś, w czym wyglądały jak wyrzutki Armii Zbawienia. Brodate, fretkopodobne twarze o małych, zmrużonych oczach i zmarszczonych nosach badały powietrze, jak kierowane jego podmuchami wiatrowskazy. Brud i ziemia pokrywały je od stóp do głów.

Tak, niewątpliwie byli to Phillip i Sot.

Ben odczekał, aż zatrzymali się zaledwie kilka stóp przed nim. Dał znak, by podeszli jeszcze bliżej, i rzekł:

– Chcę, byście posłuchali mnie bardzo uważnie. Rozumiecie? Posłuchajcie. Jestem Ben Holiday. Jestem władcą Landover. Mój wygląd zmieniły czary, lecz zmieniły go tylko na pewien czas. Prędzej, czy później, powrócę do swej dawnej powierzchowności. Gdy to się stanie, będę pamiętał, kto mi pomógł, a kto nie. A potrzebuję waszej pomocy właśnie teraz.

Patrzył raz na jedną, raz na drugą pokrytą futrem twarz. Gnomy wpatrywały się w niego w milczeniu, mrużąc oczy i węsząc. Chwilę popatrzały po sobie, potem znowu skierowały wzrok na Bena.

– Nie jesteś władcą Landover – rzekł Phillip.

– Nie, nie jesteś – zgodził się Sot.

– Owszem, jestem – naciskał Ben.

– Król nie przybyłby tu sam – rzekł Phillip.

– Król przybyłby tu ze swymi przyjaciółmi, magiem, mówiącym psem, koboldami, i z dziewczyną imieniem Willow – piękną sylfidą – stwierdził Sot.

– Król przybyłby ze swoimi strażami i żołnierzami – powiedział Filip.

– Król przybyłby tu w całym majestacie – dodał Sot.

– Nie jesteś władcą Landover – powtórzył Phillip.

– Nie, nie jesteś nim – powtórzył Sot. Ben wziął głęboki oddech.

– Straciłem to wszystko przez złego czarownika, czarownika, który początkowo wprowadził mnie do Landover, czarownika, którego ujrzeliśmy w kryształach po tym, gdy uwolniliśmy się od skalnych trolli. Pamiętacie? To wy przybyliście do Sterling Silver, by prosić mnie o pomoc. Poszedłem z wami, by pomóc wam uwolnić waszych ludzi – tych, którzy zjedli ulubione leniwce trolli. Skoro nie jestem władcą Landover, skąd mógłbym o tym wszystkim wiedzieć?

Phillip i Sot znów spojrzeli po sobie. Tym razem nieco mniej pewnie.

– Nie wiemy – przyznał Phillip.

– Nie mamy pojęcia – zgodził się Sot.

– Ale ty nie jesteś władcą Landover – powtórzył Phillip.

– Nie, nie jesteś nim – dodał Sot. Ben wziął kolejny głęboki oddech.

– Gdy odkryliśmy, czym jest kryształ, rozbiłem go o skały. Questor Thews przyznał, że maczał w tym palce. Byliście tam wy, Abernathy, Willow, koboldy – Bunion i Parsnip. Potem zeszedliśmy do Wielkiej Czeluści. Zabraliście ze sobą mnie i Willow. Pamiętacie? Użyliśmy pyłu

Io, by zamienić Nocny Cień w kruka i zmusić ją do odlotu w opary zaczarowanej mgły. Potem poszliśmy do smoka Strabo. Czy pamiętacie? Jak mógłbym to wszystko wiedzieć, nie będąc królem?

Gnomy zamiatały i szurały nogami, jak gdyby do ich rozpadających się butów wpełzły jakieś jadowne mrówki.

– Nie wiemy – powiedział znowu Phillip.

– Nie, nie wiemy – zgodził się Sot.

– Niemniej jednak nie jesteś władcą Landover – powtórzył Phillip.

– Nie, nie jesteś – powtórzył Sot.

Cierpliwość Bena zmniejszyła się o kilka dobrych jednostek, lecz próbował dalej.

– Skąd możecie wiedzieć, że nie jestem władcą Landover? – zapytał z naciskiem.

Phillip i Sot wiercili się nerwowo. Splatali ręce, a ich małe oczka spoglądały to tu, to tam.

– Nie pachniesz jak on – powiedział w końcu Phillip.

– Pachniesz tak, jak my – powiedział Sot.

Ben spojrzał, zaczerwienił się, po czym stracił resztki panowania nad sobą, jakie jeszcze się w nim tliły.

– Teraz słuchajcie! Jestem królem, jestem Benem Holidayem, jestem dokładnie tym, kim mówię, że jestem, i lepiej przyjmijcie to do wiadomości teraz, bo inaczej wpakujecie się w największe kłopoty, w jakich jeszcze nigdy nie byliście! Większe nawet, niż wtedy, gdy ukradliście i zjedliście psa na bankiecie z okazji zwycięstwa nad Żelaznym Markiem! Zawisniecie i wyschniecie na amen, a niech to! No patrzcie na mnie! – Wydobył spod tuniki medalion, i zakrywając jego powierzchnię z wizerunkiem Meeksa, wyciągnął przed siebie, niczym oręż. – Czy chcecie przekonać się, co mogę z wami zrobić przy pomocy tego?!

Phillip i Sot padli przed nim na ziemię, trzęsąc się jak dwie porcje galarety. Zrobili to w takim tempie, że zdawało się, iż ktoś wyciągnął spod nich ich własne stopy.

– O wielki panie! – krzyczał Phillip.

– Można panie! – wył Sot.

– Nasze życie w twoich rękach! – jęczał Phillip.

– W twoich rękach! – szlochał Sot.

– Przebacz nam, panie! – błagał Phillip.

– O, przebacz nam! – jak echo wtórował mu Sot.

Ben pomyślał, że teraz sprawy mają się znacznie lepiej, choć nieco był zaskoczony szybkością przemiany gnomów. Skuteczniej było posunąć się do próby lekkiego onieśmienia gnomów, niż wyjaśniać im wszystko po kolei. Wstyd mu było uciekać się do takiej taktyki, był jednak kompletnie zdesperowany.

– Wstańcie – rzekł do nich. Stworzenia stanęły na nogi, spoglądając na niego bojaźliwie. – W porządku – starał się je uspokoić – rozumiem, to wszystko jest trochę zawile. Nie mówmy już o tym incydencie. Dobrze? – Dwie głowy o fretkopodobnych twarzach zgodnie skinęły. –

Przejdźmy więc teraz do rzeczy. Willo w – piękna sylfida – może być w poważnym niebezpieczeństwie. Musimy jej pomóc tak, jak ona nam pomogła, gdy skalne trolle zamknęły nas w lochu. Pamiętacie? – Słowa „pamiętacie” używał aż do znudzenia, ale z gnomami trzeba było postępować jak z dziećmi. – Willow zeszła w poszukiwaniu czegoś do Wielkiej Czeluści. Musimy ją odnaleźć i upewnić się, czy wszystko z nią w porządku.

– Och, panie! Nie lubię Wielkiej Czeluści...– uzałił się z wahaniem w głosie Phillip.

– Ani ja – dodał Sot.

– Wiem, że nie lubicie tego miejsca – oznajmił Ben. – Ja również za nim nie przepadam. Lecz powiedzieliście mi kiedyś, że możecie tam się przedostać nie zauważeni. Ja tego nie potrafię. Proszę was tylko o to, byście tam zeszli i rozejrzeli się za Willow. No i jeszcze poszukali czegoś, co mi jest potrzebne. Czy jasne? Tylko się rozejrzycie. Nikt nie musi wiedzieć, że w ogóle tam byliście.

– Panie! Nocny Cień powróciła do Wielkiej Czeluści – oznajmił Phillip, potwierdzając najgorsze obawy Bena.

– Widzieliśmy ją – zgodził się Sot.

– Jest teraz pełna nienawiści do wszystkiego – rzekł Phillip.

– Ale najbardziej do ciebie – dodał Sot.

Nastąpiła cisza. Ben próbował sobie wyobrazić, do jakiego stopnia Nocny Cień go teraz nienawidzi. Nie potrafił. Faktycznie, jej nienawiść mogła być niewyobrazalna.

Pochylił się nad gnomami.

– Byliście więc znowu tam, w Wielkiej Czeluści? – Filip i Sot przytaknęli słabo. – I nikt was nie dostrzegł? – Znowu przytaknięcie. – Więc możecie wyświadczyć mi tę przysługę? Czy możecie zrobić to dla mnie i Willow? Nie zapomnę wam tego nigdy. Obiecuję!

Znowu nastąpiła dłuższa chwila ciszy. Phillip i Sot spojrzeli na niego, a później po sobie. Pochylili głowy ku sobie i coś tam szeptali. Ich nerwowość przerodziła się w pobudzenie.

W końcu znowu spojrzeli błyszczącymi oczkami na Bena.

– Czy – jeśli to zrobimy – dostaniemy kota? – zapytał Phillip.

– Tak, czy moglibyśmy dostać kota? – powtórzył Sot. Ben oniemiał. Na chwilę zapomniał zupełnie o Dirku. Spojrzał w dół na kota, a potem na gnomy.

– Lepiej nawet o tym nie myślcie – poradził. – Ten kot nie jest tym, na kogo wygląda.

Phillip i Sot pokiwali głowami z pewną niechęcią, lecz ich spojrzenia nadal były utkwione w Dirku.

– Ostrzegam was – rzekł Ben stanowczo.

Gnomy znowu pochylili łby, lecz on czuł instynktownie, że jego słowa trafiają w próżnię.

Ben potrząsnął w końcu bezradnie głową.

– No dobrze. Prześpimy się tutaj i wyruszymy o świcie. Przerwał na chwilę, by przyciągnąć ich uwagę.

– Nie zapomnijcie, co powiedziałem wam o kocie. W porządku?

Gnomy przytaknęły milcząco po raz trzeci. Nie spuściły jednak wzroku z Dirka.

Ben zjadł jeszcze jeden spartański posiłek z szypulek bonnie blues, popił wodą źródlaną i obserwował chowające się za linią horyzontu słońce. W dolinie zapadała noc. Myślał o przeszłości i po raz pierwszy od dłuższego czasu zastanawiał się, czy nie lepiej było pozostać tam, w starym świecie, niż przybywać tutaj. Potem odłożył na bok sentymenty, owinął się w płaszcz i oparł na pniu, który tej nocy stanowił jego niezbyt wygodne łóżko.

Dirk nie ruszył się ze swego miejsca na pniu. Wyglądał jak martwy.

W którejś chwili ciszę nocy przerwał krzyk tak przerażający i przeciągły, że Ben zerwał się na równe nogi. Brzmiało to, jak gdyby wołanie rozlegało się tuż nad nim. Ale gdy oprzytomniał na tyle, by móc się rozejrzeć po obozowisku, dostrzegł tylko zjeżonego Dirka, przycupniętego na szczycie pnia. Z jego grzbietu unosiło się coś w rodzaju pary.

W oddali coś zaskowytało.

– Te gnomy są uparte do granic głupoty – oznajmił kot, nim ponownie ułożył się na pniu. Jego oczy lśniły w ciemnościach nocy jak szmaragdowe ognie.

Skowytanie ucichło i Ben również się położył. Chyba na niewiele zdały się ostrzeżenia, jakich udzielił Phillipowi i Sotowi. Czasami życie musi dać brutalną nauczkę.

Tej samej nocy, parę mil na południe od Rhyndweir, w opuszczonej chałupie na górskiej grani, z której roztaczał się widok na wschodnie rejony Greensward, rozgrywała się zupełnie odmienna scena. Wałący się dach i pozbawione okiennic okna wskazywały, że miejsce to nie jest już zamieszkiwane. Cienie pokrywały całą budowlę ciemną koronką. Białobrody strach na wróble i kudłaty pies, obydwaj zdecydowanie zaniedbani, toczyli zaciętą sprzeczkę, rzucając ku sobie nawzajem ponad płomieniami ogniska tak ostre oskarżenia, iż trudno byłoby się domyśleć, że nie tak dawno byli najlepszymi przyjaciółmi. Muskularne stworzenie o małpiej twarzy, słoniowych uszach i sporych zębach obserwowało dysputę w otępiałym milczeniu.

– Tylko nie próbuj mnie prosić, żebym zrozumiał to, co zrobiłeś! – kudłaty pies strofował stracha na wróble. – Uznaję cię za bezpośrednio odpowiedzialnego za naszą obecną sytuację i nie zamierzam ci pobrażać!

– Brakowi współczucia dorównuje u ciebie jedynie słabość charakteru! – odrzekł strach na wróble. – Przypuszczam, że inni ludzie czy raczej psy byłyby bardziej miłosierne.

– Ha! Inni ludzie czy raczej psy dawno już by cię opuściły. Inni ludzie – czy psy – dawno już by sobie znalazły odpowiednie towarzystwo, by dzielić z nim gorycz wygnania.

– Rozumiem! Tak, wcale nie jest jeszcze za późno, byś znalazł sobie inne – odpowiednie lub nie – towarzystwo, jeśli tego właśnie pragniesz!

– W porządku, właśnie się nad tym zastanawiam!

Dwaj rozmówcy spojrzeli na siebie groźnie poprzez czerwoną łunę ogniska. Ich myśli były czarne, jak zwęglone szczapy drewna. Stworzenie o małpiej twarzy pozostawało niemym widzem tej sprzeczki. Noc wisiała nad całą trójką, jak jęki żałobnika. Była cicha, lecz pełna zjaw.

Abernathy poprawił okulary na nosie i jeszcze raz, odrobinę łagodniejszym głosem, wszczął

spór.

– Zbyt trudno mi jest pojąć, dlaczego pozwoliłeś jednorożcowi uciec, magu. Zwierzę stało tuż przed tobą. Znałeś zaklęcie, które mogło je usidlić. A ty? Ty przywołałeś nawałnicę kwiatów i motyli. Cóż za nonsens!

Questor Thews wyzywająco zacisnął zęby.

– Nonsens, który właśnie ty powinieneś być w stanie pojąć.

– Zaczynam myśleć, że po prostu się przestraszyłeś. Zmuszony jestem się domyślać, że nie opanowałeś właściwie zaklęcie. I co ma znaczyć ten „nonsens, który ja powinienem zrozumieć”?

– Myślę o nonsense, który daje wszystkim stworzeniom szansę bycia tym, czym powinny być, niezależnie od tego, co inni uznają dla nich za najlepsze.

Skryba zmarszczył brwi.

– Chwileczkę. Czy próbujesz mi powiedzieć, że świadomie pozwoliłeś jednorożcowi uciec? I że te kwiaty i motyle to nie przypadek?

Mag z irytacją ciągnął za swe bokobrody.

– Gratuluję bystrości, choć spóźnionej. Dojrzałeś wreszcie to, co oczywiste! Właśnie to chciałem ci powiedzieć!

Przez dłuższą chwilę patrzyli na siebie uważnie w ciszy. Podróżowali wspólnie od świtu, kipiąc wewnątrz na samo wspomnienie zaszłych wypadków, które doprowadziły do sytuacji, w jakiej teraz się znajdowali. Wobec siebie utrzymywali wypełniony gniewem dystans. Była to pierwsza rozmowa, w której otwarcie poruszyli temat ucieczki jednorożca.

Chwila próby minęła. Questor najpierw spojrział w dal, potem westchnął. Owinął się ściślej swą wielobarwną szatą, chroniąc się przed chłodem wieczoru. Jego twarz była pomarszczona i skurczona smutkiem. Odzienie zakurzone i podarte. Abernathy wyglądał nie lepiej. Stracili wszystko. Ich dymisja nastąpiła zaraz po tym, gdy król dowiedział się o niepowodzeniu łowów na jednorożca. Władca nie dał im nawet możliwości złożenia wyjaśnień. Posłaniec z ręcznie napisanym nakazem spotkał ich, gdy wracali do Sterling Silver. Zostali zwolnieni ze swych posad. Mogli iść dokądkolwiek chcieli, lecz nigdy nie było im wolno powrócić na dwór.

Bunion, któremu najwyraźniej dano tu swobodę wyboru, nie zastanawiając się, poszedł razem z nimi.

– Gdy zaczynaliśmy łowy, wcale nie zamierzałem pozwolić jednorożcowi uciec – cichym głosem ciągnął Questor. – Zamierzałem schwytać go i dostarczyć królowi – zrobić tak, jak rozkazał. Uważałem to za przedsięwzięcie niebezpieczne, bo czarny jednorożec od dawna znany był jako zwierzę przynoszące nieszczęścia. Ale przecież król tylekroć pokazał, że potrafi obrócić zły omen na swą korzyść. – Przerwał. – Przyznam, że niepokoiła mnie jego niecierpliwa żądza jak najszybszego pojmania zwierzęcia i odmowa wyjaśnienia nam przyczyn tego pośpiechu. Nadal sądzę, że jednorożca powinniśmy schwytać. – Wziął głęboki oddech. – Lecz gdy tam, w lesie, ujrzałem to stworzenie przede mną... gdy ujrzałem, czym jest... Nie mogłem pozwolić, by je schwytano. Nie wiem dlaczego. Po prostu nie mogłem. Nie, to nieprawda – wiedziałem, że

nie byłby to właściwy postępek. Czuję, że nie byłoby to prawe. Czyż nie czułeś tego i ty, Abernathy? Jednorozcowi nie było przeznaczone należeć do króla. Nie jest mu przeznaczone należeć do kogokolwiek. – Rozejrzył się niepewnie. – Użyłem więc magii, by temu zapobiec. Pozwoliłem mu uciec.

Abernathy kłapnął zębami na coś, co przeleciało tuż przed jego nosem, poprawił swoje zdobne warstwę kurzu okulary i kichnął.

– Powinieneś powiedzieć to wcześniej, magu, a nie pozwalać mi przypuszczać, że twa magia jeszcze raz ciebie zawiodła. To przynajmniej mogę jakoś zrozumieć.

– Możesz? – Questor potrząsnął wątpiaco głową. – Sam bym chciał. Postąpiłem wbrew woli jego królewskiej mości. Przecież przysięgałem mu wierną służbę, a jedynym wytłumaczeniem niewykonania jego rozkazu w tym wypadku były moje odczucia. Miał słuszność, odsyłając mnie z dworu.

– I mnie też, prawda?

– Nie, ciebie nie powinien wyrzucić. Nie przyłożyłeś przecież do tego ręki.

– Sedno w tym, że popełnił błąd, odsyłając każdego z nas. Questor bezradnie wzruszył ramionami.

– Jest królem. Kimże jesteśmy my, by kwestionować jego zdanie?

– Ha! – Abernathy prychnął szyderczo. – Całe te łowy dowiodły, że w król swych wyrokach bywa pozbawiony zdrowego rozsądku, a nawet rozsądku w ogóle. Znał historię czarnego jednorożca. Mówiliśmy mu, że tego zwierzęcia nie da się w ten sposób upolować, a on całkowicie nas zignorował. Nigdy przedtem tak nie postąpił. Powiadam ci, ta bestia go opętała. O niczym innym nie myśli. O Willow wspomniiał tylko raz – niezadowolony, że śmiała nie dostarczyć mu na czas złotej uprzęży. Lekceważy swe obowiązki, ukrywa się w swych komnatach i nikomu nie ufa. Od czasu, gdy przekazałem mu te księgi magii, nie wspomniiał o nich ani słowem. Miałem nadzieję, że poświęci choć małą chwilę na zastanowienie się, jak przywrócić mnie do mej dawnej postaci. Kiedyś postąpiłby tak nawet, gdybym mu o tym nie wspomniiał...

Pograżony w myślach skryba zamilkł, wpatrując się w płomienie niewielkiego ogniska.

– Nieważne. Ważne jest, że ostatnio król przestał być sobą. Nie jest sobą.

Sowia twarz maga napięła się.

– Nie.

Spojrzał błyskawicznie na Buniona i zdziwiony stwierdził, że i on kiwa głową.

– Tak, z pewnością nie jest.

– Nie jest od...

– ...od czasu, gdy schwytaliśmy w jego sypialni tego człowieka?

– Tak, od wtedy. Od tamtej nocy.

Znowu przez jakiś czas siedzieli w milczeniu. Potem ich oczy się spotkały. Przerazili się, widząc, co się w nich odbija.



– Możliwe, że... – zaczął Abernathy niepewnie.

– Że oszust był jednak królem? – dokończył Questor. Zmarszczył brwi chyba do swych granic możliwości. – Nie przypuszczałem wcześniej, ale teraz...

– Oczywiście, nie mamy żadnej pewności – przerwał szybko Abernathy.

– Nie, żadnej – zgodził się Questor.

Ogień strzelał i syczał, a podmuch wiatru dał im dymem prosto w twarz. W popiołach tańczyły iskry. Gdzieś daleko jakiś ptak zakrzyknął tak przejmującym i żalnym głosem, że Abernathy'emu przeszły po plecach ciarki. Wymienił krótkie spojrzenia z Questorem i Bunionem.

– Nie cierpię spać pod gołym niebem – wymamrotał. – Te wszystkie pchły, kleszcze i inne pełzające stworzenia próbują zdomowić się w mojej sierści.

– Mam pewien plan – rzekł nagle Questor. Abernathy rzucił ku niemu przeciągłe, twarde spojrzenie, jakim patrzył zwykle, gdy miał czegoś wysłuchać, co z góry uznawał za pozbawione sensu.

– Aż boję się zapytać, jaki – odpowiedział w końcu.

– Pójdziemy do smoka. Pójdziemy do Strabo. Zęby Buniona zabłyśły w lęklwym uśmiechu.

– I to ma być ten plan? – zapytał przerażony Abernathy. Questor w zapale pochylił się do przodu.

– Ależ to oczywiste, że powinniśmy pójść do Strabo. Któż wie więcej o jednorożcach i smokach? Kiedyś byli najbardziej zaciętymi wrogami – najstarszymi przeciwnikami w świecie czarów. Teraz czarny jednorożec jest, podobnie jak Strabo, ostatnim przedstawicielem swego gatunku. Mają wspólne źródło istnienia, są więc sobie naturalnie bliscy. Z pewnością od smoka dowiemy się czegoś o jednorożcu – z pewnością wystarczająco dużo, by pojąć jego tajemnicę i dociec, dlaczego przybył do Landover!

Abernathy patrzył z niedowierzaniem.

– Wiesz, Questorze, że smok za nami nie przepada?! Czyżbyś zapomniał? Upiecze z nas południową przekąskę! – Przerwał. – Poza tym, co nam da dowiadywanie się czegokolwiek więcej o jednorożcu? Czy nie dosyć nam już narobił kłopotów?

– Lecz jeśli odkryjemy jego przeznaczenie, może uda nam się poznać przyczynę obsesji króla – odrzekł szybko Questor. – Może udałoby się nam nawet powrócić na dwór. To nie jest całkiem niemożliwe. Smok nie zrobi nam krzywdy. Z pewnością ucieszy się z naszej wizyty, gdy tylko pozna jej cel. Nie zapominaj, Abernathy, że magowie i smoki mają również wiele wspólnego. Natura i długotrwałość naszego zawodowego powiązania zawsze dyktowała pewną dozę wzajemnego poszanowania.

Usta Abernathy'ego wykrzywiły się.

– Cóż za bzdury!

Questor zdawał się prawie go nie słyszeć. Patrzył gdzieś w dal.

– Powiadam ci, ongiś magowie i smoki szli w mrozące krew w żyłach zawody. Rozgrywali

gry kunsztu i magii. – Uniósł lekko głowę. – Może jedna lub dwie gry i tutaj okażą się niezbędne, jeśli Strabo będzie zbyt oporny. Kradzież wiedzy należy do umiejętności dobrze przeze mnie opanowanych. Niezłą zabawą będzie sprawdzenie jeszcze raz swych możliwości...

– Jesteś szalony! – Abernathy był wściekły.

Lecz niełatwo było stłumić entuzjazm Questora. Wstał na równe nogi, a gdy krążył wokół ogniska, w jego oczach płonęło podniecenie.

– Nic to. Trzeba uczynić to, co konieczne. Podjąłem już decyzję. Pójdę do smoka. – Przerwał. – Bunion, pójdziesz ze mną, co? – Uśmiechnięty od ucha do ucha kobold potrząsnął głową. Czarownikowi trzęsły się ręce. – Tak, to już ustalone. Idę. Bunion też. I ty musisz pójść z nami, Abernathy. – Zatrzymał się, opuszczając ręce. Jego sylwetka pochyliła się nieco, jakby pod ciężarem nagłego grymasu. – Wiesz, że musimy iść. W końcu co innego nam pozostało?

Spojrzał pytająco na skrybę. Abernathy odwzajemnił to pytające spojrzenie. Długo trwała cisza, podczas której niepewność i wątpliwości toczyły cichą wojnę z poczuciem własnej godności w oczach starego przyjaciela. Pojawiły się cienie czasów, które powróciły, by stać się przerażającą teraźniejszością. Czuli, że nieodwołalnie zamykają krąg wokół nich. Nie mogli na to pozwolić. Wszystko wydawało się lepsze od bezczynnego poddania się temu duszącemu mrokowi.

Linia szczytów wzgórz była znowu spokojna – ciemny łańcuch na tle gwiazdzistego nieba, z zimnymi i odległymi księżycami. Wałace się zabudowania zdawały się kośćmi wiekowej ziemi.

– W porządku – zgodził się Abernathy, wzdychając najcięższym z westchnień – niech tak będzie: wszyscy staniemy się głupcami.

Nikt nie próbował z nim dyskutować.

## MASKA

Świt zastał Fillipa i Sota gotowych dopełnić swej obietnicy. Gdy Ben się obudził, stali o dobre piętnaście metrów od niego: para nieruchomych, krępych cieni w rozwiewającym się mroku. Do pleców przytwierdzone mieli pakunki podróżne, a czapeczki z pojedynczymi czerwonymi piórkami – mocno nasadzone na głowy. W pierwszej chwili wydawali się po prostu krzakami, lecz gdy Ben wstał, by ponaciągać zeszywniałe od zimna i twardej ziemi mięśnie, posunęli się do przodu o kilka niepewnych kroków i pozdrowili go lękliwie. Wyglądali na zdenerwowanych bardziej niż zazwyczaj, i spoglądali poza Bena, jak gdyby oczekiwali stamtąd w każdej chwili napaści skalnych trolli.

Ben dopiero po chwili zdał sobie sprawę z tego, że nie trolli wypatrują z takim lękiem, lecz Dirka.

Dirk ze Skraju Lasu tymczasem ignorował ich. Gdy Ben spojrzał na niego, ten mył się właśnie, siedząc ciągle na tym samym pniu. Jego jedwabiste futerko lśniło, jak gdyby było nasączone poranną mgłą. Nie spojrzał nawet na Bena w odpowiedzi na powitanie. Był całkowicie pochłonięty poranną toaletą. Gdy wreszcie uznał, że wygląda, jak należy, zasiadł przez pozostawionym mu przez Bena naczyniem z wodą źródlaną. Ben nie myślał wcześniej o tym, że kot nie je zbyt wiele. Pozostawało tajemnicą, w jaki sposób udawało mu się przeżyć – tajemnicą, której jednak Ben nie zamierzał teraz wyjaśniać. Miał już wystarczająco wiele zagadek do rozwikłania, więc po cóż dodawać do nich jeszcze jedną.

Wyruszyli niedługo po przebudzeniu. Ben i Dirk prowadzili – choć zależy, jak rozumieć słowo „prowadzić”. Dirk bowiem znowu zdawał się wiedzieć, dokąd kieruje się Ben, nim ten sam zdecydował się na wybór drogi. Gnomy podążały za nimi. Phillip i Sot najwyraźniej stracili apetyt na Dirka. Trzymali się o spory kawałek za kotem i obserwowali go, jakby był wężem. Phillip mocno kulał, a Sot miał wypaloną sporą część futra na nadgarstkach i wierzchach dłoni. Żaden jednak nie wspominał nic o swych ranach, a Ben postanowił o to nie pytać.

Szli równym krokiem w słońcu poranka jaśniejącym na bezchmurnym niebie. W powietrzu wisiał zapach kwiatów i dzikich owoców. Oznaki marnienia roślinności były dostrzegalne wszędzie. Pozostawały niewielkie, lecz zauważalne. Ben pomyślał o grającym jego rolę Meeksie, o demonach wypuszczonych na jego rozkaz z Abaddonu, o podupadaniu magicznej mocy tej krainy i o tym, że ktoś skradł mu życie. Znowu gnała go niecierpliwość. Czuł, że czas przemija zbyt prędko. Bliższy był, niż kiedykolwiek, odkryciu tego, co naprawdę uczynił mu Meeks. Nadal nie miał pojęcia, dlaczego czarny jednorożec powrócił do Landover, ani dlaczego jest tak ważny dla Meeksa. Wiedział tylko, że wszystko, co się wydarzyło, jest w pewien sposób powiązane. Chcąc przywrócić w królestwie porządek, musiał rozwikłać ten węzeł.

Rozmyślenia te znowu przywiodły go ku osobie Dirka. Nadal drażniło go, że kot postanowił pozostać postacią tak enigmatyczną, choć mógł przecież w kilku słowach wiele wyjaśnić. Ben

był teraz całkowicie pewien, że Dirk w Krainie Jezior nie natknął się na niego przypadkowo, lecz celowo go odnalazł. Był również pewien, że stworzenie to nie pozostaje przy nim jedynie z czystej ciekawości, a ma ku temu jakiś własny powód. Lecz cóż, Dirk nie wyjaśni mu z pewnością niczego, dopóki sam nie odczuje takiej potrzeby. A – uwzględniając kocia naturę tego stworzenia – Ben mógł czekać na to wyjaśnienie całą wieczność. Ciągłe jednak nie potrafił się z tym pogodzić i po prostu zaakceptować obecności kota bez dalszych wysiłków zmierzających do dowiedzenia się czegoś o powodach, które skłoniły go do udziału w tej wędrówce.

Gdy ranek przechodził w południe, a z dala było już widać cień Wielkiej Czeluści, Ben postanowił jeszcze raz spróbować rozgryźć Dirka. W czasie wędrówki usiłował połączyć w jakiś sposób ze sobą różne jednorożce, z którymi zetknął się od chwili tamtego snu. Było ich, swoją drogą, całkiem sporo. Jednorożce naszkicowane w odnalezionych księgach magii – a w zasadzie w jednej z zaginionych ksiąg; ta druga była tylko wypaloną skorupą. Czarodziejskie jednorożce, które przed wiekami zniknęły w czasie swej podróży z Landover do śmiertelnych światów. Właśnie legenda o czarodziejskich jednorożcach zajęła go teraz szczególnie. Wierzył, że pomiędzy czarnym jednorożcem i szkicami jednorożców w księdze istnieje jakiś związek. Jeśli nie, to dlaczego Meeks miałby zsyłać sny o jednym i o drugim? Dlaczego miałby jednych i drugich tak pożądać? Jednak bez odpowiedzi pozostawało pytanie, czy ma to jakikolwiek związek z czarodziejskimi jednorożcami. Zastanawiał się, czy za zbieg okoliczności należałoby uznać brak powiązań między tymi trzema, czy też właśnie takie powiązanie. Wszystko to wiązały siły magiczne, i Ben dałby sobie głowę uciąć, że Meeks chce zdobyć nad takimi mocami władanie.

Dosyć rozmyślań. Może rozwiązanie choć jednej z wielu małych zagadek przyczyniłoby się do rozwikłania tej największej. I może – ale tylko może – Dirk byłby wtedy bardziej skory do pomocy...

– Dirk, byłeś w wielu miejscach i wiele widziałeś. – Ben zaczął rozmowę najzwyczajniej, jak tylko potrafił, lecz nie na długo utrzymał się w tej konwencji. – Co myślisz o tej legendzie o zaginionych jednorożcach?

Kot nie zaszczycił go nawet swym spojrzeniem.

– W ogóle o niej nie myślę.

– Nie? A dlaczegoż to w takim razie o niej nie myślisz? Gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy, powiedziałeś, że wiesz coś na temat zaginionych białych jednorożców, czyż nie?

– Powiedziałem.

– O jednorożcach, które czarodziejskie istoty wysłały do innych światów? O tych, które w tajemniczy sposób zagięły?

– Dokładnie o tych – Dirk wyglądał na znudzonego.

– No, i jak myślisz, co się z nimi stało? Jak zniknęły?

– Jak? – Kot kichnął – – Zostały, rzecz jasna, skradzione. Ben był tak zaskoczony tą prostą

i jasną odpowiedzią, że aż go zamurowało.

– Skradzione? Przez kogo? – zdołał w końcu zapytać.

– Przez kogoś, kto ich potrzebował, panie – przez kogóż by innego? Przez kogoś, kto dysponował umiejętnościami i środkami niezbędnymi, by je pojmać.

– No i kto to był? Dirk był poirytowany.

– A ty jak myślisz?

Ben zawahał się, zastanawiając się przez chwilę.

– Czarownik?

– Nie czarownik – czarownicy! Wtedy było ich wielu, nie jeden, czy dwóch, tak jak teraz. Mieli własną gildię, swoje stowarzyszenie – nieformalne, lecz – gdy już zdecydowało się działać – skuteczne. Moc magii w Landover była znaczniejsza, a magowie wynajmowali się tym, którzy potrzebowali ich usług i byli w stanie za nie zapłacić. Byli potężni, póki nie zdecydowali się stanąć przeciw samemu królowi.

– I co się wydarzyło?

– Król przywołał Paladyna, a on ich zniszczył. Potem w Landover mógł żyć tylko jeden mag i musiał on służyć królowi.

Ben zmarszczył brwi.

– Jeśli jednorożce zostały skradzione przez czarowników, to co stało się z nimi, gdy czarowników... się pozbyto? Dlaczego nie zostały uwolnione?

– Nikt nie wiedział, gdzie są.

– Może ktoś powinien ich poszukać? Czyż nie powinny zostać odnalezione?

– O, tak...

– Więc dlaczego nie zostały odszukane? Dirk zwolnił i śpiąco zamrugał oczami.

– Nie zadałeś pytania, którego i wtedy nikt nie zadał, panie. Dlaczego jednorożce zostały skradzione?

Ben również zatrzymał się, zamyślił i wzruszył ramionami.

– Były piękne. Przypuszczam, że czarownicy po prostu chcieli je mieć dla siebie.

– Tak, tak, tak! Czy to wszystko, co potrafisz wymyśleć?

– Hm... – Ben znowu przerwał, czując się jak głupiec. – Dlaczego, u licha, nie możesz mi tego wyjaśnić? – zapytał porządnie już zdenerwowany.

Dirk patrzył na niego nieruchomym spojrzeniem.

– Ponieważ nie mam na to ochoty – rzekł miękko. – Ponieważ sam musisz znowu się nauczyć widzieć rzeczy jasno.

Ben przez chwilę się wpatrywał w niego, odwrócił się w kierunku obserwujących ich z bezpiecznej odległości gnomów-dodomów i, zniechęcony takim biegiem rozmowy, skrzyżował ręce na piersiach. Nie miał pojęcia, o czym mówił Dirk, lecz spieranie się z kotem nie miało przecież sensu.

– W porządku – rzekł w końcu – pozwól mi spróbować jeszcze raz. Czarownicy zorientowali

się, że czarodziejskie istoty wysyłają jednorożce poprzez Landover do światów śmiertelnych. Zatrzymali je więc dla siebie. Ukradli je, bo... – przerwał nagle, przypominając sobie o księdze i rysunkach. – Ukradli je, bo pożąдали ich magicznej mocy! To oznaczają szkice w księdze! Mają coś wspólnego z zaginionymi jednorożcami!

Dirk wznosił głowę.

– Czy naprawdę tak sądzisz, panie?

Kot objawił tak niekłamaną ciekawość, że Ben nie wiedział, co o tym myśleć. Oczekiwał, że Dirk zgodzi się z nim, lecz kot patrzył równie zdziwiony!

– Tak, tak właśnie myślę – stwierdził w końcu, stale się jednak wahając. – Uważam, że zaginione jednorożce i zaginione księgi magii mają ze sobą coś wspólnego, a czarny jednorożec powiązany jest i z tymi, i z tymi.

– Tak, to jasne – zgodził się Dirk.

– Lecz w jaki sposób skradziono jednorożce? I w jaki sposób czarodzieje mogli zagarnąć dla siebie ich magiczną moc? Czyż jednorożce nie były równie potężne jak oni?

– Tak mi mówiono – znowu zgodził się Dirk.

– Więc co z nimi się stało? Gdzie są ukryte?

– Może przywdziały maski.

– Maski? – Ben był zdezorientowany.

– Takie, jak twoja. Może noszą maski i dlatego nie możemy ich dojrzeć.

– Jak moja?

– Czy mógłbyś nie powtarzać każdego mego słowa?

– Ale o czym ty, na litość boską, mówisz?

Dirk rzucił ku niemu spojrzenie, które mogło wyrażać jedynie: „no i po co znowu mnie się pytasz”, i zaciągnął się przedpołudniowym powietrzem tak, jakby w nim szukał odpowiedzi. Czarny ogon wyprężył się.

– Chyba jestem spragniony, panie. Czy zechcesz się ze mną napić?

Nie czekając na odpowiedź, zboczył między drzewa. Ben przez chwilę spoglądał za nim, potem ruszył w jego ślady. Uszedłszy kawałek, dotarli do niewielkiego zbiornika, zasilanego w wodę przez bystre strumienie. Pochylili się, by pic. Ben pił łączywie – był bardziej spragniony, niż przypuszczał. Dirk nie spieszył się. Delikatny aż do obrzydzenia, to pochylał się, to robił sobie przerwy, ostrożnie trzymając łapy z dala od wody. Ben czuł, że Phillip i Sot stoją gdzieś za ich plecami, lecz nie zwracał sobie teraz nimi głowy. Jego cała uwaga koncentrowała się teraz na kocie i na tym, co zamierza mu on powiedzieć – bo z pewnością zamierzał, a przynajmniej Ben był o tym święcie przekonany.

I nie mylił się. Chwilę później Dirk przysiadł znowu i rozejrzał się.

– Spójrz, panie, na swe odbicie w wodzie – nakazał. Tak też Ben uczynił. Dojrzał tam wynędzniałego siebie – ale jednak siebie.

– Teraz spójrz na siebie – ciągnął Dirk. Ben spojrzał: podarte ubranie, rozpadające się buty,

brud. Był nieuczesany, nie ogolony i niedomyty. Nie mógł wszak przyjrzeć się w ten sposób swojej twarzy.

– A teraz spójrz uważnie na swe odbicie w wodzie.

Ben spojrzał. Tym razem jego podobizna zaczęła połyskiwać i się przekształcać w kogoś, kogo z pewnością nie znał: w jakiegoś obcego, ubranego w jego odzienie, człowieka.

Przyjrzał się dokładnie.

– Zupełnie nie przypominam już siebie – nawet sobie samemu! – mimo wysiłku nie mógł ukryć nuty lęku, która zabrzmiała w jego głosie.

– A to dlatego, mój drogi władco, że zatracasz siebie – rzekł cicho Dirk. – Maskę, którą nosisz, staje się powoli tobą! – Czarny pyszczyk zbliżył się ku niemu. – Odnajdź siebie, Benie Holiday, zanim to się dokona. Zdejmij swoją maskę, a wtedy będziesz pewno w stanie odnaleźć jednorożce.

Ben jeszcze raz pośpiesznie spojrzał w taflę wody, i – ku wielkiej uldze – dojrzał tam znowu swoją starą twarz. Lecz rysy jej były rozmyte, słabe. Zupełnie tak, jakby stopniowo blakły.

Spojrzał jeszcze raz na kota, lecz ten kroczył już przed siebie, płosząc wystraszone gnomy.

– Lepiej się pospieszmy, panie – zawołał, odwróciwszy się. – Wielka Czeluść to nie miejsce na poszukiwanie siebie, szczególnie po zmroku.

Ben powoli uniósł się, nie tylko jeszcze bardziej zdezorientowany, ale i przerażony.

– Dlaczego w ogóle o cokolwiek pytam tego cholernego kota? – wymamrotał zawiedziony. Ale znał już, rzecz jasna, odpowiedź na to pytanie. Pokiwał głową, myśląc o swojej sytuacji, i podążył za kotem.

Wczesnym popołudniem dotarli do Wielkiej Czeluści.

Była nie zmieniona i niezmienna: ciemna, niezgłębiona plama wśród rozświetlonych słońcem połaci lasu, przycupnięta jak ukryte zwierzę, czające się do ucieczki lub ataku. Cienie i mgły bawiły się ze sobą w przepastnych głębiach w chowanego, poruszając się wolnymi, nieregularnymi ruchami między drzewami, bagnami i mrokiem. Prócz tego, nic nie można było dostrzec. Jakież inne formy życia trwały tam – pionki w twardej i zacieklej grze o przetrwanie, która dawała szansę tylko silnym i szybkim? Dźwięki były przytłumione, a kolory – poszarzałe. Jedynie śmierć mogła się czuć tam jak w domu; jedynie ona była pewna. Ben i jego towarzysze czuli to. Stojąc na krawędzi zapadliska, wpatrywali się w ciemności. Każdy myślał o czymś innym.

– Cóż, moglibyśmy tam się dostać – mruknął w końcu Ben. Wspominał swój poprzedni pobyt w Wielkiej Czeluści i przerażające wizje, które wywołała wtedy w nim Nocny Cień, by utrzymać go z dala od siebie – wizje nie kończących się bagien, jaszczurów, i inne, jeszcze potworniejsze. Myślał o swym starciu z czarownicą – starciu, które niemal kosztowało go życie. Nie chciał tego powtarzać.

– No, tak... – powiedział, a słowa rozplynęły się w ciszy. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Dirk, z opuszczonymi w pół powiekami, wygrzewał się tuż obok niego w niewielkiej plamie

słonecznego światła, śledząc ruchy mgieł w rozpadlinach. Phillip i Sot stali o dobrych kilka metrów – zarówno od kota, jak i otchłani. Szeptali coś słabymi, wystraszonymi głosami.

Ben skinął głową.

– Phillip. Sot.

Gnomy-dodomy przycupnęły przerażone, udając, że nie słyszą.

– No, zbliżcie się – rzucił zirytowany. Jego cierpliwość w stosunku do kotów i gnomów była wyczerpana.

Gnomy, wahając się i drżąc, podeszły nieco bliżej, z niepokojem spoglądając na Dirka, który – jak zwykle – wcale nie zwracał na nie uwagi. Gdy były już tak blisko, jak tylko mogły podejść nie przyciągane przemocą, Ben przyklęknął, by rozmówić się z nimi twarzą w twarz. Jego wzrok szukał ich spojrzeń.

– Jesteście pewni, że Nocny Cień tam jest? – zapytał cicho.

– Tak, panie.

– Jest tam, panie. Ben skinął.

– Chcę więc, byście byli ostrożni – rzekł przyciszonym głosem. Nie była to właściwa chwila na objawianie zniecierpliwienia, czy gniewu, więc zdołał jakoś je stłumić. – Chcę, żebyście byli bardzo ostrożni, rozumiecie? Nie chcę, żebyście robili cokolwiek, co mogłoby was narazić na prawdziwe niebezpieczeństwo. Zejdźcie tylko na dół i rozejrzyjcie się. Muszę wiedzieć, czy jest tam Willow – a nawet, czy była tam wcześniej. To pierwsza sprawa. Zróbcie, co będziecie mogli.

Przerwał. Szeroko otwarte, brązowe oczy gnomów poruszały się niespokojnie. Odczekał chwilę, aż wreszcie znowu udało mu się spotkać ich spojrzenia.

– Jest uprzęż utkana ze złotej przędzy – ciągnął. – Nocny Cień gdzieś tam ją ukrywa. Potrzebuję tej upręży. Chcę, żebyście ją odnaleźli. Jeśli dacie radę, skradnijcie ją dla mnie.

Brązowe oczy powiększyły się nagle do rozmiarów spodków.

– Nie, w porządku, nie bójcie się – Ben szybko zaczął uspokajać gnomy. – Jeżeli wiedźma będzie w pobliżu, nie musicie tego robić. Zróbcie to tylko wtedy, gdy będziecie pewni, że was nie dostrzeże. Po prostu zróbcie to, co będziecie mogli. Będę was ochraniał.

Było to chyba najohydniejsze kłamstwo, na jakie Ben zdobył się w całym swoim życiu. Jak mógłby ich ochraniać? Musiał jednak zrobić coś, by ich podtrzymać na duchu. W innym wypadku wzięłyby nogi za pas przy pierwszej sposobności. Mogły zrobić to tak, czy inaczej, ale miał nadzieję, że jego królewski majestat utrzyma je na tyle długo, by wypełniły swe zadanie.

– Panie, Nocny Cień nas skrzywdzi! – rzekł Phillip.

– Skrzywdzi nas straszliwie! – zgodził się Sot.

– Nie, nie robi tego – powiedział z naciskiem Ben. – Jeśli będziecie ostrożni, nie dowie się nawet, że tam byliście. Schodziliście tam już kiedyś, prawda? – Dwie głowy skinęły jak jedna. – I nie dostrzegła was wtedy? – Dwie głowy skinęły jeszcze raz. – A więc dlaczego miałyby was dostrzec tym razem? Zróbcie po prostu to, co wam powiedziałem, i bądźcie ostrożni.

Phillip i Sot skrzyżowali długie i twarde spojrzenia. W ich oczach było tyle lęku, że w każdej



chwili można się było spodziewać ich ucieczki.

– Tylko raz na dół – rzekł Phillip.

– Tylko raz – powtórzył jak echo Sot.

– W porządku, w porządku, tylko raz – zgodził się Ben, rzucając pełne obaw spojrzenie na blednące, popołudniowe słońce. – Ale pośpieszcie się, dobrze?

Gnomy podążyły niechętnie ku rozpadlinom i po chwili zniknęły w mroku. Ben obserwował je, aż zniknęły mu z oczu. Potem siadł i czekał.

Siedząc tak, stwierdził, że jego myśli same wracają do tego, co Dirk mówił o maskach. Ben nosił maskę. Zaginione jednorożce nosiły maski. Co też, mówiąc o tym, kot miał na myśli? Oparł się o pień drzewa o kilka metrów od wygrzewającego się w słońcu Dirka i próbował szczegółowo to przeanalizować. W końcu był to najwyższy czas, by coś przeanalizować. Tego właśnie zawsze oczekiwano od prawników, to było podstawą ich pracy. Będąc czy nie będąc królem Landover, nadal pozostawał prawnikiem, z prawniczymi przyzwyczajeniami i prawniczym sposobem myślenia. A więc myśl – przynaglał siebie – myśl!

I myślał. Ale nic nie przychodziło do głowy. Maski nosili aktorzy i bandyci. Wkłada się je, by ukryć twarz. Zakłada się je, a kiedy nadejdzie odpowiedni czas – znowu zdejmuje. Ale jaki związek miało to z nim? Albo z jednorożcami? Nikt z nas nie próbuje się maskować – myślał. To Meeks założył mi maskę. Ale kto próbuje ukryć jednorożce?

Czarownicy, którzy je pojмали – ot kto.

Odpowiedź przyszła błyskawicznie. Wyprostował się. Czarownicy ukradli jednorożce, a potem ukryli je, zmieniając ich powierzchowność. Pokiwał głową. Tak, to logiczne. Tylko jak zmienili ich wygląd? Przy pomocy masek? Czy zamienili je w krowy, drzewa, czy w coś jeszcze innego? Nie. Zmarszczył brwi. Od początku. Czarownicy schwytali jednorożce – ciekawe jak? – więc mogli przejąć ich magiczne moce. Chcieli je mieć na własny użytek. Lecz co by z nimi robili? Jak by je spożytkowali? Co się dzieje z tymi mocami teraz?

Jego oczy poszerzyły się. Przecież poza Meeksem nie było teraz już w Landover żadnych prawdziwych czarowników. Wprawdzie pozbawiony źródła swych czarodziejskich mocy, miał jednak odnalezione księgi, które stanowiły kompilację magicznej wiedzy, gromadzonej latami przez magów – księgi z podobiznami jednorożców! Jasne, że rysunki w księgach – a właściwie w jednej z nich – były podobiznami zaginionych jednorożców!

Lecz po co zostały stworzone?

A może to nie rysunki, lecz właśnie ukryte jednorożce?

– Tak! – wyszeptał zadziwiony.

Zdawało mu się to tak nieprawdopodobne, że po prostu nie mógł wpaść na to wcześniej. Było to niemożliwe w jego starym świecie, lecz nie w Landover, gdzie czary były sprawą normalną. Zaginione jednorożce – jednorożce, których nikt nie widział przez całe stulecia, wraz ze swymi nienaruszonymi siłami magicznymi, zostały uwięzione w księgach magów! A księga nie zawierała niczego prócz podobizn jednorożców, dlatego że jej cała magia była właśnie ich

magią – magią, którą skradli czarownicy!

I wykorzystali do swych własnych celów?

Tego nie wiedział. Zaczął mówić coś do Dirka, ale się rozmyślił. Pytanie kota, czy ma słuszość, nie miało sensu. Z pewnością znalazłby kolejny sposób, by zburzyć całe jego przekonanie. Lepiej rozgryźć to samemu. Jednorożce zostały przez magów zamienione w szkice w zaginionych księgach. To wyjaśniałoby ich zniknięcie na tak długie lata i zarazem to, dlaczego Meeks ksiąg tych potrzebował i dlaczego zesłał o nich sen Questorowi Thewsowi. Wyjaśniałoby to nawet wypowiedzi Dirka na temat masek.

Czyżby dochodził do rozwiązania całej tej zagadki?

Przerwał. Zdał sobie sprawę, że istnieje jeszcze kilka innych, wymagających wyjaśnienia problemów. Co z czarnym jednorożcem? Może to po prostu jeden z białych jednorożców, któremu udało się wydostać z księgi – może z tej drugiej, z wypalonym środkiem? Dlaczego teraz jest czarny, skoro przedtem był biały? Czy to popiół, czy sadza? Nie, to śmieszne! Dlaczego pojawiał się i znikał w dawniejszych czasach, skoro był więźniem księgi? Dlaczego Meeks tak desperacko pragnął go odzyskać?

Nerwowo splotał dłonie. Jeśli jednemu jednorożcowi udało się wydostać na wolność, dlaczego inne nie zdołały tego zrobić?

Wszystko to stawało się coraz bardziej skomplikowane i niepojęte. Meeks dał Benowi do zrozumienia, że ten uczynił coś, co pokrzyżowało mu plany. Nie powiedział jednak co. Jeśli rzeczywiście tak było, musiało to mieć coś wspólnego z jednorożcami – czarnym i białymi. Ben jednak nie miał o tym nawet najbardziej mglistego pojęcia.

Siedział więc tak, próbując bez powodzenia rozwiązać te zagadki. Tymczasem popołudnie kończyło się. Słońce zniknęło już na zachodzie i zaczynało zmierzchać. Cienie wydłużyły się tak, że nie można było ich ogarnąć wzrokiem. Powoli ciemności i opary Wielkiej Czeluści zaczęły się wysnuwać ze swych dziennych kryjówek, by – łącząc się z tymi cieniami – otoczyć Bena i Dirka. Ciepło dnia przerodziło się w wieczorny chłód.

Ben zakończył swe rozmyślenia i skupił uwagę na stokach przepaści. Gdzież są Phillip i Sot? Czy nie powinni już być z powrotem? Wstał i podszedł na krawędź urwiska. Niczego nie było widać. Przedzierając się przez kępy krzewów, przeszedł jego skrajem po paręset metrów w obydwu kierunkach. Wpatrywał się w ciemności. I nic. Rósł w nim niepokój. Tak naprawdę nie wierzył, że gnomy mogą być w poważnym niebezpieczeństwie – inaczej nie posłałby ich tam. A jeśli się mylił? Może tylko siebie starał się o tym przekonać niezależnie od tego, jak było naprawdę?

Wrócił do punktu wyjścia i stanął, wpatrując się bezradnie w Wielką Czeluść. Niebezpieczeństwa tego miejsca nigdy przedtem nie niepokoiły tak gnomów. Czy coś się zmieniło? Do licha! Powinien był z nimi pójść!

Spojrzał na Dirka. Ten zdawał się spać.

Ben zdecydował się czekać dalej. Nie miał zresztą wyboru. Minuty ciągnęły się

w nieskończoność. Robiło się ciemno. Wraz z nadejściem zmroku coraz trudniej było cokolwiek dostrzec.

Nagle na krawędzi urwiska coś się poruszyło. Ben wyprostował się, zrobił krok do przodu i zatrzymał się. Kępa krzewów rozstała się i wyłonili się z niej Phillip i Sot.

– Dzięki Bogu, jesteście... – zaczął Ben, lecz zaraz zamilkł.

Gnomy-dodomy były sztywne ze strachu. Wręcz sparaliżowane. Ich włochate, wykrzywione przerażeniem twarze zdawały się mówić, że coś się zaraz stanie. Znieruchomiałe, pojaśnione oczy patrzyły gdzieś przed siebie – ani w lewo, ani w prawo, ani na Bena. Patrzyły, nic nie widząc. Gnomy stały oparte plecami o krzaki, trzymając ręce w sposób, w jaki robią to niemowlęta.

Ben ruszył ku nim, przestraszony. Musiało się stać coś potwornego.

– Phillip! Sot! – Klęknął przed nimi, usiłując złamać czar, który nie pozwalał im drgnąć. – Spójrzcie na mnie. Co się stało?

– Ja się stałam! – wyszeptał nieprzyjemnie znajomy głos. Ben spojrzał ponad zmrożonymi strachem gnomami na kształt, który zmaterializował się tam, jakby za sprawą magii. Stał twarz w twarz z Nocnym Cieniem.

## WIEDZMA I SMOK, SMOK I WIEDZMA

Ben w milczeniu wpatrywał się w zimne, zielone oczy czarownicy. Jeśli byłoby dokąd uciekać, z pewnością już by to zrobił. Lecz od Nocnego Cienia nie było ucieczki. Trzymała go w miejscu po prostu mocą swej obecności. Była ścianą, której nie mógł ani obejść, ani przeskoczyć. Była jego więzieniem.

Szeptala.

– Nigdy nie myślałam, że będziesz aż tak głupi, by tutaj powrócić.

Głupi, rzeczywiście głupi! – Ben zgodził się z wiedźmą w myślach. Zmusił się, by sięgnąć po przerażone gnomy i przyciągnąć je do siebie, dalej od czarownicy. Przyłgnęły do niego, jak szmaciane lalki, otrząsając się z ulgą i wtulając twarze w poły jego tuniki.

– Prosimy, pomóż nam, panie! – Było to wszystko, co mógł wydusić z siebie słabym szeptem Phillip.

– Prosimy! – jak echo powtórzył Sot.

– Wszystko w porządku – skłamał Ben.

Nocny Cień zaśmiała się delikatnie. Była dokładnie taka, jaką Ben pamiętał: wysmukła, o ostrych rysach, skórze bladej i gładkiej jak marmur, kruczoczarnych włosach – za wyjątkiem jednego siwego pasma pośrodku głowy. Jej szczupła, kanciasta postać była odziana w czerń. Na swój sposób była piękna: ponadczasowe stworzenie, które w jakiś sposób doszło do porozumienia ze swą śmiertelnością. Jednak jej twarz nie odbijała żadnych uczuć, przez co cała postać zdawała się niepełna. Jej oczy były bezdenne i puste. Spozierały na Bena, gotowe, by go pożreć.

Tak, sam tego chciałem – pomyślał.

Śmiech Nocnego Cienia ucichł, a w jej oczach pojawił się ledwie dostrzegalny błysk niepewności. Podeszła jeden krok ku niemu.

– Co to? – zapytała łagodnie – Nie jesteś taki sam... – Zamilkła, nieco zbity z tropu. – Nie, to musisz być ty. Gnomy nazywały cię królem... Pokaż mi no twarz w świetle.

Wyciągnęła rękę. Ben nie miał siły się opierać. Palce zimne jak sople lodu schwyciły go za policzki i odwróciły jego twarz w kierunku światła księżyca. Trzymała go tak przez chwilę, mamrocząc.

– Jesteś inny, ale i ten sam. Co ci się stało, królu-marionetko? A może próbujesz znowu ze mną igrzać? Czy aby na pewno jesteś Benem Holidayem?

Phillip i Sot przyłgnęli do Bena. Czuł, jak trzymają się go kurczowo zaciśniętymi łapkami.

– Ooo! Czuję, że czary mają z tym coś wspólnego – szepnęła Nocny Cień chropawym głosem, rozluźniając uścisk palców na policzku Bena. – Czyje to czary? No, gadaj szybko!

Ben walczył ze sobą, dusząc w sobie krzyk przerażenia i starając się zachować w głosie spokój.

– Meeks. Wrócił. Uczynił siebie królem, a mnie zmienił w... to.

– Meeks? – Zielone oczy wiedźmy się zwęziły. – Ten żaloszny szarlatan? Jak zdołał zdobyć tyle magicznej mocy, by tego dokonać? – Jej twarz wykrzywił wyraz pogardy. – Brak mu sił nawet do tego, żeby zawiązać własne buty! Jak mógł więc zrobić coś takiego?

Ben milczał. Sam nie znał odpowiedzi. Wiedźma przez dłuższą chwilę przyglądała mu się uważnie.

– Gdzie jest medalion? Niech no go zobaczę!

Widać Ben nie zareagował wystarczająco szybko, bo czarownica wykonała błyskawiczny ruch palcami. Poczul, że wbrew własnej woli wyjmują zmatowiały medalion spod tuniki, by Nocny Cień mogła mu się przyjrzeć. Patrzała na niego przez chwilę, potem znowu spojrzała w twarz Bena. Powoli uśmiechnęła się, niczym drapieżnik patrzący na swój obiad.

– A więc to tak – szepnęła.

Nie powiedziała nic więcej. To zresztą całkowicie wystarczało. Ben wiedział już, że wiedźma zastanawia się, co z nim zrobić. Wiedział, że zrozumiała naturę czaru, który go przemienił. Ta świadomość była dla niego nawet czymś gorszym, niż bycie przetrzymywanym przez czarownicę w niepewności. Chciał krzyczeć. Był więc skazany na świadomość, że ona o tym wie, i że nie ma żadnej szansy, by się tego od niej dowiedzieć.

– Jesteś żaloszny, królu-marionetko – rzekła głosem cichym, lecz niepokojącym. – Zawsze miałeś szczęście, chociaż nigdy nie byłeś zbyt sprytny. Ale twoje szczęście wyczerpało się. Kusi mnie nawet, żeby zostawić cię tutaj nietkniętego. Kusi mnie! Ale nie mogę zapomnieć tego, co mi uczyniłeś! Chcę, żebym to ja była tym, kto sprawi, że będziesz cierpiał. Dziwisz się, widząc mnie znowu? Chyba tak. Myślałeś, że odeszłam na zawsze? Myślałeś, że odeszłam do zaczarowanego świata, by tam umrzeć? Och, jaki ty jesteś głupi!

Klęknęła naprzeciw Bena, by rozmawiać z nim twarzą w twarz. Z jej oczu biła przerażająca nienawiść.

– Poleciałam w zaczarowane mgły, królu-marionetko – tak, jak mi nakazałeś. Pył Io uczynił mnie podległą twoim rozkazom, więc nie mogłam się nim oprzeć. O, jaką pogardę czułam wtedy do ciebie! Ale niczego nie mogłam zrobić. Wleciałam więc w zaczarowane mgły, lecz leciałam powoli, królu, jak najwolniej! Walczyłam, by przełamać czar pyłu Io. Walczyłam z wszystkich sił. – Twardy uśmiech powrócił powoli na jej usta. – I w końcu zdołałam go złamać. Otrząsnęłam się z niego i ruszyłam z powrotem. Lecz za późno, wiele za późno! Byłam już bowiem pośród czarodziejskich mgieł – wyrządzono mi krzywdę! Cierpiałam, jak nigdy przedtem. Byłam przerażona bólem tego cierpienia! Zdołałam ocalić życie, lecz prawie niczego poza tym. Całe miesiące zajęło mi odzyskanie ledwie drobnej cząstki moich magicznych mocy. Leżałam gdzieś na bagnach, jak kryjące się zwierzę. Byłam słaba jak najmniejszy z płazów! Byłam złamana! Lecz nie poddałam się bólowi i strachowi. Myślałam tylko o tobie. Myślałam o tym, co z tobą zrobię, jeśli znajdziesz się kiedyś w moich rękach. Wiedziałam, że któregoś dnia zdołam znaleźć sposób, by cię tu sprowadzić... – Przerwała. – Lecz nigdy nie przypuszczałam, że nastąpi to tak

szybko, mój głupiutki królu. Cóż za uśmiech losu! Czy to twoja przemiana sprowadziła cię do mnie? Może coś z nią związane? Ale co? Powiedz. I tak to z ciebie wyduszę.

Ben wiedział, że nie ma sensu ukrywać czegokolwiek przed wiedźmą. W jej zimnych, zielonych oczach mógł dostrzec, co go czeka. Mówienie było teraz jedyną rzeczą, która trzymała go przy życiu. A póki był żywy, miał nadal jakąś szansę. W tej sytuacji trudno było gardzić jakąkolwiek szansą.

– Szukam Willow – odpowiedział, przepychając gnomy za swe plecy. Wolał, aby na wszelki wypadek nie stały pomiędzy nim i czarownicą. Musiał mieć oczy otwarte, by dostrzec każdą nadarżającą się szansę. Jednak gnomy nadal lgnęły do niego, jak przylepce.

– Córki Władcy Rzek? Tej sylfidy? – Nocny Cień rzuciła pytające spojrzenie. – Dlaczego miałyby tutaj przychodzić?

– Nie widziałaś jej? – zapytał zaskoczony Ben. Nocny Cień uśmiechnęła się niemiło.

– Nie, królu-marionetko. Nie widziałam nikogo, prócz ciebie – i twoich głupich gnomów. Czego chce ode mnie ta sylfida?

Ben zawahał się, wziął głęboki oddech.

– Chce złotej uprzęży.

Wyjawiał już wszystko. Lepiej powiedzieć jej i samemu spróbować czegoś się przy okazji dowiedzieć, niż udawać idiotę. Igranie z Nocnym Cieniem było wyjątkowo niebezpieczne.

Wiedźma spojrzała ze szczerym zdumieniem.

– Uprząż? Ale po co?

– Potrzebna jest Meeksowi. To on zesłał Willow sen o uprzęży i czarnym jednorożcu.

Ben szybko opowiedział historię snu Willow i jej decyzji, by wyruszyć w podróż i dowiedzieć się, co oznaczał.

– Powiedziano jej, że uprzęż znajduje się w Wielkiej Czeluści. – Zrobił pauzę. – Willow powinna tutaj przybyć jeszcze przede mną.

– Szkoda, że nie przyszła – odrzekła czarownica. – Nie przepadam za nią bardziej niż za tobą. Jej zniszczenie sprawiłoby mi tyle przyjemności, ile sprawi zniszczenie ciebie. – Przerwała, rozmyślając. – Czarny jednorożec, co? Powrócił? To ciekawe. I sen powiedział, że tylko ta uprzęż może go poskromić? Tak, to możliwe. W końcu została stworzona z pomocą czarów. I to magowi skradłam ją przed laty...

Nocny Cień roześmiała się. Przyglądała mu się uważnie, chytrym i przebiegłym spojrzeniem.

– A te twoje żalosne ziemne stworzenia – czy wysłałeś je po to, żeby skradły uprzęż?

Fillip i Sot usiłowali wpełznąć pod skórę Bena, lecz ten niemal nie był świadom ich obecności. Myślał o czymś zupełnie innym. Jeśli Meeks posiadał kiedyś uprzęż, to pewno jej użył. Może nawet zdołał z jej pomocą okiełznać jednorożca. Czy zwierzęciu jakoś udało się uciec? Czy sen zesłany Willow miał na celu odzyskanie uprzęży, by powtórnie móc w nią schwytać jednorożca? Jeśli tak, to co mają z tym wspólnego jednorożce z zaginionych ksiąg magii...?

– Nie trudź się, śmieszny królu. Odpowiedź widzę w twych oczach. – Nocny Cień przerwała jego rozmyślenia. – Czy głupie szczirowate stworzenia wślizgnęły się do Wielkiej Czeluści tylko po nią? Wkradły się do mojego domu! Jak złodzieje! Zakradły się na swoich małych, kocich łapkach.

Wspomnienie o kocich łapach przypomniało mu nagle o Dirku. Gdzie się podział? Nie namyślając się zbyt głęboko, rozejrzał się wokół. Dirka jednak nigdzie nie było widać.

– Szukasz kogoś? – Nocny Cień błyskawicznie zażądała odpowiedzi. Jej wzrok jak nóż przemiatł ciemności za plecami Bena. – Nikogo nie widzę – mruknęła po chwili. – Za kimkolwiek się rozglądasz, musiał cię już opuścić.

Niemniej jednak poświęciła jeszcze moment, by się upewnić, nim zwróciła się znowu do Bena.

– Twoi rabusie są rozczulający niemal tak, jak ty – ponowiła atak. – Myśleli, że są niewidzialni. Lecz dla mnie są niewidzialni tylko wtedy, gdy sama nie życzę sobie ich widzieć! Rzucali się w oczy tak, że nie mogłam ich nie dostrzec. W chwili gdy znaleźli się w moich rękach, zaczęli wołać „O wielki panie, o potężny królu!” Głupcy! Wydali cię, a ja nie musiałam ich nawet o nic pytać.

Fillip i Sot dygotali tak mocno, że Ben z trudnością utrzymywał równowagę. Położył na nich dłonie, by jakoś ich uspokoić. Było mu ich prawdziwie żal. W końcu wpadli w tarapaty wyłącznie z jego winy.

– Jeśli masz mnie, dlaczego nie pozwolisz gnomom odejść? – zapytał niespodziewanie. – Sama mówiłaś, że to głupie stworzenia. To ja ich w to wciągnąłem. Prawdę mówiąc, nie miały wyboru. Nie wiedziały nawet, dlaczego tutaj są.

– Tym gorzej dla nich – Nocny Cień z miejsca odrzuciła jego prośbę. – Nikt, kto trzyma z tobą, nie ujdzie cało. – Wzniosła twarz, odrzucając do tyłu czarne włosy. Jej oczy jeszcze raz przemiotły ciemności.

– Nie podoba mi się tutaj. Idziemy.

Wstała – czarny cień urósł, gdy rozłożyła ręce. Jej szaty falowały jak żagle. Między drzewami zerwał się raptowny wiatr, powiało chłodem, a z Wielkiej Czeluści zaczęły wypływać opary, które po chwili ich otoczyły. Gwiazdy i księżycy zniknęły w jej mroku. Ben nagle poczuł, że unosi się w górę. Gnomy-dodomy przyłgnęły do niego mocniej niż kiedykolwiek. On również je uchwycił – z braku czegokolwiek innego, czego mógłby się trzymać. Zaszumiało mu w uszach, po czym nastąpiła cisza.

Ben, otoczony mgłą, zamrugał oczami. Światło powoli powróciło. Nocny Cień stała przed nim, uśmiechając się chłodno. W powietrzu wisiał ciężki zapach bagien i mgły. Światła pochodni wyłowiły z ciemności rząd kolumn, stołów i ław, rozrzuconych po pustej komnacie.

Byli gdzieś w Wielkiej Czeluści, w domu Nocnego Cienia.

– Wiesz, królu-marionetko, co się teraz z tobą stanie? – zapytała łagodnie.

Miał o tym całkiem niezłe pojęcie, bo jego wyobraźnia – pomimo wysiłków, by ją

powściągnąć – pracowała na pełnych obrotach. Ostatnie szanse na ratunek zdawały się wyczerpywać. Zastanawiał się nerwowo, dlaczego Willow nie przybyła tu przed nim. Czy to nie tutaj kazała jej przyjść Matka Ziemia? Jeśli nie tutaj, to gdzie może teraz być?

Zastanawiał się też, co się stało z Dirkiem.

Niespodziewane syknięcie wiedźmy wyrwało go z rozmyślań.

– Powiesić cię, byś wysechł, jak kawałek starego mięsa? A może powinnam przedtem się z tobą zabawić? To musi trochę potrwać, prawda?

Zacząła coś jeszcze mówić, lecz przerwała, uderzona nową myślą.

– Nie – mam lepszy pomysł. Mam dla ciebie coś znacznie bardziej odpowiedniego!

Pochyliła się nad nim.

– Wiesz, że nie mam już złotej uprzęży? Nie? Tak przypuszczałam. Skradziono mi ją. Skradziono, gdy byłam jeszcze zbyt słaba, by temu zapobiec – gdy dochodziłam jeszcze do siebie po tym, co ty mi uczyniłeś! Wiesz, kto ją teraz ma? Strabo, królu-marionetko! Ten smok! To on ma zaczarowaną uprzęż, która prawnie mi się należy. O, ironio! Przyszedłeś szukać w Wielkiej Czeluści czegoś, czego tu nie ma! Przyszedłeś bez celu, na własną zgubę!

Skóra na jej kościstej twarzy była mocno napięta, a kosmyk siwych włosów połyskiwał jak srebrna szrama. Bena dzieliło od niej zaledwie kilkanaście centymetrów.

– Dajesz mi szansę zrobienia czegoś, co w innej sytuacji byłoby niemożliwe. Strabo ma bzika na punkcie rzeczy ze złota, choć nie ma z nich żadnego pożytku – to dla niego tylko zwykłe ozdóbki! Nie ceni ich prawdziwej wartości – a szczególnie magicznej mocy uprzęży. Nigdy by mi jej nie zwrócił, a ja nie mogę mu jej odebrać, póki trzyma ją ukrytą w Ognistych Źródłach. Ale myślę, że byłby skłonny ją wymienić. Z pewnością wymieniłby ją na coś, co ceni wyżej. – Uśmiechnęła się wściekle. – A co ma dla niego większą wartość niż możliwość odwetu na tobie?

Benowi nic nie przychodziło do głowy. Strabo również był ofiarą pyłu Io. Odchodząc, obiecał Benowi, że kiedyś mu za to odplaci. Ben poczuł, że serce podeszło mu do gardła. Było to jak przejście z rozżarzonej patelni w żywy ogień. Próbował ukryć uczucia przed wiedźmą, lecz nie zdołał.

Uśmiech Nocnego Cienia poszerzył się, wyrażając satysfakcję.

– Tak, śmieszny królu, z zadowoleniem pozostawię wybór sposobu unicestwienia ciebie smokowi!

Wzniosła ręce ku górze gwałtownymi, okrężnymi ruchami. Kłęby mgły zaczęły się wznosić, jak na rozkaz. Powrócił przenikliwy chłód.

– Zobaczmy, jak się zabawi z tobą, Strabo! – krzyknęła, a jej głos brzmiał jak syk.

Gnomy-dodomy jeszcze raz przyłgnęły do nóg Bena. Ten poczuł, że znowu się unosi. Rozpadliny zaczęły znikać z pola widzenia...

Opustoszałe wschodnie łąki nurzały się w blednących promieniach popołudniowego słońca. Questor Thews, Abernathy i Bunion stale posuwali się naprzód poprzez poplątane krzewy i stosy suchych gałęzi. To szli granią, to znów schodzili w doliny. Przemierzali niewielkie połacie



pustyni, omijali bagna i trzęsawiska. Wędrowali tak cały dzień, przemagając zmęczenie i niewygody, zdecydowani dotrzeć do siedziby smoka przed zapadnięciem zmierzchu.

A zmierzch był już blisko.

W tych okolicach nie żył nikt, prócz smoka. Gdy setki lat temu wyłonił się on z zaczarowanych mgieł, uczynił to miejsce swym domem. Zdziczałe okolice odpowiadały mu. Lubił ten spustoszony kapryсами natury obszar, znajdując w nim odpowiednie dla swego usposobienia źródło ukojenia. Całe te olbrzymie przestrzenie, dawno już opuszczone przez inne stworzenia, należały wyłącznie do niego. Był ich jedynym mieszkańcem. Był jedynym stworzeniem w dolinie – z wyjątkiem Bena Holidaya – które mogło przekraczać granicę pomiędzy Landover i światami śmiertelnymi. Mógł nawet wkroczyć (choć niezbyt daleko) w opary czarodziejskiej mgły. Był jedyny w swym rodzaju – był ostatnim przedstawicielem swego gatunku. Czuł z tego powodu rodzaj dumy.

Nie przepadał za towarzystwem – lecz fakt ten nie miał żadnego wpływu na Questora, Abernathy'ego i Buniona, którzy spieszyli, by odnaleźć bestię jeszcze przed zmrokiem.

Jednakie, gdy dotarli w końcu na miejsce, już zmierzchało. Wspięli się na grzbiet góry, który odcinał się od ciemniejącego nieba światłem i migotaniem, i tańczył jak żywy. Patrzyli teraz w dół, na Ogniste Źródła. Źródła były kryjówką smoka.

Znajdowały się w głębokiej, wąskiej rozpadlinie i stanowiły grupkę kraterów, które stale płonęły błękitnymi i żółtymi płomieniami pośród zarośli, zwałów skał i ziemi. Zasilane przez zbierającą się w kraterach ciecz, wypełniały powietrze kłębami dymu, popiołu i smrodem spalenizny. Nad kotłina i otaczającymi nią wzgórzami wisiały cały czas mgliste opary. Co jakiś czas w ciemności wybuchwały potężnymi kaszlnięciami gejzery.

W końcu dojrzeli smoka. Leżał w samym środku kotliny, z głową ułożoną na krawędzi krateru i spokojnie lizał buchające płomienie.

Strabo nie poruszał się. Leżał rozciągnięty wzdłuż usypiska ziemi, a jego gigantyczne cielsko, pokryte kolcami i łuskami wydawało się częścią krajobrazu. Gdy oddychał, z jego nozdry buchały w ciemności małe strugi pary. Jego ogon owinięty był wokół skały, która stała tuż za nim, a skrzydła spoczywały oparte na cielsku. Pazury i zęby miał czarne i powyginane. Wyrastały z twardej skóry i dziąseł pod różnymi kątami, czasem dziwacznie poskręcane. Kurz i brud pokrywały go, niczym koc.

Jedno z czerwonych oczu obróciło się nagle w oczodole.

– Czego chcecie? – spytał poiryutowany smok. Bena zawsze dziwił fakt, że smok potrafi mówić. Lecz w końcu Ben był tu obcokrajowcem i nie rozumiał natury tych rzeczy. Dla Questora i Buniona mówiący smok był czymś całkiem normalnym – tym bardziej dla Abernathy'ego, który będąc terierem, sam przecież mówił.

– Chcielibyśmy z tobą przez chwilę porozmawiać – rzekł Questor. Abernathy zdobył się na przytaknięcie ruchem głowy, lecz stwierdził, że zastanawia się, jak to możliwe, by ktokolwiek o zdrowych zmysłach chciał rozmawiać z tak potwornym stworzeniem. – Nie obchodzi mnie to,

czego byście chcieli – powiedział smok, wypuszczając nozdrzami kłąb pary. – Obchodzi mnie jedynie to, czego ja chcę. Idźcie stąd. – To zajmie tylko chwilę – naciskał Questor. – Nie mam dla was nawet chwili. Odejdźcie, zanim was zjem.

Questor poczerwieniał.

– Muszę przypomnieć ci, do kogo mówisz! Należy mi się trochę szacunku, uwzględnivszy długą historię naszych związków. Proszę, bądź uprzejmy!

Jakby po to, by podkreślić swoje żądanie, wystąpił krok do przodu. Jego odziana w wielobarwną szatę postać stracha na wróble zdawała się w promieniach światła tylko jakąś wiązką luźno połączonych patyków. Bunion pokazał swe kły w przerażającym uśmiechu. Abernathy poprawił okulary i próbował obliczyć, ile czasu zajęłoby mu dobiegnięcie do pobliskich krzaków, w których mógłby się ukryć.

Strabo zamrugął oczami i uniósł swą głowę sponad ognia krateru.

– Questor Thews, czy to ty?

– Z całą pewnością – prychnął Questor. Strabo westchnął.

– Jakież to nudne! Jeśli byłbyś kimś znaczącym, mógłbyś się stać dla mnie choć przez chwilę źródłem rozrywki. Lecz nie jesteś wart nawet tego, bym się podniósł i pożał cię. Odejdź.

Questor zeszytywniał z oburzenia. Nie bacząc na powstrzymującą go dłoń Abernathy'ego, podszedł jeszcze krok.

– Przebyliśmy długą drogę, by się z tobą spotkać i porozmawiać. I porozmawiamy! Jeśli zamierzasz ignorować długotrwałe i chwalebne związki pomiędzy smokami i czarownikami, to nie tylko twoja strata – obu nam wyrządzasz w ten sposób szkodę!

– Jesteś chyba w nienajlepszym nastroju – odrzekł smok. Jego głos wybrzmiał przeciągłym sykiem. Wężowe ciało nieco się przesunęło. Ogon rozpryskiwał ciecz gromadzącą się w kraterach. – Biorąc pod uwagę to, że przez całe stulecia magowie nie zrobili niczego dla smoków, sądzę, że nie ma powodu, by przedłużać istnienie jakichkolwiek więzów między nami – nawet, jeśli takowe ongiś istniały. Cóż za nonsens! Mógłbym również zauważyć, że podczas gdy nie ma żadnych wątpliwości co do tego, iż jestem smokiem, to twój status jako czarownika jest dla mnie wątpliwy.

– Nie dam się wciągnąć w żadne sprzeczki! – uciał Questor, chyba ze zbyt mocną irytacją. – Nie odejdę stąd, póki mnie nie wysłuchasz!

Strabo zakasłał od przesiąkniętego siarką powietrza.

– Powinienem cię po prostu zjeść! Ciebie, Questorze Thewsie, tego psa i to trzecie, cokolwiek to jest. Kobold, czy tak? Powinienem zionąć na was ogniem, by dobrze was podpiec, a potem zjeść. Lecz dzisiaj jestem w miłosiernym nastroju. Odejdźcie, a wybaczę wam to najście.

– Może powinniśmy jeszcze raz się zastanowić... – zaczął Abernathy, lecz Questor natychmiast go uciszył.

– Czy ten pies coś powiedział? – zapytał smok łagodnie.

– Nie – i nikt z nas stąd nie odejdzie – oznajmił Questor, mocno stając na ziemi.

Strabo mrugnął.

– Nie?

Uniósł głowę, wykonał nią gwałtowny obrót, a z jego paszczy trysnęły płomienie. Ogień buchnął tuż pod stopami Questora, a ten wyleciał z krzykiem w powietrze. Bunion i Abernathy odskoczyli w bok, usiłując uniknąć uderzeń lecących w ich kierunku odłamków skał, piasku i płomieni ognia. Questor runął na ziemię pośród płataniny swych szat i pasów. Kości bolały go od upadku.

Strabo wybuchnął śmiechem, wymachując przy tym swoim wygiętym językiem.

– Bardzo zabawne! Wspaniała rozrywka!

Questor powstał, otrząpiał się z kurzu, wypluł z ust garść brudu i stanął jeszcze raz twarzą w twarz ze smokiem.

– To było bez uprzedzenia! – stwierdził, walcząc o odzyskanie utraconej godności. – Też potrafię robić takie sztuczki!

Klasnął mocno w dłonie, wskazał nimi na coś i rozłożył je. Usiłował też zrobić coś ze stopami, ale wtedy stracił dla nich oparcie na rumowisku i siadł ciężko z łomotem. Nad kraterami eksplodowała jasność, a na Strabo spadła ulewa suchych liści, które momentalnie zajęły się od panującego tam żaru.

Smok zachichotał mimo woli.

– Mam zostać zaduszony przez liście? – ryknął, trzęsąc się ze śmiechu. – Proszę, oszczędź mnie, magu!

Questor zeszczytniał, a jego sowa twarz zapłonęła gniewem.

– Może wrócimy tutaj innym razem... – wydusił z siebie cicho spoczywający za zwałem ziemi Abernathy.

Lecz Questor nic sobie z tego nie robił. Znowu powstał i otrząpiał się z brudu.

– A więc śmiejesz się ze mnie? – wykrzyknął. – Śmiejesz się z mistrza praktyk sztuki magicznej? Bardzo dobrze – w takim razie pośmiej się z tego!

Jego ręce wzniosły się i gwałtownie zafalowały. Strabo właśnie przygotowywał się, by kolejny raz zionąć ogniem. Wtem nad jego głową oberwała się chmura i runęły na niego strumienie deszczu.

– Nie, przestań już! – zawył smok, lecz w mgnieniu oka był mokry od czubka nosa aż po ogon. Jego płomień zamienił się w kłęby pary. Głowę schował do jednego z kraterów, by schronić się przed ulewą. Gdy ją wynurzył, by zaczerpnąć powietrza, Questor znowu uczynił jakiś gest i deszcz ustał.

– No, widzisz! – rzekł czarownik do Abernathy'ego z niekrytą satysfakcją. – Teraz nie będzie już taki skory do śmiechu. – Odwrócił się do smoka. – Zabawne, prawda?

Strabo zatrzepotał swymi pokrytymi skórą skrzydłami, otrząsnął się i spojrzał na maga.

– Zdaje się, że zamierzasz mi się naprzykrzać, Questorze Thews, póki nie skończę z tobą albo nie wysłucham tego, co masz do powiedzenia. Powtarzam, jestem dzisiaj nastrojony

miłosiernie. Powiedz więc, co masz do powiedzenia, i skończmy z tym.

– Wielkie dzięki! – odrzekł Questor. – Czy możemy zejść na dół?

Smok znowu opuścił łeb na obrzeże krateru i przeciągnął się.

– Jeśli sprawi wam to przyjemność...

Questor skinął na swych towarzyszy. Zaczęli powoli schodzić w głąb rozpadliny poprzez labirynt skał i kraterów, póki nie znaleźli się o jakieś dwadzieścia jardów od miejsca, w którym spoczywał smok. Ten najwyraźniej ich ignorował. Oczy miał przymknięte, a nosem wciągał opary z krateru, na brzegu którego spoczywał jego łeb.

– Wiesz, że nie cierpię wody – mruknął.

– Przybyliśmy tutaj, by dowiedzieć się czegoś o jednoroźcach – oznajmił Questor Thews, nie zwracając uwagi na to, co rzekł smok.

– Przeczytajcie w jakiejś książce – burknął Strabo.

– Przeczytałem. W kilku. Lecz brak w nich wiadomości, które ty z pewnością posiadasz. Wszyscy wiedzą, że smoki i jednoroźce to najstarsze z czarodziejskich stworzeń – i najstarsi przeciwnicy. Każde z was wie o drugich więcej, niż jakiegokolwiek inne stworzenie – człowiek, czy istota czarodziejska. Chciałbym się dowiedzieć o jednoroźcach czegoś, czego nikt nie wie poza tobą.

– A po cóż to? – w głosie Strabo pobrzmiwało znudzenie. – Poza tym, dlaczego miałbym wam pomagać? Służycie temu odrażającemu człowiekowi, który podstępem sprawił, że nawdychałem się pyłu Io, i zmusił mnie do przysięgi, że nigdy nie będę polował w dolinie i pożerał ludzi, póki on będzie królem! Czy nadal nim jest? Taaak! Oczywiście, że musi nim być – wiedziałbym o tym, gdyby coś się zmieniło! Ben Holiday, najwyższy władca Landover! Zjadłbym go w mgnieniu oka, gdyby tylko postawił swą stopę w tej okolicy.

– To mało prawdopodobne. Poza tym, mamy rozmawiać o jednoroźcach, a nie o królu. – Questor pomyślał, że lepiej nie pozostawać zbyt długo przy temacie Bena Holidaya. Sianie zniszczenia wśród żywego inwentarza doliny należało do ulubionych rozrywek smoka, nim król położył temu kres. Była to przyjemność, której smok z największą ochotą zaznałby ponownie – a to, uwzględniając rozwój sytuacji, było całkiem prawdopodobne. Nie było jednak powodu, by w jakikolwiek sposób już teraz go do tego zachęcać.

Chrząknął oficjalnie.

– Zakładam, że słyszałeś o czarnym jednoroźcu? Oczy smoka otworzyły się gwałtownie, a głowa uniosła.

– O czarnym jednoroźcu? Oczywiście. Czy znowu powrócił?

Questor poważnie pokiwał głową.

– Jest tu już od jakiegoś czasu. Dziwi mnie, że o tym nie wiesz. Czyniono już znaczne wysiłki, by go schwytać.

– Schwytać go? Jednoroźca? – Strabo zaśmiał się serią kaszlnięć i syknięć. Jego potężne ciało zatrzęsło się. – Ludzie mieliby schwytać czarnego jednoroźca? Jakież to żalosne! Nikt nie

może go schwytać, magu – nawet ty musisz o tym wiedzieć! Jednorożce są nietykalne!

– Niektórzy tak nie uważają. Pysk smoka wykrzywił się.

– Niektórzy są głupcami!

– A więc jednorożec jest bezpieczny? Nie ma sposobu, by go schwytać? Niczego, co mogłoby go poskromić?

– Niczego!

– Ani cnotliwe dziewice, ani srebrne promienie księżyca schwymane w czarodziejską sieć?

– Bajdy starych kobiet.

– Ani żaden rodzaj magii?

– Magii? Hm... – Strabo zdawał się wahać. Questor postanowił zaryzykować.

– Ani uprząż utkana ze złotej nici?

Smok bez słowa wpatrywał się w maga. Questor ze zdziwieniem spostrzegł na jego twarzy wyraz niedowierzania. Chrząknął.

– Pytałem o złotą uprząż...

I właśnie w tym momencie Nocny Cień, obcy, który podawał się za Bena Holidaya i dwa żałośnie wyglądające gnomy-dodomy ukazali się w wirze mgły o kilka metrów od nich.

## OGIEŃ I ZŁOTA PRZĘDZA

Przez nieskończenie długą chwilę wszyscy wpatrywali się w siebie nawzajem. Trudno powiedzieć, kto był bardziej zaskoczony. Spojrzenia przesuwały się z osoby na osobę, zatrzymywały się, i znowu przesuwały. Postacie przycupnęły zaczajone, a ich szaty zafalowały. Smok ostrzegawczo syknął w kierunku wiedźmy. Abernathy mimo woli warknął. Noc zamknęła się nad tą małą oazą znieruchomiałego życia, zagrażając im wszystkim pochłonięciem.

– Nie jesteś tu mile widziana, Nocny Cieniu – szepnął w końcu Strabo głosem chropawym jak zgrzyt żelaza. Podniósł się z krawędzi krateru, na którym spoczywał i przybrał pozycję gotową do ataku, drapiąc pazurami skałę, aż ta zaczęła rozpadać się na kawałki. – Nigdy nie jesteś tu mile widziana.

Nocny Cień zaśmiała się śmiechem pozbawionym radości. Cień przesłaniał jej bladą twarz.

– Może tym razem będziesz jednak zadowolony z mojej wizyty, smoku – odpowiedziała.– Przyniosłam coś dla ciebie.

Questor Thews zdał sobie nagle sprawę, że dwa gnomy-dodomy stojące obok wiedźmy i obcego, który podawał się za Bena Holidaya, to nikt inny, jak Phillip i Sot!

– Abernathy...! – rzekł podniesionym głosem.

– Wiem, magu! Ale co one tutaj robią?

Questor nie miał bladego pojęcia. Questor w ogóle nie miał pojęcia, co się tutaj dzieje.

Strabo uniósł swą potężną głowę, wysuwając z paszczy język.

– Dlaczego fatygujesz się, żeby mi cokolwiek przynosić, wiedźmo?

Nocny Cień wyprężyła się z gracją, oplatając się ramionami.

– Najpierw zapytaj, co ci przyniosłam – szepnęła.

– Nie ma nic, czego bym pragnął, a ty mogłabyś mi to dać. Nie ma więc sensu pytać.

– Nawet jeśli jest to coś, czego pożądasz najbardziej w świecie? Nawet jeśli jest to dla ciebie najdroższe?

Ben Holiday gorączkowo zastanawiał się, jak wydostać się z tej matni. Nie było nikogo, kto mógłby mu pomóc. Questor, Abernathy i Bunion uważali go za szarlatana i głupca. Phillip i Sot, o ile jeszcze w ogóle czegoś w związku z nim byli pewni, interesowali się tylko ratowaniem własnej skóry. Nocny Cień nie zabiła go do tej pory tylko dlatego, że chciała dobić targu ze Strabo, który z kolei z przyjemnością dostałby go w swe łapy. Zrozpaczony Ben rozglądał się dookoła, szukając drogi ucieczki, która najwidoczniej nie istniała.

Ogon Strabo uderzył w jeden z kraterów pełnych płonącej cieczy, wywołując prysznic płynnego ognia, który wzbił się w czarne niebo. Ben cofnął się.

– Mam dosyć takich gier, jak na dzisiaj – rzucił smok. – Powiedz, w czym rzecz!

Oczy Nocnego Cienia zapłonęły purpurą.

– A co byś powiedział, gdybym mogła ci zaoferować samego króla Landover – tego, którego

zwą Holiday? Co, gdybym miała właśnie jego?

Nos Strabo zmarszczył się, a twarz znieruchomiła.

– Taki podarek przyjąłbym z przyjemnością! – zasyczał. Ben próbował zrobić jeszcze krok do tyłu, lecz poczuł, że nie może. Gnomy-dodomy nadal były uczezione jego nóg, jak żelazne kule. Trzęsły się i mamrotały coś bezładnie, uniemożliwiając mu wykonanie jakiegokolwiek szybszego ruchu. Gdy próbował dyskretnie je odczepić, przywierały do niego jeszcze mocniej.

– Król jest w Sterling Silver! – zniecierpliwiony rzekł Questor Thews. Jego sowa twarz wyrażała gniew. – Nie masz nad nim władzy, Nocny Cieniu! Poza tym wyrzuciłby cię z doliny, gdyby tylko się dowiedział, że tu jesteś!

– Czyżby? – wycodziła z rozkoszą wiedźma. Zrobiła krok naprzód, wyciągając palec w kierunku Questora. – Kiedy załatwię tę sprawę, magu – i będzie już po twoim ukochanym królu – zajmę się tobą!

Ben patrzył błagalnie na swych przyjaciół. „Wydostańcie mnie stąd!” – próbował powiedzieć.

Nocny Cień znowu obróciła się do Strabo. Chwyciła Bena za ramię i popchnęła ku smokowi.

– Oto on! Ten, o którym głupi czarownik myśli, że jest bezpieczny w swoim zamku. To Ben Holiday! Król Landover! Przyjrzyj się mu dobrze! Użyto czarów! Spójrz głębiej, pod to, co dostrzegasz w pierwszej chwili!

Smok prychnął szyderczo, bluznął ogniem i roześmiał się.

– On? Ben Holiday? Jesteś szalona, wiedźmo! – Pochylił się bliżej ku Benowi. Maź sączyła się z jego nosa. – Ten tutaj nawet nie przypomina... Nie, czekaj – masz rację, działa tu jakiś czar. Co mu zrobiono...? – Potężna głowa opadła, by po chwili znów się unieść. Oczy zamrugały. – Czy to możliwe?

– Przyjrzyj się dobrze! – powtórzyła Nocny Cień, popychając Bena do przodu z taką siłą, że niemal urwało mu głowę.

Teraz na Bena patrzyli wszyscy. Ale tylko Strabo dostrzegł prawdę.

– Tak! – syknął i z satysfakcją uderzył w ziemię swym olbrzymim ogonem. – Tak, to Ben Holiday! – Smok kłapał paszczą, ukazując poczerńnięte zęby. – Ale dlaczego tylko ty i ja...?

– Ponieważ tylko my jesteśmy starsi, niż użyta tutaj magia! – Nocny Cień uprzedziła pytanie odpowiedzią. – Rozumiesz teraz, jak to zostało zrobione?

Ben – teraz w roli cennego eksponatu – niczego nie pragnął bardziej, niż poznać odpowiedź na to pytanie. Pogodził się z faktem, że nie ujdzie stąd cało, lecz nie mógł zaakceptować tego, że umrze, nie poznawszy prawdy o swoim przemianieniu.

– Ależ... ależ to nie jest król! – oznajmił ze złością Questor Thews. Brzmiał przy tym tak, jak gdyby bardziej chciał przekonać o tym samego siebie, niż kogokolwiek z obecnych. – Tonie może być król! Jeżeli to jest... jest... to król...

Zamilkł, a na jego twarzy pojawił się dziwny wyraz zrozumienia, zrozumienia skrzyżowanego z niedowierzaniem i przerażeniem. Wyraz, który bezgłośnie wykrzykiwał jedno

jedyne imię – Meeks! Bunion posykiwał i ciągał go za ramię, a Abernathy nieskładnie mamrotał o tym, że to wszystko wyjaśnia dziwaczne zachowanie króla i obcego.

Smok i wiedźma najwyraźniej nie zwracali na nich żadnej uwagi.

– Dlaczego miałabyś mi go dać? – zapytał smok, świadom teraz wartości daru.

– Nie mówiłam nic o dawaniu – odrzekła miękko czarownica. – Chcę go wymienić, smoku.

– Wymienić go? Przecież nienawidzisz go bardziej, niż ja. Zesłał cię do zaczarowanej krainy i niemal zniszczył. Napiętnował cię czarem! Dlaczego miałabyś go wymieniać? Czyżbym miał coś, czego pragnęłabyś bardziej, niż Bena Holidaya?

Nocny Cień uśmiechnęła się lodowato.

– Tak, nienawidzę go. Chcę, by zginął. Lecz przyjemność zajęcia się nim będzie należała do ciebie, Strabo. Wystarczy, że dasz mi jedną rzecz. Oddaj mi uprząż utkaną ze złotej nici.

– Uprząż? – odpowiedź Strabo była sykiem niedowierzania. Kaszlnął. – Jaką uprząż?

– Uprząż! – ucieła wiedźma, – Uprząż, którą mi skradłeś, kiedy nie byłam jeszcze w stanie temu zapobiec. Uprząż, która prawowicie mi się należy!

– Ha! Nic, co posiadasz, nie należy ci się prawowicie – a z pewnością nie uprząż! Sama skradłaś ją staremu czarownikowi!

– Może i tak było – w każdym razie teraz właśnie ją chcę dostać z powrotem!

– Ach tak. Oczywiście. Jeśli tego właśnie chcesz... – smok zdawał się mówić z pewną rezerwą. – Ale z pewnością posiadam skarby, które służyłyby ci lepiej niż ta prosta zabawka. Poproś o coś innego, o coś bardziej wartościowego!

Oczy czarownicy zwięzły się.

– A kto tu teraz bawi się słowami? Zdecydowałam się na uprząż i będę ją mieć!

Ben stał teraz zapomniany. Nocny Cień puściła go, a on ponownie schował się za jej plecami. Gnomy stale uwieszone były u jego nóg. Przysłuchując się sprzeczce, uchwycił spojrzenie Questora, przyglądającego mu się z nowym zainteresowaniem. Abernathy wyglądał sponad ramienia maga, usiłując coś dojrzeć przez swoje okopcone okulary. Zza fałdów szaty czarownika wychylił się też Bunion. Wszyscy zdawali się zastanawiać, jak to możliwe, by był kimś innym niż tym, na kogo wygląda. Ben zacisnął zęby i ruchem głowy nakazywał im ucieczkę. Za odezwanie się na głos wszyscy zapewne zostaliby upieczeni!

– Po prostu nie mogę zrozumieć, dlaczego właśnie uprząż tak ciebie interesuje – mówił Strabo, wyprężając kark tak, że jego cień padł na czarownicę.

– A ja nie mogę zrozumieć, dlaczego sprawia ci to jakąkolwiek różnicę – rzuciła wiedźma, nieco się wyprostowując. Na jej alabastrowej twarzy zatańczył blask płomieni. – Nie mogę pojąć, dlaczego od samego początku robisz taki problem ze zwrócenia mi czegoś, co w zasadzie jest moje.

Strabo prychnął.

– Nie muszę ci niczego wyjaśniać!

– Faktycznie, nie musisz. Po prostu daj mi tę uprząż!



– Nie. Zbyt mocno jej pragniesz.

– A czy ty nie pragniesz mieć Bena Holidaya wystarczająco mocno?

– Ależ tak! Tylko dlaczego nie możesz przyjąć złotej szkatuły lub zaczarowanego berła, które przemienia promienie księżycy w srebrne monety? Dlaczego nie chcesz szlachetnego kamienia opisanego znakami runicznymi przez gnomy, do których należał, gdy również władały mocami magicznymi – kamienia, pozwalającego jego właścicielowi poznać prawdę?

– Nie chcę znać prawdy! Nie chcę złotych berła, ani niczego innego, co tam u siebie ukrywasz, ty tłusta jaszczurko! – Nocny Cień była teraz rozwścieczona na dobre. Jej głos przeradzał się w krzyk. – Chcę tylko uprząży! Daj mi ją, albo Ben Holiday nigdy już nie będzie twój!

Groźnie ruszyła do przodu, pozostawiając Bena i gnomy-dodomy jakieś pół tuzina kroków za swoimi plecami. Ben był w tym momencie najbliższy odzyskania wolności od czasu, gdy czarownica schwytała go w pobliżu Wielkiej Czeluści. Od chwili gdy głosy smoka i wiedźmy zaczęły przybierać na gwałtowności, w Benie zajaśniał nikły promyk nadziei, że może uda mu się jednak jakoś stąd wydostać.

Uwolnił prawą nogę z uchwytu Fillipa, wziął go pod pachę i zabrał się do odczepiania Sota od lewej nogi.

– Po raz ostatni pytam cię, smoku! – mówiła Nocny Cień. – Chcesz wymienić uprzęż na Bena Holidaya?

Strabo jęknął przeciągle z rozczarowaniem.

– Obawiam się, droga wiedźmo, że nie mogę.

Nocny Cień patrzyła na niego przez chwilę bez słowa. Potem napięła usta, obnażając przy tym zęby.

– Nie masz już złotej uprząży? Powiedz! Dlatego nie chcesz jej wymienić? Nie masz jej!

Strabo prychnął.

– To prawda.

– Ty wędzona kupo łuski! – Czarownica trzęsła się z wściekłości. – Co z nią zrobiłeś?

– To już moja sprawa! – rzucił Strabo w odpowiedzi, wyglądając na nieco już rozeźlonego. Znowu westchnął. – W porządku. Jeśli musisz wiedzieć, powiem ci, że ją oddałem.

– Oddałeś ją?! – Wiedźma była wstrząśnięta.

Strabo wypuścił w pierz w paszczy w nocne niebo długi, delikatny strumień ognia, a potem kłęby popiołu. Przymknięte wpół oczy zamrugały. Przez chwilę zdawały się bardzo odległe.

– Dałem ją zaczarowanej dziewczynie. Śpiewała mi pieśni o pięknie, świetle i innych rzeczach, za których słuchaniem smoki tak tęsknią. Od wielu stuleci żadna dziewczyna dla mnie nie śpiewała, i wiesz – dałbym znacznie więcej niż tę uprzęż, by znowu zapomnieć się w tej słodkiej muzyce.

– Oddałeś uprzęż za piosenkę? – Nocny Cień wypowiadała słowa w taki sposób, jakby sama chciała się przekonać, że mają one jakieś znaczenie.

– Wspomnienia znaczą więcej niż namacalne przedmioty. – Smok znowu westchnął. – Smoki zawsze miały słabość do pięknych kobiet, dziewic nieskalanej cnoty, pełnych gracji dziewcząt o słodkim uśmiechu. Łączy nas specjalna więź. Więź silniejsza od tej, która istnieje pomiędzy smokami i magami – mógłbym rzec. – zwrócił się do Questora Thews, odwracając się na moment w jego kierunku. – Dziewczyna śpiewała dla mnie i poprosiła w zamian o złotą uprząż. Dałem ją jej z przyjemnością. – Zdawał się uśmiechać. – Była taka piękna. Sylfida!

Ben oniemiał. Sylfida? Willow!

Głowa smoka pochyliła się tym razem w kierunku Bena.

– Kiedyś ocaliłem jej życie – rzekł. – Pamiętasz? To ty nakazałaś mi wydostać ją z Abaddonu i dostarczyć do jej domu w Krainie Jezior. W zasadzie nie miałem nic przeciwko temu, żeby ją ratować. Nienawidziłem cię jednak, bo zmusiłaś mnie do podporządkowania się tobie. Ale ocalenie sylfidy sprawiło mi nawet przyjemność. To przypomniało mi dawne czasy, gdy ratowanie dziewic było rutynowym zajęciem smoków. – Zrobił pauzę. – A może było to ich pożeranie? Zawsze mi się to miesza.

– Ty głupcze! – ucięła wiedźma.

Strabo potrząsał głową, jakby rozpamiętując to wszystko. Potem rozchylił paszczę, ukazując swe niemałe zęby.

– Naprawdę tak sądzisz? Myślisz, że jestem głupcem? Większym niż ty? Ty, która nie zabezpieczona wdarłaś się do siedziby swojego największego wroga!

Zapanowała cisza. Nocny Cień znieruchomiała jak posąg.

– Zawsze jestem zabezpieczona. Strzeż się, smoku!

– Strzec się? Nie pojmuję. – Strabo zniecierpliwiony wyprężył się jak drut. – Znosiłem cierpliwie twoje jadowite ataki na moją osobę. Pozwalałem, byś mówiła, co ci się żywnie podoba. Teraz moja kolej. Jesteś wychudzonym, żalonym i bladym wspomnieniem czarownicy, które ma mylne wrażenie, że jest potężniejsza niż w rzeczywistości. Weszłaś do mojego domu tak, jakby do ciebie należał, przeżywasz mnie i ośmielasz się mi wydawać polecenia. Żądasz ode mnie rzeczy, których żądać nie masz prawa, a na dodatek myślisz, że możesz ot tak sobie stąd wyjść. Mylisz się, wiedźmo! Mógłbym – mógłbym to zrobić – mógłbym zatrzymać uprząż i wymienić ją teraz na Bena Holidaya. Mógłbym. Ale nigdy nie żałuję tego, co kiedyś zrobiłem – a już na pewno nie tego. Nie mam już uprzęży i nie chcę jej dostać z powrotem.

Pochylił się powoli. Chropowaty głos zamienił się w syk.

– Ale przecież Holiday jest nadal tutaj! A skoro przyprowadziłaś go właśnie dla mnie, nie widzę powodu, by go nie zatrzymać. Co ty na to?

Palce wzniesionych w górę dłoni Nocnego Cienia wykrzywiły się jak szpony drapieżnika.

– Nie dostaniesz ode mnie niczego, smoku! Ani teraz, ani nigdy!

– Możesz winić tylko siebie. Sama uczyniłaś perspektywę uśmiercenia Bena Holidaya taką nęcącą! Nie mogę się wprost oprzeć! Uprząż, nie uprząż – to ja się nim zajmę! Lepiej zaraz mi go oddaj!

Płomienie buchnęły z paszczy smoka, otaczając czarownicę. W tej samej chwili Benowi udało się w końcu uwolnić swoją lewą nogę od uścisku Sota i rzucił się w bok, by uniknąć fali żaru i ognia. Questor Thews ruszył w kierunku Bena, wywijając ramionami. Bunion, z łopotem uszu, rzucił się za nim. Abernathy biegł na czworakach do schronienia pośród krzaków.

Ben podniósł się z ziemi, stale trzymając pod pachami pojękujące gnomy. Ogień z paszczy Strabo wzniósł się ku niebu, napęlniając powietrze rojem iskier i odłamków skał. Nocny Cień stała nietknięta w samym środku tego wszystkiego, w czarnych szatach, powiewających jak suszone na wietrze pranie. Głowę miała wzniesioną i gwałtownie gestykulowała. Z jej palców buchnęły płomienie ognia, uderzając w zaskoczonego Strabo. Smok cofnął się nieco i skrył w jednym z kraterów.

– Panie! – krzyknął Questor Thews ostrzegawczo. Nocny Cień odwróciła się do niego w momencie, w którym dosięgnęło ją jego zaklęcie. Na wiedźmę runęły całe masy śniegu. Oganiała się od nich wściekle, krzycząc i ciskając w maga płomieniami. Ogniste iskry zasyczały nad głową Bena, gdy znowu rzucał się na ziemię, przyduszając swych ciałem gnomy. Futro na pewnej tylnej części ciała Abernathy'ego zajęło się i skryba z wrzaskiem zniknęła za stokiem.

Wtedy Strabo wynurzył się z krateru, który służył mu za schron, i zaryczał z furją. Rozprężając gwałtownie swe węzowe ciało, napęlnił ogniem całe Źródła. Równie rozwścieczona Nocny Cień rzuciła się z odwetem, siejąc wokół ogniem własnej produkcji. Ben znowu wstał i biegł, co sił w nogach. Gnała go fala ognistego gorąca. Znalazł się tam desperacko gestykulujący Questor. Utworzył coś na kształt zasłony z jakiejś nieprzepuszczalnej, miękkiej substancji, która wydobyła się wprost znikąd i spowolniła goniące ich płomienie. Obejmując mocno wierzgające i jęczące gnomy-dodomy, Ben kluczył, by wyrwać się ścigającym ich płomieniom. Silne ramię Buniona objęło go w pasie i pomogło wszystkim trzem wydostać się na skraj pokrytej kraterami doliny. Questor pędził za nimi, krzycząc dla dodania animuszu.

Chwilę później dotarli do skraju Ognistych Źródeł, przechodząc z żaru i dymu w przyjemny chłód. Pokaszując i dysząc, zbili się w gromadkę. Z ciemności dołączył do nich Abernathy.

Gdzieś w dali, za ich plecami, wiedźma i smok nadal toczyli swą prywatną bitwę. Ich wrzaski i ryki wypełniały noc. Nie zdali sobie jeszcze sprawy z tego, że przedmiot ich sprzeczki dawno już stamtąd zbiegł.

Ben spojrzał w pośpiechu na swych kompanów. W ciemności zamigotały białka kilku par oczu. Nie było sensu odpoczywać – wszyscy zdawali się co do tego zgadzać. Smok i czarownica z pewnością wkrótce zorientują się, co się wydarzyło.

Ruszyli i szybko zniknęli w czerni nocy.

## POSZUKIWANIA

Dopiero krótko po północy Ben i jego towarzysze się zatrzymali. Niebo poczerniało od toczących się po nim z zachodu burzowych chmur. Księżyc i gwiazdy zniknęły, jak zdmuchnięte przez porywisty wiatr. Przetoczył się potężny i przeciągły dźwięk gromu, a niebo poprzecinały błyskawice. Lunał gęsty i chłodny deszcz, przemiatając okolicę niczym ogromna szczotka. Ledwie zdążyli znaleźć schronienie w zaroślach jedliny, gdy wszystko, co ich otaczało, zniknęło za nieprzeniknioną zasłoną ulewy i mglistych oparów.

Uciekinierzy siedli pod potężnymi konarami stojącej pośrodku zagajnika jodły i patrzyli poprzez zasłonę jej igliwia na szalejący deszcz. Wiatr szarpał kłusującymi porywami gałęzie drzew i zarośla. Łało z nieba strumieniami. Wszystko umilkło, ustępując miejsca jednostajnemu dźwiękowi deszczu. Grupka drzew zdawała się wyspą pośrodku nieprzeniknionych ciemności.

Ben oparł się plecami o wielki pień jodły i przez chwilę wpatrywał się w pozostałych, przesuwał spojrzenie z jednego na drugiego.

– Jestem Benem Holidayem. Teraz wiecie? – powiedział w końcu. – Naprawdę nim jestem.

Popatrzyli pytająco po sobie, a potem na niego.

– Ocal nas, moźny panie! – wyszeptał po chwili Phillip, łkając.

– Tak, ocal nas – błagał Sot.

Gnomy wyglądały jak zmoknięte szczury. Ich futra były zabłocone i oklapnięte od deszczu, ubranka w strzępach. Łapki niepewnie wyciągały ku jego nogom.

– Przestańcie – strofował ich zmęczonym głosem. – Nie ma przed czym was ratować. Wszystko już jest w porządku.

– Smok... – zaczął Phillip.

– Wiedźma... – zaczął Sot.

– Daleko stąd. I na pewno nie zamierzają nas ścigać w tej ulewie. Zanim skończą próbować nawzajem się podpalić i zaczną się zastanawiać, gdzie jesteśmy, deszcz zmyje nasze ślady – starał się brzmieć pewniej, niż czuł się w istocie. – Nie martwcie się. Wszystko będzie dobrze.

Bunion pokazał zęby i zasyczał. Spojrzał na Bena, jak na zbłąkaną dżdżownicę. Abernathy najwyraźniej w ogóle nie miał ochoty patrzeć na Bena.

Questor Thews odchrząknął. Ben spojrzał na niego wyczekująco. Czarownik wydał się nagle niepewny tego, co powiedzieć.

– To naprawdę niewiarygodne... – rzekł w końcu. Spojrzał na Bena przymrużonymi oczami.

– Mówisz, że rzeczywiście jesteś królem? Że smok i wiedźma mieli rację, uważając cię za niego?

Ben wolno przytaknął.

– I historia, którą opowiedziałeś nam w Sterling Silver jest prawdziwa? Zostałeś jakoś przemieniony przy pomocy czarów? Straciłeś ochronę, którą dawał ci medalion?

Ben znowu przytaknął.

– I Meeks powrócił, i zajął twoje miejsce? I sprawił, że wygląda teraz jak ty?

Ben po raz trzeci przytaknął.

Pociągłe rysy twarzy Questora zmarszczyły się tak, iż zdawało się, że pozostanie taka już na zawsze.

– Ale jak? – zażądał odpowiedzi – Jak to się stało? Ben westchnął.

– To pytanie za sześćdziesiąt cztery tysiące dolarów. Jeszcze raz pokrótce zrelacjonował swe spotkanie z Meeksem we własnej sypialni. Opowiedział o tym, jak mag przemienił go w obcego, za którego oni go później wzięli. Doszedł do momentu, gdy postanowił wyruszyć na południe w poszukiwaniu Willow. – Od tamtej chwili cały czas próbuję ją odnaleźć – zakończył.

– I co? Nie mówiłem? – rzucił Abernathy.

Questor zeszywniał i wymierzył swym długim nosem w kierunku skryby.

– Niby o czym? – zapytał, napinając swą sówią twarz jeszcze bardziej.

– O tym, że król nie zachowuje się jak król! – Abernathy niemal szczechnął – Że coś jest nie tak! Że nic nie jest załatwiane tak, jak być powinno! Mówiłem ci, magu, znacznie więcej. Szkoda, że pożałowałeś czasu, by cokolwiek z tego zapamiętać. – Poprawił na nosie zachlapane wodą okulary. – Mówiłem, że te sny nie przyniosą niczego dobrego, że nie ma sensu szukać ich spełnienia! – Nagle zwrócił się w kierunku Bena. Prawił niczym prorok, którego wizja zdawała się wreszcie spełniać. – Ostrzegałem i ciebie! Mówiłem, byś pozostał w Landover, w miejscu, do którego należysz! Mówiłem, że z Meeksem nie można igrać. Ale nie słuchałeś! Nikt z was mnie nie słuchał! Popatrzcie teraz na siebie!

Kichnął i zatrząsł się gniewnie, opryskując wszystkich wodą.

– Przepraszam – wymamrotał tonem niezbyt jednak pokornym.

– Czy teraz czujesz się lepiej? – prychnął Questor. Ben postanowił ukrócić dalsze sprzeczkę.

– Abernathy ma rację. Powinniśmy byli go posłuchać. Ale nie posłuchaliśmy. Co się stało, to się nie odstanie. Musimy przestać to rozpamiętywać. Teraz przynajmniej jesteśmy znowu razem.

– Na wiele to się nam zda! – rzucił nadal naburmuszony Abernathy.

– Może jednak będzie z tego jakiś pożytek. – Ben robił wszystko, by brzmieć optymistycznie. – Nasza szóstka zdoła dokonać czegoś więcej niż ja sam.

– Szóstka? – Abernathy spojrział z niesmakiem na gnomy-dodomy. – Liczysz o dwóch za dużo, panie. Ja – w każdym razie – nadal nie jestem przekonany, czy jesteś królem. Questor Thews jest zbyt łatwowierny. Już raz zostaliśmy oszukani. Możliwe, że znowu ktoś próbuje zrobić z nas głupców. Skąd możemy wiedzieć, że to nie jest kolejny podstęp? Skąd możemy wiedzieć, że to nie kolejna sztuczka Meeksa?

Ben przez chwilę zastanawiał się.

– Myślę, że nie możecie tego do końca sprawdzić. Musicie uwierzyć mi na słowo. Musicie zaufać mi i swojemu instynktowi – westchnął. – Myślicie, że Meeks zdołałby tak wyprowadzić w pole i smoka, i wiedźmę? Myślicie, że w tej sytuacji nadal bym twierdził, że jestem królem, jeśli rzeczywiście bym nim nie był? – Przerwał. – Myślicie, że stale nosiłbym to na szyi? Sięgnął

pod tunikę, wyciągnął i pokazał wszystkim poczerńiały medalion. Podobizna Meeksa załśniła wilgocią w odległym błysku pioruna.

– Więc dlaczego stale to nosisz? – zapytał Questor cicho. Ben pokiwał głową.

– Boję się tego pozbyć. Jeśli Meeks ma rację, twierdząc, że zdjęcie medalionu mnie zabije, kto by w takim wypadku ostrzegł Willow? Ona nie wie nic o tym, co się wydarzyło. Nie wie, że sny zesłane zostały przez Meeksa. Nie wie, że jest w wielkim niebezpieczeństwie. Zbyt mocno mi na niej zależy, Questorze. Nie mogę jej opuścić. Nie mogę pozwolić, by jak ja wpadła w pułapkę Meeksa, i by nie pozostał nikt, kto mógłby jej pomóc.

Przez chwilę wszyscy patrzyli na niego uważnie w ciszy.

– Nie, nie możesz, panie – zgodził się w końcu Questor. Czarownik spojrział na Abernathy'ego. – Prawdziwemu Benowi Holidayowi nawet do głowy by to nie przyszło, czyż nie? – zapytał, konkludując. – Nie, nie prawdziwemu Benowi Holidayowi...

Abernathy rozważał to przez chwilę w milczeniu, po czym westchnął.

– Masz słuszość. Również tak sędzę... – Rzucił spojrzenie w kierunku Buniona, który przytaknął swą małpią głową. – W porządku. Jeśli inni uznają cię za króla, i ja będę uznawał.

– Miło mi to słyszeć – odrzekł Ben.

– Myślę jednak, że wcale nie stawia cię w lepszej sytuacji to, że jest nas teraz czterech... – Spojrzał znowu na gnomy-dodomy. Cóż takiego możemy zrobić razem, czego byś ty nie był w stanie dokonać sam?

Inni spojrzeli na niego wyczekująco. Patrzył gdzieś poza nich, w deszcz i ciemności. Podciągnął kolana pod brodę, by chronić się przed rosnącym chłodem i próbował coś z tego wszystkiego wywnioskować.

– Znaleźć Willow – rzekł w końcu. – Ocalić ją. Patrzyli na niego bez słowa.

– Słuchajcie. Trzeci sen jest kluczem do wszystkiego, co się wydarzyło. Willow ma teraz uprząż – o tym już wiemy. Dostała ją od Strabo. Ma ją, ale co z nią zrobi?

– Co, można panie? – zapytał przejęty Phillip.

– Tak, co zrobi? – zawtórował Sot.

– Dostarczy ją tobie, panie – odrzekł szybko Questor. Potem przerwał na moment. – Albo temu, kogo uzna za ciebie.

– Słusznie – wyszeptał Ben. – Tak nakazywało jej przesłanie snu i to z pewnością będzie chciała zrobić. Uprząż przyniesie mi – ale to nie będę ja. Ja będę Meeksem. A w zasadzie on będzie Meeksem – ten, do którego Willow teraz zmierza. I co wtedy z nią się stanie?

– Musimy pierwsi ją odnaleźć – zawyrokował Questor.

– Jak tylko przestanie padać – dodał Abernathy. Ben przytaknął.

– Sześciu będzie miało większe szanse niż jeden.

– Bunion sam ma dziesięciokrotnie większe szanse niż nas sześciu – przerwał Abernathy i znowu kichnął. – Chyba się przeziębilem – wymamrotał.

– Przynajmniej w tym Abernathy ma rację! – wykrzyknął Questor, nie bacząc na karcące

spojrzenie psa. – Koboldy potrafią tropić lepiej niż ktokolwiek z ludzi. Jeśli dziewczyna pozostawiła po sobie jakieś ślady, Bunion na pewno je odnajdzie. – Spojrzał na kobolda, który w odpowiedzi pokazał wszystkie swoje zęby. – Tak, Bunion ją dla nas odnajdzie. Możesz na nim polegać. – Wzruszył ramionami. – Gdy tylko przestanie padać, rzecz jasna.

Ben pokręcił głową.

– Nie możemy tak długo czekać. Nie mamy...

– Ale musimy – przerwał łagodnie mag.

– Ależ nie możemy...

– Musimy – Questor chwycił go za ramię. – Nie ma mowy o odnalezieniu kogokolwiek w czasie takiej ulewy, panie. Nie odnajdziemy tropów, za którymi moglibyśmy podążyć. – Jego sowa twarz pochyliła się ku twarzy Bena, a jego oczy nagle wydały się bardzo ciepłe. – Panie, przeszedłeś wiele mil od czasu opuszczenia Sterling Silver. Musiałeś wiele wycierpieć. Twój wygląd, choć zmieniony czarami, mówi sam za siebie. Spójrz tylko. Ledwie trzymasz się na nogach. Jesteś wyczerpany. Widziałem żebraków, którzy byli w lepszej kondycji. Co ty na to, Abernathy?

– Wyglądasz jak cień człowieka – zgodził się pies.

– W każdym razie wystarczająco marnie. – Mag z uśmiechem złagodził ocenę Abernathy'ego. – Potrzebujesz odpoczynku. Prześpij się teraz. Będziemy mieli jeszcze wystarczająco dużo czasu, by zacząć poszukiwania.

Ben gwałtownie potrząsnął głową.

– Questorze, nie jestem zmęczony. Nie mogę...

– Myślę, że musisz – rzekł mag łagodnie. Przesunął swą kościstą dłoń przed twarzą Bena, którego powieki stały się nagle bardzo ciężkie. Ledwie mógł utrzymać otwarte oczy. Czuł przemożne zmęczenie opanowujące i przytłaczające całe jego ciało.

– Odpocznij, panie – szepnął Questor.

Ben walczył, nie chcąc usłuchać nakazu. Usiłował zerwać się, lecz stwierdził, że nie może. Chyba po raz pierwszy czary Questora zadziałały w pierwszym podejściu. Ben osunął się, na łożo z leśnego igliwia. Towarzysze zbliżyli się do niego. Abernathy wpatrywał się w niego przez szkła swych okularów poprzez gęstwinę cieni. Kły Buniona zaślśniły jak sztylety. Phillip i Sot byli ledwie majaczącymi sylwetkami i mamroczącymi coś głosami. Zdawali się stopniowo odsuwać. Ben wreszcie poczuł się bezpieczny – bezpieczny wśród przyjaciół, dających mu to poczucie samą swoją obecnością, siłą, wsparciem. Wszyscy byli teraz przy nim. Wszyscy – z wyjątkiem Parsnipa i Willow!

– Willow... – wyszeptał i zasnął.

Śnił o Willow, a sen ów był szokującym odkryciem, choć przecież nie działał się na jawie. Samotnie poszukiwał sylfida w lasach, górach i na równinach Landover. Jakaś siła ciągnęła go tak, jak magnes przyciąga żelazo. Kraj, przez który wędrował, był zarazem obcy i znajomy – mieszanina słońca i cienia, niespójny odbity w wodzie obraz. Wokół niego krążyły jakieś

bezsztaltne, pozbawione wyrazu przedmioty. Samotnie wiódł swe niekończące się poszukiwania, przemierzając dolinę z jednego do drugiego jej krańca, i znowu z powrotem. Szedł lekkim i pewnym krokiem, lecz wszystko, co czynił, było bezowocne.

Coś gnało go do przodu z zadziwiającą siłą. Tkwiła w nim niewyjaśnialna potrzeba odnalezienia sylfidy. Lękał się o nią, choć nie rozumiał przyczyn tego lęku. Rozpaczliwie pragnął być blisko niej, lecz desperacji tej brakło motywów. Było to tak, jak gdyby poddał się swym uczuciom, które zdominowały go, nie dając szans dojścia do głosu rozsądkowi. W trakcie poszukiwań czuł obecność Willow, jej niepokojącą bliskość. Zdawało mu się, że czeka za każdym z drzew, że jest za każdym wzniesieniem, że wystarczy przejść jeszcze tylko kawałek, by ją spotkać. Zmęczenie nie spowalniało jego marszu – pchała go siła przeznaczenia.

Po jakimś czasie zaczął słyszeć głosy. Szeptały do niego ze wszystkich stron – niektóre ostrzegawczo, niektóre wzgardliwie. Słyszał Władcę Rzek, niedowierzającego jeszcze w tożsamość obcego, który podawał się za króla, i dziwnie przejętego sprawą szybkiego odnalezienia córki, choć nie mógł jej kochać – tak jak i ona jego. Słyszał Matkę Ziemię, proszącą go, by jeszcze raz powtórzył swą obietnicę, iż będzie bronił Willow – prośbę tak natarczywą, że w końcu jej uległ. Słyszał samotnego myśliwego, który jeszcze raz opowiadał w minorowych tonach o czarnym jednorożcu, o dotknięciu, które pozbawiło go duszy. Słyszał mroczny i mściwy głos Meeksa, grożącego zniszczeniem, jeśli dziewczyna nie dostarczy mu złotej uprząży.

Ciągle szedł.

I wtedy usłyszał głos Dirka.

To właśnie przyzmatyczny kot spowodował, że Ben zwolnił, zdając sobie sprawę z chaotyczności swych poszukiwań. Zatrzymał się. Jego własny oddech huczał mu w uszach, a pierś falowała. Stał na grubym mchu, w chłodnym, samotnym lesie, w mieszaninie światła i cieni, pod sklepieniem konarów. Dirk przysiadł na pagórku – pyszny, lśniący i zagadkowy.

– Dlaczego tak biegniesz, panie? – zapytał cicho.

– Muszę odnaleźć Willow – odrzekł Ben.

– Dlaczego musisz ją odnaleźć? – naciskał kot.

– Bo zagraża jej bezpieczeństwo – odpowiedział.

– I to wszystko?

Ben zamilkł na moment.

– Bo mnie potrzebuje.

– I to wszystko?

– Bo nie ma nikogo innego.

– I to wszystko?

– Bo...

Jednakże słowa, których poszukiwał, nie przychodziły – były ulotne, jak sama sylfida. Czuł jednak, że gdzieś istnieją. Cóż to za słowa?

– Silisz się, by dyrygować swoim życiem – stwierdził Dirk, niemal ze smutkiem. – Tak



ciężko pracujesz, by ułożyć wszystkie części tej olbrzymiej układanki, nad którą musisz panować. Ale nie możesz pojąć, jaka jest przyczyna tego, że tak właśnie postępujesz. Życie to nie tylko forma, panie. Życie to także uczucie.

– Czuję – rzekł Ben.

– Rządzisz – poprawił go Dirk. – Zarządzasz swym królestwem, swoimi poddanymi, swoją pracą i swoim życiem. Organizujesz – robisz to tutaj dokładnie w ten sam sposób, jak robiłeś tam. Wydajesz polecenia jako król tak samo, jak wydawałeś je jako prawnik. Prawnicza potyczka w sądzie czy polityka na dworze królewskim – to dla ciebie jedno i to samo. Działasz i reagujesz szybko i wprawnie. Ale nie czujesz.

– Próbuję.

– Istota magii leży w uczuciach, panie. Życie rodzi się z uczucia, a magia rodzi się z życia. Jak możesz pojąć życie lub magię, jeśli nie czujesz? Szukasz Willow – lecz jak ją rozpoznasz, skoro nie potrafisz zrozumieć, kim jest. Szukasz przy pomocy oczu czegoś, czego one nie mogą dostrzec. Musisz szukać sercem. Spróbuj! Spróbuj i powiedz mi, co widzisz.

Ben spróbował, lecz otaczająca go ciemność nie pozwalała mu niczego dostrzec. Wycofał się w głąb siebie i odkrył drogi, którymi jednak nie mógł się poruszać. Piętrzyły się przed nim przeszkody – jakieś bezkształtne, niemożliwe do opisanie formy. Próbował z impetem po omacku przedrzeć się przez nie... Willow stała tuż przed nim – nagle przypomniana mglista postać. Jaśniała i migotała, przechodząc obok. Jej uderzająco piękna twarz, jej ciało – szept jego pragnień. Zielone jak las włosy opadały po szczupłych ramionach, sięgając talii. Gdy spotkał wreszcie jej spojrzenie, poczuł, że traci dech. Willow uśmiechnęła się czule i ciepło. Szeptowała coś, czego nie słyszał. Nie zagrażało jej żadne niebezpieczeństwo, nie było potrzeby ratowania jej przed czymkolwiek. Była pełna spokoju, pogodzona ze sobą. Odpoczywała.

– Dlaczego tak biegniesz, panie? – z oddali dobiegło powtórzone przez Dirka pytanie.

– Muszę odnaleźć Willow – odpowiedział.

– Dlaczego musisz ją odnaleźć?

– Bo...

I znowu nie mógł znaleźć właściwych słów. Cienie zaczynały gęstnieć. Willow rozpływała się pomiędzy nimi.

– Bo...

Znikała, jak znikają wspomnienia. Toczył szaleńczą walkę, by znaleźć właściwe słowa – ciągle umykające słowa, które powinien wypowiedzieć. Uczucie niepokoju i pośpiechu powróciło – szybko i gwałtownie. Zagrożenie stało się jeszcze raz realne, jak gdyby zmartwychwstało dzięki jego niezdecydowaniu. Próbował dosięgnąć Willow ramionami, ale była zbyt odległa, a on nie mógł drgnąć z miejsca.

– Bo...

Cienie były wszędzie, otaczając go teraz płaszczem ciemności, dusząc swym nieskończonym mrokiem. Powrócił ze swej podróży w głąb siebie. Dirk zniknął. Willow była już ledwie niknącą

plamką światła i barwy na czarnym tle. Rozpływała się...

– Bo... Willow!

Zlany potem poderwał się z miejsca i przebudził. Noc okrywała swą ciszą wschodnią część obszarów pustkowia. Choć deszcz ustał, niebo nadal było pełne chmur. Towarzysze Bena spali spokojnie wokół niego – z wyjątkiem Buniona. Ten wyruszył już na poszukiwania Willow.

Ben wziął głęboki oddech, usiłując się uspokoić. Dyszał ciężko. Sen o Willow był nadal żywy i wyraźny.

– Bo... ją kocham – dokończył.

Tak – to były słowa, których szukał. Z przerażającą pewnością czuł, że to słowa prawdy.

Nie spał już od jakiegoś czasu, sam na sam ze swoimi myślami w cichej ciemności nocy. Po chwili jednak, zmęczony, znowu się położył. Gdy zbudził się po raz kolejny, świtało. Wschodni horyzont za obręczą doliny jaśniał bladymi promieniami szarości i złota. Buniona jeszcze nie było. Reszta spała.

Przetoczył się na plecy, rozglądając się po wilgotnym obozowisku i ze zdziwienia zamrugał oczami. Dirk spoczywał wygodnie na grubym konarze jodły o kilka stóp ponad jego głowę, z łapami podwiniętymi pod wiotkie ciało. Mrużył oczy od światła.

Gdy Ben patrzył na kota, oczy zwierzęcia otworzyły się.

– Dzień dobry, panie – rzekł kot. Ben wzniosł się na łokciach.

– Dzień dobry, niewiadomokto. Gdzie byłeś?

– Och, tu i tam...

– Bardziej tam niż tu! – przerwał mu nagle Ben, w którym wzbierała wielka fala gniewu. – Tam, w Wielkiej Czeluści, potrzebowałem pomocy – a ty po prostu zniknąłeś! Całe szczęście, że wiedźma nie rozprawiła się ze mną na miejscu! Zabrała mnie do jamy Strabo i zaproponowała mu mnie w charakterze przekąski! Ale czy to robi na tobie jakiegokolwiek wrażenie? Wielkie dzięki!

– Ależ nie ma za co – odrzekł Dirk spokojnie. – Jeszcze raz muszę ci przypomnieć, że zdecydowałem się być twym towarzyszem, lecz nie obrońcą. Poza tym wygląda na to, że w czasie mojej nieobecności nic nie ucierpiałeś.

– Ale, do licha, mogłem ucierpieć! – Ben tracił panowanie nad sobą. Znikający i pojawiający się jak zjawy kot doprowadzał go do szału. – Smok mógł mnie usmażyć na swoim ogniu, a ty nie ruszyłeś nawet palcem.

– Mógłby, miałby, mógłby mieć, powinien być – to wszystko puste gdybanie. – Dirk ziewnął. – Lepiej porzuć próżne nadzieje i spróbuj pomyśleć o tym, co jeszcze możesz zrobić.

Ben wytrzeszczył oczy.

– Co przez to rozumiesz?

– Rozumiem przez to, że powinieneś zająć się teraz czymś innym, a nie zawracać sobie głowę obciążaniem mnie wydumanymi winami.

Ben milczał, przypomniawszy sobie nagle swój sen, swoje daremne poszukiwania, złotą

uprząż, czarnego jednorożca, Meeksa, i całą resztę tej niepojętej łamigłówki. Ach – i Willow! Myśli o niej wypełniały mu głowę. Kocham ją – mówił sobie, jakby smakując tych słów. Ze zdziwieniem stwierdził, że wymawia je z przyjemnością.

– Są tacy, którzy twierdzą, że sny są po prostu manifestacją naszych podświadomych myśli i pożądań – zadumany Dirk najwyraźniej dawał wykład. – Sny rzadko odzwierciedlają precyzyjnie wydarzenia, wokół których budowane są nasze myśli i pragnienia. Jednak żywo oddają uczucia, jakie się za nimi kryją. W snach wplątujemy się w dziwaczne sytuacje, w sekwencje niepowiązanych wydarzeń. Budząc się, z reguły odrzucamy je z miejsca – jest to niemal automatyczna reakcja. Lecz w naszej podświadomości zwykle ocaleje jak jądro prawdy o nas samych, które należy spróbować pojąć, prawdy, której tak często nie chcieliśmy uznać na jawie, a która teraz wymaga zrozumienia we śnie.

Przerwał dla lepszego efektu.

– Czasami miłość jest taką właśnie prawdą.

Ben wyprostował się, spojrział na kota-filozofa i pokręcił głową.

– Czy myślisz o Willow? – zapytał.

– Rzecz jasna, sny niekiedy kłamią, a prawdę można odkryć tylko na jawie.

– Tak jak to było z moim snem o Milesie? – Ben czuł, że ich rozmowa zaczyna być zbyt zagmatwana. – Dlaczego po prostu nie powiesz, co masz na myśli.

Dirk błysnął oczami.

– Ponieważ jestem kotem.

– Ach tak! – Znowu ta sama odpowiedź.

– Ponieważ niektóre sprawy sam musisz rozgryźć.

– W porządku.

– Ale są to sprawy rodzaju, w którego rozgryzaniu nie nabrałeś szczególnej wprawy.

– Z pewnością nie.

– Mimo moich nieustających wysiłków.

– Hm... – Ben poczuł przemożną ochotę, by udusić zwierzę. Żeby ją pohamować, rozejrzał się po śpiących kompanach.

– Dlaczego nikt się jeszcze nie obudził? – zapytał gwałtownie. Dirk spojrział na śpiących razem z Benem.

– Może są po prostu bardzo zmęczeni – zasugerował przyjacielsko kot.

Ben obrzucił go ciężkim spojrzeniem.

– To twoja sprawka. Odrobina czarów? Białej magii? Takiej, jakiej Questor użył wobec mnie? Zrobiłeś to, prawda?

– Tak.

– Ale dlaczego? To znaczy, dlaczego się pofatygowałeś? Dirk wstał, przeciągnął się i zeskoczył na ziemię tuż obok Bena, najwyraźniej nie zwracając na niego uwagi. Zaczął czyścić się i robił to tak długo, póki nie załśniło. Starannie rozczesywał je i wygładzał.

Potem spojrział na Bena szmaragdowymi oczami, lśniącymi w słabym świetle poranka.

– Problem w tym, że nie słuchasz. Mówię ci wszystko, co powinieneś wiedzieć, a ty zdajesz się nic nie słyszeć. To zaiste drażniące. – Westchnął głęboko. – Sprawilem, żeby spali po to, by móc dać ci ostatnią lekcję o snach. Zrozumienie tego, co się wydarzyło, w dużej mierze zależy od zrozumienia istoty snów. Zobacz, co się stanie, gdy twoi przyjaciele się obudzą. Tym razem nie zmarnuj szansy, bo moja cierpliwość już się wyczerpuje.

Ben wykrzywił twarz. Dirk ze Skraju Lasu przysiadł. Czekali, aż coś się wydarzy. Po chwili zaczął się poruszać Questor Thews. Po nim – Abernathy, a w końcu dwa gnomy. Po kolei, mrugając oczami, budzili się ze snu.

Dostrzegli Bena i – co ważniejsze – Dirka.

– Ach, dzień dobry jego wysokości. Dzień dobry, Dirk. – radośnie powitał ich Questor. – Mam nadzieję, że dobrze spaliście?

Abernathy burknął coś o tym, że koty to nocne stworzenia, które wcale nie muszą sypiać – nawet koty przyzmatyczne – i że stratą czasu jest zwracanie sobie nimi głowy.

Fillip i Sot spojrzeli na Dirka, jak na upragniony obiad, wcale nie okazując przy tym strachu.

Ben rozglądał się zaskoczony. Rozmowa potoczyła się dalej na jego temat tak, jak gdyby obecność kota była rzeczą zwyczajną. Nikt nie był nią zaskoczony. Gnomy zachowywały się, jak w czasie pierwszego zetknięcia z Dirkiem. Zdawały się nie pamiętać, ile kosztowała ich chęć przyrządzenia z niego posiłku.

Zdezorientowany Ben przysłuchiwał się przez chwilę rozmowie, po czym spojrział na kota.

– Co to ma...?

– To ich sny, panie – wyszeptał kot, przerywając. – Dałem im się poznać w snach. Byłem w nich realny, więc realny jestem dla nich i tutaj. Rozumiesz? Prawda jest często tylko tym, co na jawie czy w snach odbieramy jako prawdę.

Ben nie rozumiał. Słuchał z całą uwagą. Słuchał tak, jak mu kazano. I ciągle nic! Co ma to wspólnego z nim?

Nie było jednak czasu, by dalej się nad tym zastanawiać. Okrzyk Abernathy'ego – a może raczej rodzaj szczeknięcia – przyciągnął uwagę ich wszystkich. Zarośla na skraju zagajnika rozstały się i pojawił się w nich... Parsnip! Szedł razem z Bunionem. Obydwaj przemoczeni do cna, uśmiechając się od ucha do ucha, pokazywali swe ostre zęby. Ben zamarł. Parsnip miał przecież strzec Willow! Otrząsając się z odrętwienia, ruszył wraz z Questorem i Abernathym, by powitać małych mocarzy. Zatrzymało go podejrzliwe spojrzenie Parsnipa, który nie miał przecież pojęcia, z kim ma do czynienia. W końcu Ben cofnął się o krok, pociągnięty przez Questora. Questor i Bunion przez krótką chwilę rozmawiali w chropawym, gardłowym języku koboldów. Co pewien czas włączał się Parsnip. Gdy skończyli, Questor pospiesznie ruszył do Bena.

– Parsnip strzegł Willow od chwili, gdy opuściła Sterling Silver, panie – tak, jak nakazałeś. Do wczoraj. Wczoraj Willow odesłała go bez żadnego jasnego powodu. Gdy chciał jednak przy niej pozostać, użyła czarów, by się wymknąć. Nawet kobold nie może pozostać przy sylfidzie,

jeśli ona tego sobie nie życzy. Miała złotą uprzęż i... i szukała czarnego jednoroźca. – Patrząc na Bena, pokręcił głową i z niepokojem zaczął pociągać się za brodę. – Wiem. Ani ja, ani Parsnip nie rozumiemy tego ostatniego. Najwidoczniej postanowiła jednak, że – wbrew temu, co nakazał jej sen – nie przyniesie ci uprzęży! Ben przezwyciężył nagły skurcz żołądka. Co to ma znaczyć? – myślał. Jednak na głos zapytał tylko:

– Gdzie ona jest?

Questor znowu potrząsnął głową.

– Jej ślady wiodą na południe, w kierunku Melchor. – Zawahał się. – Bunion twierdzi, że Willow idzie do Mirwouk!

Do Mirwouk? Do miejsca, w którym ukryte były zaginione księgi magii? Dlaczego właśnie tam? Ben zaczął znowu tracić nadzieję.

– To nie wszystko, panie – przerwał Abernathy, nie bacząc na ostrzegawczego kuksańca, którego wymierzył mu w bok Questor. – Strabo i Nocny Cień rozpoczęli łowy. Prawdopodobnie szukają ciebie, Willow i uprzęży. A w dolinie pojawił się olbrzymi latający demon – zdaje się, że zamierza zniszczyć ją do cna. Bunion widział go tej nocy.

– Zwierzątko Meeksa... – szepnął Ben, nagle przypominając sobie potwora, który ukazał się w czasie tańca nimf na jeziorze i wymordował je. Jego twarz napięła się. Dirk i sprawa snów poszli w zapomnienie. Myślał teraz tylko o Willow.

– Musimy odnaleźć ją, nim oni to zrobią – oznajmił głosem, który zadudnił głucho w jego uszach. Próbował walczyć z opanowującym go lękiem. – Musimy. Tylko my jej pozostaliśmy.

Wszyscy poruszyli się. Abernathy szczechnął ostro na gnomy-dodomy i jeszcze raz zwrócił się do koboldów. Questor położył dłoń na ramieniu Bena.

– Odnajdziemy ją, panie. Możesz na nas polegać. Szybko ruszyli poprzez pustkowia: obcy, który był królem Landover, mag i skryba, koboldy i gnomy. Dirk przysiadł cicho, obserwując ich odejście.

## MIRWOUK I FLYNT

Prześwitujące przez listowie drzew promienie południowego słońca paliły Willow w twarz. Nagle poczuła pragnienie. Ostrożnie ominęła odsłonięte skały, wyrastające z coraz bardziej stromej stoku. Wspięła się na półkę skalną, porośniętą wysoką trawą i krzakami, która dalej niknęła w cienistym, jodłowym lesie. Zatrzymała się, by spojrzeć za siebie. Poniżej rozciągało się Landover: nieregularna szachownica pól i lasów, plam zieleni i błękitu, ze smugami pastelowych barw rozpostartymi niczym pajęczyna. Blask słońca zalewał dolinę z bezchmurnego, błękitnego nieba, nadając kolorom taką głębię, że ginęły one we własnej jaskrawości.

Willow westchnęła. Zdawało się niemożliwe, by coś złego mogło się wydarzyć w dzień taki jak ten.

Minąwszy pas starych lasów i porośnięty sosnami płaskowyż, weszła już głęboko w Melchor, zbliżając się ku głównym szczytom pasma. Gorące promienie słońca paliły, gdy tylko wyszło się z cienia, a wspinaczka była bardzo wyczerpująca. Willow nie zabrała ze sobą wody. W odnajdowaniu rzeczy, których potrzebowała, polegała całkowicie na swym instynkcie. Przez kilka ostatnich godzin nie natrafiła na żaden strumień. Teraz wyczuwała, że woda musi być niedaleko.

Stała przez chwilę w miejscu, w którym się zatrzymała, i kontemplowała widok doliny. Gdzieś daleko na południu z ledwością dostrzegała mglisty zarys wyspy: Sterling Silver. Pomyślała o Benie. Pragnęła, by był z nią tutaj. Pragnęła zrozumieć, dlaczego nie ma jej teraz tam, razem z nim. Jeszcze raz powiodła wzrokiem wzdłuż doliny. Czuła się, jak gdyby była jedyną żyjącą na tym świecie istotą.

Co właściwie tutaj robiła?

Przytłaczał ją ciężar wełnianego tobołka z uprzężą, który niosła przerzucony przez prawe ramię. Strząsnęła go i schwyciła w ręce. Odsłonięty kawałek poskromu błysnął żywym słonecznym światłem. Złota uprzęż delikatnie zabrzęczała. Willow wsunęła ją z powrotem do worka i zarzuciła go na drugie ramię. Uprząż była ciężka, a jej tkane liny i zamocowania – niewiarygodnie zawile. Sylfida rozplatała ją i ułożyła starannie. Miała szczęście, że smok zgodził się jej ją podarować. Wszystkie jej pieśni, muzyka, łzy i śmiech miały zaiste wielką moc magiczną. Strabo był oczarowany. Willow ciągle była zaskoczona powodzeniem swego podstępu, choć miała wrażenie, że już wcześniej wiedziała, że jej się uda. Sny, wizje i przeczucia – to one wiodły ją swymi ścieżkami przez ostatnich kilka dni, niczym zbłąkany liść gnany podmuchami wiatru.

Ostatniej nocy znowu miała sen. Na jego wspomnienie zmarszczyła czoło – jej uroczą, gładką twarz naznaczył smutek. Był to sen o Benie.

Podmuch wiatru rozwiął jej długie po pas włosy i schłodził skórę. Przypomniała sobie o pragnieniu, lecz jeszcze przez jakiś czas stała, myśląc o królu. Sen był dziwny: mieszała się

w nim rzeczywistość i surrealizm, lęki i nadzieje. Znowu spotkała czarnego jednoroźca – stworzenie kryjące się wśród drzew i cieni. Tym razem jednak nie przypominał on demona, lecz ściganą zwierzyńnię łowną, samotną i wylęknioną. Bała się go, lecz jednocześnie mu współczuła.

– Chodź do mnie! – szeptał. – Porzuć plan odniesienia uprzęży swemu panu, do Sterling Silver. Nie uważaj mnie za demona – postaraj się odkryć prawdę o tym, kim jestem. Chodź do mnie, Willow.

Jedno spojrzenie wyraziło to wszystko w sposób tak jasny i przekonujący – sen był równie realny, jak wydarzenia na jawie. Poszła, ufając swemu instynktowi. Czuła, że tylko on jeden – pośród wszystkich innych zmysłów – nie może kłamać. Porzuciła nakaz pierwszego snu – dostarczenie uprzęży Benowi – i wyruszyła na poszukiwania...

Czego? Prawdy?

– Dlaczego te sny są tak różne? – zapytała cicho. – Dlaczego wprowadzają taki zamęt?

Promienie słońca skrzyły się gdzieś daleko na tafli wody, spadające liście zawirowały w nagłym podmuchu wiatru. Odpowiedź nie przyszła. Willow wzięła głęboki oddech i ruszyła dalej. Cienie lasu wyciągały się ku niej, a ona posuwała się w ich kierunku, pozwalając w końcu im ją pochłonać. Zaskoczona, zdała sobie sprawę, że jest już bardzo blisko Mirwouk, leżącego za wzgórzem, na które właśnie się wspinała – pozostało jej do pokonania nie więcej, niż parę mil. Pomyślała o tym tylko przez chwilę. Szeroki snop słonecznego blasku zbladł, ustępując miejsca snopowi wąskich smug światła. Cień ukoił chłodem jej rozgrzaną skórę. Znowu wkroczyła między potężne jodły i sosny, wiedząc, że gdzieś tam jest ukryta woda. Odnalazła ją szybko: wypływający ze skał mały strumień wpadał do niewielkiego zbiornika i wił się dalej, to mknąc przez bystrza, to zwalniając w szerszych miejscach. Ostrożnie ułożyła uprzęż na ziemi obok siebie i nachyliła się, by pić. Woda była słodka i wypełniała rozkoszą jej wysuszone gardło. Długo klęczała w ciszy i bezruchu.

Sekundy wydłużyły się w minuty. Gdy znowu uniosła głowę, stał przed nią czarny jednorożec.

Wstrzymała oddech i zamarła. Jednorożec stał nie dalej, niż tuzin kroków od niej, w połowie skryty w cieniu, w połowie oświetlony bladym, rozproszonym światłem. Widok był cudowny i zadziwiający. Wiotka sylwetka, jak efemeryczna wizja wspomnianej miłości, wspaniała, jak łuk tęczy. Zwierzę nie poruszało się i po prostu ją obserwowało. Hebanowe ciało o koźlich kopytach i lwim ogonie, oczach jak zielone płomienie, niespożyta żywotność – wszystkie pieśni wyśpiewane przez stulecia przez wszystkich bardów nie zdołałyby wyrazić tego, czym w rzeczywistości był jednorożec.

Potężny dreszcz emocji przeszył Willow aż do samej głębi. Czuła, że w uniesieniu zaczyna pękać jej serce. Nigdy nie widziała jednoroźca i nigdy nie przypuszczała, że tak będzie wyglądał. Gdy mimowolnie próbowała dławić wzbierające w niej uczucia, w oczach stanęły jej łzy.

– Och, jakież jesteś piękny... – wyszeptała.

Jej głos był tak cichy, że sądziła, że jedynie ona słyszy własne słowa. Lecz jednorożec

w odpowiedzi skinął głową, a jego pręgowany róg zalsnił mocą magii. Zielone oczy skupiły na niej swe spojrzenie z nową intensywnością, płonąc światłem podsycanym przez jakieś wewnętrzne źródło. Willow poczuła, że zaczyna nią władać nieopanowana, przemożna siła. Jej ręka po omacku zaczęła błądzić po ziemi, aż w końcu zatrzymała się na uprzęży.

– Muszę cię mieć! – pomyślała. – Musisz być mój!

Lecz spojrzenie jednoroźca trzymało ją w szachu, nie pozwalając czynić tego, czego czuła teraz potrzebę. Oczy zwierzęcia zdawały się szeptać coś, co pamiętała ze swego snu.

Mówiły: „Chodź do mnie. Szukaj mnie”.

Poczuła, jak na to wspomnienie zalewa ją fala gorąca, a potem ogarnia chłód. Wspomnienie odbiło się w jej oczach, myślach i sercu. Spojrzała poprzez pieniający się wśród skał w leśnej ciszy niewielki strumień, a on stał się rzeką, której nie byłaby w stanie przemierzyć. Słuchała pieśni ptaków, siedzących na okolicznych drzewach. Te mieszające się głosy weseliły i dodawały otuchy, a ich dźwięk stał się głosem jej odkrytych sekretów.

Poczuła przenikające ją fale mocy magicznych tak potężnych, że nawet nie śniła, by takie mogły istnieć. Nie należała już do siebie – należała teraz do jednoroźca. Zrobiłaby dla niego wszystko. Wszystko.

Chwilę potem już go nie było. Zniknął tak nagle i bez śladu, jakby nigdy się tu nie pojawił. Willow zaczęła się zastanawiać, czy rzeczywiście tak nie było. Walcząc z przeszywającym ją bólem, spoglądała na miejsce, w którym przed chwilą jeszcze stał – pustkę wymieszanych światel i cieni.

Czy widziała jednoroźca? Czy naprawdę go widziała? Czy rzeczywiście tam stał?

Natłok pytań zawrócił jej w głowie. Nie mogła się poruszyć. Po pewnym czasie wolno, ostrożnie się podniosła, by w cichej determinacji szukać dalej odpowiedzi na swe pytania.

Szukała cały dzień. Choć właściwie nie tyle szukała, co podążała, wiedziona przez jakąś niewyjaśnialną siłę. Wspinała się po skalnych stromiznach, przedzierała przez zarośla pokrywające wzgórza Melchor w poszukiwaniu rzeczy, która – być może – w ogóle nie istniała. Kilkakrotnie wydawało się jej, że znowu widzi czarnego jednoroźca – hebanowy bok, szmaragdowe oko, lśniący magicznie pręgowany róg. Nie pomyślała o tym, że może być zwodziona. Szukała w zapamiętaniu i bez żalu. Czuła, że jednorożec jest gdzieś tam, niedaleko, lecz jeszcze poza jej zasięgiem. Wyczuwała, że czeka na nią, że ją obserwuje. Nie pojmowała dlaczego, lecz wiedziała, że zwierzę jest w potrzebie.

Zmrok zapadł, gdy była o niecałą milę od Mirwouk – wyczerpana i samotna. Przeszła przez otaczający starą, walącą się twierdzę las. Kilka razy zdarzyło się jej natrafić na swoje własne ślady. Nie zdołała podejść do czarnego jednoroźca bliżej, niż wtedy, gdy pierwszy raz go śledziła. Teraz była jednak zdeterminowana, by wreszcie dopiąć swego. O świcie chciała próbować dalej.

Położyła się pod brzozą, tuląc do piersi wełniany pakunek ze złotą uprzężą, i pozwoliła owionąć się chłodnemu, wieczornemu powietrzu. Ciepło dnia powoli gasło. Willow odzyskiwała



siły. Zasnęła spokojnie, by jeszcze raz śnić.

W mroku, na wyciągnięcie ręki, zapłonęły szmaragdowe oczy. Jednorożec trzymał przy niej wartę przez całą noc.

Również Ben Holiday i jego towarzysze tę noc spędzili w Melchor, choć w pewnej odległości od Mirwouk i Willow. Rozbili obóz u podnóża gór. I tak mieli szczęście, że udało się im zejść aż tak daleko. Większą część dnia zajęło im przejście pustkowi. By dojść do podnóża, maszerowali całe popołudnie i wieczór. Ben stale poganiał. Koboldy odnalazły ślad Willow przed zachodem słońca i Ben miał nadzieję, że może uda się ją dogonić jeszcze tego samego dnia. Dopiero gdy zapadły całkowite ciemności, Questorowi udało się go ubłagać o rozsądek i chwilowe zaprzestanie pościgu.

O świcie znów ruszyli. Przed południem byli już o milę od Mirwouk. Wtedy zaczęły się dziać rzeczy dziwne.

Po pierwsze, zdziwiło ich odkrycie, że ślady Willow wiodą do Mirwouk. Odkąd stało się jasne, że dziewczyna nie zamierza dostarczyć uprząży Benowi – czy też Meeksowi udającemu Bena – nie mieli jaśniejszego pojęcia, jaki chce zrobić z niej użytek. Być może poszukiwała czarnego jednorożca? Ale przecież w jej śnie był on stworzeniem demonicznym, przerażającym. Nie wiedziała, oczywiście, że sen ten zesłał jej Meeks. Cokolwiek zamierzała, z pewnością podążała w kierunku Mirwouk, a Mirwouk było miejscem, w którym Questor – kierowany wskazówkami swego snu – poszukiwał zaginionych ksiąg magii i gdzie rzeczywiście je odnalazł.

Po drugie, koboldy spostrzegły, że już dwukrotnie ślady Willow same siebie przecinały. Sylfidy były istotami czarodziejskimi i błędzenie nie leżało w ich zwyczajach. Znaczyło to więc, że dziewczyna czegoś szuka lub coś śledzi. Nie odnaleźli jednak żadnego śladu, który mógłby im powiedzieć, co to takiego.

Po trzecie, Dirk nie pokazał się od czasu, gdy przed dwoma dniami, po przybyciu Buniona i Parsnipa, usłyszawszy wieści o Willow, opuścili swoje pierwsze wspólne schronienie. Ben do tej pory właściwie nie zauważał nieobecności Dirka, zbyt pochłonięty poszukiwaniami. Lecz, mierząc się z wszystkimi tymi zagadkami, mimowolnie zaczął rozglądać się za Dirkiem, mając nadzieję, że zwierzę da mu choć ten jeden raz jasną odpowiedź. Kot jednak zapadł się pod ziemię.

Ben nie przejął się tym specjalnie. Nikt spośród jego towarzyszy nie potrafił w tej chwili wyjaśnić tego, co się działo, więc Ben naciskał tylko, by przyspieszali kroku.

Po raz trzeci przekroczyli ślad Willow w odległości rzutu kamieniem od Mirwouk. Tym razem koboldy zawahały się. Odnaleziony ślad był świeższy od poprzedniego. Czy to za nim powinny podążać?

Ben skinął.

Przed południem zdołali niemal okrążyć Mirwouk i dotrzeć do miejsca, w którym skrzyżowali się po raz czwarty ze śladem Willow. Teraz najwyraźniej oddalała się od prastarej twierdzy. Bunion przyglądał się śladom przez parę dobrych minut z twarzą niemal przyciśniętą

do ziemi. W końcu oznajmił, że nie wie, który ze śladów jest nowszy. Obydwa wydawały się równie świeże.

Spojrzeni po sobie, niezdecydowani. Po twarzach Bena i Questora lał się pot, a gnomy-dodomy pojękiwały z pragnienia. Abernathy dostał zadyszki. Wszyscy byli pokryci warstwą kurzu. Mrużyli oczy w oślepiającym blasku słońca, a ich twarze były wykrzywione z wysiłku. Byli krańcowo wycieńczeni i podenerwowani ciągłym zataczaniem kół.

Choć zdecydowany szukać dalej, Ben niechętnie zaczął rozważać możliwość pozwolenia towarzyszom na małą przerwę na posiłek. Z zamyślenia wyrwał go huk spadających i pękających głazów. Dochodził od strony Mirwouk.

Spojrzał pytająco na pozostałych, lecz nikt nie ośmielił się wyrazić swego zdania.

– Chyba nie zaszkodzi, jeśli przynajmniej zbadamy, co to takiego – rzekł Ben i pewnie ruszył przed siebie. Reszta grupki podążyła za nim ze zróżnicowanym zapałem.

Przedzierali się w górę przez las, widząc poprzez gałęzie walące się mury Mirwouk. Ich mroczny zarys odbijał się wyraźnie na tle jasnego nieba. Były zniszczone, postrzępione. Pozbawione okiennic okna ziały pustką. Można było dostrzec przelatujące szybko z gwałtownym piskiem stadka nietoperzy. Nadal słychać było łomot. Zupełnie, jakby coś uwięzionego w murach usiłowało się z nich wydostać. Mijały minuty. Grupka dotarła do starej, zniszczonej bramy i zatrzymała się, słuchając.

Dźwięki ustały.

– Nie podoba mi się to – oznajmił ponuro Abernathy.

– Panie, może powinniśmy... – zaczął Questor Thews. Przerwał, dostrzegając na twarzy Bena wyraz dezaprobaty.

– Może powinniśmy się rozejrzeć – dokończył Ben.

Tak też uczynili. Ben szedł na czele, za nim koboldy, potem inni. Przekroczyli bramę, szeroki zewnętrzny dziedziniec i wślizgnęli się w przejście, które prowadziło od drugich umocnień do wewnętrznego dziedzińca i głównych budynków. Przejście było długie, ciemne i śmierdziało stęchlizną. Ben z niesmakiem wykrzywił nos i przyspieszył. Cisza trwała nadal.

Ben doszedł do końca tunelu kilka sekund przed całą resztą i pomyślał, że lepiej zrobiłby, posyłając na przykład Buniona, by ten przyjrzał się rozbijającemu głazy olbrzymowi.

Było to stworzenie wielkie i szkaradne, z grubsza ciosane, o pozbawionej wyrazu twarzy. Mogło przypominać wczesne stadium powstawania podobizny Herkulesa, wykonywanej przez rzeźbiarza-nowicjusza. W pierwszej chwili potwór zdawał się być jakąś groteskową statua, stojącą na środku dziedzińca, pośród kamiennego gruzu. Lecz statua ta drgnęła, obracając się z wysiłkiem i wydając przy tym dźwięk zgrzytu skały o skałę. W jednej chwili stało się jasne, że jest to statua całkiem żywa.

Ben patrzył w zadziwieniu, nie wiedząc, co robić. Z tunelu za nim dobiegł odgłos kroków i reszta grupy w pośpiechu wynurzyła się z mroku, wpadając na Bena. Gnomy-dodomy nie pojękiwały już, lecz wyły, jak torturowane koty. Abernathy i Questor krzyknęli coś jeden przez

drugiego, a koboldy syczały i złowrogo szczyrzyły zęby. Chwilę zajęło Benowi zorientowanie się, że ich zachowanie się nie jest reakcją na to, co widzi on po tej stronie tunelu, a na coś, co oni dostrzegli po tamtej.

Ben, wyciągając szyję, spojrział w popłochu za plecy przerażonych towarzyszy. Tunelem podążał za nimi drugi kamienny kolos.

Questor złapał Bena kurczowo za ramię.

– Panie, to Flynt! Zrobi z nas miazgę, jeśli nas dostanie...! Ooooo! – W tym momencie dostrzegł drugiego, który również ruszył w ich kierunku. – Dwa! Szybciej, tędy!

Koboldy biegly już na czele całej grupki przez dziedziniec ku wejściu prowadzącemu w głąb fortecy. Pierwszy Flynt dołączył do drugiego i trzęsąc się, ruszyły razem w pościg, jak buldożery.

Towarzysze przemknęli przez wejście i zaczęli wspinać się po schodach.

– Co to jest Flynt? – w biegu Ben zapytał Questora. – Nie pamiętam, żebyś mówił mi o nich!

– Prawdopodobnie nie mówiłem, panie! – przyznał Questor, ciężko dysząc. Szaty zaplątały mu się pod nogami i niemal runął na ziemię. – A niech to! – Wyprostował się i ruszył dalej. – Flynty to wypaczone twory dawnej magii, powołane do życia kamienne potwory. Bardzo niebezpieczne! Były ongiś strażnikami tego zamku, ale przypuszczałem, że zostały zniszczone kilkaset lat temu. Stworzył je czarownik. Nie myślą, nie jedzą, nie śpią, są prawie ślepe i pozbawione węchu, lecz słyszą wszystko. Miały strzec Mirwouk przed intruzami, ale to było bardzo dawno temu. Nie wiem, do czego służą teraz. Wydaje się, że ich przeznaczeniem jest miażdżenie wszystkiego, co napotkają. Och! – Zwolnił na moment i w jakiś sposób zdołał swej twarzy nadać prawdziwie zamyślony wygląd. – Dziwne, że nie natknąłem się na nich, będąc tu poprzednim razem.

Ben rozejrzał się i popchnął maga do przodu.

Dotarli właśnie do końca schodów i wybiegli na pokryty gruzem dach o wielkości kortu tenisowego. Nie było jednak widać sędziów, a jedyne stąd wyjście wiodło drugimi schodami, które znajdowały się na przeciwległym krańcu. Wszyscy rzucili się w tamtym kierunku.

Gdy już dotarli, okazało się, że są zavalone masą desek i kamieni, która wystarczyłaby na wybudowanie odpowiednich dla tego boiska trybun.

– Wspaniale! – jęknął Ben.

– Mówiłem, że mi się to nie podoba! – Abernathy zadziwił wszystkich swym szczeknięciem.

Flynty wynurzyły się z wejścia po przeciwległej stronie dachu, rozejrzały się powoli i ruszyły w ich kierunku. Gotowi walczyć, Bunion i Parsnip wystąpili przed całą resztą grupki.

Teraz Ben złapał za ramię Questora.

– Koboldy nie powstrzymają tych cholernych kup kamieni! Użyj czarów!

Questor, powiewając szatami, w pośpiechu ruszył do przodu. Jego szczupła sylwetka wyginała się i chwiała, jakby za chwilę miał się wywrócić. Wymamrotał coś niezrozumiałego, wznosił ramiona ku niebu i opuścił szybkim, obszernym ruchem. Znikąd pojawiły się kłębiaste chmury, uniosły ze sobą gruz i cisnęły nim w zbliżające się potwory. Niestety, kilka odłamków

trafiło i Questora. Tymczasem te, które spadły na Flynty, nie wyrządziły im żadnej krzywdy. Ucierpiał natomiast Questor. Krwawiąc, czarownik padł na ziemię nieprzytomny.

Ben ruszył z koboldami, by zabrać maga i ochronić go przed dalszymi ranami. Flynty stale parły naprzód, miażdżąc potężnymi stopami gruz i głązy, jak suche drewno.

– Hej, Questorze! Zbudź się! Potrzebujemy ciebie! – błagał Ben. Zrozpaczony kilka razy uderzył maga w twarz, rozcierał mu nadgarstki i potrząsał nim. Nic nie pomagało. Zbroczona krwią sowa twarz Questora była blada.

Ben podniósł się. Być może, rozdzielając się, zdołaliby jakoś umknąć przed monstrami. Być może. Ale teraz, gdy Questor był ranny, nie wchodziło to w grę. Nikomu nie udałooby się uciec, dźwigając na grzbiecie maga. Nie mieli najmniejszego zamiaru go pozostawiać. Rozgorączkowany Ben chwycił szybko medalion, lecz równie szybko wypuścił go z dłoni. Bezwartościowa imitacja. Nie mógł liczyć na żadną pomocną moc magiczną, nie było mowy, by z odsieczą przybył Paladyn.

Ale coś trzeba przecież zrobić!

– Abernathy!

Długi, chłodny psi nos przysunął się do jego ucha.

– Tak, panie?

– Te stworzenia nie widzą, nie czują smaku ani zapachu – ale słyszą, tak? Słyszą wszystko? Wszystko – może nawet to, co dzieje się w pobliżu Mirwouk?

– Jestem skłonny wierzyć, że Flynty potrafią dosłyszeć dźwięk spadającej igły z odległości pięćdziesięciu kroków, ale często...

– Mniejsza o szczegóły! – Ben przyciągnął psa tak, że stali teraz blisko siebie, twarz w twarz. Okulary skryby błyszczały w słońcu. – Potrafisz wyciągnąć górne C?

Abernathy zamrugał oczami.

– Panie?

– Górne C, do licha – czy potrafisz zawyc głośno wysokie C? – Flynty były zaledwie jakiś tuzin kroków od nich. – No, potrafisz?

– Hmm... Nie rozumiem...

– Tak czy nie?! – Ben potrząsnął skrybą. Abernathy cofnął się i szczeknął Benowi w twarz.

– Tak!

– To zrób to! – wrzasnął Ben.

Cały dach zdawał się trząść. Pochlipując, gnomy-dodomy przywarły raz jeszcze do Bena.

– O wielki panie! O możny panie! – wyły jak chór potępieńców.

Gotowe do skoku koboldy wyszły przed Bena. Flynty wyglądały jak szarżujące czołgi.

Wtedy Abernathy zaczął wyc.

Już za pierwszym razem doszedł do górnego C! Przerażający dźwięk zwałił z nóg gnomy. Twarze koboldów nabrały przedziwnego wyrazu. Wycie niesło się we wszystkich kierunkach,

przebijając się z nieustępliwością skrętu jelit.

Flynty nagle się zatrzymały, łapiąc się z hukiem potężnymi dłońmi za głowy w bezowocnej próbie ukrycia uszu przed tym dźwiękiem, który wwierał się w nie bez pardonu. Ben nigdy nie uwierzyłby, że Abernathy zdolny jest do wydawania tak agonalnego skowytu. Całą tę chwilę patrzyli na siebie.

W końcu miarka została najwyraźniej przebrana. Flynty zatrzęsły się i rozpadły na kawałki. Głowy, ramiona, torsy i nogi rozsypały się w gromadę bezużytecznego gruzu. Wzniosła się chmura pyłu, która po chwili opadła, odsłaniając nieruchome usypisko.

Abernathy przestał wyc i zapanowała napięta cisza. Skryba wyprostował się i spojrzał na Bena z nieukrywaną wściekłością.

– Nigdy, nigdy nie zostałem tak poniżony, panie! – warknął – Wyłem jak pies! Nie podejrzewałem nawet, że w ogóle będzie kiedyś możliwe, bym aż tak nisko upadł!

Ben chrząknął.

– Ocaliłeś nas – rzekł. – Po prostu nas uratowałeś. Abernathy chciał coś jeszcze powiedzieć, lecz zaniechał, i rozglądał się bez słowa. W końcu wziął głęboki oddech, wyprostował się jeszcze odrobinę, fuknął z niesmakiem i rzekł:

– Kiedy zdobędziemy wreszcie te odnalezione księgi magii, pierwszą rzeczą, której w nich poszukasz, będzie sposób, w jaki można mnie zmienić na powrót w istotę ludzką!

– Zgoda, niechaj to będzie pierwsza rzecz – rzekł Ben, skrywając uśmiech, który mógł go zgubić.

W pośpiechu podnieśli Questora Thewsa i znieśli go po schodach, a potem wynieśli z Mirwouk. Nie napotkali już więcej Flyntów. Być może te dwa były ostatnie? – myślał Ben, gdy znowu weszli między drzewa.

– Swoją drogą, rzeczywiście dziwne, że Questor nie spotkał ich, będąc tutaj poprzednio – wspomniawszy spostrzeżenie maga, kierując je do wszystkich i nikogo.

– Dziwne? Nie takie dziwne, jeśli weźmiesz pod uwagę możliwość, że umieścił je tam – dostawszy w swoje ręce księgi magii – Meeks, by nikt nie mógł się stamtąd wydostać do lasu. – Abernathy fuknął. Nie patrzył na Bena. – Tak, panie, przypuszczałem, że sam się domyślisz, co może nas tutaj czekać!

Ben zniósł zniewagę w milczeniu. Mógł sam na to wpaść. Nie wpadł jednak, więc o czym tu mówić? Teraz natomiast nie mógł pojąć, dlaczego Meeks miałby umieszczać strażę w Mirwouk. W końcu magiczne księgi i tak były już w jego posiadaniu. Wrzucił to pytanie do przegródki na pytania bez odpowiedzi i skupił się na układaniu Questora na zacienionej kępie trawy. Parsnip otarł kurz i krew z twarzy maga i wreszcie zdołał go ocucić. Po chwili Questor zaczął dochodzić do siebie. Parsnip opatrzył jego rany i cała gromadka była znowu na nogach.

– Tym razem będziemy szli śladami Willow – obojętnie ile ich będzie – aż ją odnajdziemy! – rzekł Ben z przekonaniem.

– O ile ją znajdziemy... – wymamrotał Abernathy. Nikt go nie usłyszał. Znowu ruszyli

w drogę.

## ODKRYCIE

Żar południowego słońca zalewał lasy Melchor. Cieniste miejsca zionęły ciepłą, duszącą wilgocią. Rześkie poranne wiatry ustały i powietrze zamarło w bezruchu i ciszy. Owady brzęczały swe monotonne pieśni, liście zwisały bezwładnie z gałęzi, a wszystkie ciepłokrwiste stworzenia zamieszkujące lasy czekały cierpliwie w ciszy. Czas zwolnił swój bieg, a dążenie do celu wydało się mniej naglące.

Willow zatrzymała się przy ogromnym białym dębie. Pakunek ze złotą uprzężą bardzo jej ciążył. Jasne lustro potu pokryło bladozieloną skórę jej twarzy i rąk. Oddychała ciężko, przez usta. Już od świtu podążała śladami czarnego jednorożca, który pojawiał się jej w snach – a może i na jawie. Była niczym zbłąkana drobina pyłu, wzniesiona podmuchem powietrza, który towarzyszył jego przemknięciu obok. W tej pozbawionej jasnego sensu, błędnej wędrówce pół tuzina razy obeszła cały obszar gór Melchor wokół twierdzy Mirwouk, przecinając kilkakrotnie własny ślad. Teraz była zaledwie o milę na wschód od starej twierdzy Mirwouk, prawie tego nieświadoma. Nie miało to dla niej żadnego znaczenia i po prostu się nad tym nie zastanawiała. Już dawno przestała myśleć o czymkolwiek innym, niż o przedmiocie swych poszukiwań. Wszystko inne stało się nieistotne.

Musiała odnaleźć jednorożca. Musiała poznać prawdę o nim.

Jej oczy zaszkliły się, gdy zaczęła wspominać wczorajszy sen i od nowa się zastanawiać nad jego znaczeniem.

Po chwili wstała i ruszyła dalej – drobny, delikatny okrucuch życia, zbłąkane dziecko pomiędzy olbrzymimi drzewami górskiego lasu. Powoli przedzierała się przez jedlinę i gęsto rosnące sosny, których splatające się gałęzie zagradzały drogę.

Rzuciła tylko krótkie spojrzenie na drzewa bonnie blues i dalej podążyła po lekko wznoszącym się stoku, który prowadził do pokrytego trawą płaskowyzu. Ostrożnie stawiała stopy, przypominając sobie powoli, że już szła tą drogą. Raz, dwa czy więcej razy? Nie była pewna. Nie miało to żadnego znaczenia. Słuchała uderzeń własnego serca, które niosły się poprzez plecy i kark, aż do uszu. Dudniło bardzo głośno i był to chyba jedyny dźwięk, jaki słyszała w tym lesie. Szła w jego rytmie.

Jak daleko jeszcze? – zastanawiała się, gdy upał przybierał na sile. – Kiedy się zatrzymam?

Przeszła przez łąkę i stanęła w cieniu purpurowego klonu o długich konarach, zamykając w niepewności oczy. Gdy je otworzyła, stał przed nią czarny jednorożec.

– Och! – westchnęła cicho.

Jednorożec stał na środku łąki, w pełnym świetle słońca. Był czarny jak atrament, tak doskonale ciemny, że wydawał się wyrzeźbiony z mroku. Patrzył jej prosto w twarz. Głowę miał wzniesioną, a grzywa i ogon zwisały swobodnie w nieruchomym powietrzu: statua wykuta z wiecznego hebanu. Zielone oczy śledziły jej każde drgnienie i wzywały ją ze swej głębi.

Wciągnęła do płuc gorące powietrze i poczuła na sobie żar promieni słońca. Słuchała. Oczy jednorożca mówiły bez słów, odbijały się w nich obrazy zapamiętanych snów i zapomnianych wizji. Słuchała i rozpoznawała.

Łowy były zakończone. Czarny jednorożec nie będzie już przed nią uciekał. To właśnie w tym miejscu i w tej chwili miała go spotkać. Pozostało jej tylko dowiedzieć się dlaczego.

Wahając się, ruszyła do przodu. Co krok lękała się, że jednorożec zniknie, że spłoszy się i ucieknie. Lecz nie uciekał. Po prostu stał bez ruchu, jak senna zjawą. Zrzuciła uprząż ze swych ramion i trzymała ją przed nim luźno w dłoniach, pozwalając mu dobrze się jej przyjrzeć. Słońce zatańczyło na sprzączkach i splotach uprząży brylantowymi błyskami przesywającymi leśne cienie. Jednorożec czekał. Willow wyszła z cienia klonu na zalaną światłem łąkę i ogarnął ją duszący żar. Zamrugła oczami, starając się przejrzeć przez łzy. Odrzuciła do tyłu swe długie włosy. Jednorożec nie drgnął.

Była zaledwie o kilka kroków od niego, gdy nagle zwolniła i zatrzymała się. Nie mogła iść dalej. Wzbierały w niej fale lęku, podejrzeń i wątpliwości. Słyszała mieszające się szepty ostrzeżenia. Co właściwie robi? Co zamierza? Czarny jednorożec był stworzeniem o tak złej sławie! Każdy, kto zbliżył się do niego, znikał na zawsze. Był demonem z jej snu! Był nocną zjawą, która prześladowała ją we śnie, nastawając na jej życie!

Poczuła na sobie ciężar spojrzenia tej czarodziejskiej istoty. Poczuła jej obecność tak, jak wzbierające szaleństwo. Chciała się przełamać i biec, lecz nie mogła. Rozpaczliwie walczyła z emocjami, które w coraz większym stopniu nad nią panowały. Wzięła kilka głębokich oddechów gorącego, południowego powietrza i zmusiła się, by spojrzeć w oczy zwierzęcia. Patrzała, nie odrywając wzroku. W oczach jednorożca nie było nic złowieszczonego ani niebezpiecznego – ani śladu demoniczności. Były łagodne i ciepłe. Wyrażały jakieś pragnienie.

Podeszła kolejnych kilka kroków. Nagły przebłysk intuicji przeszył jej myśli: Ben jest gdzieś blisko i szuka czegoś. Lecz czego?

– Ben? – wyszeptała w oczekiwaniu.

Nikt nie odpowiedział. Była sam na sam z jednorożcem. Nie spuszczała z niego wzroku, jednak czuła, że z pewnością są sami. Zwilżyła usta i podeszła bliżej.

Znowu stanęła. Jej pierś falowała.

– Nie mogę cię dotknąć – wymamrotała do nieprawdopodobnie, nieskalanie pięknej istoty. – Nie mogę! To byłby mój koniec.

Wiedziała, że tak jest. Wiedziała instynktownie, w sposób od dawna sobie znany. Nikt nie mógł dotknąć jednorożca – nikt nie miał do tego prawa. Należał on do świata piękna, którego granic śmiertelna istota nie powinna nawet próbować przekraczać. Jednorożec pojawił się w Landover tak, jak ukraszony kawałek najciemniejszej części łuku tęczy, i nie powinien nigdy być dotykany przez ręce takie, jak jej. Willow poczuła ciekące po swych policzkach łzy, a oddech stanął jej w gardle.

Piękna istoto, nie mogę...



Lecz zrobiła to. Nim pojęła, co się dzieje, ruszyła, by przejść mechanicznymi, bezmyślnymi krokami tych ostatnich kilka metrów, jakie dzieliły ją od czarnego jak noc stworzenia. Założyła starannie i delikatnie złotą uprząż na głowę czekającego spokojnie zwierzęcia. Gładziła jego jedwabisty pysk palcami – dotyk ten był elektryzujący. Czowała, jak grzywa szepce, stykając się z grzbietem jej dłoni, a było to uczucie zadziwiające. W jej myślach pojawiły się nowe obrazy – nieokielznane i jeszcze niezrozumiałe, lecz tak pociągające. Teraz dotykała już jednorożca swobodnie, bez obaw, odkrywając nowe uczucia, jakie dotyk ten w niej budził. Nie mogła się opanować. Nie mogła przestać. Znowu płakała, rozładowując emocje, które wypływał teraz na zewnątrz jej istoty. Łzy toczyły się po jej policzkach i Willow, nie panując już nad sobą, zaczęła łkać.

– Kocham cię – płakała rozpaczliwie, odrywając w końcu ręce od zwierzęcia w miejscu, w którym zaczynała się uprząż – tak bardzo cię kocham, piękna, bajeczna istoto!

Róg czarnego jednorożca lśnił mocą magii, a w jego oczach również pojawiły się łzy. Przez chwilę pozostawali złączeni.

Lecz chwila ta szybko minęła, a świat zewnętrzny zaczął gwałtownie wdzierać się, zakłócając intymność ich spotkania. Olbrzymi cień przeleciał nad ich głowami i przysiadł na odległym skraju polany. W tej samej chwili z drugiego jej końca dobiegła ją mieszana głoś, wzywających ją w szaleńczym przerażeniu. Jej sny stały się jawą, wypełniając w jednej chwili wszystko napawającymi lękiem wizjami. Szepty ostrzeżenia, które przed chwilą słyszała, zmieniły się teraz w krzyk strachu.

Poczuła, że czarny jednorożec zatrząsł się gwałtownie. Była zapatrzona w jego jaśniejący mocą białej magii róg. Zwierzę i nie zerwało się do ucieczki. Cokolwiek miałyby się stać, on nie odszedłby.

Pozostał. Sylfida również nie drgnęła z miejsca.

I tak, w ten niełatwy i pozbawiony wdzięku sposób, Willow zaczęła poznawać swoje przeznaczenie.

Ben Holiday, wybiegłszy spośród drzew na łąkę, zatrzymał się tak gwałtownie, że biegnący za nim towarzysze powpadali mu na plecy, popychając go jeszcze o kilka dobrych kroków do przodu. Wszyscy krzyczeli do stojącej wraz z jednorożcem na środku polany Willow. Chwilę przedtem przemknął nad nimi cień wielkiego, skrzydlatego demona, który – niczym monstrualna chmura – zasłonił słońce. Jedyne wyjątkowy pech mógł sprawić, że znaleźli się tu teraz razem w takich właśnie okolicznościach. Ale czy Ben Holiday mógł liczyć na szczęście? Po rozprawieniu się z Flyntami, przybył po śladach Willow aż na tę łąkę, wierząc, że najgorsze już za nim. Lecz tutaj odnalazł ich demon. Znowu stanął przed Benem obraz rzezi nimf Władcy Rzek, spalonych przez demona na popiół. Pomyślał o swej obietnicy opieki nad Willow, złożonej Matce Ziemi. Był jednak bezradny. Jak miał ją teraz chronić, nie posiadając medalionu?

Demon po raz drugi przeleciał nad ich głowami, lecz nie zaatakował ani Willow, ani jednorożca, ani nawet Bena i jego towarzyszy. Wylądował łagodnie na przeciwległym krańcu

polany, składając pokryte skórą skrzydła wzdłuż ciała i sycząc. Ben zmrużył oczy, patrząc pod słońce. Na demonie ktoś siedział. Owym jeźdźcem był Meeks.

Meeks, rzecz jasna, ukazał się zebrany jako Ben.

Ben usłyszał za plecami szepty zadziwienia i konsternacji. Obserwował siebie samego powoli zsuwającego się z grzbietu bestii. Musiał przyznać, że stopień podobieństwa osiągnięty przez Meeksa był zadziwiający. Jego towarzysze zamilkli w niezdecydowaniu. Ben czuł ich spojrzenia na swych plecach. Czuł też zbierające się chmury zwątpienia. Powiedział im, kim jest, i wierzyli mu – w mniejszym lub większym stopniu. Do tej chwili. Jednakże ujrzenie Bena Holidaya na własne oczy tu, właśnie na tej polanie – to zupełnie zmieniało postać rzeczy..

Czarny jednorożec wydał wysoki, pełen grozy krzyk, i wszyscy zwrócili się ku niemu. Zaczarowane zwierzę poruszało się niespokojnie, a jego nozdrza falowały. Z każdym ruchem głowy zwierzęcia na złotej uprzęży tańczyły promienie słońca. Niewypowiedziana uroda tego stworzenia sprawiała, że spojrzenia wszystkich lgnęły do niego, jak ćmy do światła. Zadrzał, lecz nie ugiął się pod ich wzrokiem. Zdawało się, że czegoś szuka.

Willow powoli odwróciła się od jednorożca i również zaczęła się rozglądać. Jej spojrzenie było dziwnie puste.

Ben nie był pewien, co właściwie się dzieje, lecz zdecydował, że nie ma co czekać, aż dane będzie mu się dowiedzieć.

– Willow! – krzyknął do sylfidy i ich spojrzenia spotkały się. – Willow! To ja, Ben! – Podszedł ku niej kilka kroków. Dostrzegł w jej oczach, że nie rozpoznaje go, i zatrzymał się. – Posłuchaj mnie. Posłuchaj uważnie. Wiem, że wyglądam inaczej. Ale to jestem ja. Wszystko to sprawka Meeksa. Wrócił do Landover i podstępem zabrał mi tron. Zmienił mój wygląd. Co gorsza, sam przybrał moją powierzchowność. Ten tam to nie ja – to jest Meeks!

Willow odwróciła się teraz, by spojrzeć na Meeksa. Dojrzała twarz i ciało Bena, i westchnęła. Lecz ujrzała i demona. Ruszyła o krok do przodu, zatrzymała i wycofała powoli.

– W porządku, Willow! – zawołał Meeks głosem Bena. – Daj mi jednorożca. Podaj mi pas uzdy!

– Nie! – Ben krzyczał jak szaleniec – Nie rób tego! – Podszedł w jej kierunku kolejnych kilka kroków, zatrzymując się jednak, gdy tylko sylfida zaczęła się cofać. – Willow! To Meeks zesłał te sny – wszystkie! Ma medalion. Ma zaginione księgi magii. Teraz chce jednorożca! Nie wiem dlaczego, ale wiem, że nie możesz mu go dać! Proszę!

– Willow, zastanów się, co widzisz! – Meeks ostrzegł ją cichym, kojącym głosem. – Obecny jest niebezpieczny, a czary, których używa, mogą cię zwieść. Chodź do mnie, zanim on cię dostanie.

Ben wychodził z siebie.

– Spójrz, z kim tutaj jestem, na litość boską! Questor, Abernathy, Bunion, Parsnip, Phillip i Sot! – Odwrócił się, wskazując na stojących za nim towarzyszy. Lecz żaden z nich nie postąpił do przodu. Nikt z nich nie wydawał się być pewien, że powinien to zrobić. Gdy Ben znowu

spotkał spojrzenie Willow, poczuł, że w jego głosie zaczyna pobrzmiwać nuta rozpacz. – Dlaczego mieliby być ze mną, gdybym nie był tym, za kogo się podaję? Oni znają prawdę! – Ben odwrócił się raz jeszcze – Questorze, powiedz jej coś, do licha!

Mag zawahał się, zdając się rozważać, czy wskazane jest usłuchać Bena, po czym wyprostował się.

– Tak, on mówi prawdę. On jest królem Landover, Willow – rzekł w końcu.

Dały się słyszeć szepty i pomruk zgody wśród pozostałych, urozmaicony kilkoma gnomowymi „ocal nas, wielki panie, możny panie!”, dobiegającymi zza połów szaty Questora.

Ben zwrócił się ku Willow.

– Chodź tu szybko! Proszę cię! Uciekaj!

Lecz teraz Meeks podszedł kilka kroków ku niej i uśmiechnął się jednym z najbardziej przekonywujących uśmiechów Bena.

– Kocham cię Willow! – mówił. – Kocham cię i chcę cię chronić! Chodź tutaj, do mnie. To, co widzisz obok obcego to iluzja. Nie ma z nim przyjaciół. To tylko fałszywe wizje. Jeśli spojrzysz uważnie, możesz dostrzec prawdę. Czy widzisz mnie? Czy jestem choć trochę inny, niż dawniej? Obcy kłamie! Czy pamiętasz sen? Musisz podać mi pas uzdy, musisz przekazać mi czarnego jednorożca, by ratować się przed niebezpieczeństwem! Ci iluzoryczni przyjaciele zagrażają prawdzie twojego snu. Chodź do mnie, a będziesz bezpieczna!

Willow patrzyła to na jednego, to na drugiego, a na jej twarzy wyraźnie widać było wyraz dezorientacji. Za jej plecami czarny jednorożec przestępował z nogi na nogę i delikatnie prychnął – plama cienia ocalała przed słonecznym blaskiem, przywiązana do swego miejsca niewidzialnymi więzami. Ben był bliski szaleństwa. Musiał coś wymyśleć, coś zrobić!

– Pokaż mi kamień runiczny! – krzyknęła nagle Willow, zwracając głowę to w kierunku Bena, to znów Meeksa. – Niech zobaczą kamień, który ci dałam.

Ben zamarł. Mlecznobiały talizman, który ostrzegał go przed niebezpieczeństwem. – Nie mam go! – rzekł bezradnie. – Straciłem go, gdy...

– Mam go tutaj! – oznajmił Meeks tryumfalnie, przerywając w pół zdania Benowi. Czarnoksiężnik sięgnął w głąb swych szat i wydobyl stamtąd świecący jasną czerwienią kamień – a przynajmniej coś, co go przypominało. Wzniósł go do góry, by dziewczyna mogła lepiej go obejrzeć.

– Ben! – rzekła Willow cicho, a na jej twarzy pojawiło się nieco nadziei. – Czy to ty? – Ben poczuł, że coś ścisza mu gardło, gdy sylfida zaczęła się od niego odsuwać.

– Chwileczkę! – zawołał nagle Questor Thews i wszyscy odwrócili się do niego. – Musiałeś to upuścić, panie – oznajmił oficjalnym głosem. Wystąpił krok lub dwa do przodu, otrząsnawszy się z przywierających do niego gnomów. Trzymał w dłoni kamień runiczny, który dała Benowi Willow – a może tylko jego czary sprawiły, że kamień wyglądał jak tamten. Z pewnością był to widok, który zrobił na pozostałych właściwe wrażenie. Talizman lśnił purpurą.

Ben nigdy w życiu nie był bardziej wdzięczny magowi.

– Dziękuję, Questorze – szepnęła cicho.

Willow zatrzymała się znowu. Zaczęła się powoli odsuwać od nich wszystkich, a niezdecydowanie powróciło. Na jej twarzy pojawił się teraz również lęk.

– Nie wiem, który z was jest Benem. Chyba żaden... – rzekła cicho.

Dźwięk tych słów pobrzmiwał jeszcze przez chwilę w ciszy, która po nich nastąpiła. Na łące – szachownicy nieruchomych figur, z których każda gotowa była rzucić się w innym kierunku, każda była gotowa na atak – napięcie sięgnęło szczytu. Willow cofnęła się, przywierając do czarnego jednorożca, i w oczekiwaniu przesuwając oczami po figurach tej gry. Jednorożec uspokoił się nieco.

Muszę coś zrobić – myślał Ben i gorączkowo zastanawiał się, cóż to takiego miałoby być.

Wtedy z lasu wyłonił się Dirk. Wyglądał tak, jak gdyby wybrał się na popołudniowy spacer. Wolno, z podniesioną głową i ogonem, nie patrząc ani w jedną, ani w drugą stronę, przechadzał się, wdychając świeże tchnienie powietrza w cieniu drzew. Ostrożnie stawiał kroki w gęstej trawie i kwieciu. Nie zwracał uwagi na nikogo z obecnych na polanie. Wydawało się wręcz, że znalazł się tutaj przypadkowo. Zatrzymał się dopiero na samym środku łąki, rozejrzawszy od niechcenia i przysiadł.

– Dzień dobry! – pozdrowił zgromadzonych.

Meeks wydał wrzask tak przeraźliwy, że Ben i jego towarzysze niemal wyskoczyli z butów. Zrzucił swój płaszcz. Powierzchność Bena Holidaya zamigotała, jak odbicie w tafli wody, wzburzonej ciśniętym kamieniem, i zaczęła się rozpadać. Willow krzyknęła. Szponiaste dłonie maga wzniosły się i rozczapierzyły, wysyłając w kierunku Dirka płomień zielonego ognia. Lecz kot również ulegał już przeobrażeniu. Rósł, błyszczał, stawał się coraz gładziej, aż zalśnił w końcu jak diament. Płomień ciśnięty przez Meeksa uderzył w niego i rozproszył się, jak promień światła, spadając deszczem na drzewa i łąki, paląc ziemię.

Ben biegł w tym czasie ku Willow, wrzeszcząc jak szaleniec. Lecz sylfida była już poza jego zasięgiem. Rozglądając się przerażonymi oczami, przywarła znów do jednorożca i chwyciła mocniej złotą uzdę czarodziejskiego stworzenia. Jednorożec poruszał się niespokojnie to w przód, to w tył, wydając swoje wysokie, przenikliwe okrzyki. Willow przyłgnęła do zwierzęcia tak, jak przestraszone dziecko przywiera do swej matki. Jednorożec odchodził, ciągnąc ją za sobą.

– Willow! – zawył Ben.

Meeks nadal był zajęty Dirkiem. Ledwie pierwsze wysłane przez niego płomień opadły, zaatakował ponownie. Ogień wezbrał i buchnął z jego dłoni – potężna kula toczyła się z hukiem przez powietrze, by uderzyć w kota. Dirk wyprężył się i zadrżał. Zdawało się, że jego krystaliczne ciało pochłania ognistą kulę. Po chwili ogień buchnął znowu, odbity w kierunku Meeksa, w postaci mnóstwa pojedynczych płomieni. Meeks uniosł swój płaszcz niczym tarczę i ogniki rozproszyły się we wszystkich kierunkach. Część z nich padła na kryjówkę demona, który przycupnął za plecami czarownika. Bestia zaryczała i uniosła się z furią w powietrze.

Dym i ogień zalały całą polanę i Ben gnał przed siebie na oślepie. Za plecami słyszał krzyki swych towarzyszy. Przelatujący nad ich głowami uskrzydłony potwór zasłonił słońce i cała łąka pogrążyła się w mroku zaćmienia. Czarny jednorożec z krzykiem skoczył naprzód, a Willow wspięła się na jego grzbiet. Może zrobiła to instynktownie, może czuła, że powinna tak zrobić – tak czy inaczej, została poniesiona. Jednorożec przemknął obok Bena tak szybko, że ten ledwie go zdążył dostrzec. Wyciągnął ku niemu rękę, lecz był zbyt powolny. Nim zaklęte zwierzę zniknęło między drzewami lasu, zdołał dostrzec jaśniejszy kształt na jego grzbiecie – Willow.

Wtedy do ataku rzucił się uskrzydłony demon. Spadał na łąkę jak kamień ciśnięty z bezchmurnego nieba, bluzgając ogniem z paszczy. Ben rzucił się na ziemię, kryjąc głowę w ramionach. Kątem oka dojrzał, jak Dirk migoce, wygina się pod uderzeniem płomieni, absorbuje je i odrzuca z powrotem. Ogień buchnął prosto na demona i wyrzucił go jak z katapulty. Para i dym rozeszły się i zawisły w powietrzu na całej łące.

Meeks uderzył ponownie, a Dirk znowu odparował jego atak. Demon również spróbował jeszcze raz, i znowu bezskutecznie. Ben padał, podnosił się, i znowu padał, brnąc na oślepie przez to pole bitwy. Dochodziły do niego wrzaski i jęki; załzawionymi oczami dostrzegał obrazy pojawiające się i znikające w oparach. Błądził rękami, usiłując znaleźć nimi jakiś punkt oparcia – cokolwiek. W końcu chwycił medalion.

Żar zaczął palić jego dłonie. Przez moment zdawało mu się, że widzi Paladyna – blady, niewyraźny i odległy obraz zakutej w srebrzystą zbroję sylwetki na potężnym rumaku.

Wizja zniknęła. Przecież to i tak niemożliwe. Nie ma medalionu – nie ma Paladyna. Ben dobrze o tym wiedział. Dirk nadal odrzucał płomienie ognia ciskane ku niemu przez Meeksa i potwora, a Ben krztusił się dymem. Kwiaty i trawa spalone były na popiół. Z drzew pospadały liście, a cały świat zdawał się stać w płomieniach.

W końcu sama łąka zdała się eksplodować z potężnym łomotem. Buchnęły para i ogień, niszcząc wszystko, co napotkały na swej drodze. Ben poczuł, że wylatuje w powietrze, jak rzucony kawałek drewna, unosząc się żałośnie w pozbawionej gracji pozie z kończynami rozrzuconymi na wszystkie strony.

A więc to tak! – pomyślał, zanim runął na ziemię. – Tak to wszystko ma się skończyć!  
Sekundę później uderzył z potężną siłą w ziemię i zapadły ciemności.

## KOCIA ŁAPA

Ben Holiday obudził się na cieniejszej leśnej przesiece, pachnącej mchem i dzikim kwieciem. Ptaki na drzewach śpiewały swoje radosne, jasne pieśni. Z pomiędzy drzew wyływał na polanę mały, wijący się strumyk, by zniknąć znowu w lesie po przeciwnej jej stronie. Panująca wokół cisza szeptała o spokoju i samotności.

Ben leżał na kępie trawy, wpatrując się poprzez płataninę gałęzi w błękitne niebo ponad jego głową. Przez liście przedarł się jakiś promień słońca. Ben zaczął ostrożnie się podnosić, patrząc na swoje osmalone ręce i pokryte sadzą ubranie. Odczekał chwilę, próbując wyczuć, czy odniósł poważniejsze obrażenia. Nie – miał tylko masę blizn i siniaków. Wyglądał, jakby przetoczył się przez pół tuzina ognisk.

– Czujesz się lepiej, panie?

Obrócił się w stronę, z której dobiegł znajomy głos, i dostrzegł Dirka siedzącego wygodnie na dużej, porosłej mchem skale, ze schowanymi łapami. Kot mrugnął sennie oczami i ziewnął.

– Co się ze mną działo? – zapytał Ben, zdając sobie sprawę, że znajduje się w zupełnie innym miejscu: nie była to łąka, na której stracił przytomność – Jak się tu dostałem?

Dirk wstał, przeciągnął się i znowu przysiadł.

– Ja cię tutaj przyniosłem. Swoją drogą, to oczywiście była sztuczka – jestem dosyć dobry w wykorzystaniu energii do przenoszenia nieruchomych przedmiotów. Nie uznałem za stosowne, byś pozostał tam, leżąc na tej wypalanej łące.

– A co z pozostałymi? Co z Willow i...

– Sylfida jest, jak sądzę, z czarnym jednorożcem. Nie wiem dokładnie gdzie. Twoi towarzysze rozpierzchli się w różnych kierunkach. Ostatnia eksplozja wyrzuciła ich w powietrze.

Lepiej nie używać tego rodzaju magii. Niestety, Meeks nie potrafi tego zrozumieć.

Ben otrząsnął się z resztek odrętwienia i przyjrzał kotu.

– On wiedział, kim jesteś, prawda?

– Wiedział czym jestem.

– Aha! Jak mam to rozumieć?

Kot zdawał się rozważać treść pytania.

– Szlaki magów i kotów pryzmatycznych skrzyżowały się już kilkakrotnie w przeszłości, panie.

– Rozumiem, że nie były to spotkania przyjacielskie.

– Zazwyczaj nie.

– Wyglądało na to, że Meeks boi się ciebie.

– Boi się wielu rzeczy.

– Nie on jeden. A co z nim się stało?

Znudziła go walka i odleciał na swym ulubionym demonie. Przypuszczam, że poleciał po

odnalezione księgi magii. Sądzi, że potrzebuje ich mocy. Zabierze je i powróci. Myślę, że tym razem będzie starał się dopaść was wszystkich. Lepiej bądź na to przygotowany.

Ben zamarł. Powoli wyprostował się, czując, że jego stawy ledwie trzymają razem poobijane kości.

– Muszę odnaleźć całą resztę – zaczął, próbując przedrzeć się myślami przez mur przerażenia i rozpacz. – Do licha! Jak mam to zrobić? – Zaczął wstawać, lecz zwolnił i opadł na jedno kolano, czując ogarniającą go słabość. – Jak w ogóle mogę im pomóc? Gdyby nie ty, byłby ze mną koniec. Wszystko zupełnie wymknęło mi się z rąk. Jestem teraz w sytuacji nie lepszej, niż w dniu, w którym Meeks wygnał mnie z zamku. Nadal nie wiem, jak to się dzieje, że nikt mnie nie poznaje. Nadal nie mam pojęcia, w jaki sposób Meeks zdołał odebrać mi medalion. Stale nie wiem, do czego potrzebny jest mu czarny jednorożec. Nie pojąłem jeszcze niczego, co się tu dzieje!

– Czyżby? – Dirk znowu ziewnął, lecz Ben go nie słyszał.

– Powiem ci coś. Nie poradzę sobie z tym sam. Nigdy. Nie ma co się oszukiwać – muszę prosić o pomoc. Zamierzam teraz zrobić to, co powinienem zrobić na samym początku. Z medalionem, czy bez niego – wejdę w czarodziejskie mgły i odnajdę czarodziejskie istoty. Zrobię to, co zrobiłem kiedyś, wcześniej. Odnajdę je i poproszę o moc magiczną, która pozwoli mi stawić czoła Meeksowi. Pomogły mi w walce z Nocnym Cieniem, pomogą i teraz. Muszą pomóc.

– No cóż, to nie jest cała prawda – rzekł Dirk łagodnie. – Czarodziejskie istoty pomagają tylko wtedy, gdy same mają na to ochotę. Wiesz o tym, panie. Zawsze o tym wiedziałeś. Nie możesz żądać od nich pomocy. Możesz sobie tego jedynie życzyć. Wybór należy zawsze tylko do nich.

– To nie ma znaczenia. – Ben sztywno potrząsnął głową. – Idę we mgły. Kiedy je odnajdę...

– Jeżeli je odnajdziesz – przerwał Dirk. Ben przerwał i zaczerwienił się.

– A może, dla odmiany, zechciałbyś mnie choć raz podnieść na duchu? Dlaczego sądzisz, że ich nie odnajdę?

Dirk obserwował go przez chwilę, potem wciągnął powietrze. Ptaki wokół nadal śpiewały, najwidoczniej obojętne na to, co działo się pod nimi.

– Bo one nie chcą, byś je odnalazł, panie – rzekł w końcu kot i westchnął. – Widzisz, one już cię odnalazły.

Przez dłuższą chwilę Ben i Dirk patrzyli na siebie w milczeniu nieruchomymi oczami. Ben chrząknął.

– Co takiego?

Dirk opuścił powieki do połowy masztu.

– A jak myślisz, panie, kto mnie przysłał?

Ben powoli przysiadł, krzyżując przed sobą nogi i kładąc dłonie na kolanach.

– Przysłały cię czarodziejskie istoty? Kot nie odpowiedział.

– Ale dlaczego? Dlaczego właśnie ciebie?

– Dlaczego właśnie kota, a nie – na przykład – psa, lwa, czy tygrysa? Albo jeszcze jednego Paladyna? Czy o to ci chodzi? – Futerko Dirka zjeżyło się na jego karku, potem na wygiętym w łuk grzbiecie. – No cóż, panie, widać kot jest wszystkim czego potrzebujesz lub wszystkim, na co zasługujesz. A w zasadzie – nawet czymś więcej. Zostałem przysłany, by rozbudzić twoją świadomość, by zmusić cię do myślenia, a nie po to, żeby cię ratować! Jeśli chcesz ratunku, musisz go szukać w swoim wnętrzu! Tak zawsze było i zawsze tak będzie.

Wstał, zeskoczył ze skały i dumnym krokiem ruszył w kierunku zdumionego Bena.

– Jestem już zmęczony dreptaniem za tobą. Powiedziałem ci już wszystko, czego potrzebujesz, by zmierzyć się z użytymi przeciw tobie czarami. Zrobiłem już wszystko, co można zrobić, nie stawiając ci rozwiązania przed nosem. A tego zrobić nie mogę. To zabronione! Czarodziejskie stworzenia nigdy nie odsłaniają prawdy przed śmiertelnikami. Zapewniałem ci bezpieczeństwo w czasie twojej podróży, chociaż nie było ci to potrzebne tak często, jak sądziłeś. I – co najważniejsze – zmuszałem cię do myślenia, a to z kolei trzymało cię przy życiu! – Przerwał. – Teraz wszystko skończone. Twój czas na zastanowienie dobiega końca.

Ben potrząsnął szybko głową.

– Dirk, ja po prostu nie mogę...

– Pozwól mi dokończyć! – przerwał mu kot. – Kiedy wreszcie ludzie nauczą się słuchać kotów? – Jego zielone oczy zwięzły się. – Czarodziejskie istoty przysłały mnie, by ci pomóc, panie. Lecz mi pozostawiły wybór środków. Nie sugerowały mi, bym robił to czy tamto. Nie powiedziały mi nawet, dlaczego sądzą, że to właśnie ja będę w stanie ci pomóc. To nie leży w ich zwyczajach – ani w zwyczajach kotów! Robimy zawsze tylko to, co chcemy, a życie wiemy tak, jak wieść musimy. Gramy – bo taka jest nasza natura. Gry kotów czy czarodziejskich istot – to prawie to samo. Nasz świat bardzo się różni od twojego, panie!

Kot podniósł łapę.

– Słuchaj więc uważnie. Nikt nie może ot tak dostać odpowiedzi na pytania, które go zajmują. Nikomu nie podaje się życia na srebrnym półmisku – obojętnie, czy to kot, czy król! Jeśli chcesz poznać prawdę, sam ją musisz dla siebie odnaleźć. Jeśli chcesz pojąć to, co tak cię teraz zastanawia, przemyśl to sam. Zdaje ci się, że wpłątany jesteś w problemy nie do rozwikłania. Zdaje ci się, że nie możesz się z tego wyzwolić. Pozbawiony zostałeś twojej tożsamości, skradziono ci królestwo. Osaczają cię wrogowie, a przyjaciele gdzieś zniknęli. Wszystkie te komplikacje to ogniwa jednego łańcucha, Benie Holidayu. Przetnij jedno z nich, a cały łańcuch się rozpadnie!

Tylko ty dysponujesz nożycami, którymi można tego dokonać. Ty i nikt inny. To właśnie próbuję ci powiedzieć od dnia naszego pierwszego spotkania. Czy rozumiesz? Ben skinął pospiesznie głową.

– Rozumiem. Kot opuścił łapę.

– Mam nadzieję. Teraz powtórzę jeszcze raz coś, co ci już mówiono. Magia z którą walczysz



to magia ułudy. Jest jak zwierciadło, które w swym odbiciu prawdę przedstawia jako fałsz i półprawdy. Możesz przejrzeć przez nie, możesz się oswobodzić. Jeśli zrobisz to sam, będziesz mógł pomóc przyjaciółom. Lecz lepiej się pośpiesz!

Kot wyprężył się, odwrócił, odszedł kilka kroków, i jeszcze raz spojrzął na Bena. Na polance panowała cisza i spokój. Nawet ptaki zamilkły na drzewach. Słońce świeciło z czystego nieba, a liście i gałęzie drzew rzucały ostre cienie na sylwetki Bena i Dirka.

– Zły czarnoksiężnik lęka się ciebie, Benie Holiday – rzekł kot cicho. – Wie, że jesteś bliski znalezienia odpowiedzi na swe pytania, bliski zdobycia wolności. Będzie próbował zniszczyć cię, zanim tego dokonasz. Wyposażyłem cię w środki, dzięki którym jesteś w stanie zdobyć te odpowiedzi i pokonać Meeksa. Użyj ich. Jesteś inteligentnym człowiekiem. Jesteś człowiekiem, który spędził swe życie rządząc życiem innych – jako prawnik, czy jako władca. Teraz sam wydaj sobie rozkazy!

Bezgłośnie, nie oglądając się, doszedł do skraju polany.

– Miło mi było z tobą podróżować, panie – rzekł – ale to już skończone. Są inne miejsca, do których muszę się udać i inne spotkania, na które muszę się stawić. Będę myślał o tobie. Sądzę, że któregoś dnia jeszcze się spotkamy.

– Dirk, poczekaj! – zawołał za nim Ben, walcząc z zawrotami głowy, gdy zrywał się na równe nogi.

– Nigdy nie czekam, panie – odpowiedział kot, prawie całkowicie już skryty w cieniu. – Poza tym nic więcej nie mogę już dla ciebie zrobić. Zrobiłem tyle, ile byłem w stanie. Powodzenia!

– Dirk!

– Pamiętaj, co ci powiedziałem. I spróbuj słuchać kotów.

– Dirk, do licha!

– Do widzenia.

I po tych słowach Dirk na dobre zniknął w lesie.

Ben Holiday długo wpatrywał się w miejsce, w którym kot zniknął między drzewami, jakby oczekując, że może jeszcze powrócić. Oczywiście, nie wrócił. Gdzieś w głębi siebie Ben był tego świadom od samego początku. Gdy w końcu się z tym pogodził, przestał wpatrywać i poczuł, że wzbiera w nim paniczny lęk. Był sam – po raz pierwszy od chwili, kiedy został wyrzucony ze Sterling Silver. Sam – a wszystko wróżyło mu jak najgorzej. Był pozbawiony tożsamości i medalionu, i nie miał pojęcia, jak odzyskać jedno czy drugie. Opuścił go obrońca – Dirk ze Skraju Lasu. Willow zniknęła z czarnym jednorożcem, nie przekonawszy się o prawdziwej tożsamości Bena. Jego przyjaciele rozproszyli się Bóg wie gdzie. Meeks udał się po księgi i wkrótce powróci, żeby z nim skończyć.

Ben siadł więc i siedział tak, czekając, co się wydarzy.

Był oszołomiony. Nie mógł spokojnie myśleć. Próbował zastanawiać się, co robić dalej, lecz wszystko zdawało się walić w gruzy. Myśli o tym, co chce i czego nie może uczynić kotłowały się w głowie. Wstał, poruszając się mechanicznie i patrząc przed siebie martwymi oczami.

Doszedł nad brzeg strumyka. Jeszcze raz rozejrzał się z nadzieją, że dojrzy gdzieś Dirka, lecz zobaczył tylko pusty las. Poczul, że ogarnia go poczucie bezsilności i rezygnacji. Klęknął nad strumieniem i spryskał sobie twarz wodą, przecierając oczy. Woda była lodowata. Benem aż zatrzęsło. Pochlapał się nią jeszcze raz, tym razem ramiona i całą głowę, pozwalając, by chłód wyzwolił w nim nową energię.

Siadł, wpatrując się w strumień. Woda ciekła mu po twarzy.

– Przeanalizuj to krok po kroku – zażądał od siebie samego. – Masz dostęp do wszystkich odpowiedzi. Tak przecież powiedział Dirk. Ale jak, do licha, one brzmią?!

Ledwie oparł się ogarniającej go potężnej chęci, by zerwać się do biegu, skryć się gdzieś między drzewami. Zmusił się jednak do pozostania na miejscu, chód robienie czegokolwiek wydało mu się w tej chwili lepsze, niż bezczynne siedzenie i oczekiwanie. Sytuacja wymagała chyba jednak czegoś innego niż beztróskiego biegania po lesie. Wymagała zastanowienia. Musiał w końcu pojąć, co się stało i co się dzieje wokół niego teraz.

Wszystko połączone jest, niczym ogniwa łańcucha – tak powiedział Dirk. Wszystkie problemy Bena były ogniwami jednego łańcucha, były połączone. Wystarczy przeciąć jedno ogniwo, a łańcuch opadnie. W porządku. Zrobi to. Przetnie, co będzie do przecięcia. Ale które ogniwo należy przeciąć?

Siedział nad strumieniem, wpatrując się w swoje pomarszczone odbicie w wodzie. Spoglądała na niego zniekształcona twarz Bena Holidaya. Była to jednak jego własna twarz, a nie twarz obcego, którą widzieli inni. Co sprawia, że tamci widzą go inaczej? Maska – tak powiedział Dirk. Próbował to zgłębić, wpatrując się przez dłuższą chwilę z napięciem we własne odbicie, a potem zwracając spojrzenie na jakąś kępę dzikich kwiatów, które rosły o kilka metrów przed nim. Patrzył nic nie widząc.

Magia ułudy – rzekł Dirk.

Lecz czyja? Kto wywołuje owe złudzenia?

Władca Rzek powiedział, że to własna magia Bena. Chciał mu pomóc. Faktycznie, próbował, lecz pomóc nie potrafił. Czary, które to sprawiły, były dziełem samego Bena – tak twierdził Władca Rzek – i Ben był jedyną osobą, która mogła je złamać.

Lecz cóż to były za czary?

Znowu próbował to rozgryźć. Bezowocnie. Nie potrafił. Nic nie przychodziło mu do głowy. Zakołysał się na piętach, przycupnięty nad brzegiem strumienia w cieniu gór, i pozwolił przez chwilę swym myślom biec nieskrępowanie. Wszystko zaczęło się w jego sypialni w Sterling Silver, gdy stanął przed nim Meeks. To wtedy utracił medalion i rozpoczęło się całe pasmo jego nieszczęść. Poczul ból rozdrapywanych wspomnień i na próżno usiłował się go pozbyć. Stracił medalion, tożsamość, swą magię i swe królestwo. Tak, to łańcuch nieszczęść, który trzeba przerwać. Przypomniał sobie uczucie przerażenia, jakie opanowało go, gdy zauważył utratę medalionu.

Wspomnienia zmaćla nagła myśl. Czarodziejskie istoty mówiły mu już kiedyś coś o strachu.

Przemówiły do niego tylko raz, dawno temu, gdy wszedł we mgły w poszukiwaniu pyłu Io. Było to w początkach jego pobytu w Landover, w czasach gdy musiał walczyć o uznanie swojego prawa do tronu – tak jak czynił to teraz. Cóż mu powiedziały? „Strach kryje się za różnymi maskami. Musisz nauczyć się je rozpoznawać, nim znowu przyjdzie ci stawie im czoła”.

Zmarszczył brwi. Zastanawiał się wtedy, co mogą znaczyć te słowa. I oto teraz znowu przyłapał się na rozmyślaniu nad nimi. Wtedy sądził, że odnoszą się do jego starcia z Żelaznym Markiem. Lecz cóż, jeśli miały się odnosić do tego, co spotkało go teraz – do lęku, którego doznał w chwili utraty medalionu?

Czy czarodziejskie istoty mogły już wtedy przewidzieć, co się stanie? A może było to po prostu ogólne ostrzeżenie, po prostu...

A magia tej krainy?

Z zażenowaniem sięgnął pod tunikę i wydobyl spod niej swój obecny medalion – medalion, który dał mu Meeks. Na jego powierzchni widniał chropawy wizerunek czarnoksiężnika. Od tego wszystko się zaczęło: pytania, tajemnice, cały ten nawał zdarzeń, który prawie odwiódł go od zdrowych zmysłów i wpędził w sidła strachu i wątpliwości. Już dziesiątki razy zastanawiał się nad tym, jak mogło się to stać. Jak mógł stracić medalion bez świadomości swego w tym udziału? W jaki sposób Meeks mógł odebrać mu medalion, skoro to Ben był jedyną osobą, która mogła go zdjąć? To przecież bez sensu! Jeśli nawet rzeczywiście sam zdjął medalion, to dlaczego tego nie pamiętał?!

A może w ogóle go nie zdejmował?!

Poczuł, że coś ścisną go mocno w dołku. O mój Boże!

A może cały czas nosił go na szyi?!

Coś sprawiło, że zaczął myśleć nieco sprawniej, niż przed chwilą. Oczami wyobraźni już niemal widział nożyce przecinające jego więzy. Dirk mówił o zwodzeniu samego siebie. Jego własna magia – rzekł Władca Rzek. Do licha! Podniecony poczuł, że z trudem łapie oddech. Słyszał łomot swego serca. Teraz wszystko zdawało się układać w spójniejszą całość. Tak! To było jedyne sensowne wyjaśnienie. Meeks nie mógł odebrać mu medalionu, jeśli sam Ben mu go nie podał. Ben zaś nie pamiętał wcale momentu, w którym miałyby to nastąpić. A nie pamiętał dlatego, że medalionu nigdy nie zdjął!

Meeksowi udało się wprowadzić go w błąd.

Lecz jak?

Próbował analizować wszystkie wydarzenia krok po kroku. Zaciśnięte na medalionie dłonie trzęsły się z podniecenia. A więc stale nosił medalion władcy Landover, nie zdając sobie z tego sprawy. Czy to możliwe? Wytężył umysł, badając wszelkie inne możliwości, o których szeptały mu w myślach pospieszne, naglące głosy. Stale nosił ten medalion! Meeks zmienił tylko w jakiś sposób jego wygląd, sugerując mu, że ma na szyi coś innego. To dlatego Meeks nie skończył z nim od razu tam, w komnacie sypialnej. Lękał się pewno, że pojawi się Paladyn, że nowa powierzchowność Bena jest jeszcze zbyt świeża, może zbyt cienka. To dlatego Meeks ostrzegł go

przed zdejmowaniem medalionu z szyi. Był przekonany, że Ben – rozważywszy prędzej czy później taką możliwość – zdejmie go jednak i wyrzuci, myśląc, że w ten sposób uwalnia się od czaru. Wtedy medalion mógłby bez przeszkód trafić w ręce Meeksa.

W głowie poczęły tłoczyć się myśli.

Język! – pomyślał nagle. Jak mógłby rozmawiać językami mieszkańców Landover, gdyby nie posiadał medalionu! Questor powiedział mu kiedyś, że to właśnie dzięki medalionowi Ben rozumie język tej krainy, potrafi nim pisać i mówić! Dlaczego o tym nie pomyślał wcześniej? Questor zastanawiał się zawsze, w jaki sposób Meeks odzyskuje medalion od kandydatów do tronu, którym się nie powiodło, jeśli oni sami nie zechcą go zwrócić. Musiał to czynić w sposób podobny do tego! Aby zdjęli go sami, przekonywał ich, że już go stracili!

Mój Boże! Czy to możliwe?!

Wziął głęboki oddech, usiłując się uspokoić. Czy istnieje jakaś inna możliwość, inne wytłumaczenie? Nie. Porzucił od razu tę myśl. Tylko to jedno rozwiązanie było sensowne i logiczne. To nie dzięki Dirkowi skrzydlaty demon, który wymordował nimfy Władcy Rzek, zaniechał ataku na Bena. Demon odleciał, ponieważ w jego dłoni ujrzał medalion i uląkł się jego potęgą. Demon rozpoznał prawdziwą moc tego przedmiotu nawet wtedy, gdy nie dostrzegał jej sam Ben. Prawdę przed Benem ukrył czar rzucony przez Meeksa tam, w komnacie sypialnej.

Stare zaklęcie! – pomyślał Ben, wspominając, co powiedzieli Nocny Cień i Strabo. To dlatego tylko oni potrafili przejrzeć przez nie i dostrzec prawdę!

Lecz jak działa ów czar? Czego potrzeba, by go zrzucić? Czy to ten sam rodzaj magii, który zmienił jego powierzchowność?

Ben próbował odpowiedzieć sobie na syjące się jedno za drugim pytania. Ułuda – to słowo-klucz, które wielokrotnie powtarzał Dirk. Meeks musiał użyć magii, by sprawić, że Ben uwierzy w to, iż nie posiada już medalionu. Ben uwierzył, że prawdą jest to, co było tylko złudzeniem. I przez tę wiarę sprawił, że złudzenie to stało się jego własnym tworem. Do licha! Sam zbudował sobie więzienie! Meeks musiał sprawić, że Benowi przyśniła się scena oddania medalionu, w ten sposób przekonując go, że zdarzyło się to naprawdę!

Ale – w końcu – dlaczego nie mógł po prostu...

Nie mógł dokończyć tej myśli. Bał się jej ciągu dalszego, lękał się, że może się mylić. Wziął kolejny głęboki oddech. Nie ma znaczenia, czy dokończy tę myśl, czy pozostawi ją sobie samej. Ważne jest tylko jej sprawdzenie. Musi to po prostu sprawdzić, by zyskać pewność.

Znowu spuścił oczy i zaczął wpatrywać się w strumień, obserwując, jak migoce i zmienia odbicie jego twarzy w płynącej, falującej wodzie. Jego maska! Maska, lecz nie dla niego, ale dla wszystkich innych. Uspokoił się, po czym wyciągnął medalion i zaczął się mu przyglądać, trzymając go za łańcuszek. Wizerunek Meeksa kołysał się i obracał powoli. Poczerniałe srebro błyskało słabo w promieniach słońca. Ben siłą woli spowolnił swój oddech, rytm serca, a nawet bieg czasu. Skoncentrował się całkowicie na zmatowiałej powierzchni obrazka, śledząc jego powolny obrót i czekając, aż medalion całkowicie się zatrzyma. W myślach próbował zastąpić to,

co teraz widział, zaczerpniętym z pamięci wizerunkiem starego medalionu z Paladynem wyjeżdżającym z bram Sterling Silver ku wschodowi słońca. Pod chropowatością, wyobrażał sobie błyszczącą, srebrną powierzchnię. Oddał się tej wizji.

– Pamiętaj, że to co widzisz, to złudzenie – mówił sobie – tylko złudzenie.

Lecz nic się nie wydarzyło. Na medalionie nadal widniał poczerniały wizerunek Meeksa. Ben opanował kolejną falę panicznego strachu i zmusił się do chłodnego zastanowienia. Widać potrzeba czegoś więcej. Lecz czego?

Zagłębił się w rozmyślaniach, to rozważając, to odrzucając różne możliwości. Nie odrywał jednak spojrzenia od medalionu. Las wokół niego był spokojny. W ciszy od czasu do czasu słychać było krótkie śpiewy ptaków i szum liści poruszanych wiatrem. Miał rację i wiedział, że ją ma. Wystarczy zerwać jedno ogniwo, a opadnie cały łańcuch. Znowu stanie się sobą, Paladyn znowu będzie po jego stronie, a jego własna moc magiczna zostanie wyzwolona. Potrzebował tylko klucza do tej jednej zagadki...

Przerwał sobie w pół myśli. Wolno posunął palcami po łańcuchu i dotarł nimi do samego medalionu. Delikatnie dotykał poczerniałej powierzchni, a potem skrył talizman w dłoniach. Nienawidził teraz tego kawałka metalu. Lecz czy nie tego właśnie pragnął Meeks? Zamknąwszy medalion w dłoniach, ścisnął go mocno, wyczuwając każdy detal jego powierzchni. Wyobraził sobie jednak, że widnieje na niej nie wizerunek Meeksa, lecz Paladyna wyjeżdżającego ze Sterling Silver, jadącego ku słońcu, jadącego do niego...

Coś zaczęło się dziać. Medalion rozgrzewał się, a uczucie jego dotyku minimalnie się zmieniło. Ścisnął go jeszcze mocniej. Wiedział, jak wygląda ukryty obraz i na nim koncentrował swe myśli. Zamknął oczy. Medalion zaczął palić w dłonie, lecz Ben nie rozluźniał uścisku. Poczul, że coś zaczyna zmieniać się na jego powierzchni – tak, jakby coś odpadało, jakby medalion zrzucał skórę. Tak! Talizman nadal parzył dłonie. Nagle uczucie to eksplodowało, rozprzestrzeniło się, ogarniając całe ciało Bena, niemal wyrzucając go w powietrze.

Po chwili powrócił chłód. Ben powoli otworzył oczy, po czym rozwarł palce. Spojrzał na leżący w złożonych dłoniach medalion. Był jasny i błyszczący. Na jego powierzchni migotało słoneczne światło. Powrócił wizerunek Paladyna.

Ben pozwolił sobie na szeroki, głupkowaty uśmiech. Udało się! A więc medalion cały czas był na jego szyi.

Krępujący Bena łańcuch został zerwany!

## OBJAWIENIE

Willow poruszyła się, odzyskując przytomność i powoli budząc się z drzemki. Jej skórę ogrzewały promienie słońca, a twarz pieściły wysokie trawy. Zamrugła, mrużąc oczy w nagłym blasku i pozwoliła im ponownie się zamknąć. Czy był to sen? Leciała na obłoku, powożąc zaprzęgiem omiatających ją i chłostających po twarzy wichrów, który niósł ją nad całym światem tak, jak na ptasich skrzydłach. Zamrugła raz jeszcze, czując, że plecami oparta jest o ziemię. Była tak wolna...

Uczucie unoszenia się ustąpiło, gdy wstrząsnęło nią nagłe wspomnienie, budząc ją ostatecznie. Siadła. To nie był sen. To była jej ucieczka przed Meeksem, skrzydlatym demonem i innymi...

Jej ciało przeszły dreszcz. Krzywiąc się od słońca, zmusiła się, by otworzyć oczy. Siedziała na rozległej polanie, otoczonej starym lasem, leżącej jeszcze niemal w cieniu Mirwouk. Mroczne mury pradawnej twierdzy wznosiły się za jej plecami, odcinając się poszarpaną linią na tle południowego nieba. Rozciągające się przed nią zbocze wzgórza usiane było kwiatami, których woń wypełniała nieruchome i wilgotne powietrze. Góry wokół niej tonęły w dziwnej ciszy.

Rozejrzała się. Parę metrów od niej stał i obserwował ją czarny jednorożec. Złota uprząż była stale umocowana wokół jego zgrabnej głowy.

– Jechałam na tobie – wyszeptwała ledwie słyszalnym głosem.

Jej ostatnie wspomnienie było zbitkiem obrazów i uczuć, który zadziałał na nią, jak strumień lodowatej wody, szokując swym natężeniem. Przerażona tym, co działo się wokół niej i szaleńczo pragnąc wydostać się z matni, półświadomie wdrapała się na grzbiet jednorożca. Nic nie było tym, na co wyglądało – ani Ben, ani Meeks, ani kot – po prostu nic. Wokół szalał ogień i zniszczenie – tyle nienawiści! Myślała jedynie o tym, by uciec jak najdalej i chyba coś w dotyku ciała zwierzęcia pchnęło ją do tego, co chwilę potem uczyniła. Trzymając kurczowo uprząż, wtulona w grzywę zwierzęcia, przywarła do jego wiotkiego ciała, do zgrabnej szyi... Wizje pojawiały się i mieszały – bardziej uczucia niż obrazy. Szepty pragnień i potrzeb.

Z trudem łapała oddech. Bez namysłu wskoczyła na grzbiet jednorożca. Jej lot na grzbiecie tego zwierzęcia był – bo przecież nie mogło być inaczej – lotem magicznym. Zniknęło poczucie czasu i przestrzeni, pozostało jedynie przesywające poczucie istnienia. Jednorożec nie tylko wyrwał ją z tamtej matni. Uczynił coś więcej – wyrwał ją z samej siebie, by mogła dostrzec to, kim i czym była, kim i czym może się stać. Oszłołomiło ją to i zadziwiło. Jednorożec ukazał jej koloryt i znaczenie życia, którego istnienie dotąd wydawało się jej niemożliwe. Wystarczył sam jego dotyk – nie trzeba było niczego więcej! Wizje zamgłyły się dziwnie w pamięci, lecz wspomnienia uczucia pozostały ostre i wyraźne. Jakże było to wspaniałe!

Otarła łzy i pozwoliła swemu spojrzeniu spotkać spojrzenie jednorożca. Ten nadal na nią

czekał. Nie uciekł, choć mógł – a może nawet powinien – to zrobić. Po prostu czekał.

Ale na co? Czego od niej mógł chcieć?

Willow zmieszała się. Nie wiedziała. Patrzyła w szmaragdowe oczy czarnego jednorożca, pragnąc, by on sam mógł jej to powiedzieć. Potrzebowała tego. A on – cudowne stworzenie – stał przed nią jeszcze raz i jeszcze raz czekał. Nie miała pojęcia, co powinna teraz zrobić. Czuła się tak bezradna i wylękniona. Czuła się jak głupiec.

Wiedziała jednak, że nie może poddać się tym uczuciom i powściągnęła je. Meeks może ciągle za nią podążać – i pewno to czyni. Kot, kimkolwiek jest, nie powstrzyma go na długo. Czarnoksiężnik będzie ścigał ją, będzie ścigał jednorożca – ich oboje. Meeks chciał odebrać jednorożca – co do tego obcy miał rację. Mógł więc mieć rację również co do snów.

A to z kolei mogło znaczyć, że rzeczywiście to był Ben.

Przeszył ją gwałtowny ból rozpaczliwej tęsknoty, lecz stłumiła i to uczucie. Nie było czasu na zastanowienie. Czarny jednorożec był w niebezpieczeństwie, a ona musiała mu jakoś pomóc. Najwyraźniej czekał na nią, polegając na tym, co robi, i czegoś od niej oczekując. Lecz skąd dowiedzieć się, co powinna uczynić?

Był tylko jeden sposób. Czuła to instynktownie. Musi dotknąć jednorożca, wystawić się na działanie jego magii. Musi się otworzyć na wizję.

Oddychała wolno i głęboko, starając się uspokoić. Ze strachu poczuła mdłości. Porywała się na niemożliwe. Nikt, kto dotknął jednorożca, nie pozostawał sobą. Nikt. Tak, dotykała już zaczarowanego zwierzęcia – głaskała je, zakładając mu złotą uprząż, przywierała do niego podczas szaleńczej ucieczki z tamtej polany. Ale w obydwu wypadkach ledwie była świadoma tego, co czyni. Było to jak krótki, cudowny sen – być może tylko sen. To, co zamierzała zrobić teraz, miało być zupełnie inne – miało być świadomym aktem woli. Ryzykowała wszystko, czym była. Legendy były zgodne co do tego, że jednorożce należą wyłącznie do siebie samych – i do nikogo innego. Dotknij go, a będziesz zgubiony.

Jednak, tak czy inaczej, zamierzała to zrobić. Decyzja była już podjęta. Czarny jednorożec był czymś więcej niż tysiącletnią legendą, czymś więcej niż snem, który ją zauroczył, a nawet czymś więcej niż realnością swego fizycznego bytu. W szmaragdowych oczach zwierzęcia odbijały się jej najskrytsze pragnienia. Nic nie mogła przed nimi ukryć. Zdradzało ją jej własne ciało, jego nieodparta żądza posiadania jednorożca. Pożądanie, którym teraz płonęła, przewyższało swą mocą wszystko, co dotychczas dane jej było czuć. Zagrożenie, jakie stwarzał czarny jednorożec – realne, czy wymaginowane – nie mogło się z nim równać. Musiała rozwiązać jego zagadkę, choćby najwyższym kosztem. Musiała poznać prawdę.

Na przemian zalewały ją fale zimna i gorąca. Gdy wstała i ruszyła naprzód, czuła przedziwną lekkość. Drżała, gdy strach mieszał się w niej z oczekiwaniem, odwodząc ją od zmysłów i pozostawiając w niej tylko tę jedną potrzebę.

– Och, Ben! – myślała rozpaczliwie. – Dlaczego ciebie tu teraz nie ma?

Czarny jednorożec czekał cierpliwie. Wyglądał niczym spoglądająca stale na Willow,

hebanowa statua pokryta plamami cieni. Dziwne poczucie jego „zawsze” i „nigdy” odbijało się w myślach sylfidy, tak jak gdyby był on jej najpilniej strzeżonym pragnieniem, wydobytym na świat z głębi umysłu.

– Muszę to wiedzieć – szepnęła do jednoroźca, gdy w końcu stanęła przy nim.

Powoli wzniosła rękę.

Łąka, ongiś porośnięta bujną trawą i usiana kwiatami, teraz była tylko wypaloną połacią gołej ziemi, otoczoną przez las. Questor Thews stał na jej skraju i na próżno wypatrywał czegoś poprzez opary. Pokryta kurzem i popiołem postać bardziej niż kiedykolwiek przypominała stracha na wróble. Szare szaty i barwne jedwabie wisiały na nim w strzępach, a skórzane buty arlekina były poobdzierane i oblepione błotem. Przy ostatniej wymianie ognia pomiędzy Meeksem, demonem i Dirkiem, mag również wyleciał w powietrze. Gdy wszystko ucichło, stwierdził, że wisi na gałęziach wiekowego purpurowego klonu. Widok Questora najwyraźniej wprowadził w zachwyty mieszkające tam wiewiórki. Abernathy’ego, gnomów ani koboldów nie było w zasięgu wzroku. Ben, Willow i czarny jednorożec zniknęli. Questor zszedł na ziemię i udał się na ich poszukiwanie. Nie odnalazł jednak nikogo.

Dotarł w końcu do miejsca, w którym widział swych towarzyszy po raz ostatni. I tam nikogo nie spotkał.

Westchnął głęboko, a jego sowa twarz porały zmarszczki smutku. Tak chciałby wiedzieć więcej o tym, co się właściwie tutaj dzieje. Zaakceptował w końcu fakt, że ów obcy, podający się za Bena Holidaya, rzeczywiście nim jest. Człowiek wyglądający jak Ben okazał się Meeksem. Ich sny – Willow, Bena i jego własny – były w istocie tworem jego przyrodniego brata, częścią jakiegoś większego planu, który miałby mu zapewnić władzę nad krainą Landover i siłami magii. Lecz cóż zyskał przez pogodzenie się z tymi faktami? Nadal nie wiedział, co ma z tym wszystkim wspólnego czarny jednorożec. Nie rozumiał też, co Meeks chce poprzez swój plan osiągnąć. A co najgorsze – nie miał pojęcia, jak się którejkolwiek z tych rzeczy dowiedzieć.

Potań bokobrody i znowu westchnął. Oczywiście, musi być jakiś sposób. Musi tylko go wykoncypować.

– Hm... – mruknął w zamyśleniu. Lecz na niewiele to się zdało.

Wzruszył ramionami. Cóż, pozostając tutaj, nie mógł już niczego więcej osiągnąć.

Zaczął się odwracać i stanął twarzą w twarz z Meeksem. Jego przyrodni brat wrócił do swego normalnego wyglądu: wysoka, koścista postać o posiwiałych włosach i twardych, martwych oczach. Ciemnoniebieskie szaty spowijały jego ciało niczym całun. Stał nie dalej, niż o kilkanaście metrów, cofnięty o krok lub dwa między otaczające polanę drzewa. Odzianą w czarną rękawicę dłonią przyciskał mocno do piersi odnalezione księgi magii.

Questor poczuł, że ścisną go w żołądku.

– Długo czekałem na tę chwilę – szepnął Meeks. – Byłem bardzo cierpliwy.

Dziesiątki myśli w rozsypce przebiegały przez głowę Questora. Wszystkie zniknęły, pozostawiając tylko jedną.



– Nie boję się ciebie – rzekł cicho. Twarz Meeksa nie wyrażała niczego.

– A powinieneś, Questorze. Uważasz się za maga, a jesteś ciągle tylko nowicjuszem. I nigdy nie staniesz się nikim więcej. Mam moc, o której istnieniu ty nawet nie śniłeś. Mogę dokonać wszystkiego!

– Zdaje się, że z wyjątkiem schwywania czarnego jednorożca – odpowiedział odważnie Questor.

Martwe oczy błysnęły gniewem.

– Niczego nie rozumiesz! Ani ty, ani Holiday. Nikt. Gracie w grę, której nie możecie wygrać. A na dodatek gracie marnie. Jesteście tylko przeszkodą, której muszę się pozbyć. – Błada, pomarszczona twarz wyglądała jak maska pośmiertna. – Przetrwiałem wygnanie i załamanie się moich planów – to wszystko stało się za twoją przyczyną, twoją i tego króla-marionetki. I żaden z was nie rozumie, co właściwie zrobiliście. Jesteście żałośni!

Ciemne szaty zdawały się drzeć w miejscu, gdzie zwisał prawy, pusty rękaw.

– Kończy się już twój czas. Kończy się twoje życie, bracie. Jesteś sam. Ten pryzmatyczny kot już mi nie zagrozi. Holiday jest bezradny i opuszczony. Sylfida i jednorożec nie mają już dokąd uciekać. Pozostali twoi przyjaciele są już w moich rękach. Wszyscy za wyjątkiem psa. Ale on i tak nic dla mnie nie znaczy.

Serce Questora zdawało się pękać. Wszyscy inni są już więźniami Meeksa? Wszyscy z wyjątkiem Abernathy'ego? Meeks uśmiechnął się zimnym, pustym uśmiechem.

– Byłeś ostatnim, który mógłby mi zagrozić. Teraz mam i ciebie.

Questor zeszytniał, strach ustąpił w nim miejsca gniewowi.

– Mylisz się! Nie masz mnie i nigdy nie będziesz mnie miał! Śmiech Meeksa był bezdźwięczny.

– Czyżby?

Wzniósł nieco głowę, a zza otaczających go drzew wyłoniły się dziesiątki cieni. W świetle dnia cienie zamieniać się zaczęły w małe dzieciaki o spiczastych uszach, zawziętych, pomarszczonych twarzach i pokrytych łuską ciałach. Świńskie noski wachały leśne powietrze, a między szeregami ostrych zębów wiły się wężowe języki.

– Skrzaty-demony! – jęknął Questor.

– Chyba trochę ich za wiele, byś mógł sobie z nimi poradzić, co? – w słowach jego przyrodniego brata pobrzmiwało nie ukrywane zadowolenie. – Nie zamierzam zawracać sobie tobą głowy, Questorze. Wolę pozostawić ciebie im.

Demoniczne skrzaty całkowicie otoczyły Questora. Ich oczy jaśniały pożądliwie, a języki prawie dotykały nosów. Meeks miał rację. Było ich zbyt wiele. Niemniej jednak Questor nie ruszył się z miejsca. Zresztą nie było sensu próbować ucieczki. Jego jedyną szansą było działać przez zaskoczenie...

Zbliżyły się na jakieś pięć metrów, tworząc ciasny krąg potwornych twarzątek o ostrych zębach. Wtedy Questor zawirował, wywijając ramionami, jakby dzierżył w nich sztuczne ognie,

i uderzeniem magicznych sił wyrzucił je wszystkie w powietrze: znikąd buchnęły kłęby pary i dymu, odrzucając małe potworki. Questor rzucił się do rozpaczliwej ucieczki ku ceniom lasu, przeskakując ponad wijącymi się, oślepiionymi chwilowo demonicznymi skrzatami, przypominającymi teraz gromadki błota. Ciskały za nim okrzyki wściekłości. Momentalnie poderwały się i ruszyły w pogoń. Odwrócił się, by stawie im czoła. Znowu wywołał magiczną eksplozję pośrodku ich stada i stworzenia ponownie się rozproszyły. Było ich jednak zbyt wiele! Nadciągały z wszystkich stron, kotłując się, wrzeszcząc i czepiając szat maga. Questor usiłował się bronić, lecz było już za późno. Właziły na niego, szarpiąc go i wpijając się w jego szaty. Zachwiały się pod ich ciężarem i runął na ziemię.

Pazury wczepiły się w jego szaty, potem w gardło. Nie mógł złapać oddechu, zaczął się dusić. Walczył dzielnie, lecz wrogów były dziesiątki. Zaczęło mu ciemnieć przed oczami.

Przez moment zdawało mu się, że poprzez kłębowisko demonicznych skrzatów dostrzeże uśmiechniętą twarz Meeksa. Potem stracił przytomność.

Dłonie Willow były o centymetry od delikatnej, hebanowej głowy zwierzęcia, gdy usłyszała cichy szelest liści i krzewów. Ktoś się zbliżał. Cofnęła się szybko od jednoroźca, spłoszona i czujna.

Chwilę później spośród liści wyłoniła się włochata głowa i rozejrzała dookoła uważnie przez nieco przekrzywione przez sosnowe gałęzie okulary.

Był to Abernathy.

– Willow, czy to ty? – zapytał skryba z niedowierzaniem. Przedarł się przez gałęzie i wyszedł na polanę. Jego strój był w strzępach, a większej części tuniki w ogóle nie miał. Po butach nie pozostał nawet ślad. Jego futro było osmalone, a twarz wyglądała, jakby wsadził ją do kubła z popiołem. Ciężko powłóczył nogami, oblizując językiem czarny nos.

– Musisz wiedzieć, że miewałem już lepsze dni – rzekł. – Może miałem i gorsze, ale tych nie pamiętam. Przetrasnąłem całą okolicę w poszukiwaniu ciebie i tego... tego zwierzęcia. Bóg jeden wie – bo ja z pewnością nie – dlaczego to robie! No i co? Znaleźliśmy nie tylko ciebie i jednoroźca, ale i Meeksa. Potem pojawił się ten kot. A później ta bezsensowna próba magicznych sił, która poza wypaleniem okolicznych lasów, niczego nikomu nie dała. Zostaliśmy rozrzućeni na cztery wiatry i żadne nie może odnaleźć pozostałych!

Nabrał pełną pierś powietrza i wydał długie westchnienie.

– Czy widziałaś innych?

Wyrwana z zamyślenia Willow potrząsnęła głową.

– Nie, nikogo. – Jej myśli krążyły wokół jednoroźca, wokół trawiącego ją pragnienia, potrzeby wyciągnięcia rąk ku zaczarowanemu zwierzęciu...

– Co robisz? – zapytał nagle Abernathy, płosząc ją swym głosem. Skryba dostrzegł jej konsternację. – Czy wszystko w porządku, Willow? Co chcesz zrobić z jednoroźcem? Wiesz przecież, jak niebezpieczne jest to stworzenie. Oddal się od niego, proszę. Chodź tu i pozwól mi się tobie przyjrzeć. Król pragnąłby...

– Widziałeś go? – spytała ostro, chwytając się ostatniej deski ratunku przed tym, co nieuchronne. – Czy jest gdzieś w pobliżu?

Abernathy poprawił okulary.

– Nie, Willow, nie widziałem go. Zniknął tak, jak i cała reszta. – Przerwał na chwilę. – Czy wszystko z tobą w porządku?

Szansa na ratunek zniknęła. Sylfida w milczeniu skinęła głową. Czowała ciepło popołudniowego słońca, żar dnia i bliskość powietrza. Była w potrzasku, który mógł się stać jej grobem. Głosy ptaków i owadów oddaliły się, obecność Abernathy'ego straciła swe znaczenie. Jej pożądanie czarnego jednorożca zaczęło płonąć na nowo. Odwróciła się od skryby i zaczęła wyciągać ramiona ku zwierzęciu.

– Czekaj! – Abernathy niemal krzyknął. – Co robisz, dziewczyno! Nie dotykaj tego stworzenia! Czy nie zdajesz sobie sprawy, co ci zagraża?!

– Nie zbliżaj się, Abernathy – odpowiedziała cicho, lecz mimo wszystko zawahała się.

– Czy jesteś równie szalona, jak oni wszyscy? – warknął w złości. – Czy wszyscy poszaleli? Czy nikt prócz mnie nie rozumie, co się tutaj dzieje? Sny to podstęp Meeksa! To on chciał poprzez nie sprawić, byśmy służyli jego interesom. Zrobił z nas głupców! Możliwe, że jednorożec należy do niego! Nie wiesz przecież, czemu on służy! Nie dotykaj go!

Willow rzuciła w kierunku psa krótkie spojrzenie.

– Muszę. Potrzebuję tego.

Abernathy ruszył naprzód, lecz dostrzegłszy w zielonych oczach sylfidy ostrzeżenie, szybko się zatrzymał.

– Willow, nie rób tego! Znasz przecież wszystkie te opowieści i legendy! – Jego głos przeszedł w szept. – Zginiesz, dziewczyno!

Przez dłuższą chwilę patrzyła na niego w milczeniu, po czym uśmiechnęła się.

– Tak, trafiłeś w sedno, Abernathy. Już jestem zgubiona. Szybko uniosła dłonie, składając je na karku czarnego jednorożca.

Poczuła, że przez jej ciało przepływa huragan zimnego ognia. Ogień z dłoni przemknął po ramionach i dalej, w dół jej ciała. Zesztywniała i gwałtownie zadrżała. Odrzuciła do tyłu głowę, z trudem łapiąc oddech. Słyszała za plecami szaleńcze krzyki Abernathy'ego, lecz po chwili ślad po nim zupełnie zniknął. Był tam, lecz dla niej już niewidzialny. Nie widziała niczego prócz twarzy jednorożca – bezcielesny kształt osadzony w pustej przestrzeni. Ogień pochłaniał ją, a mieszając się z jej pożądaniem, obracał się w niepohamowaną ekstazę. Traciła już kontrolę nad sobą, czuła, że coś rozrywa ją na części. Jeszcze chwila, a całkowicie przestałaby być sobą.

Spróbowała oderwać dłonie od szyi zaczarowanego zwierzęcia, lecz stwierdziła, że nie jest w stanie tego uczynić. Była z nim połączona. Byli jednym.

Prążkowany róg lśnił białą mocą magii. Przez umysł Willow przemykała mieszanina obrazów. Było jakieś puste i zimne miejsce. Pojawiał się Ben, Meeks, Paladyn.

W końcu skądś odezwał się krzyk takiego przerażenia i tęsknoty, że obrazy rozsypały się na

kawałki, jak gdyby były zrobione ze szkła.

„Uwolnij mnie!”

Ów krzyk rozpacz przełamował granice jej wytrzymałości. Krzyknęła, a jej własny krzyk odrzucił ją swą mocą do tyłu, oddzielając wreszcie od jednorożca. Upadłaby, gdyby nie Abernathy, który zdołał ją podtrzymać.

– Widziałam – westchnęła i nic więcej nie mogła powiedzieć.

Lecz echo jej krzyku wciąż dźwięczało pomiędzy drzewami.

## WALKA

Krzyk dobiegł Bena Holidaya, gdy klęczał samotnie w lesie nad niewielkim strumieniem, wreszcie doszedłszy do siebie. W dłoniach z niedowierzaniem pieścił błyszczący srebrem medalion władcy Landover. Krzyk dobiegł spośród drzew – wysoki, żalony skowyt smutku i strachu. Unosił się przez pewien czas w przestworzach, jak poszum wiatru w nieruchomym górskim powietrzu.

Ben potrząsnął głową, wyciągając szyję. Nie było wątpliwości. To była Willow.

Zerwał się na równe nogi, zachłannie ściskając w dłoniach medalion. Rozglądał się po lesie tak, jakby to, co wystraszyło Willow, czaiło się również na niego. Przeszył go dreszcz przerażenia. Co stało się Willow? Ruszył przed siebie, rozpaczliwie rozejrzał dokoła i stwierdził, że nie wie, skąd dobiegł jej głos. Zdawało się, że dobiega z wszystkich kierunków jednocześnie. Do licha! Z pewnością Meeks słyszał ten krzyk równie wyraźnie. Meeks i jego skrzydlaty demon! Możliwe, że Meeks już...

Ben ścisnął medalion tak mocno, że ten wbijał mu się w dłoń. Willow! Obraz sylfidy stanął mu przed oczami. To przecież on miał strzec tego pięknego, delikatnego stworzenia. Znowu wspomniawszy słowa Matki Ziemi, obciążające go odpowiedzialnością za bezpieczeństwo Willow, oraz swoją obietnicę. Rozdzierające uczucia pozostawiły go roztrzęsionego, oszalałego. Prawdy, którym dotychczas nie dawał do siebie dostępu, zalały teraz jego duszę.

Wszystkie sprowadzały się do jednej.

Kochał Willow.

Doznał wzburzonego ciepła zaskoczenia i dziwnej ulgi. Przez cały ten czas zaprzeczał swym uczuciom, niezdolny z nimi się pogodzić. Po śmierci Annie nie chciał już mieć nikogo tak bliskiego. Miłość oznaczała odpowiedzialność i narażanie się na ból i utratę kochanej osoby. Nie chciał tego. Lecz uczucie przetrwało w nim – tak, jak to dzieje się z uczuciami – bo przecież nie było ono jego własnością, by mógł je po prostu od siebie odrzucić. Jego realność uderzyła go po raz pierwszy tej nocy po opuszczeniu wschodnich pustkowi, gdy udało mu się uciec przed Nocnym Cieniem i Strabo. Odkrył je w swym dialogu z Dirkiem jako przyczynę, dla której tak uporczywie i pilnie poszukiwał Willow.

– Dlaczego tak biegniesz? Dlaczego musisz się tak spieszyć? Dlaczego musisz odnaleźć Willow? – pytał Dirk.

– Bo ją kocham – brzmiała odpowiedź Bena.

I tak w istocie było, lecz Ben nie dopuszczał do siebie tej myśli aż do tej chwili; nie chciał wnikać w jej sens i znaczenie.

Teraz zabrało mu tylko kilka sekund. Myśli, rozumowanie, całe rozważania przemknęły przez jego umysł w ledwie mierzalnym ułamku chwili. Wyglądało to tak, jak gdyby wszystko, co czekało tak długo na decyzję skoncentrowało się w tym jednym momencie.

Lecz ów moment wystarczył.

Ben nigdy się nie wahał. Zdarzyło się to raz – zdawało się, że musiało to być tysiące lat temu. Wypuścił z dłoni srebrny, grawerowany medalion i pozwolił opaść mu na swą pierś. Słońce siało plamy swego światła po lesie.

Wezwał Paladyna.

Na skraju małej polanki coś rozjaśniło cienie i mrok. Ben wznosił głowę, a jego oczy błysnęły podnieceniem. Myślał, że już nigdy nie będzie mógł tego dokonać i miał nadzieję, że nie będzie to konieczne. Tymczasem teraz tak tego pragnął! Jakaś cząstka zaczynała się już z niego wyrwać.

Z jasności wyłoniła się postać Paladyna. Jego biały rumak parskał i stąpał niespokojnie. Srebrna zbroja błyszczała, skrzypiąc w zawiasach. Przypasany oręż gotów był do użycia. Duch innych czasów i innego życia powrócił...

Ben poczuł, że medalion zaczyna parzyć go ogniem i lodem na przemian, a potem te uczucia wymieszały się. Poczuł, że oddziela się, wydobywa ze swego ciała.

Willow! Jeszcze raz w głowie usłyszał własny głos wykrzykujący jej imię.

To była jego ostatnia myśl. Z medalionu, w kierunku oczekującego Paladyna, wydobył się promień srebrnego światła. Ben poczuł, że unosi się i łączy z ciałem królewskiego błędnego rycerza. Wokół niego zatrzasnęła się zbroja. Zamknięty był w metalowej skorupie. Świadomość tego, kim i czym był, zniknęła. Pamięć Paladyna stała się jego pamięcią. Przez jego głowę przebiegały tysiące wizji z innych miejsc i czasów – tysiące egzystencji wojownika, którego umiejętności nigdy nie zostały przewyższone, mistrza, który nigdy nie został pokonany.

Ben Holiday zniknął. Stał się Paladynem.

Dostrzegł na brzegu strumyczka stojącą jak posąg brodatą postać o zmierzwionych włosach. Była nieruchoma jak porzucona, sponiewierana skorupa. Wiedział, że to król Landover, lecz porzucił myśl o nim.

Przez chwilę krążył na swym białym wierzchowcu, po czym ruszył naprzód i zniknął wśród leśnych krzewów i drzew.

Krzyk Willow niemal natychmiast sprowadził Meeksa. Wyłonił się z cieni walących się ścian Mirwouk, dosiadając swego skrzydlatego demona. Jego ciemne szaty powiewały na tle słonecznego popołudniowego nieba. Demon z sykiem wylądował na zboczu, ciężko siadając przy kępie sosen po przeciwnej stronie polany. Złożył pokryte skórą skrzydła wzdłuż węzowego ciała, a z jego nozdrzy buchnęły małe płomienie ognia. Z jego grzbietu unosiła się para.

Meeks powoli zsunął się z pokrytego łuskami grzbietu. Jego twarde spojrzenie utkwione było w oddalonym o kilkanaście metrów, przestępującym z nogi na nogę i parskającym z przerażenia, jednorożcu. W mocnym uścisku prawego ramienia dzierżył odnalezione księgi magii.

Abernathy wepchnął nadal osłupiałą Willow za swoje plecy.

– Trzymaj się od nas z dala, magu! – nakazał odważnie.

Meeks zignorował ostrzeżenie. Patrzał na jednorożca. Podeszedł o kilka kroków do przodu,

rzucił krótkie spojrzenie w stronę Willow i Abernathy'ego, potem znowu na jednoroźca, i zatrzymał się. Jednorożec poruszał się nerwowo i drżał, jak gdyby już był schwytany. Jednak nadal nie rzucał się do ucieczki.

– Willow, co tu się dzieje? – nagle warknął Abernathy. Sylfida ledwie trzymała się na nogach. Nieprzytomnie potrząsała głową, a jej słowa były ledwie słyszalne.

– Widziałam... – powtarzała – obraży... widziałam wszystko. Lecz było ich tyle... nie potrafię...

Mówiła od rzeczy – zdawało się, że nadal jest w szoku. Abernathy podtrzymał ją i powoli posadził na ukwieconej trawie. Potem odwrócił się do Meeksa.

– Ona nie może ci niczego zrobić! – krzyknął, natychmiast ściągając na siebie spojrzenie czarnoksiężnika. – Dlaczego nie pozwolisz jej odejść? Jednorożec należy do ciebie, jeśli go chcesz; swoją drogą, nie mam pojęcia, do czego mógłby ci się przydać. Wszystkim, którzy z nim się zetknęli, przynosił pecha!

Meeks patrzył na niego bez słowa.

– Za chwilę pojawią się tutaj inni! – rzekł Abernathy. – Lepiej stąd zmykaj!

Meeks uśmiechnął się chłodno.

– Chodź tu do mnie, skrybo – poprosił cicho. – Może powinniśmy o czymś porozmawiać.

Abernathy zawahał się, rzucił krótkie spojrzenie ku Willow, wziął głęboki oddech i ruszył przez polanę. Był sparaliżowany strachem. Spotkanie z Meeksem i jego ulubionym demonem było chyba ostatnią rzeczą, jaką chciałby w życiu zrobić – a teraz właśnie to czynił. Wyprostował się odważnie zdecydowany, by poznać prawdę. W zasadzie i tak nie miał wyboru. Musiał zrobić coś, żeby uratować dziewczynę, a to co robił, wydawało mu się w tej chwili jedyną możliwością. Dzień był ciepły i spokojny: byłby to piękny dzień na zajęcie się czymkolwiek innym niż to, co robił teraz Abernathy. Szedł tak wolno, jak to tylko było możliwe i modlił się, by jego przyjaciele pojawili się tutaj, zanim czarnoksiężnik zamieni go w kolejną całopalną ofiarę.

Zatrzymał się o kilkanaście kroków od Meeksa. Pomarszczona twarz maga była zwodniczą maską fałszywego ciepła.

– Podejdź bliżej – szepnął.

Abernathy wiedział, że już po nim. Nie było już żadnej drogi ucieczki. Być może mógł opóźnić to, co miało się stać o parę chwil – lecz to było wszystko, co był w stanie zrobić. Jednak nawet te parę chwil mogło uratować Willow.

Podszedł jeszcze o kilka kroków.

– O czym mamy rozmawiać? – zapytał ostro. Chłodny uśmiech zniknął z twarzy maga.

– Czemu nie o twoich przyjaciółkach i ich przybyciu? Wykonał krótki ruch księgami i z otaczających ich drzew wyłonił się krąg wykoślawionych postaci. Były wszędzie, otaczając ich. Okropne, świńskie twarzyczki o ostrych zębach i węzowych jęczyczkach. Pochrzakiwały i pokwikiwały zapalczywie. Abernathy poczuł, jak włos jeży mu się na grzbiecie. Tuzin małych potworków popychał przed sobą Questora Thewsa, Buniona, Parsnipa, gnomy-dodomy. Wszyscy

byli zakneblowani i zakuci w łańcuchy.

Meeks odwrócił się, a na jego twarz powrócił uśmiech.

– Zdaje się, że twoi przyjaciele na niewiele by ci się zdali. Ale dobrze, że poczekałeś, aż się tutaj pojawią.

Abernathy postradał ostatnią nadzieję na ratunek.

– Uciekaj, Willow! – krzyknął i wściekle ujadając, rzucił się na Meeksa. Robiąc to, miał bladą nadzieję, że zdoła zaskoczyć maga i wytrącić mu z ręki owe cenne księgi. I niemal udało mu się to uczynić. Meeks był tak zajęty dyrygowaniem swoją małą armią potworków, że nawet nie przypuszczał, że pies zdecyduje się go zaatakować. Abernathy siedział na nim, zanim czarownik zorientował się, co się dzieje. Lecz magia, którą władał Meeks, była szybsza niż myśl i mag użył jej bezzwłocznie. Z ksiąg wydobył się zielony płomień i uderzył jak młot w Abernathy'ego. Pokryty miękką sierścią biały wheaten terier wyleciał w powietrze i spadł na łeb na szyję. Leżał bez ruchu, a dym unosił się z jego osmalonego futra. Chroniąca Meeksa ściana ognia zniknęła. Księgi zajaśniały i zgasły.

Czarnoksiężnik spojrział przez polanę w kierunku miejsca, w którym na trawie, obok czekającego jednoroźca, bezwładnie siedziała na ziemi Willow.

– Wreszcie – wyszeptał niskim głosem. Skinął lekko na demoniczne skrzaty i ich krąg zaczął się zacieśniać.

Na małej polanie zapanowała martwa cisza – zupełnie jakby przyroda położyła palec na swych ustach, mówiąc całemu światu „szaaa”. Czas zdał się biec wolniej. Meeks czekał niecierpliwie, obserwując zawężający się krąg demonicznych skrzatów. Latający demon parskał, a z jego nozdrzy unosiła się para. Willow siedziała z pochyloną głową, ciągle jeszcze oszołomiona. Długie włosy opadały jej na ramiona niczym welon. Czarny jednorożec – cień wyrwany boleśnie z ciemności na światło dnia – zbliżył się do niej i tylko co jakiś czas przestępował z nogi na nogę. Opuścił pysk i delikatnie pocierał nim ramię Willow. Magiczny, biały blask jego rogu obrócił się w czerń.

Nagły podmuch wiatru przemknął ponad górskimi szczytami i zagwizdał pomiędzy drzewami. Jednorożec gwałtownie wznosił głowę i nastawił uszy. Jego róg zajaśniał mocniej, niż słońce. Słyszał dźwięki, których nikt inny nie mógł usłyszeć – dźwięki, na które czekał od stuleci.

Ściana lasu – drzewa i krzewy – zdała się nagle eksplodować, jak gdyby ktoś rozdarł ją potężną pięścią. Wiatr zawył w powstałej przesiece i uderzył z niej biały błysk światła. Meeks i jego skrzydlaty demon cofnęli się instynktownie, a skrzaty-demony padły na ziemię, pokwikuując.

Grzmot przerodził się w odgłos tętentu kopyt i z głębin swej mrocznej egzystencji wyłonił się gotowy do walki Paladyn.

Meeks wydał jęk wściekłości i niedowierzania. Jego skrzaty zdążyły już się rozpierzchnąć na cztery wiatry. Przerazenie wymiotło je tak, jak wiatr rozwiewa suche liście. Wolały nie mieć do



czynienia z Paladynem. Meeks odwrócił się, przyciskając mocno ręką odzianą w skórzaną rękawicę magiczne księgi do swych ciemnych szat. Krzyknął coś niezrozumiałego do potwora, który rzucił się naprzód z sykiem.

Biały rumak Paladyna nieco skręcił i prawie nie zwalniając, gnał na spotkanie z demonem.

Z paszczy potwora buchnęły płomienie, ogarniając zbliżającego się jeźdźca i konia. Lecz Paladyn przedarł się przez ścianę ognia i gnał na spotkanie bestii z opuszczoną lancą. Demon jeszcze raz zionął ogniem, który pochłoniął Paladyna. Willow wzniosła głowę i ujrzała, jak jeździec i koń znikają w płomieniach. Nagle zdała sobie sprawę, że skoro jest tutaj Paladyn, musi być i Ben.

Płomienie wzniosły się z traw porastających łąkę, dosięgając pobliskich drzew. W wszystkich stron buchnął żar. Ale Paladyn ponownie cało wyszedł z opresji. Jego zbroja i rumak były pokryte popiołem i sadzą. Siedział już niemal demonowi na karku, z lancą przygotowaną do ciosu. Potwór zbyt późno zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Usiłował wzbiec się w powietrze, lecz lanca Paladyna rozorała pokrywające go łuski i twarde płyty, wbijając się w potężną pierś. Skrzydlaty wąż wrzasnął i cofnął się, gdy poczuł ukłucie wbijającej się w niego broni. Próbował jeszcze bezskutecznie się podnieść, lecz nie był już w stanie. Z przebitym sercem runął na ziemię. Upadł na połacie wypalanej trawy, zadrżał i znieruchomiał.

Paladyn przerwał atak, gdy demon był już w przedśmiertnych drgawkach. Uwolniwszy się od dogorywającej bestii, znowu zawrócił, wyciągnął olbrzymi miecz i skierował swego białego wierzchowca ku Meeksowi, by dokończyć dzieła.

Lecz Meeks był już na to przygotowany.

Twarda, pomarszczona, stara twarz znieruchomiała w skupieniu. Mag przygryzł wargi, odsłaniając zęby. Wzywał całą moc magii, jaką dysponował.

Złowrogie zielone światło błysnęło w połowie drogi pomiędzy nim i zbliżającym się błędnym rycerzem. Meeks krzyknął coś i zeszywniał. Odchylił głowę do tyłu, a zielona łuna zaludniła się czerepami.

Z ognia wyłonił się szyk zbrojnych szkieletów, dosiadających bezcielesnych rumaków – w połowie kozłów, w połowie węży. Willow liczyła: trzech, czterech, pięciu – razem było ich sześciu. Szkielety trzymały w swych kościstych, nagich dłoniach miecze i maczugi. Nie okryte hełmami czaszki uśmiechały się w znieruchomiałym grymasie. Jeźdźcy i rumaki byli czarni jak noc.

Obrócili się jak jeden i ruszyli pędem w kierunku Paladyna. Ten gnał im naprzeciw.

Willow obserwowała przebieg bitwy, siedząc tuż za czarnym jednorożcem. Przyszła już do siebie – zmysły pracowały normalnie, a myśli znowu stały się jasne. Ujrzała Paladyna, ze szczękiem żelaza ścierającego się z czarnymi jeźdźcami. Wokół walczących wzniosły się tumany kurzu. Zdołała dostrzec, jak jeden z czarnych jeźdźców spada z wierzchowca i rozpadając się na części, wali się na ziemię, tworząc stos luźnych kości. Jeźdźcy krążyli i ścierali się, czemu towarzyszyły przerażające dźwięki. Na moment jej myśli odwróciły się od bitwy, koncentrując

się nie na Paladynie, a na Benie. Gdzież on jest? Dlaczego nie ma go tutaj? Dlaczego nie przybył razem ze swym wspaniałym rycerzem?

Kolejny czarny jeździec zwał się z konia, rozsypując się w stertę, które chrupały jak suche gałęzie pod kopytami białego rumaka. Paladyn oderwał się od przeciwników, zawrócił i uderzył na trzeciego z nich. Jego olbrzymi miecz błysnął srebrem, zataczając śmiertelny łuk. Pozostali jeźdźcy zbili się razem, uderzając na niego jednocześnie. Jego zbroja dźwięczała i iskrzyła pod ich uderzeniami. Paladyn cofał się.

Willow podniosła się na kolana. Paladyn był w niebezpieczeństwie. Wtedy niewielki płomień zielonego ognia buchnął ponad rozsypanymi kośćmi pokonanych jeźdźców i z oparów podniosło się sześć nowych szkieleatów, by dołączyć do swych kompanów. Willow poczuła skurcz w żołądku. Wróg podwoił swe siły. Teraz było ich zbyt wielu – nawet, jak dla Paladyna.

Dzięki rosnącej w niej sile determinacji zdołała wstać. Questor, koboldy i gnomy byli nadal skuci i bezradni. Abernathy nie odzyskał jeszcze przytomności. Tylko ona mogła pomóc Paladynowi.

Nikt inny nie mógł pomóc Benowi.

Wiedziała, co musi uczynić. Czarny jednorożec cicho stał obok. Jego rozumne, szmaragdowozielone oczy utkwione były w niej. Mogła z nich czytać, co powinna teraz zrobić – i było to zgodne z tym, co już i tak widziała w swym sercu.

Wzięła głęboki oddech, wyprężyła ramiona, i jeszcze raz objęła jednorożca.

Magiczna moc przeszła ją w jednej chwili. Delikatne ciało jednorożca zadrżało z ulgą i rozpoczęły się wizje. Zdawały się wynurzać spod powierzchni świadomości sylfidy, kłębiąc się przed oczami. Ich intensywność aż odrzuciła Willow do tyłu. Walczyła z nagłym pragnieniem, by krzyknąć. Tym razem ciągota była mniejsza, pożądanie łatwiejsze do opanowania. Zmagala się, by nimi zawładnąć. Kolejne wizje zaczęły zmieniać się wolniej, w bardziej uporządkowany sposób i w określonej kolejności. Towarzysząca im mieszanina bólu i smutku również nie była tym razem tak przejmująca. Ich jasność przybladła nieco, by stać się możliwą do zniesienia.

Zaczęła rozpoznawać, co przedstawiają wizje. Jej palce pieściły jedwabistą, delikatną szyję jednorożca. Łączyły ich teraz więzy magii.

Wtem dał się słyszeć krzyk.

„Uwolnijcie mnie, czarodziejskie istoty!”

Głos należał do jednorożca i do nikogo zarazem. Coś w jednorożcu było realne; reszta – nie. Obrazy pojawiały się i bladły w myślach Willow, a ona patrzyła, jak przebiegają. Czarny jednorożec pragnął wolności. Przybył w jej poszukiwaniu. Wierzył, że potrafi ją odzyskać dzięki... – dlaczego? – ...dzięki pomocy Bena. Król może go uwolnić, gdyż to król włada magiczną mocą Paladyna, a tylko Paladyn jest wystarczająco potężny, by stawić czoło magii, która krępowała jednorożca – magii, którą posługiwał się teraz Meeks. Ale przecież prawowity król Landover zniknął z Sterling Silver i jednorożec sam się błąkał po całym kraju w jego poszukiwaniu. Zamiast króla pojawiła się poszukująca jednorożca Willow. Miała ze sobą złotą

uprząż, której ongiś przygotowali magowie, by schwytać to zwierzę, gdy po raz pierwszy udało mu się wyrwać na wolność. Jednorożec lękał się i Willow, i uprząży. Nie wiedział, co dziewczyna zamierza zrobić, więc uciekał przed nią, póki nie zdał sobie sprawy, że jest dobra, że zamierza mu pomóc i że chce doprowadzić go do króla. Willow poznałaby króla nawet w przebraniu, nawet gdyby sam król nie poznawał siebie...

Obrazy zaczęły teraz biec szybciej i Willow znowu próbowała wstrzymać je siłą woli, by nie uronić nic z ich znaczenia. Jej oddech stał się szybki, jak po jakimś dłuższym biegu. Na jej twarzy pojawiła się błyszcząca warstewka potu.

Głos w jej głowie znowu krzyczał.

„Władca utracił swoją moc – nie może mi jej udzielić! Nie można mnie uwolnić!

W głosie tym brzmiało szaleństwo. Wizje szeptały natarczywie. Sny, które sprawiły, że Willow poszukiwała jednorożca, były mieszaniną prawd i kłamstw. Część z nich pochodziła od czarnoksiężnika, część od czarodziejskich istot... Czarodziejskie istoty! Czy to one zesłały jej sny?... Aby odkryć prawdę, trzeba to wszystko połączyć. Połączyć tak, by Paladyn mógł spotkać się z magiem i by mocniejszy mógł zwyciężyć. Mocniejszy – a więc dobry. I wtedy księgi magii mogłyby w końcu... mogłyby i musiałyby...

Coś zaczęło wdzierać się w wizję – jakiś inny rodzaj obrazów, myśli więzionych w czarnym jednorożcu przez niezliczone stulecia. Willow zeszywniała, a jej ramiona zacisnęły się wokół smukłej szyi zwierzęcia. Poczowała jeszcze raz wzbierający w sobie krzyk, krzyk nieopanowany, szaleńczy. W wizjach dojrzała coś nowego. Czarny jednorożec nie był pojedynczym stworzeniem – był wieloma istotami.

– Och, Ben! – krzyknęła bezgłośnie. W obrazach widziała wiele żywych istot, walczących o wolność i nie mogących jej zdobyć, tęskniących za przedmiotami i światami, których Willow nie rozumiała, a nawet nie wyobrażała sobie. Przeszywające ją emocje zatrzęsły nią. Uwięzione dusze, skrepowane żywe stworzenia, zdradliwie użyte moce magiczne – Ben!

Wtedy pojawił się nagle obraz zaginionych ksiąg magii, zamkniętych w ciemnej, sekretnej kryjówce – w miejscu pachnącym złem. Potem zjawił się obraz ognia buchającego z jednej z tych ksiąg, płonącego z intensywnością nowo narodzonego życia. Z tego ognia wyskoczył czarny jednorożec – jeszcze raz wolny, pędzący ku jasności, szukający...

Krzyk odezwał się jeszcze jeden, ostatni raz.

„Zniszcz księgi!”

Tym razem był to krzyk rozpaczny. Niemal pisk. Powstrzymał potok obrazów, przeszywając wszystko swą gwałtownością. Ból, który wyzwolił, był nie do zniesienia.

Krzyk Willow w końcu wydobył się z jej gardła, wznosząc się ponad odgłosami bitwy. Sylfida oderwała się od czarnego jednorożca i runęła do tyłu, niemal tracąc przytomność pod wpływem tych przejmujących doznań. Padła na kolana, pochylając głowę w przypiływie mdłości i chłodu. Wiedziała, że musi zginąć, lecz jednocześnie wiedziała, że nie umrze. Czuła, jak czarny jednorożec nerwowo podryguje obok niej.

Słowa tego ostatniego krzyku pojawiły się jako szept na jej ustach.

„Zniszcz księgi!”

Podniosła się, skulona wpół i wykrzyknęła je w kierunku polanki, będącej teraz polem bitwy.

Słowa te były jak cienkie kartki papieru unoszone przez huragan. Nie słyszał ich pochłonięty ferworem walki Paladyn. Nie słyszał ich i Meeks, skupiony całkowicie na kierowaniu magicznymi siłami, które wezwał na ratunek. Questor Thews, Bunion, Parsnip, Phillip i Sot, opuszczeni przez swych oprawców – demoniczne karły – leżeli związani i zakneblowani na przeciwnym skraju polany.

Krzyk Willow usłyszał tylko Abernathy.

Pies był półprzytomny i zdawało mu się, że słowa te wydobywają się z mroku jego własnych myśli. Mrugnął zamglonymi oczami, usłyszał echo tych słów, a potem zgiełk toczącej się tuż obok niego bitwy. Zmusił się, by otworzyć oczy na całą szerokość.

Na środku polany Paladyn ścierał się z zastępem czarnych jeźdźców – mozaika ruchu i dźwięków. Willow i czarny jednorozec byli niewielkimi, nieruchomymi postaciami na przeciwnym krańcu polanki. Pozostałych przyjaciół nigdzie nie widział.

Dyszał, oblizując czubek nosa językiem. Poczul tępy ból rozchodzący się powoli po całym poturbowanym ciele. Pamiętał, co się z nim stało i gdzie się teraz znajduje.

Powoli przekreślił się tak, by móc lepiej widzieć. Meeks stał tuż obok niego. Pochłonięty rozgrywaniem bitwy pomiędzy swoimi czarnymi jeźdźcami i Paladynem, czarownik podszedł kilka kroków do przodu – i taka odległość dzieliła go teraz od Abernathy’ego.

Abernathy jeszcze raz usłyszał w głowie szept.

„Zniszcz te księgi!”

Pies starał się stanąć na nogach, lecz własne ciało nie było mu posłuszne. Opadł na ziemię. Pojawiły się inne myśli. Zniszczyć księgi? Zniszczyć jedyną szansę, by stać się na powrót człowiekiem? Jak mógł w ogóle brać to pod uwagę?

Kolejny czarny jeździec padł i dał się słyszeć trzask łamanych kości. Paladyn był osaczony ze wszystkich stron, a jego zbroja poczerniała od popiołu i pogięła się od ciosów mieczy i toporów. Przegrywał.

Abernathy wiedział, co oznacza to dla nich wszystkich. Musiał porzucić myśli o osobistych problemach. Znowu próbował się podnieść i tym razem udało mu się, choć nie na długo. Jego twarz wykrzywił wyraz zawodu.

Wtedy Meeks przesunął się nieco do tyłu i nagle jego nogi znalazły się o kilkanaście centymetrów od pyska Abernathy’ego. Mag nosił miękkie buty – noga nie była chroniona. Pies zawarczał. Oto jego ostatnia szansa.

Rzucił się głową w kierunku Meeksa i zacisnął szczęki na kostce czarnoksiężnika, wgrzyłszy się głęboko. Meeks wydał okrzyk bólu i zaskoczenia, wznosił ręce, a księgi magii wyleciały w powietrze.

Potem wszystko stało się w jednej chwili. Przez polaną, obok Paladyna

i jeźdźców-szkieleatów, przez tumany kurzu i płomienie zielonego ognia, przebiegł błysk czarnego światła. Jednorożec gnał szybciej, niż myśl. Meeks jak opętany potrzasał nogą, próbując uwolnić się od szczęk Abernathy'ego i jednocześnie usiłując schwytać spadające księgi. Abernathy nie puszczał. Willow krzyknęła, a pies jeszcze głębiej wbił zęby. Wtedy dotarł do nich czarny jednorożec. Wzbił się w powietrze, a jego róg jaśniał światłem magicznych mocy. Przeszył spadające księgi, rozbijając ich oprawy, jakby zrobione były ze szkła. Kartki poleciały we wszystkie strony.

Na ziemię opadały stronice wypełnione podobiznami jednorożców i te, których środki były wypalone przez ów wewnętrzny ogień. Meeks wrzasnął, uwolniwszy się w końcu od szczęk Abernathy'ego. Z jego wyciągniętych rąk buchnął zielony płomień i uderzył niczym młot w szybującego jednorożca, zmieniając kierunek jego lotu. Jednorożec zawিrował w powietrzu, a z jego rogu buchnął biały ogień, wymierzony w czarownika. Jego moc pchnęła Meeksa do tyłu. Zielony płomień uderzył w jednorożca, biały w Meeksa. Ogień buchał raz z jednej, raz z drugiej strony, przelatując od maga do jednorożca i z powrotem, za każdym razem z większą mocą.

Paladyn wykonał szybki zwrot pośrodku polany, zataczając mieczem koło i niszcząc pozostałych czarnych wojowników. Ich kości posypały się na ziemię. Teraz była to tylko formalność. Magiczne siły dające moc czarnym jeźdźcom przestały działać. Padali jeden po drugim i znikali.

Wtedy Paladyn ruszył w kierunku Meeksa i jednorożca. Lecz i tak nie zdążyłby dotrzeć do nich na czas. Meeksa ogarnęły płomienie – magia jednorożca była zbyt potężna nawet dla niego. Wrzasnął po raz ostatni i eksplodował, pozostawiwszy po sobie tylko chmurę dymu. Czarny jednorożec zdematerializował się w tej samej chwili – cały był w ogniu. Uderzenie wyniosło go ku niebu. Wzniósł się w powietrze i zniknął.

Paladyn również zniknął. Wjechał w nagle zabłysła łunę białego światła – światła oczyszczającego z popiołu i kurzu, i uzdrawiającego jego srebrną zbroję, która załśniła jak nowa. Wszystko to trwało ułamek chwili. Potem błędny rycerz i biała łuna pobledli i zniknęli.

Abernathy i Willow bez słowa patrzyli na siebie, stojąc na opustoszałej polanie.

Wtedy stało się.

Widzieli to wszyscy: Willow i Abernathy przycupnięci na wypalonym stoku, ciągle oszołomieni przerażającymi scenami dopiero co zakończonej bitwy. Widział Questor, koboldy i gnomy-dodomy, bezskutecznie usiłujący podnieść się z ziemi, nadal skrępowani więzami założonymi przez demoniczne skrzaty. Widział to nawet Ben Holiday, który wypadł bez tchu z pomiędzy drzew, dobiegłszy z miejsca swej transformacji, nie wiedząc nawet, co go tutaj doprowadziło – świadom jedynie, że musi tu dotrzeć. Widzieli to i, jak jeden mąż, zadziwieni wstrzymali oddech.

Zaczęło się od wiatru, który poruszył nieruchome górskie powietrze: z początku delikatne tchnienie, potem nawałnica dźwięków, grzmiąca niczym rozszalały ocean. Wiatr zadał ponad ziemią, na której rozsypane były karty zniszczonych ksiąg, wzniecając tumany kurzu i popiołu,

zdmuchując kilka małych płomyków zielonego ognia, które nadal płonęły na łące. Karty wzniosły się ku górze, tworząc kształt leja. Spalone stronice zostały nagle uzdrowione, ich postrzępione brzegi zasklepiły się, a ich żółta barwa ustąpiła pierwotnej bieli. Karty wypełnione wizerunkami jednorożców wymieszały się z nimi tak, że stały się niemożliwe do rozróżnienia. Podmuch wiatru wznosił ścianę szaleńczo szeleszczących i trzaskających kart ku niebu.

Wtem stronice zaczęły się zmieniać. Rysunki zamigotały i zaczęły się wyginać. Jednorożce znienacka ożyły. Wyzwolone z życia w bezruchu, ruszyły galopem po obrzeżu leja. Były ich setki, wszystkie w galopie – smuga mocy i szybkości. Karty i oprawy ksiąg zniknęły, pozostały tylko jednorożce. Gnały przez powietrze i rżały w ekstazie, przekrzykując ryk wiatru.

Wolność – zdawały się wołać – wolność!

Wtedy lej rozpadł się, a niewypowiedziane piękne, pełne gracji, delikatne jednorożce wzniosły się ponad górską polaną, jak eksplodujące sztuczne ognie. Wznoszone magiczną siłą transformacji, zajęły cały nieboskłon i poszybowały w dal. Przez chwilę słychać było jeszcze ich głosy, które w końcu też ucichły.

W górach zapanowała cisza.

## LEGENDA

Czarny jednorożec nigdy nie istniał – rzekła Willow.

– Istniał, lecz tylko jako złudzenie – powiedział Ben. Questor Thews, Abernathy, Bunion i Parsnip, Phillip i Sot spoglądali po sobie zdezorientowani.

Siedzieli na skraju polany, w cieniu olbrzymiego dębu. W powietrzu unosił się jeszcze zapach wypalanej ziemi, przypominając o tym, co przed chwilą się tutaj wydarzyło. Ostatni z zielonych płomieni zdążył już wygasnąć, lecz nieważkie drobiny kurzu i zapach dymu stale unosiły się w rozświetlonym popołudniowym słońcem powietrzu. Abernathy oczyścił się z pyłu, inni uwolnieni zostali z więzów. Cała szóstka zgromadziła się teraz wokół Bena i Willow, którzy próbowali wyjaśnić to, co się wydarzyło. Nie było to łatwe, bowiem żadne z nich nie znało jeszcze wszystkich faktów. Musieli więc na bieżąco uzupełniać wzajemnie swe relacje.

– Może będzie łatwiej, jeśli zaczniemy od początku – zaproponował Ben.

Pochylił się i przysiadł ze skrzyżowanymi nogami. Był brudny, a jego ubranie zwisało w strzępach. Ale w końcu znowu wszyscy go rozpoznawali. Wyzbywając się podtrzymywanej przez siebie mocy ułudy, której sam padł ofiarą, zdjął z siebie maskę, i znowu mógł być rozpoznawany przez innych.

– Dawno temu czarodziejskie istoty zesłały do Landover białe jednorożce, by te udały się do niektórych śmiertelnych światów. Znamy to z historii. Jednorożce były najżywszym dowodem istnienia posiadanych przez zaczarowane istoty magicznych mocy, więc właśnie je posłano do światów, w których wierze w magię groziło zaniknięcie. W końcu choćby odrobina wiary w magię jest niezbędna do przetrwania każdego świata. Lecz jednorożce zniknęły. Zniknęły, gdyż magowie Landover schwyтали je i uwięzili. Chcieli wykorzystać ich magiczną moc dla swych własnych celów. Pamiętasz, Questorze, mówiłeś mi, że magowie – zanim król wysłał Paladyna, by się ich pozbyć – tworzyli ongiś potężną gildię, która oferowała możnym swe usługi? Założę się, że znaczną część swej magicznej mocy czerpali właśnie ze schwytych jednorożców. Nie mam pojęcia, jakim rodzajem czarów posłużyli się, by schwytać te stworzenia – może również magią ułudy. To chyba ich ulubiona sztuczka. Obojętnie jak tego dokonali – schwyтали jednorożce, zamienili je w szkice i uwięzili w tych księgach.

– Lecz nie w całości – rzekła Willow.

– Nie w całości – zgodził się Ben. – I to dopiero jest interesujące. Magowie oddzielili ciała od dusz tych zwierząt. Ciała umieścili w jednej księdze, dusze w drugiej! To osłabiło jednorożce. Łatwiej było nad nimi zapanować. Ciało pozbawione ducha nigdy nie może być silne. Magowie byli najwidoczniej dosyć potężni, by uwięzić jedno i drugie z osobna. Cała sztuka polegała na tym, by zapobiec ponownemu ich połączeniu.

– I właśnie tego niebezpieczeństwa obawiał się Meeks, gdy czarny jednorożec uciekł – dodała Willow.

– Zgadza się. Czarny jednorożec był bowiem zbiorowym duchem wszystkich uwięzionych białych jednorożców! – Ben zmarszczył brwi. – Rozumiecie – tak długo, jak magowie posiadali moc wystarczającą, by wiązać nią te księgi, jednorożce nie mogły wydostać się na wolność, a oni mogli bez przeszkód wykorzystywać ich magiczną moc. Księgi przetrwały nawet pogrom magów, którego na polecenie króla dokonał Paladyn. Prawdopodobnie przez jakiś czas trzymane były w ukryciu. Nawet później magowie, którzy byli na usługach króla, utrzymywali w tajemnicy prawdziwe źródło swej mocy. I tak księgi przechodziły z maga na maga, aż w końcu trafiły do Meeksa.

Ben położył palec wskazujący na ustach.

– Ale – w międzyczasie – pojawiły się pewne problemy z jednorożcami. Co jakiś czas uciekały. Jeśli tylko działo się coś, co zmniejszało czujność magów, im udawało się zbiec.

Rzecz jasna, nie zdarzało się to często, bo magowie pilnowali ksiąg jak oczka w głowie. Jednak od czasu do czasu... Zawsze udawało się uciec tylko duchowi – magia ducha jest bowiem zawsze silniejsza od magii ciała. Duch wypalił sobie drogę na wolność poprzez karty wiążącej go księgi i zniknął. Brak mu było jednak prawdziwej, fizycznej realności. Był tylko cieniem uformowanym z potrzeby i woli, chwilowo materialnym i chwilowo ożywionym – i niczym więcej. – Spojrzał na Willow, czekając na potwierdzenie. Sylfida skinęła głową. – A ponieważ będąc jedynie cieniem, był czarny, uważano go zazwyczaj za coś złego. Któż w końcu nie słyszał o czarnym jednorożcu? Z pewnością czarownicy rozpowiadali o jego niebezpiecznej, a nawet demonicznej naturze. Prawdopodobnie sami wymyślili kilka historii na potwierdzenie swych słów. To trzymało wszystkich z dala od jednorożca, gdy magowie zajęci byli jego chwytnością.

– Do tego celu służyła im złota uprząż – przerwała mu Willow, ciągnąc opowiadanie dalej – Czarownicy użyli swej magii, by ją stworzyć, gdy jednorożec uciekł po raz pierwszy. Uprząż posiadała moc, która potrafiła zwabić i okiełznać jednorożca, pozwalając tym samym na jego ponowne uwięzienie. Polowania trwały krótko – jednorożec nigdy nie zdołał dłużej się utrzymać na wolności. Odsyłano go z powrotem do magicznych ksiąg, wypalone stronicę przywracano do ich dawnego wyglądu. Magowie byli przezorni. Księgi były najpotężniejszym źródłem ich mocy i nie mogli ryzykować ich zniszczenia lub utraty.

Zwróciła się do Bena.

– To dlatego czarny jednorożec tak lękał się mnie przy pierwszym naszym spotkaniu. Bał się mnie, mimo że był w potrzebie. Za każdym razem, gdy się do niego zbliżałam, i później, gdy dotknęłam go, czułam jego strach. Uważał mnie pewno za narzędzie w rękach czarowników, którzy go więzili. Nie mógł znać prawdy. W końcu jednak zrozumiał, że nie jestem na usługach Meeksa.

– No i doszliśmy do czasów współczesnych – oznajmił dobitnie Ben. – Teraz z kolei Meeks wszedł w posiadanie ksiąg magii i wykorzystywał je tak, jak czynili to jego poprzednicy. Lecz gdy zmarł stary król, wszystko zaczęło chylić się ku upadkowi. Czarny jednorożec nie uciekał przez dłuższy czas, może nawet przez kilka stuleci. Złota uprząż nie była więc przez te wszystkie



lata potrzebna. Nie sędzę nawet, by poprzednicy Meeksa przywiązywali większą do niej uwagę, bo jeszcze w ich czasach musiała zostać po raz pierwszy skradziona przez Nocnego Cienia. Później ukradł ją Strabo. I tak uprząż krążyła pomiędzy nimi. Przypuszczam, że Meeks wiedział, gdzie ona jest. Jednak księgi magii były w jego rękach, a smok i wiedźma i tak nie znali prawdziwego przeznaczenia uprzęży. Kłopoty zaczęły się, gdy Meeks udał się do mojego świata, by znaleźć nowego króla dla Landover i ukrył księgi na czas swej nieobecności. Przypuszczam, że zamierzał szybko powrócić i nie sądził, by w tak krótkim czasie coś mogło się z nimi stać. Jednak sprawy potoczyły się inaczej. Kiedy, wbrew jego oczekiwaniom, nie przypełzłem, by oddać medalion, a Żelazny Mark nie zdołał mnie wykończyć, Meeks utknął nieoczekiwanie w moim starym świecie, podczas gdy jego księgi pozostawały tutaj. Magiczna moc, która więziła jednorożce, słabła z dnia na dzień, aż w końcu ich duch – czarny jednorożec – zdołał się uwolnić, przepalając karty księgi.

– A więc po to mój przyrodni brat zesłał te sny! – wykrzyknął Questor, a na jego sowej twarzy pojawił się wyraz nowego zrozumienia. – Musiał powrócić do Landover, by odtworzyć księgi, odnaleźć złotą uprząż – i to szybko! Jeśli nie dokonałby tego na czas, czarny jednorożec mógłby znaleźć sposób, by uwolnić wszystkie białe jednorożce – ich ciała. Meeks utraciłby ich magiczną moc!

– I właśnie tego czarny jednorożec próbował dokonać – potwierdziła Willow. – Nie tylko tym razem, ale zawsze, kiedy udawało mu się wydostać na wolność. Usiłował odnaleźć moce magiczne, które uważał za silniejsze od magii czarnoksiężników. Szukał Paladyna! Przedtem nie miał żadnych szans. Zbyt szybko był ponownie chwytyany. Wiedział, że Paladyn to rycerz króla, lecz do samego króla nigdy nie udało mu się dotrzeć. Gdy Meeks stwierdził, że zwierzę uciekło, zaczął działać szybko. Użył snu, by wywabić Bena z Landover, nim jednorożec go odnajdzie. Potem jeszcze raz spotkał się z Benem, by zmienić jego wygląd tak, by nikt – włączając jednorożca – nie mógł go rozpoznać.

– Myślę, że mógłby mnie rozpoznać, gdyby nie był więziony tak długo – przerwał Ben. – Starsze czarodziejskie stworzenia, takie jak Strabo czy Nocny Cień, były w stanie mnie zidentyfikować. Lecz jednorożec utracił wiele ze swych mocy w okresie, kiedy był więziony.

– Możliwe, że utracił je przez to, że wykorzystywali go czarnoksiężnicy – dodała Willow.

– Tamtej nocy w mojej sypialni Meeks powiedział mi, zmieniając czarami moją powierzchowność, że w jakiś sposób pokrzyżowałem jego plany – ciągnął Ben, wracając do sprawy swej utraconej tożsamości. – Oczywiście, nie miałem pojęcia, o co może mu chodzić, i co takiego uczyniłem. Prawda była taka, że wszystkiego tego dokonałem niezamierzenie. Nie wiedziałem, że księgi zawierały skradzioną moc magiczną i że gdyby Meeks nie powrócił na czas do Landover, moc tę by utracił. Robiłem po prostu wszystko, by pozostać przy życiu.

– Chwileczkę, panie – Abernathy, wyraźnie zdezorientowany, potrząsał głową. – Meeks zesłał trzy sny. Twój – by móc powrócić do Landover, Questora – by odzyskać zaginione księgi magii, i Willow – by odzyskać skradzioną uprząż. Sny zadziałały tak, jak było to zamierzone,

z wyjątkiem snu Willow. Willow odnalazła uprząż, lecz nie oddała jej – tak, jak nakazywał to sen – tobie. Dlaczego?

– Czarodziejskie istoty – rzekła Willow.

– Czarodziejskie istoty – jak echo powtórzył Ben.

– Tamtego ranka powiedziałam, że mój sen wydawał mi się niepełny. Czułam, że powinno pojawić się coś jeszcze – wyjaśniła Willow. – Później miałam jeszcze kilka snów, a w każdym z nich czarny jednorożec coraz wyraźniej ukazywał mi się jako ofiara, nie jako demon. Czarodziejskie istoty zesłały te sny, by poprowadzić mnie w moich poszukiwaniach i pokazać mi, że moje obawy są niesłuszne. Stopniowo zdałam sobie sprawę, że pierwszy sen był w jakimś sensie fałszywy, że jednorożec nie jest moim wrogiem, że potrzebuje mej pomocy, a ja muszę mu tę pomoc zaoferować. Po tym, gdy smok dał mi złotą uprząż, miałam kolejne sny i wizje. Przekonały mnie, że jeśli chcę odkryć prawdę, sama muszę odnaleźć jednorożca.

– Czarodziejskie istoty przysłały mi Dirka ze Skraju Lasu – westchnął Ben. – Oczywiście, nie interweniowały bezpośrednio, by mi pomóc – wszak nigdy tego nie czynią. Odpowiedzi na nasze problemy muszą przyjść z wnętrza nas samych. Dirk był jednak katalizatorem, który pomógł mi tego dokonać. To Dirk pomógł mi odkryć prawdę o medalionie. Meeks użył magii ułudy, bym uwierzył, że rzeczywiście go straciłem. Dzięki Dirkowi uświadomiłem sobie, że to ja sam podtrzymywałem to złudzenie, i że gdybym potrafił dostrzec prawdziwy stan rzeczy, inni mogliby go dostrzec również – i tak faktycznie się stało.

– ...i pewno dzięki temu Paladyn zdążył dotrzeć do nas na czas – rzekł Questor.

– I dlatego udało się w końcu zniszczyć magiczne księgi i uwolnić jednorożce – dodała Willow.

– A Meeks został pokonany – dokończył Abernathy.

– Dokładnie tak – zgodził się Ben.

– O wielki panie! – wykrzyknął rozpromieniony Phillip.

– O potężny panie! – jak echo powtórzył Sot.

– Skończcie, proszę – jęknął Ben.

Spojrzał badawczo na swych towarzyszy, lecz oni tylko się uśmiechali.

Był już najwyższy czas, by wyruszyć. Nikomu z nich nie zależało na tym, by spędzić jeszcze jedną noc w Melchor. Zgodzili się co do tego, że lepiej rozbić obóz u podnóża gór.

Zmęczeni schodzili w dół w bledzącym świetle dnia. Słońce tonęło za zachodnimi obrzeżami kotliny w łunie szkarłatu i szarości. Willow szła obok Bena. Jej dłoń uściśnęła delikatnie jego.

– Jak myślisz, co stanie się z jednorożcami? – zapytała po chwili.

Ben wzruszył ramionami.

– Pewno wrócą do zaczarowanych mgieł i nikt ich już nigdy więcej nie ujrzy.

– Nie sądzisz, że udadzą się do światów, do których zostały wysłane?

– Poza Landover? – Ben potrząsnął głową. – Nie, nie po tym, co przeszły. Nie teraz. Wrócą do domu – tam będą bezpieczne.

– Twój świat nie jest zbyt bezpieczny, prawda?

– Nie bardzo.

– W Landover też nie jest bezpiecznie.

– Zgadza się.

– Sądzisz, że we mgłach będzie choć trochę bezpieczniej? Ben zastanawiał się przez chwilę.

– Nie wiem. Może i nie. Willow skinęła głową.

– Twemu światu potrzeba jednorożców, prawda? Moc magii została zapomniana?

– Raczej tak.

– Więc może nie jest tak ważne, że nie jest tam bezpiecznie. Może ta potrzeba przeważy niebezpieczeństwa? Może choć jeden jednorożec zdecyduje się tam pobiec.

– Może... ale wątpię. Willow nieco wzniosła głowę.

– Mówisz tak, ale myślisz co innego.

Ben uśmiechnął się, lecz nie odpowiedział.

Dotarli do podnóża gór, przeszli przez rozległą łąkę pełną czerwono nakrapianych dzikich kwiatów i zatrzymali się w jodłowym zagajniku. Koboldy zaczęły rozglądać się za miejscem na obozowisko. Powietrze stało się chłodne, a nadchodzący zmierzch nadawał wszystkiemu przyciszony, srebrzysty odcień. Zaczęły grać świerszcze, a nad odległym jeziorem przeleciał klucz dzikich gęsi. Ben pomyślał o domu – o Sterling Silver – i o ciepłe życia, które tam na niego czekało.

– Kocham cię – powiedziała nagle Willow. Nie patrzyła na Bena, a prosto przed siebie.

Ben skinął.

– Zamierzałem coś ci o tym powiedzieć. Cały czas mówisz, że mnie kochasz, a ja nigdy nie jestem w stanie odwzajemnić ci się tym samym. Wiele ostatnio zastanawiałem się, dlaczego tak się dzieje, i myślę, że dlatego, że się boję. To tak, jak ryzyko, którego nie musisz podejmować. Łatwiej po prostu to ominąć. – Przerwał. – Ale teraz już tego tak nie odbieram. Czuję się zupełnie inaczej. Kiedy mówisz mi, że mnie kochasz, czuję, że pragnę ci odpowiedzieć. Kocham cię Willow. Myślę, że zawsze cię kochałem.

Szli dalej w milczeniu. Poczuł, że jej dłoń mocniej zaciska się na jego ramieniu. Dzień był cichy i spokojny, i wszystko trwało w pokoju.

– Matka Ziemia zmusiła mnie, bym przyrzekł, że będę się o ciebie troszczył – rzekł w końcu Ben. – To, między innymi, skłoniło mnie, żeby zacząć myśleć o nas inaczej. Zmusiła mnie, bym obiecał, że zapewnię ci bezpieczeństwo. Bardzo na to nalegała.

Bardziej czuł, niż widział uśmiech Willow.

– To dlatego, że wiedziała – rzekła.

Ben czekał, aż dziewczyna powie coś więcej, potem spojrzał w dół.

– Co wiedziała?

– Że pewnego dnia będę nosić twoje dziecko, królu. Ben zaczerpnął głęboko powietrza i wypuścił je powoli.

– Och...

## EPILOG

Do Bożego Narodzenia pozostały dwa dni.

Południowe przedmieścia Chicago były mroźne i spowite mrokiem. Wczorajszy śnieg na chodnikach i ulicach zdążył już się stać szarą, mokrawą masą. Prostokątne kształty wielkich budynków były zaledwie niewyraźnymi cieniami w oparach dymu i mgły. Ze studzienek ściekowych, na które padał deszcz ze śniegiem, unosiły się kłęby pary. Ruch był niewielki. Samochody pełzały jak prehistoryczne chrząszcze, błyskając żółtymi oczami reflektorów. Przechodnie potrząsali z zimna głowami. Wtuleni w szale i wysokie kołnierze, ręce trzymali w kieszeniach. W ponurej, mrocznej ciszy późne popołudnie stawało się powoli wczesnym wieczorem.

Róg ulic Division i Elm był całkiem wyludniony. Z autobusu wysiedli dwaj młodzieńcy w skórzanych kurtkach, podróżujący biznesmen oraz elegancko ubrana, powracająca do domu z zakupów kobieta. Każde z nich ruszyło w swoją stronę. Właściciel sklepu z armaturą sprawdzał właśnie zamki we frontowych drzwiach, przygotowując się do zamknięcia interesu na cały następny dzień. Fabryczny robotnik z pierwszej zmiany wytoczył się po godzinnym odpoczynku przy dwóch piwach z Barney's Pub, by powlec się do stojącego o dwie ulice dalej domu, gdzie czekała na niego chora matka. Starszy człowiek, dźwigający torby z kupionym jedzeniem, powłóczył nogami po wydeptanej w śniegu lodowej ścieżce. Mała dziewczynka bawiła się sankami przy schodach swego domu.

Pogrążeni we własnych myślach, zajęci swoimi sprawami, ludzie mijali się ze zwykłą obojętnością.

Biały jednorozec przesybował pomiędzy nimi jak plama zbłąkanego światła. Przemknął, jak gdyby jedynym celem jego życia było okrążyć cały świat w ciągu jednego dnia. Zdawało się, że w swym płynnym, pełnym gracji galopie wcale nie dotyka ziemi. Całe piękno świata – to, które istniało, i to, które może dopiero zaistnieje – zawarło się w jego ruchach. Pojawił się i zniknął w mgnieniu oka. Ci, którym udało się go dostrzec, zdołali tylko wstrzymać oddech, mrugnąć oczami, i zwierzęcia już nie było.

Nastąpiła chwila niepewności. Stary człowiek stał z rozdziawionymi ustami. Dziecko odłożyło saneczki i wytrzeszczyło oczy. Dwaj młodzieńcy pokiwali głowami i zaczęli coś mamrotać w podnieceniu. Biznesmen i właściciel sklepu popatrzyli po sobie. Elegancko ubrana kobieta przypomniała sobie wszystkie te historie o zaczarowanych stworzeniach, które jeszcze teraz lubiła czytać. Robotnik wspomniął nagle Boże Narodzenie z czasów swego dzieciństwa.

Minęła chwila i wszyscy znowu ruszyli. Niektórzy wolniej, inni szybciej. Rozglądali się po pustej, zamglonej ulicy. Co właściwie widzieli? Czy naprawdę był to jednorozec? Nie, to przecież niemożliwe. Wszak takie stworzenia nie istnieją – a przynajmniej nie w rzeczywistości. A już na pewno nie w miastach. Jednorozce żyły w lasach.

Coś jednak widzieli. A może jednak nie? Może nie. Szli dalej, a w każdym z nich tliło się ciepło uczucia, którego przed chwilą doświadczyli. Było to uczucie udziału w czymś naprawdę magicznym.

Zabrali to uczucie ze sobą do domów. Niektórzy z nich przez pewien czas utrzymali je w sobie. Niektórzy przekazali je innym.